



Klub Matek Swatek

Ewa Stec

*Dla Roberta i Judyty,
żeby zawsze mieli siebie*

Zadzwonił telefon.

Szczupła, niemłoda już blondynka w czarnym płaszczu znieruchomiła z ręką na klamce. Odruchowo spojrzała w kierunku, z którego dobiegał dźwięk. W myśli liczyła sygnały. Po piątym telefon przestał dzwonić i włączyła się automatyczna sekretarka. Nikt jednak nie zostawił wiadomości.

Kobieta wzruszyła ramionami.

Nigdy nie zostawiali wiadomości.

Dobrze znała ich zwyczaje. W końcu zajmowała się nimi od lat. Wiadomość jest śladem. A ślad prowadzi do tego, kto go zostawił.

Sprawdziła godzinę na ledwie widocznym w ciemnościach zegarku.

Trzecia rano. Odwróciła się niezdecydowana.

„Co, jeśli telefon będzie dzwonił wiele razy? – pomyślała, zagryzając wargi. – Hałas może zwrócić uwagę choćby sąsiadki zza ściany. A może wyciągnąć wtyczkę?”

Brak sygnału mógłby jednak zaalarmować ludzi, z którymi nie chciała mieć już nic wspólnego. I z którymi nie chciała zadzierać.

Spojrzała na pachnący jeszcze farbą paszport i rezerwację na samolot do Buenos Aires. Potrzebowała tylko kilku godzin.

Po chwili zastanowienia weszła do salonu i schowała telefon do szafy.

Wróciła do przedpokoju, chwyciła walizkę stojącą pod ścianą i bez żalu, że opuszcza mieszkanie, w którym spędziła ostatnie trzydzieści lat, zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 1

Drzwi wyglądały całkiem zwyczajnie. Były masywne, metalowe i – jak przystało na drzwi prowadzące do biura w Galerii Krakowskiej – chronione kodem dostępu i kamerą. Beata obrzuciła czujnym spojrzeniem kamerę, a potem przez chwilę nieufnie przyglądała się eleganckiej tabliczce z napisem „KMS” umieszczonej na drzwiach. Nie potrafiła rozszyfrować skrótu, więc spojrzała pytająco na przyjaciółkę. Widząc zagadkowy uśmiezek na jej twarzy, dostała wypieków. Nie znosiła tajemnic. Choć z drugiej strony te wypieki równie dobrze mogły być kolejnym objawem nękającej ją „menopauzy w pełnym rozkwicie”, jak to dobitnie określił jakiś czas temu jej ginekolog. Następny, który powinien zostać poetą. Znienawidziła go, uznając za seksistowskiego dupka. Od menopauzy jednak jeszcze bardziej nie cierpiała sekretów.

– Danka, co jest za tymi drzwiami? – stanowczo zażądała odpowiedzi.

Danuta przestała się uśmiechać. Rozejrzała się czujnie dokoła, a nie widząc nikogo, zgasiła papierosa i rozgniotła niedopałek czarnym lakierkiem.

– Gotowa? – spytała tajemniczym głosem.

Nieco zbyt tajemniczym jak na wieloletnią przyjaciółkę, o której, przynajmniej w teorii, wszystko się wie. Beata poczuła się wyjątkowo bezsilna.

A bezsilność stanowczo nie licowała z jej uwielbieniem kontrolowania sytuacji.

– Nie – odpowiedziała zaintrygowana. I rozdrażniona. – Ja w ogóle nic nie rozumiem. Po co mnie tu przyprowadziłaś?

Danuta rzuciła jej zagadkowe spojrzenie.

– Beatko, przyszedł do mnie ze łzami w oczach, bo uważasz, że twoja córka jest nieszczęśliwa, tak?

– Tak.

– Bo ten jej facet nie ma potencjału. Przyszłości. Nie chce się żenić. A zegar biologiczny już jej od dawna tyka. Przyszedł do mnie, bo nie wiesz, jak jej pomóc.

– Przyszedł do ciebie, Danko, żeby się wyzalić. Jesteś moją przyjaciółką. Nie oczekuję, że znajdziesz rozwiązanie.

Danuta pokiwała głową.

– Oczywiście, moja droga. Ale nie przewidziałaś jednego... – zawiesiła głos.

Beata zaintrygowana wpatrzyła się w twarz przyjaciółki.

– Nie przewidziałaś, że ja wiem, jak jej pomóc – powiedziała Danuta i wklepała kod dostępu. Tajemnicze drzwi otworzyły się bezszelestnie.

ROZDZIAŁ 2

Anka Romantowska, zupełnie nieświadoma, że jej matka Beata z troski o szczęście córki w tej właśnie chwili wchodzi do siedziby jakiejś tajemniczej organizacji, także stała przed drzwiami. Była wyraźnie podekscytowana, a jej oczy błyszczały jak oczy małego dziecka, któremu za chwilę będzie wolno przekroczyć próg sklepu z zabawkami. Z trudem powstrzymywała wszechogarniającą ochotę, by podskoczyć do sufitu i krzyknąć z radości na całe gardło. Z miłością wpatrywała się w ciemne drewno. Drzwi były zwyczajnej urody, pozbawione cech szczególnych, gdzieś nawet łuszczył się lakier, ale w tym momencie wydawały się jej najpiękniejszymi drzwiami na całej planecie. Ba, w całym układzie słonecznym.

„Drzwi do mojego własnego mieszkania”, myślała, a jej myśli podskakiwały i krzychały z radości, bo przecież jej samej nie wypadało. W końcu była kobietą po trzydziestce i panią pedagog, a to zobowiązuje.

– Moje! – zapiszczała nagle, nie mogąc się powstrzymać, i przytuliła policzek do chropowatej powierzchni.

– Wyprowadziła się? – usłyszała znienacka skrzypiący głos.

Anka podskoczyła zawstydzona, że ktoś przyłapał ją podczas tak intymnej sytuacji jak owo spontaniczne zbliżenie z drzwiami, i spojrzała w kierunku, z którego dochodził. Zza drzwi mieszkania obok wystawał czubek nosa.

– Słucham? – zapytała, opanowawszy rumieniec.

Po chwili wahania na klatkę schodową wychyliła się głowa, omotana czarną siatką, a za nią z kolei, jak to w naturze zwykle bywa, wysunęła się reszta ciała odzianego w nylonową podomkę w wielkie krwiste maki.

„Matko, kto jeszcze nosi takie podomki?”, zdążyła tylko pomyśleć Anka, ale kobieta nie dała jej czasu na dalsze refleksje.

– Lewandowska. Wyprowadziła się? – zapytała, rzucając elektryzujące, zapewne od tej podomki, spojrzenie.

– Zgadza się – odpowiedziała grzecznie Anka i z ujmującym uśmiechem zapytała głosem pełnym zrozumienia: – Lubiała ją pani?

Rentgen w oczach sąsiadki przeświecił ją od stóp do głów.

– Nie. Ale lepsze zło znane niż nieznanie – usłyszała.

No cóż... Jako że jakaś prawda w tym była, Anka pokiwała uprzejmie głową i w imię stosunków dobrosąsiedzkich postanowiła zignorować wyraźną niechęć gburowatej kobiety.

Przynajmniej na razie. Potem wyciągnęła z kieszeni klucz i nie przejmując się niczym, a już na pewno nie stojącą obok staruszką w nylonowej podomce, drżącą z przejęcia ręką włożyła go do zamka.

– Pani tu teraz będzie mieszkać?

Przesłuchanie najwidoczniej jeszcze się nie zakończyło. Anka znieruchomiała, a potem – w imię stosunków dobrosąsiedzkich! – zdecydowała się wyciągnąć rękę.

– Tak. Wprowadzam się już dzisiaj po południu. A teraz wpadłam tylko na chwilę, przed pracą, żeby ucieszyć oczy i pokazać mieszkanie koleżance... – zaszcebiotała, ale kwaśna mina staruszki nie dała się osłodzić.

Anka postanowiła zatem wykorzystać okazję i przedstawić się nowej najbliższej sąsiadce. – Anna Romantowska, bardzo mi miło.

Głowa kobiety poruszyła się nieznacznie w geście powitania, ale wyciągnięta ręka nowej lokatorki została ostentacyjnie zignorowana i Anka musiała zadowolić się założeniem włosów za ucho.

– A sama? Sama będzie pani mieszkać?

– Tak.

– Aaa, stara panna – sąsiadka od razu zaklasyfikowała ją do odpowiedniej grupy społecznej. – Ale ostrzegam, po dziesiątej ma być cicho. Nie będę tolerować żadnych krzyków. Dla zasady, bo tolerancja starszych jest nieprzyzwoicie wykorzystywana przez młode pokolenia. Aha, i żeby żadni obcy się tu nie plątali. To porządna kamienica, a nie jakiś lokal komunalny. Lewandowska to ciągle jakichś obcych na noc spraszala. Wstydu nie miała! Kur... kurtyzana jedna.

Anka zacisnęła zęby, ale nie dała się sprowokować. W końcu, jak podpowiadał odziedziczony po mamie (niestety tylko szczątkowo) rozsądek, czujna i przychylna sąsiadka to skarb. Uśmiechnęła się zatem po raz kolejny, choć już z mniejszym entuzjazmem.

– Ależ oczywiście. Wie pani, pani... – zawiesiła wyczekująco głos.

Kobieta w podomce milczała przez chwilę, jakby rozważała potencjalne negatywne skutki przedstawienia się. Po chwili kłopotliwego milczenia skapitulowała.

– Genowefa Grzyb – zaburczała pod nosem. I pod całkiem wyraźnym wąsikiem.

– Pani Gieniu... – Anka zakrztusiła się, ale na jej ustach tkwił uprzejmy uśmiech. „Najbliższa sąsiadka pomocna we wszystkim. W końcu taki egzemplarz jest lepszy od alarmu”, powtarzała w myślach krótką mantrę. – Ja jestem bardzo spokojną osobą. Nie urządzam żadnych libacji, nie mam krzykliwych przyjaciół, sami przyzwoici ludzie, bezpieczni, sprawdzeni, a ja jestem nauczycielką... – oświadczyła, pewna, że jej zawód wzbudzi szacunek. Nie doceniła jednak pani Gieni.

– Nauczycielka! – parsknęła kobieta z wyraźnym potępieniem. – Tylko tego mi tu brakowało! Cudownie! – dodała takim tonem, że Anka od razu poczuła, że za tym „cudownie” kryje się drugie dno. – To wszystko wasza wina! – usłyszała. – Jesteście odpowiedzialni za młode pokolenia i co!? Taka porażka! Taki wstyd! Młodzież pluje na chodniki, miejsca w autobusie nie ustąpi, alkoholizuje się i narkotyzuje, i inne „uje”!

Anka spojrzała na nią spod oka i zagryzła wargi. „Jasne. *Mea culpa*”.

Postanowiła jednak nie dać się sprowokować. A kiedy już, mając w zanadru wszelkie chwytaki z kursów z pedagogiki specjalnej, chciała wytłumaczyć, że nie bez przyczyny przecież zawód nauczyciela obdarzany jest takim zaufaniem społecznym, usłyszała gwałtowne trzaśnięcie drzwi wejściowych do budynku i przeciągły krzyk, który nagle rozległ się na klatce schodowej i jeszcze długo potem rezonował głośnym echem.

– Anka Romantooooowska!? Gdzie jeeeeesteś!? Zapomniałam, jaki masz numer

mieszkaaaaaania!!! Halo!!! Aaanka!

Dziewczyna zmartwiała i wcisnęła sobie z powrotem do gardła poetyckie słowo „pedagog”, które właśnie zamierzała wykorzystać w obronie zawodu nauczyciela. Jej przyjaciółka, Matylda Gąsienica, której głos słyhać było tak wyraźnie, stanowiła bowiem wyraźne zaprzeczenie wszystkiego, co może się kojarzyć z wyrazem „pedagog”. Nie wspominając nawet o słowie „powaga”. Aż dziw, że Matylda była szkolnym psychologiem, aczkolwiek na usprawiedliwienie trzeba dodać, że jej powołaniem była balneologia. Niestety, jak to w życiu bywa, los okazał się okrutny i Matylda dowiedziała się, że ma uczulenie na sole lecznicze, co w konsekwencji doprowadziło ją do depresji. Ale jak to mówią: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Tak jej się spodobało wyciąganie ludzi z dołka, że została psychologiem.

– Co do licha? – mruknęła pani Gienia. Wielce zaintrygowana zdecydowała się wyjść ze swojej jaskini. Podeszła do poręczy, wychyliła się i przez chwilę spoglądała w dół.

Anka tymczasem nie czekała na wynik rekonesansu sąsiadki. Rzuciła się do drzwi. Niestety, choć walczyła zaciekle z zacinającym się kluczem, zupełnie jak rycerz z zaciętym obrońcą zamku, chcąc zniknąć, zanim właścicielka głosu dotrze w pobliże Genowefy Grzyb, nie zdążyła. Poległa. Na schodach pojawiła się wyrazista postać Matyldy – efekt namiętnej, acz krótkotrwałej miłości górala z Czarnego Dunajca i ognistokrwistej Murzynki z Jamajki.

Sąsiadka zamarła. Ale na taką słabość pozwoliła sobie tylko przez ułamek sekundy.

– Co za diabeł? – mruknęła, cofając się wyraźnie zaniepokojona. Szybko wróciła do swojego mieszkania i przymknęła drzwi. Pozostawiła jednak całkiem wyraźną szparę. Anka zdążyła jeszcze uśmiechnąć się niewyraźnie do szpary, po czym Matylda wkroczyła wreszcie na półpiętro, a z jej imponującej piersi wyrwał się kolejny ryk:

– No! Tu jesteś!

Anka zauważyła, że szpara w drzwiach zrobiła się całkiem duża i że osłupiała twarz pani Gieni nie pozostawiała złudzeń, co do jakości przyszłych wzajemnych kontaktów. Matylda, zupełnie nieświadoma bycia gwoździem do trumny sąsiedzkich stosunków Anki, która nie dość, że jest nauczycielką, to jeszcze ma za przyjaciół jednostki wyraźnie obce cywilizacyjnie i kulturowo, i jakby tego było mało także i rasowo, rzuciła się przyjaciółce teatralnie na szyję. Ta, z trudem utrzymując ciężar, zdołała w końcu przekrócić klucz i z niewinnym uśmiechem wpełchnęła Matyldę do środka. A potem zatrzasnęła drzwi.

ROZDZIAŁ 3

Danuta, zupełnie nie przejmując się oporem Beaty (wynikającym, jak założyła, z jej wrodzonej podejrzliwości i zamiłowania do scen dramatycznych), wciągnęła ją do obszernego pomieszczenia znajdującego się za tajemniczymi drzwiami. Beata wstrzymała oddech. Po chwili rozejrzała się dookoła ze zdziwieniem, a potem poczuła ulgę. Okazało się, że znajdują się w biurze, które było wystarczająco małe, żeby objąć je wzrokiem, dzięki czemu zaczęła odzyskiwać kontrolę nad własnymi emocjami i duszącym poczuciem bezsilności.

Przy biurku tuż obok wejścia siedziała tleniona blondynka w średnim wieku wpatrzona w ekran komputera. Miała czerwoną bluzkę z naprawdę głębokim dekoltem, zza którego wystawał czarny koronkowy stanik. Tak prowokujący ubiór uwydatniał tylko zmarszczki blondynki i jej zwiędłą skórę.

Na widok Danuty kobieta zaszalutowała, a potem, jakby tego było mało, powiedziała z uprzejmym uśmiechem podwładnej:

– Witam panie. Dokumenty leżą na biurku. Gdyby coś jeszcze trzeba było dodrukować, proszę dać znać.

– Dziękuję – odpowiedziała Danuta z dziwnym grymasem na twarzy, a potem dodała tonem wyjaśnienia: – To Jolka, sekretarka.

Beata spojrzała zdumiona na przyjaciółkę, ale ta tylko wzruszyła ramionami i rzuciła spojrzenie mówiące: „No, co? To już sekretarki nie można mieć?”, po czym odwróciła się i chwyciwszy oszołomioną Beatę za rękę, pociągnęła dalej. Kiedy w końcu zmusiła ją do zajęcia miejsca na kanapie stojącej w rogu pokoju, tuż obok aneksu kuchennego, Beata znowu poczuła się nieswojo. Bezsilność objawiła się dusznością i uderzeniami gorąca. Do tego wszystkiego Danuta zapaliła papierosa. Zanim Beata zdążyła zaprotestować, usłyszała głos sekretarki:

– Pani Danuto, miała pani rzucić palenie!

Danuta wciągnęła dym do płuc z miną miastowego, któremu wreszcie udało się wyrwać na wieś i odetchnąć świeżym powietrzem, a potem mrugnęła do Beaty.

– Wiesz, Jolka – odkrzyknęła – ty jesteś jak pies ogrodnika! Sama nie zapalisz, ale mnie też nie pozwolisz!

– Trzeba mnie było nie błagać, żebym pilnowała i motywowała – parsknęła poirytowana Jolka.

– To już nie można sobie odpocząć? Wiesz, jakie to męczące rzucać palenie?

– Nie wiem, bo jestem na tyle inteligentna, że nigdy nie dałam się zniewolić.

Impertynencja Jolki wywołała na twarzy Danuty tylko uśmieszek.

– Gdzie ja jestem? – Beata postanowiła się odezwać. W końcu kto pyta, nie błądzi.

Danuta powoli wypuściła dym z ust i z założonymi rękoma usiadła na biurku, ustawionym pod oknem, prawie na wprost kanapy.

– W biurze – oświadczyła, jakby to wszystko wyjaśniało. Jako że niczego nie wyjaśniło, Beata zadała kolejne pytanie.

– Co to za biuro? K – Konsulting? M – Management? S – Szkolenia? – wymyśliła naprędce, próbując rozszyfrować tajemniczy skrót z tabliczki na drzwiach.

– K – Klub, M – Matek, S – Swatek – powiedziała bez zmrużenia powiek Danuta.

Beata, jak przystało na człowieka z poczuciem humoru, zaczęła się elegancko śmiać. Choć bez większego przekonania. A potem dziwnie zaniepokojona faktem, że Danuta wcale się nie śmieje, a przecież powinna, przestała udawać rozbawioną i zapytała jeszcze raz, tylko z większym naciskiem:

– Ale poważnie pytam, gdzie ja jestem?

– To pomieszczenie nazywamy szumnie kwaterą główną – wyjaśniła Danuta.

– To jakiś żart? – Beata zrobiła minę wskazującą wyraźnie, że takie dowcipy jej nie bawią. Przynajmniej nie w tym momencie.

– Ależ skąd. To fakt – oświadczyła przyjaciółka przekonująco i z wielkim zadowoleniem, a potem znowu zaciągnęła się papierosem. Kiedy zaczęła kaszleć, zgasiła go i wrzuciła do kosza.

– Rzuciłam znowu! – zawołała do Jolki.

– Tak trzymać! – odkrzyknęła tamta i wydeła czerwone wargi w powątpiewającym uśmiechu.

– Danuta, wybacz, że przeszkadzam... – odezwała się sarkastycznie Beata. Głowa jej puchła od nadmiaru myśli. – Ale... może wyjaśniłabyś mi jedną rzecz. Co to niby jest ten Klub Matek Swatek?

– Widzisz... – Danuta zawiesiła głos i spojrzała przeciągle na koleżankę

– to taka firma konsultingowa, właściwie taka... organizacja. Organizacja matek, które dbają o przyszłość swoich dzieci.

Beata poczuła, jakby ktoś nadepnął jej na odcisk. A już na ambicję na pewno. Podniosła się z kanapy.

– Czy sugerujesz, że ja nie dbam o przyszłość własnych dzieci? – zapytała obrażonym głosem. – Nie wiesz, że ja własne życie poświęciłam, żeby zawsze wszystko miały, żeby im pomagać... Ja dla nich...

Danuta odebrała jej głos i wolę buntu samym tylko spojrzeniem.

– Siadaj – powiedziała stanowczo.

Beata posłusznie usiadła. Danuta przyspiliła ją jeszcze wzrokiem do kanapy, a potem spokojnie kontynuowała:

– Klub pomaga... świadczy pewne usługi matkom, które, jakby to jasno przedstawić, dbają aktywnie o przyszłość swojego potomstwa.

– A co to, do cholery, ma znaczyć? – wyrwała się znowu Beata.

– To znaczy, że nie czekają, aż ich córki spędzą życie w samotności, przekonane, że faceci nie są nimi zainteresowani, bo są zbyt inteligentne.

Nie czekają, aż ich córkom jajeczka obumrą ze starości – usłyszała zdecydowany głos.

Spojrzała odruchowo w stronę, skąd dobiegł, i zobaczyła kobietę w średnim wieku i w zielonym płaszczu. Nieznajoma podeszła do biurka Danuty i mówiła dalej, nie spuszczać wzroku z Beaty:

– Matki z podejściem aktywnym starają się pomóc córkom w znalezieniu księcia z bajki. Albo królowy z bajki w przypadku facetów, choć z nimi problemów jest dużo mniej. Oni mogą zapładniać do późnej starości.

Kolejny dowód na to, że suka... to znaczy matka natura preferuje facetów.

– Kobieta zaśmiała się, a jej oczy zabłysły jak oczy rozbrykanego dziecka.

Założyła za ucho niesforny kosmyk rudych włosów, a potem zlustrowała Beatę od stóp do głów. – Beata, prawda? Danka dużo o tobie opowiadała.

„Pełna poświęcenia kobieta domowa, która dla rodziny zrezygnowała z kariery prawniczej” – zacytowała uroczyście, a potem znowu się roześmiała, nic sobie nie robiąc z wścieklej miny Danuty. – Niektórym to powinni wszczepiać czipy z wolno uwalniającym się egoizmem. Żeby samym sobie i innym tym poświęceniem krzywdy nie robili...

Beata wpatrywała się w kobietę w zielonym płaszczu jak w kosmitę, który nie wie, gdzie czemu, na pewno z czystej złośliwości, zmaterializował się akurat tu i teraz.

– Poznaj Jadwigę. W terenie nie ma sobie równych. Kiedyś pracowała w wywiadzie – Danuta konspiracyjnym szeptem przedstawiła nieznajomą.

– W wywiadzie? – powtórzyła Beata, otwierając szeroko oczy.

– Tak. Ma takie umiejętności, że żadna z nas nie jest jej w stanie dorównać.

Jadwiga spuściła skromnie oczy.

– Oj, Danko, nie przesadzaj...

– Nie przesadzam! A dzięki komu mam dwójkę wspaniałych wnucząt i cudowny spokój ducha!?

Beata przyglądała się, nic nie rozumiejąc, raz jednej, raz drugiej kobiecie. W końcu, logicznie rzecz ujmując, córki Danki i ich mężowie brali chyba jakiś czynny udział w procesie robienia swoich dzieci. Jej przyjaciółka miała jednak nieco inne zdanie.

– To wszystko dzięki Jadwidze! – powiedziała z przekonaniem. – To ona tak wszystko zorganizowała, że nikt niczego nawet nie podejrzewał. Jeden rok i obie moje córki znalazły fajnych facetów. Rekord pobiła Jagoda. Trzy miesiące znajomości i mówi mi, że wychodzi za mąż... I to wszystko dzięki naszej akcji „Królewicz pilnie poszukiwany”.

– A przeznaczenie? – odważyła się odezwać Beata.

– Jasne! – ryknęła śmiechem Jadwiga i zdjawszy płaszcz, rzuciła go niedbale na krzesło. Beata poczuła nagle uderzenie gorąca. Pojawiło się jak przyptyw. Przyptyw paniki.

– My jesteśmy lepsze niż przeznaczenie – powiedziała Danuta z pewną pobłażliwością, patrząc na rozgorączkowaną przyjaciółkę.

– Ale, ale...

– Jakie „ale”!? Nie ma żadnego „ale”! – ryknęła znowu Jadwiga, wyraźnie zdegustowana brakiem entuzjazmu Beaty. – To ja zniechęcałam tych pseudonarzeczonych Jagody! To ja się dowiedziałam, jacy mężczyźni się jej podobają. To ja wyszukałam jej męża, zresztą syna mojej koleżanki, to ja tworzyłam sytuacje i proszę, *voilà*, teraz wszyscy jesteśmy szczęśliwi.

– Ale... ale... to aranżowane małżeństwo – zaczęła Beata. I zaraz pożałowała.

W jednym momencie powietrze w biurze zgęstniało, powiało przeraźliwym chłodem, a zbulwersowana Jadwiga rzuciła Danucie spojrzenie mówiące: „Kogo ty mi tu przyprowadziłaś? Niewierną?”

– Ależ co to za wyrażenia, za dużo telewizji oglądasz, a to szkodzi. My nie żyjemy w Afganistanie, moja droga! – Jadwiga usiadła przy swoim biurku i dodała już spokojniej: – Jakie aranżowane małżeństwo? Jagoda sama poznała Pawła, zakochała się, przyprowadziła go do domu... A to, że wcześniej został przez nas sprawdzony on i jego rodzina, zaaranżowanych zostało kilka sytuacji, to tylko mały szczegół. Przecież tu chodzi o miłość!

Tu się nikogo nie sprzedaje. Nam nie płacą w wielbłądach. Tu się w pełni respektuje wolę młodych! – Jadwiga mrugnęła okiem, a słowo „respektuje” zabrzmiało dziwnie nie na miejscu. – Przecież oni sami wybierają. My po prostu wcześniej o tym wiemy. Do trzydziestki zostawiamy im wolną rękę, a potem... cóż... Potem i tak nie ma już na co czekać. I robimy to, co matki robiły od zawsze, tylko że z lepszym skutkiem. Jesteśmy prężne, zorganizowane i mamy nowoczesną technologię. Wszystko po to, żeby spełnić każde, nawet te najwyższe wymagania naszych dzieci. I nic na siłę, broń Boże! Chociaż czasami to mam ochotę trzepnąć po głowie i do ołtarza, takie to... takie to rozpasane, rozpuszczone, byle kim się nie zadowolą. Ty wiesz, jak trudno teraz znaleźć królewicza z bajki? Prawdziwy koszmar.

Tak. Ale my dla dzieci wszystko...

– Bo szczęście dzieci jest naszym sukcesem – Beata usłyszała kolejny głos. Odwróciła gwałtownie głowę. W biurze pojawiła się jeszcze jedna kobieta. Też była dobrze po pięćdziesiątce. – Krysia, bardzo mi miło – sympatycznie wyglądająca pani przedstawiła się i nie bacząc na wymalowaną na twarzy Beaty chęć ucieczki, chwyciła jej dłoń i delikatnie uściśniła. – Przepraszam za spóźnienie.

– No, witamy, gdzieś to wczoraj była? – zapytała Jadwiga, włączając komputer. – Tyle pracy, a ty ciągle na urlopie...

– Piszę artykuł o takich stukniętych elementach jak ty – docięła jej Krystyna. Ona także zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku, który wyciągnęła z eleganckiej szafy stojącej obok biurka Jolki.

Jadwiga obrzuciła okrycie koleżanki spojrzeniem pełnym obrzydzenia.

– Kryśka, ja ci mówię, kup sobie w końcu coś krwistego. Ten kolor jest taki mdły. Wyglądasz strasznie bezbarwnie – powiedziała z pełnym przekonaniem.

– To nie kolor. To wiek, moja droga. Osiągnęłam wiek, w którym człowiek staje się nie tyle bezbarwny, co niewidzialny. Ani młody, ani stary.

Średni wiek menopauzalny. Trudna rzecz – Krystyna westchnęła, a na jej niegdyś wyjątkowo ładnej twarzy wszystkie zmarszczki pokazały się w pełnej krasie.

– A ta znowu swoje. – Jadwiga pokręciła z dezaprobatą głową. – Ile razy mam ci powtarzać, że przekwitanie to nie tragedia. To część życia! I może być całkiem zabawna.

– Krystyna jest u nas profilerem. To emerytowana lekarka psychiatra – wyjaśniła Beacie Danuta.

– Psychiatra? Profiler? – powtórzyła słabo Beata. – Wody.

– Aż tak ze mną źle? – jęknęła Krystyna, a widząc na twarzy Jadwigi kolejną minę z serii „a nie mówiłam”, pokazała jej język i podała Beacie butelkę z wodą, którą wyciągnęła z małej lodówki znajdującej się w aneksie kuchennym. Potem usiadła za swoim biurkiem. – A jak Marcinek? – spytała Jadwigę.

Pytanie Krystyny wywołało na twarzy koleżanki ponury grymas.

– Nadal nie wychodzi z pokoju. Klasa maturalna, buzujące hormony...

koszmar. Ale jutro wprowadza się do swojego ojca.

– Znowu na trzy miesiące?

– Tak. Ale może ma taki okres, że po prostu potrzebuje ojca? Mam nadzieję, że Radek znajdzie do niego jakieś dojście.

– Nie przejmuj się – wtrąciła Danuta. – Moja Jagoda, gdy przechodziła trudny wiek, to potrafiła nie odzywać się przez cały tydzień. A jak zaczęła, to cały czas miała pretensje. O wszystko, łącznie z tym, że papier toaletowy był niebieski. I już wolałam, kiedy się nie odzywała. A jak raz przyprowadziła faceta, brrr, dziurawe buty, śmierdział, włosy jak strąki, fuj... myślałam, że go wyrzucę!

– I wyrzuciłaś? – zainteresowała się Jadwiga.

– No co ty. Uśmiechnęłam się i nawet mu rękę podałam. Czego to my, matki, nie robimy dla swoich dzieci. A one doceniają to dopiero, jak jesteśmy na emeryturze i możemy się zająć wnukami... Właśnie, Krysiu, jak wnuczek?

– Fantastycznie – Krystyna się ożywiła, a zmarszczki na jej twarzy rozluźniły się z ulgą. Że wreszcie właścicielka przestała o nich myśleć. – Patrzcie i podziwiajcie. – Wyciągnęła z torebki telefon. – Już mi się pamięć w komórce blokuje, tyle mam zdjęć. Ale nie musicie wszystkich oglądać – zgodziła się wielkodusznie. – Ma już trzy tygodnie. Boże, jakie ma nóżki! – jęknęła zachwycona, a za nią solidarnie jęknęły przyjaciółki.

Beata nie jęknęła. Siedziała wciśnięta w róg kanapy i już od jakiegoś czasu w ciszy obserwowała całą trójkę, obmyślając plan ucieczki. Wszystko jedno dokąd, byle blisko był komisariat. Ewentualnie szpital psychiatryczny.

– Dobra, skoro wszystkie jesteśmy już w komplecie, zaczynajmy – przerwała jej gorączkowe rozmyślenia Danuta.

– Co... zaczynajmy? – zapytała Beata ostrożnie, wachlując się chusteczką. Znow miała napad duszności. Na pewno o podłożu hormonalnym.

„W końcu ten szowinistyczny ginekolog wie, co mówi”, próbowała się pocieszać. Jednak równie dobrze mógł to być napad lękowy. Albo zawałowy.

– Akcję „Królewicz dla Ani pilnie poszukiwany”.

Beata znieruchomiała i wpatrzyła się w twarze otaczających ją kobiet. I tylko jedna myśl brzęczała jej w głowie jak natrętna mucha: „Boże! Zwariowały!”

ROZDZIAŁ 4

Gwałtowna reakcja Anki wywołała u jej przyjaciółki pewne zdziwienie.

Na szczęście Matylda nauczyła się już dawno, że ludzkie odruchy są nieprzewidywalne, a zarazem tak głęboko przewidywalne, że w zasadzie nie ma się czemu dziwić. Ani nad czym zastanawiać. Wyglądziła zatem bez słowa swoją białą bluzeczkę, kontrastującą wspaniale z

pyszny, czekoladowym odcieniem jej skóry, i naciągnęła dekolt. Miała słabość do dekoltów. Uważała je za tajną broń każdej kobiety, która chciała odwrócić uwagę od jakiegoś nielubianego elementu twarzy. Mawiała: „Uwydatnij biust, to facet nawet nie spojrzy na twój nos”, choć zaznaczała również, że w drugą stronę niekoniecznie działa to tak samo. Od biustu uwagi odciągnąć się nie da. Męska rzecz ten biust.

Matylda potarła ręką swój perkaty nos, o który obwiniała ojca, i rozejrzała się nieprzytomnie dookoła.

– Co to za nora? – zapytała, poprawiając swoje czarne loki. – Przecież tu trzeba zrobić kapitalny remont. I włożyć w to drugie tyle, ile dałaś za mieszkanie. Wiesz, ile cię to będzie kosztować? Chyba się pospieszyłaś z kupnem tego... – ciągnęła, starając się nie potknąć o walające się na podłodze śmieci. – Wygląda na to, że poprzednia właścicielka musiała wyprowadzać się w wielkim pośpiechu – zauważyła.

– Wiesz, jaka to była okazja? – Anka wzruszyła tylko ramionami. Nic nie było w stanie zepsuć jej radości. – Za te pieniądze w tej dzielnicy mogłabym mieć co najwyżej jednopokojowe. A tu proszę: trzy pokoje. I to jeszcze z meblami. Starymi, bo starymi, ale do remontu mi starczą. Tylko swoje łóżko sobie przywiozę. Dzisiaj! – zapiszczała.

– Dzisiaj? – Matylda rozejrzała się z przerażeniem dokoła. – Ty to odważna jesteś. Ale biorąc pod uwagę zagęszczenie w twoim domu rodzinnym i ludzką potrzebę spokoju, rozumiem. A dlaczego tak tanio? Może z tym mieszkaniem jest coś nie tak? – drażyła, ewidentnie próbując znaleźć dziurę w całym.

– Na pewno nie – oświadczyła zdecydowanie Anka i weszła do kuchni.

Zauważyła, że z sufitu zwisa jedynie rozbita żarówka.

„Przywieźć lampę”, zanotowała w myślach, a potem spojrzała na przyjaciółkę.

– Agent mi wszystko wyjaśnił. Właścicielka dostała spadek w Argentynie i musiała szybko wyjechać, żeby jej nie przepadł. Potrzebowała pieniędzy na bilet.

– Wierzysz w dobre wróżki? – prychnęła Matylda, rozglądając się podejrzliwie. – W to, że dobre kobiety nieprzywoicie tanio sprzedają mieszkania, żeby biedne nauczycielki mogły mieszkać w takim metrażu w ścisłym centrum? Że też akurat w tym tygodniu mnie nie było i nie mogłam ci doradzić.

– Ale co ty gadasz!?! – zdenerwowała się Anka. – Mówię ci, że dostała wielki spadek w Argentynie i musiała bardzo szybko sprzedać to mieszkanie. Zresztą co w tym dziwnego? Do takiego kraju też bym się przeprowadziła bez zastanowienia. Ten klimat... słońce... cały rok wakacje... A właśnie, jak tam twoje wakacje?

Zupełnie niespodziewanie Matylda znieruchomiała, a potem zawołała straszonym głosem:

– Musiałś mi przypomnieć!?

– O czym? – zapytała Anka. Nie zwracając uwagi na teatralne jęki Matyldy, do których zdążyła się już przyzwyczaić w ciągu wielu lat nieustającej przyjaźni, weszła do łazienki. I zmartwiała. Nie przeraziły jej odpadające gdzieśniedzie kafelki, nie przeraziła jej nawet muszla, która postanowiła popełnić samobójstwo, pewnie z tęsknoty za dawną właścicielką, i pękła na pół. Przeraził ją pajak wielkości średniego ptaka, który siedział w wannie i wrednie szczyrzył zęby. O ile je miał. A Anka była święcie przekonana, że tak. Mogłaby przysiąc, że widziała coś błyszczącego w okolicach jego otworu gębowego. Nie znosiła wielu rzeczy: nie lubiła much ani węży, nawet tych ogrodowych, ale pająki wzbudzały w niej pierwotny lęk. Zadrżała i histerycznie odskoczyła od wanny, nadeptując przypadkiem na palec Matyldy, która chodziła za nią jak cień, najwyraźniej starając się przekazać jej jakiś niezmiernie ważny komunikat.

– Wakacje! – przypomniała grobowym głosem przyjaciółka. – Ale i tak nic ci nie powiem! – Na jej twarzy drgały wszystkie żyłki, a zaciśnięte usta krzychały: „Zapytaj, zapytaj,

bo już nie mogę wytrzymać!” Anka trzęsącą się ręką wskazała na pająka. Matylda, nie doszukawszy się w zachowaniu przyjaciółki żadnego głębokiego zainteresowania dramatycznym przebiegiem jej urlopu, obrzuciła pająka brzydkim spojrzeniem, Ankę jeszcze brzydszym, a potem zdjęła z nogi szpilkę i wbiła jej obcas po mistrzowsku w sam środek czarnego odwłoka. Anka wzdrygnęła się i odwróciła wzrok.

– Zapytaj – wycedziła z groźbą w głosie Matylda, wycierając szpilkę papierem toaletowym.

Anka, dla świętego spokoju, zdecydowała się zapytać. Bo w końcu i tak by musiała. Matylda wybuchnęła.

– Nie uwierzysz! Najpierw okazało się, że do plaży jest, owszem, parę kroków, ale nikt nie powiedział, że trzeba przejść przez autostradę. Tak więc codziennie z narażeniem życia przebiegaliśmy przez drogę, chcąc złapać odrobinę słońca, którego zresztą za dużo też nie było, bo jak się okazało, to była pora deszczowa...

Anka westchnęła i sięgnęła po stojącą na rozpadającej się półce prawie pustą rolkę papieru toaletowego.

– Pokoje były małe i brudne. Musiałam się kąpać z robalami. A raz znalazłam pod kołdrą taaaką kukaracę... – Matylda rozłożyła ręce na całą szerokość i kiwała przekonująco głową. Widząc niedowierzanie w oczach przyjaciółki, jeszcze trochę rozszerzyła dłonie i dodała przekonująco: – Naprawdę taaaką!

Po dłuższej chwili Anka oswojona już z widokiem obrzydliwych zwłok zbliżyła się do wanny.

– A przewodnik umarł po dwóch dniach w strasznych boleściach na jakąś niezidentyfikowaną chorobę. Wszyscy przeszliśmy kwarantannę.

Anka przymknęła oczy i chwyciła czarny odwłok przez papier.

– Ale to wszystko jeszcze nic... – Matylda zawiesiła dramatycznie głos.

– Takiego upokorzenia jeszcze nigdy w życiu nie przeżyłam.

Anka zacisnęła zęby, a jej przyjaciółka wpatrzyła się w pająka z taką urazą, jakby jej nieudane wakacje były jego winą i to on namówił koleżankę kukaracę do figlowania w jej łóżku. I właśnie za to spotkała go zasłużona kara. A kiedy Anka spłukała już zwłoki w pękniętej toalecie, Matylda mówiła dalej:

– No więc leżę sobie na plaży w ten jeden jedyny dzień, kiedy było ładnie, wygrzewam ciało w słoneczku, rozumiesz, i nagle czuję... coś. Kogoś. I ten ktoś zaczyna mnie dotykać... Zrywam się, rozumiesz, krzycząc jak opętana: „Zboczeniec! Ratunku!”. Jak tatuś nauczył i przyzwoitość nakazuje. Zrzucam to z siebie, otwieram oczy i co widzę? Jakiś spragniony trzyletni brzdąc przyssał się do mojej piersi i nie chciał puścić! Myślałam, że mi odgryzie brodawkę! Oto oplakane skutki zbyt długiego karmienia piersią! A jego matka miała jeszcze czelność nakrzyczeć na mnie, że to moja wina! Że ja dzieci prowokuję, a potem zrzucam i krzywdę mogłam zrobić!

Ja! Krzywdę!? Ja! Prowokować!? Przecież ja nikogo nie prowokuję! – Poprawiła ze złością swoje wdzianko, a widząc, że Anka płacze ze śmiechu, dodała: – I to ma być śmieszne!? Jak możesz się śmiać!? Przecież to wszystko przez ciebie!

– Przeze mnie!? Niby dlaczego? Przecież cię ostrzegałam, żebyś się nie opalała topless.

– Ale jak ci mówiłam, że wyglądam jak dojna krowa, to zaprzeczałaś!

Żale Matyldy przerwał stłumiony dzwonek telefonu. Anka, wdzięczna, że nie musi odpowiadać, zaczęła chaotycznie szukać aparatu. Przyjaciółka łąziła za nią krok w krok, rozwodząc się nad swoją niecodzienną przygodą:

– A wiesz, jak ja się poczułam!? A teraz Jasiek mówi do mnie: „Pokaż wymiona”...

Wiesz, ja go chyba zostawię – powiedziała nagle, poważniejąc.

– Przecież to tylko takie głupie żarty, które facetom wydają się oznakami czułości – rzuciła Anka, zaraz po tym jak odkryła, że telefon znajduje się w starej szafie.

– Co ty za bzdury opowiadasz? – zdziwiła się Matylda, u której romantyczna strona charakteru nigdy się nie wykształciła. – Nie o to chodzi.

Mam inne powody...

– Zauważyłaś w końcu jego neurotyzm? – Anka weszła do szafy i nakazując Matyldzie chwilowe milczenie, podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Wreszcie! – napadł ją jakiś nieprzyjemny głos. – Sowa, gdzieś ty się podziewała!? Jak dalej będziesz takie jaja robić, to ci preparatora podeślę!

Anka znieruchomiała zalana potokiem słów.

– Zaraz, zaraz... jakiego preparatora? – zdumiała się.

– Preparatora zwierząt, ale preparator zwłok też mógłby mieć zajęcie! – wyjechał na nią ostry głos. – Dowcip ci się stępił, Sowa.

Anka instynktownie postanowiła nie ciągnąć tematu.

– Przepraszam, ale to najwyraźniej pomyłka.

W słuchawce zabulgotało.

– Co ty osowiałaś, Sowa!? Jaka znowu pomyłka!?

– Przykro mi, ale żadna sowa tu nie mieszka.

Na moment zapadła dziwnie krzycząca cisza, a potem usłyszała dźwięk odkładanej słuchawki. Połączenie zostało przerwane. Ankę ogarnął niepokój, ale już po chwili wrzuciła tylko ramionami. W końcu dziwny jest ten świat. A ludzie jeszcze dziwniejsi. Wyciągnęła telefon z szafy, postawiła go na starym rozklekotanym stoliku i znowu wpadła w potok żalów wylewanych przez Matyldę.

– Tu nie chodzi o neurotyzm. W końcu jestem psychologiem, radziłam sobie z gorszymi przypadkami! Ty wiesz, jak on ma na nazwisko? Zielony.

I co ja będę? Matylda Gąsienica-Zielona!?

Anka znowu wybuchnęła śmiechem.

– Tu się nie ma co śmiać. To jest poważna sprawa! – obrazila się przyjaciółka.

– Przecież nie musisz zachowywać swojego nazwiska. – Anka próbowała załagodzić sprawę.

Matylda wydeła wargi.

– Aha – rzuciła z przekąsem – powiedz to mojemu tatusiowi. I tak jestem w Dunajcu czarną owcą... Moja babcia zawsze mi powtarzała, że jestem karą boską za to, że mój tatuś puścił się z obcą, a miał się z Kaśką Zapotoczanką ożenić. Dlatego teraz rodzina Jaśka nie chce się zgodzić na nasz ślub. Bo to krewni Zapotocznych. A ja jestem nieślubnym dzieckiem wrogiej rodziny. Nie doceniają nawet tego, że już wszystko zrobiłam, żeby mnie zaakceptowali. Nawet włosy zapuściłam, żeby mieć takie dwa warkocze jak Maryna z *Janosika*. Czasami myślę, że lepiej by mi było, gdyby tatuś zostawił mnie na Jamajce, z matką. – Westchnęła ciężko, a potem niespodziewanie zmieniła temat. – A ty kogo zabierasz na wesele Hanki?

Anka uśmiechnęła się cierpko. Nie chciała iść na wesele Hanki, ale że ta jak na złość wychodziła za kuzyna Jaśka, narzeczonego Matyldy, którego Anka świetnie знаła z czasów studenckich, przyjaciółka zmusiła ją do przyjęcia zaproszenia. Szantażem emocjonalnym. Bardzo pedagogiczne podejście...

– Jak zwykle nie mogę się zdecydować, kogo zabrać – mruknęła Anka.

– Facetów powinno się zamawiać jak pizzę, najlepiej w internecie. I koniecznie zjadać

zaraz po... – zaczęła mówić, ale nie zdążyła nic więcej dodać, bo znowu zadzwonił dzwonek. Tym razem u drzwi.

– Och! Jakie to ekscytujące! – krzyknęła Matylda. – Twój pierwszy gość!
I pobięła otworzyć.

W drzwiach mieszkania – jak na zamówienie – stał młody mężczyzna z drabiną. W dodatku całkiem przystojny. Uśmiechał się wprawdzie nieco bezczelnie, ale ci pociągający, niepokorni faceci zawsze tak robią, ich uśmiech zwała z nóg. A guz zostaje na całe życie. Bo mężczyźni z tego rodzaju uśmiechem są niepoprawnymi egoistami. Ale co z tego, kiedy kobiety wbrew wszelkim instyktom samozachowawczym i tak na ich widok naciągają dekolty.

– Patrz, niebiosa zsyłają ci faceta. I to z drabiną – szepnęła konspiracyjnie Matylda, jakby drabina była jakimś dodatkowym męskim atutem. A potem... naciągnęła dekolt.

Anka spojrzała pytająco na mężczyznę.

– Dzień dobry. Małaszyński, do usług – odezwał się głębokim, seksownym głosem i uśmiechnął gwiazdorsko, zawieszając spojrzenie swoich czekoladowych oczu, o dziwo, nie na egzotycznej Matyldzie i jej imponującym dekolcie, tylko na niej, przeciętnej nauczycielce. W jednej chwili zrobiło jej się duszno, a w piersi wybuchł niespodziewany pożar, który, jak niechętnie zauważyła, rozprzestrzenił się aż na policzki.

„Aż żal, że nie zjawił się strażak!”

Wściekła na siebie, wpatrzyła się w drabinę.

Matylda z kolei, która bynajmniej nie miała żadnych problemów z asertywnością, a nieśmiałość uważała wręcz za objaw niedorozwinięcia układu nerwowego, rzuciła się do przodu, zdziwiona, że jej dekolt nie przyciągnął wzroku nieznanego. Postanowiła to najwyraźniej naprawić i zmusiła biust do odtańczenia egzotycznego tańca z Wysp Karaibskich. W końcu nie od parady połowę genów, i to tych właściwych, otrzymała od mamusi, jamajskiej tancerki.

– Małaszyński!? Paweł!? Ten sławny aktor!? – połechtala *ego* mężczyzny.

Uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem.

– Nie, Wiktor. Malarz pokojowy. Nie jesteśmy spokrewnieni. Choć wszyscy mówią, że jestem do niego podobny. A nawet przystojniejszy – mrugnął okiem, a potem wrócił do rzeczywistości. – Która to z pięknych pań jest właścicielką? Przyszedłem, jak było umówione – wytłumaczył.

Anka wyraźnie zdezorientowana spojrzała na przystojnego malarza.

– To ja jestem właścicielką, ale... „umówione”?

Znowu mrugnął.

– Do malowania. Trzy pokoje, kuchnia. Mała łazienka. Zgadza się?

– Niby tak, ale ja nikogo nie umawiałam do malowania. Może to poprzednia właścicielka, pani Lewandowska. Zapomniała odmówić?

– Jak to „zapomniała odmówić”? – Spojrzał na nią z wyrzutem, a potem dodał łagodnie, jakby przekonywał dziecko do odrobienia lekcji: – Wie pani, jak ciężko jest teraz o malarza? Wszyscy na zachód wyjechali. Pół roku się teraz czeka na fachowca. – Tym razem rzucił jej tak pociągające spojrzenie, że aż zrobiła krok do przodu. – To może pani da się skusić, jeśli poprzednia właścicielka nie zdążyła? Mnie jest wszystko jedno, kto jest właścicielem. Mieszkanie to samo. Poza tym tanio biorę. Najtaniej.

Pokazał rząd pięknych zębów w oszłamiającym uśmiechu. Anka mimowolnie odwzajemniła uśmiech.

– Przykro mi, ale... – zaczęła.

– Ale tu pięknie! – przerwał jej bez ceregieli i sam zaprosił się do środka. Anka od razu wyczuła w nim bratnią duszę. Zna się na rzeczy. Matylda musiała się odsunąć, bo drabina, którą

trzymał na plecach, o mało nie wybiła jej oka. Nie wpłynęło to pozytywnie na jej opinię o Wiktorze Małaszyńskim, która i tak nie była najlepsza, po tym jak grubiańsko zignorował jej atuty. A malarz kontynuował swoją malarską gadkę: – Dobre światło, odpowiednia przestrzeń... – Oparł drabinę o ścianę i zaczął ostukiwać mur. Potem z grymasem próbował zdrapać tandetną tapetę w różyczki.

Anka patrzyła bezradnie, jak profesjonalnym okiem ogląda ściany, a przy okazji dekolt Matyldy, która wreszcie mogła odetchnąć z ulgą. – Naprawdę, niewiele trzeba, żeby zrobić z tego królestwo, pani...

– Anka Romantowska – przedstawiła się machinalnie i podała mu rękę. – To moje pierwsze mieszkanie – nie wytrzymała i podskoczyła. A potem zacisnęła zęby. „Żenujące”.

Malarz szybko uściśnął wyciągniętą dłoń.

– Gratulacje! Mieszkanie ma ogromny potencjał, tylko trzeba wyremontować. Pani Aniu, jak dla pani, to mam promocję... Ja pani trzydzieści procent zniżki proponuję na usługi.

– Nie – uśmiechnęła się. – Mnie na taką profesjonalną pomoc nie stać.

Ja...

Westchnął ciężko i mrugnął okiem.

– Ależ z pani jest twardy zawodnik. To czterdzieści procent.

– Ale wie pan...

– Wiktor jestem!

– Panie Wiktorze, ja...

– Nie! – zakończył nagle dyskusję i przygwoździł ją wzrokiem do podłogi. Anka, nie wiedząc czemu, poczuła się dokładnie tak, jak przyszpilony przez Matyldę pajak. Tylko serce biło jej żwawiej niż zwykle. – Ja pani, pani Aniu, wyładzę ściany jak marzenie za pół ceny i do tego dodam *gratis*, powtarzam *gratis*, taką specjalną powłokę, dzięki której nie będzie pani musiała malować przez następne dziesięć lat!

„Nie” utknęło jej w gardle i zaniemówiła.

Malarz, widząc, jakie wrażenie zrobiła na niej oferta, uśmiechnął się zadowolony. Potem rzucił jej kolejne elektryzujące spojrzenie. I znowu się uśmiechnął.

– Pani przecież wie, że to prawdziwa okazja... Zresztą, co mi tam.

Wszystko pani zrobię, cały remont, bez partactwa i bez żadnych ukrytych kosztów. Nawet kafelki położę. Jak mógłbym panią przekonać?

Przekonać. W jaki sposób mógłby przekonać ją taki przystojny mężczyzna? Zaczęła się zastanawiać.

Kiedy już miała się zgodzić, przypomniała sobie, że ostatnie pieniądze wydała na zabezpieczenie kredytu. Musiałaby znowu pożyczyć od matki.

Myśl o tym podziałała na nią jak kubeł zimnej wody.

– Ależ pan mnie przekonał, tylko że ja... niestety nie planuję na razie większych remontów, to byłby luksus, na który mnie nie stać. A poza tym – z miłością rozejrzała się po odrapanych ścianach – sama sobie pomaluję...

– Sama? – Malarz rzucił jej tak lekceważące spojrzenie, że momentalnie się spięła.

– A sama – potwierdziła gorliwie. – I świetnie sobie poradzę, dziękuję bardzo. – Jeszcze próbowała być uprzejma. Tylko i wyłącznie dlatego, że malarz był niezwykle pociągający, choć na Matyldzie nie robił już większego wrażenia. Po tym jak potraktował ją drabiną.

Mężczyzna zacisnął usta nagle obrażony.

– W dzisiejszych czasach to się kobietom w głowach poprzewracało – wyrwało mu się nieopatrznie. – Wydaje wam się, że wszystko same potraficie!

Czar prysnął. Anka otworzyła szeroko oczy, ale nie zdążyła skomentować jego słów.

– No wie pan! – przysła jej z pomocą wierna przyjaciółka. – Bo właśnie że potrafimy! A jak już nie dajemy sobie rady, to znajdujemy jakiegoś frajera, który nam to robi za darmo. Więc te niżki to może pan sobie samemu zaoferować, panie Małaszyński.

Mężczyzna łypnął na nią wściekle, a potem wbił ostre jak nóż spojrzenie w Ankę. Poczowała, jak to spojrzenie rani jej i tak już skolatane serce.

– Do widzenia – powiedziała niepewnie, a Matylda uczynnie otworzyła drzwi.

Malarz chwycił drabinę.

– Pożaluje pani – powiedział tylko i wyszedł, pozostawiając po sobie złowrogą ciszę.

ROZDZIAŁ 5

– Wiesz... – zaczęła opowieść Danuta, tęsknie wpatrując się w kosz ze zgaszonym przedwcześnie papierosem. – Wszystko zaczęło się jakieś trzy lata temu. Moja córka nie miała szczęścia do facetów, a gdy się ma trzydzieści lat z hakiem i wciąż nie ma się szczęścia do facetów, to już nie rokuje optymistycznie. Do tego wszystkiego przeszłam na emeryturę, menopauza mi dokuczała i starałam się rzucić palenie. I czułam się taka sfrustrowana, bezsilna i stara. Nadzieja na tak długo wyczekiwanego wnuka znowu się oddaliła, a lekarz przykleił mi hormonalny plasterk i poradził, żebym się czymś zajęła. To się zajęłam... robieniem wnuków. – Mrugnęła do Beaty, a kiedy na chwilę przerwała, pałeczkę przejęła Jadwiga.

– Właśnie. I przysła do mnie wtedy taka sfrustrowana i na plasterku...

– A ty byłaś na bani – mruknęła Danuta.

– A byłam! – Jadwiga nie miała żadnych problemów z przyznaniem się do własnych słabości. – Po drugim rozwodzie i przejściu na emeryturę miałam depresję. Marcinek wszedł w trudny wiek, a Patrycję znowu narzeczony zostawił. Zresztą Krystyna też nie była w najlepszej formie... – zamilkła na chwilę, a Krystyna pociągnęła nosem i powiedziała cicho:

– Zmarł mi mąż...

Beata ogarnięta nagłym współczuciem spojrzała na nią, a Jadwiga, chcąc zapewne nieco rozładować atmosferę, powiedziała:

– Co będziemy udawać, wiek emerytalnomenopauzalny do łatwych nie należy, ale wszystkich w końcu dopadnie. Człowiek bardziej zdąży się życiem zmęczyć niż nacieszyć, a tu cóż... po życiu. A do tego nagle wpadasz w sieć zmarszczek. Jak ta mucha. I nic już ci nie pomoże. Owszem, możesz próbować obrony przez wyparcie... niektóre kobiety nawet nie rozmawiają na temat przekwitania... prawda, Jolka? – zawołała głośniejszym głosem w stronę recepcji.

Jolka pomachała, nie odrywając wzroku od monitora.

– Przecież pani wie, że ja nawet nie znam takiego ordynarnego wyrazu.

I nie mam zamiaru poszerzać mojego słownictwa.

– Właśnie – roześmiała się Jadwiga i nie zwracając więcej uwagi na sekretarkę, kontynuowała opowieść. – Spotkałyśmy Krystynę na jakimś weselu i ze zgrozą zauważyłyśmy, że nasze córki chowają się po kątach, żeby nie łąpać z dwudziestkami welonu. I pojawiło się pytanie, jak to jest, że niektórzy ludzie nawet jeśli bardzo chcą, to nie potrafią znaleźć tej jedynej osoby.

– Właśnie. Wtedy wmieszała się Krystyna ze swoją psychologiczną gadką, że niektórzy ludzie po prostu nie potrafią stworzyć związku... No to się założyłyśmy! I postanowiłyśmy wyzwąć los – dokończyła Danuta.

Wszystkie wybuchnęły śmiechem. Uwagę Beaty zwróciła autentyczna radość malująca

się na twarzach otaczających ją pań.

– I zajęłyśmy się jej synem. Minęło pół roku i Krzys się zaręczył! – zawołała Jadwiga.

Krystyna pokiwała głową.

– Przecież przyznałam wam rację, odczepicie się kiedyś!?

– Potem znalazłyśmy królewiczów dla Jagódki, Poli i Patrycji – Jadwiga mówiła dalej, ignorując zupełnie uwagę Krystyny. – Najtrudniej było z Sylwią, córką Jolki, bo te starsze mają już swoje przyzwyczajenia. Ale z nią też się udało. Chociaż, kiedy już zamknęłyśmy jej sprawę, myślałam, że to koniec działalności. To było wykańczające. Ale Jolka była taka wdzięczna... w dodatku przyprowadziła koleżankę, która miała do wyswatania bliźniaczki. I pomyślałyśmy sobie: „To dopiero jest wyzwanie”...

– A potem okazało się, że takich matek jak my jest więcej – weszła jej w słowo Danuta. – Matek przerażonych perspektywą staropanieństwa córek, samotności synów i braku wnuków, matek autentycznie pragnących szczęścia swoich dzieci. A w dodatku duża część z nich jest w stanie dobrze zapłacić, żeby spełnić marzenia dziecka o drugiej połówce i własne o wnuku. I cóż... po latach pracy dla kogoś okazało się, że mamy głowy do interesów i otworzyłyśmy firmę konsultingową. – W jej głosie rozbrzmiewała prawdziwa duma. – Jak widzisz, firma dopiero się rozkręca. Ale muszę przyznać, że wygląda to coraz lepiej.

Beata odruchowo rozejrzała się jeszcze raz.

Sekretarka, kanapa z prawdziwej skóry, a nie z jakiegoś skaju, dobre miejsce na biuro, drogi sprzęt... „Interes kwitnie – pomyślała. – Zaraz...”

Interes!?”

– Interes!? Ale to szaleństwo! – przerwała sama sobie własne przemyślenia i spojrzała na kobiety, które, przyzwyczajone widać do takiego niedowierzania, uśmiechnęły się z pobłażliwością.

– To nie szaleństwo, tylko bardzo oryginalny koncept. Wytwór wyższej inteligencji – powiedziała Krystyna.

– To dlaczego ja nigdy przedtem nie słyszałam o czymś podobnym?

Jadwiga wzruszyła ramionami.

– Bo my z oczywistych względów się nie reklamujemy. Można nas znaleźć tylko przez znajomych, a potem trzeba podpisać dokumenty o nieujawnianiu danych. Chodzi o dzieci, żeby się nigdy nie dowiedziały. Nie archiwizujemy danych, to zbyt niebezpieczne. Nasze biuro znajduje się w ogólnodostępnym miejscu, gdzie łatwo można się „zgubić”. Myślisz, że dlaczego tyle kobiet przyprowadza tu swoje dorosłe dzieci i urywa się na chwilę, żeby „znaleźć buty”? Masz jeszcze jakieś wątpliwości?

– A jak coś pójdzie nie tak? Bierzecie odpowiedzialność za pomyłki?

Płacicie koszty rozwodowe?

– To spółka niejawna, z o.o. – wyjaśniła cierpliwie Danuta.

– Ale, Danko, znam cię tyle lat. Dlaczego nigdy wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

– Bo nie było takiej potrzeby. A kobiety, które nie czują potrzeby, nie widzą sensu, by działać, określają to mianem wtrącania się w nie swoje sprawy, zamachu na samodzielność dzieci i tym podobne banialuki. – Danuta znowu wyciągnęła papierosa. – Wiesz, Beatko, przyjaźnimy się już ze dwadzieścia lat...

– Przyjaźnimy się!?! – wykrzyknęła Beata nieco zbyt emocjonalnie. – Kobieto, ja cię nie znam!

– I znowu histeria – westchnęła Danuta. – Nie wiem, co to się z tobą porobiło przez te lata. Ale nie ma czasu na bzdury. Opowiadaj.

Beata znieruchomiała.

– Niby... o czym?

– O tym facecie Ani. Jak on się nazywa?

Beata spojrzała na Danutę spod oka zdecydowana, że nic im nie powie.

Ale długo w milczeniu nie wytrzymała.

– Fryderyk – mruknęła, nie będąc jeszcze zupełnie przekonana, czy powinna prowadzić jakąkolwiek konwersację z tą bandą wariatek.

– Naprawdę? – parsknęła Jadwiga, rozsiadając się wygodnie na swoim krześle. – Jedyne Fryderyk, jaki mi przychodzi do głowy, to Chopin.

– Cóż... – odpowiedziała Beata z cierpkim uśmiechem. – Ten nazywa się Szopa.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy w końcu przyjaciółki opuściły nowe królestwo Anki, szczęśliwie nienagabywane przez panią Gienię, zrobiło się późno. Anka miała szczerzy zamiar pojechać do pracy tramwajem, pomimo nalegań Matyldy na spacer. Przyjaciółka nie uznawała transportu publicznego. Miała uraz. Zbyt wielu ludzi patrzyło na nią dziwnie, co powodowało u niej problemy o podłożu psychologicznym, łącznie z utratą pewności siebie i nadmierną potrzebą akceptacji. Z tego powodu, kiedy tylko pogoda była znośna, jeździła rowerem. Tak jak i teraz. Ale nie zdążyła nawet obiecać Ance, że będzie jechać bardzo powoli i ta na pewno za nią nadąży, bo po drugiej stronie ulicy zauważyła znajomy samochód.

– A ten co tu robi? – mruknęła zdumiona, a potem poprosiła Ankę, by poczekała, i podeszła do auta.

Kiedy wróciła, nie miała zadowolonej miny.

– Błagam cię, weź mój rower. Spotkamy się w szkole – powiedziała grobowym głosem. – Jasiek postanowił jeszcze raz mnie przekonać, że jego rodzina nie ma nic przeciwko naszemu związkowi.

– Ale skąd miał mój nowy adres? – Zdumiona Anka wychyliła się zza Matyldy i pomachała ręką w kierunku samochodu. Mężczyzna w aucie nieznacznie skinął głową.

– Jechał za mną, wyobrażasz sobie? Nawet go nie widziałam! Bo wiesz – odwróciła się na moment – Jasiek ma problemy z komunikacją. Czasami chce ze mną porozmawiać, ale potrzebuje czasu, żeby się otworzyć i zacząć rozmowę. Wtedy uważnie mnie obserwuje. Dopiero kiedy jest gotowy, wyskakuje, zwykle w najmniej oczekiwanym momencie, i zaczyna mówić.

Pracuję nad nim od jakiegoś czasu. Zaczynamy dochodzić do sedna sprawy...

– Naprawdę?

– Tak – westchnęła Matylda. – Tylko kiedy już prawie dochodzimy do tego sedna, tak się podnieca, że kończymy sesję w łóżku. Nazywam to sesjami dochodzącymi.

Obie wpatrzyły się w siedzącego za kierownicą mercedesa mężczyznę.

– Cóż, lepsze sesje dochodzące niż żadne – powiedziała bez przekonania Anka. Jasiek zawsze wydawał się jej dziwny. Może dlatego, że uważała go, podobnie jak większą część przedstawicieli płci męskiej, za duże dziecko, o które trzeba będzie się nieustannie troszczyć, a ono i tak cię wykorzysta, a potem zostawi. Jak jej eks numer jeden i eks numer dwa.

– Właśnie. To dzięki. Spotkamy się w szkole.

Anka pokiwała głową, wzięła rower i patrząc jak mercedes znika za zakrętem, postukała się w czoło. Jeśli Matylda chce Jaśka, niech go bierze.

Ona sama nie uznaje substytutów. A tych prawdziwych facetów przecież już nie uświadczysz. Ci wszyscy jej księgowi, nauczyciele i inni, których w ciągu piętnastu lat

poszukiwań zdołała sprawdzić, nie byli nawet w połowie tak ekscytujący, jak można by oczekiwać po facetach. Więc zrezygnowała ze swojego snu o bohaterze i zainwestowała w mieszkanie.

Na myśl o własnych czterech kątach podskoczyła i z miłością spojrzała w górę na swoje okna. Za szybą sąsiedniego mieszkania zauważyła panią Gienię, której wszechwidzące oko patrzyło na nią zza firanki. „Boże, jak się jej tak nie nudzi. Niektórzy najwyraźniej nie mają co robić, a jedyne co im pozostaje, to szpiegowanie innych”, pomyślała. Miała nadzieję, że ona znajdzie sobie lepszą rozrywkę na starość.

Niebo pociemniało gwałtownie, nie wróząc nic dobrego. Anka zapięła kurtkę, wsiadła na rower i zaczęła pedałowac. Zastanawiając się nad kolorem ścian swojego nowego salonu, (w końcu między kremowym a waniliowym jest zasadnicza różnica), nie zauważyła, że tuż za nią, bardzo powoli, jedzie jakiś duży samochód. Dosłownie tuż za nią. Była już prawie przed szkołą, kiedy obejrzała się. I wtedy zauważyła białą furgonetkę z drabiną na dachu. W siedzącym za kierownicą mężczyźnie rozpoznała Wiktora Małaszyńskiego, malarza pokojowego, którego... nie zatrudniła. Przełknęła ślinę. Jechał tuż za nią i mogłaby przysiąc, że przygląda się jej z drapieżnym uśmiechem.

„Pewnie chce się zemścić! Pewnie chce mnie przejechać!” Serce podeszło jej do gardła, co zasadniczo wpłynęło na zanik oddechu.

Malarz, widząc, że został rozpoznany, podjechał jeszcze bliżej. Jechał teraz równolegle z nią. Spojrzała znowu na jego upiorny uśmiech i instynktownie zaczęła pedałowac jeszcze szybciej. Niestety, choć owo pedałowanie wytwarzało energię zdolną do uniesienia w powietrze i jej, i roweru, nie odfrunęła. A w dodatku z tego wszystkiego zawadziła nagle o krawężnik, poczuła, jak płaczą się jej nogi, i bardzo widowiskowo runęła na jezdnię. Chciała się zerwać i uciec, ale rower blokował jej ruchy.

Furgonetka zatrzymała się tuż obok. Usłyszała trzask drzwi. Zmartwiała. Na jakąś sekundę musiało stanąć jej serce, bo z powodu niedotlenienia zaczęło jej się robić słabo. A potem zza samochodu wyłoniła się sylwetka malarza. Zbliżał się do niej...

– Aniu! – usłyszała nagle jakiś krzyk z oddali.

Z trudem odwróciła głowę i zobaczyła biegnącego Fryderyka.

Spojrzała w kierunku furgonetki.

Drzwi auta zatrzasnęły się już jednak, a malarz, salutując przez szybę, dał najwyraźniej do zrozumienia, że tym razem jej się upiekło. Piekło.

Samochód z piskiem opon włączył się do ruchu i już po chwili zniknął z pola widzenia. Pojawił się za to Fryderyk.

– Aniu, co się stało!? – Trzęsącymi się rękoma ściągał z niej rower, a jego blada twarz wskazywała na to, że przeżył szok. Tuż za nim stała podekscytowana wydarzeniem gromadka uczniów. W końcu dzieje się coś ciekawego. Nauczycielka od nauczania początkowego miała wypadek. Hura!

Anka podniosła się z wysiłkiem i otrzepała spodnie, podczas gdy Fryderyk przyglądał się jej uważnie, wypatrując krwi. Tak samo dzieciaki. Różnica polegała na tym, że kiedy krew się jednak nie pokazała, na twarzy Fryderyka można było zobaczyć ulgę, na obliczach uczniów zaś wyraźne rozczarowanie. Potem Fryderyk przegonił dzieciaki, poprawił szalik i podał Ance rower.

– Wszystko w porządku? – zapytał raz jeszcze, lustrując ją uważnie.

Bał się krwi. Bał się jeszcze wielu innych rzeczy, tysięcy rzeczy. I dlatego nie miała zamiaru powiedzieć mu o mściwym malarzu. Żeby się nie nabawił fobii społecznej.

– Tak – mruknęła. W spodniach na kolanie zauważyła dziurę, a całe ręce miała umazane smarem i błotem. – Jakaś furgonetka jechała za blisko i straciłam równowagę.

Fryderyk pokiwał głową z dezaprobatą i podał jej chusteczkę.

– Ci szaleni kierowcy! Jeżdżą, jak chcą!

– Właśnie – powiedziała Anka, w zamyśleniu wycierając ręce.

Zaczęła zastanawiać się nad dziwnym zdarzeniem. Jak w niektórych ludziach proste rzeczy wywołują agresję. A może jej się tylko wydawało?

Przecież to niemożliwe, żeby malarz chciał ją rozjechać tylko dlatego, że go nie wynajęła do remontu. Może tak niefortunnie wyszło? Może chciał z nią tylko porozmawiać? Przekonać? To musiał być przypadek. W końcu to on rządzi światem.

Kiedy doszli do szkoły, postanowiła nie zastanawiać się nad tym więcej.

Przypięła rower w miejscu, gdzie zwykle zostawiała go Matylda, i dziękując Fryderykowi za przytrzymanie drzwi, weszła do budynku.

Okazało się, że jest już po dzwonku. Dobre pięćdziesiąt sekund. Jak zwykle w takich przypadkach wpadli na dyrektora Kowalskiego – który powinien raczej nazywać się Cerber i pracować jako dozorca. W więzieniu.

Anka podejrzewała, że w poprzednim wcieleniu był krwawym dyktatorem.

– No, ja przepraszam państwa! – huknął na nich z siłą swoich stu kilogramów żywej wagi. Aż Anka zamknęła oczy, bo natężenie jego głosu było wyjątkowo wysokie, a częstotliwość wysokich tonów bardzo denerwująca.

– Dzwonek dzwonił pięćdziesiąt dwie sekundy temu. – Dyrektor spojrział na Ankę. – Oczywiście mogłem się tego spodziewać po pani, ale pan, panie Fryderyku? Pani Romantowska, a ta gazetka, którą pani przygotowała?

Doprawdy... żałosna. Pani powinna popracować nad swoją kreatywnością.

Ta szkoła ma być wzorem dla innych i tylko najlepsi nauczyciele mogą tu pracować, rozumie pani? Ci, którzy nie potrafią się dopasować, nie dostaną drugiej szansy! Ja wiem, że dla państwa postawienie wysoko poprzeczki to nowość, ale ja mam taką ambicję, żeby szkoła znalazła się na szczycie tabeli. Pracuję tu dopiero od kilku miesięcy, ale jestem pewien, że naszym uczniom już podniósł się poziom oleju w głowach, nieprawdaż?

Fryderyk pokiwał gorliwie głową.

– Ale gazetka... co jest z nią nie tak? – zapytała zdumiona Anka, zapomniawszy, że wedle nowych reguł panujących w szkole dyrektora się nie pyta. Odpowiada się co najwyżej na jego pytania.

– Co mi tu pani będzie dyskutować! – huknął na nią. – Ja tu jestem szefem!

„Czytaj: Bogiem. Teraz powinny zagrać trąby, a szkolny chór wyśpiewać *Alleluja*”, pomyślała Anka, a dyrektor spojrział na nią tak zdumiony, że zapomniał się oburzyć.

– Co pani powiedziała!?

Anka zmartwiała.

– Czy ja coś powiedziałam? – Spojrzała z przerażeniem na Fryderyka.

„Czyżbym powiedziała to na głos?”

– Ania chciała powiedzieć, że nasza orkiestra powinna zagrać na następnej akademii. – Fryderyk uśmiechnął się szerzej niż zwykle. – Uczniowie są bardzo utalentowani.

– To prawda – mruknął dyrektor, zabijając Ankę wzrokiem. Potem usatysfakcjonowany nieco jej pobladłą twarzą, przeniósł wyładowane już spojrzenie na Fryderyka i dodał: – Ale to dlatego, że jest pan takim świetnym nauczycielem, panie Szopa. Rodzicom naszych uczniów zależy na tak doskonałych pedagogach jak pan. To jeden z powodów, dla których posyłają dzieci właśnie do naszej placówki i płacą nam nieprzyzwoite pieniądze – zaśmiał się, a potem zrobił grymas, jakby ostrzył swoje jadowe zęby. – Niestety, nie wszyscy nauczyciele mają takie kwalifikacje... ale będziemy to na bieżąco weryfikować...

– Właśnie, panie dyrektorze, ja chciałem jeszcze zapytać o dodatkowe godziny na orkiestrę.

– Dla pana wszystko, ale niestety nie w tym roku. Dodatkowe godziny na zajęcia muzyczne już przyznałem.

– Ale komu!?! – wykrzyknął zdumiony Fryderyk.

– Nauczycielce chemii.

– Chemii!?!

Dyrektor odchrząknął.

– A co w tym dziwnego? Ma bardzo fajny głos. Zwłaszcza jak jest zdenerwowana – dodał ze złośliwym uśmieszkiem, a potem jego wzrok znowu padł na Ankę. Zlustrował ją. Zauważył dziurę na kolanie i pobrudzone smarem ręce.

– A pani, pani Romantowska, powinna popracować nie tylko nad punktualnością, ale i nad swoim wizerunkiem. Jak pani wygląda!?! Prezencja, proszę pani, to podstawa w naszym zawodzie, kwestia szacunku, ale pani jeszcze wiele musi się nauczyć. Dzieci mają brać z nas przykład, jesteśmy dla nich wzorem do naśladowania!

– Ania miała wypadek – wtrącił szybko Fryderyk, poprawiając swój artystycznie zawiązany szalik. – O mało jej jakiś wariat ciężarówką nie rozjechał!

Dyrektor zatrzymał się. Popatrzył na Ankę spojrzeniem pełnym zadumy.

– A niech mnie! – powiedział w końcu. – Czego to ludzie nie zrobią, żeby tylko usprawiedliwić zwykłe spóźnienie.

ROZDZIAŁ 7

– I tak od dwóch lat są razem, ale osobno – głos Beaty załamał się. – A ja wiem, że z tego Fryderyka to nic nie będzie. A już na pewno nie ojciec moich wnucząt.

Krystyna założyła okulary.

– Dlaczego? – zapytała i spojrzała przelotnie na Danutę, która spokojnie paliła papierosa, zatopiona w dymie i własnych myślach. Znała historię Anki i historię Beaty. Dlatego właśnie przyprowadziła tu swoją przyjaciółkę. Chciała jej pokazać, że przeznaczeniem da się manipulować. Na szczęście.

Beata nieco się rozluźniła, zapewne po koniaczku, który dla klientek zawsze stał w szafce koło kanapy.

– Nie pytaj mnie, to taki szósty zmysł. Matki tak mają. Boże, ona mi na pewno czegoś nie mówi! Dla mnie ma tylko same banały. Jak ten, że nie chce łączyć się w stałe związki.

– Każda tak mówi, dopóki nie zjawi się ten jedyny, na widok którego miękną im kolana. Odpowiedni mężczyzna wszystko zmienia, kochana – roześmiała się Jadwiga. Siedziała na krześle, opierając nogi na biurku, i rzucała do kosza starymi fakturami zwiniętymi w kulki. Najwidoczniej była z tych, dla których fakturowanie może być prawdziwą rozrywką. – Z facetami sprawa jest analogiczna, rzecz jasna. Każdy to zimny singiel profesjonalista zaliczający panienki dla zabawy. Ale kiedy pojawi się ta jedyna, z uśmiechem na ustach idzie pod pantofel i jeszcze tyłek podstawia, żeby żonka trafiła tym kapciem tam, gdzie trzeba...

– Dokładnie – przerwała jej Krystyna. – Chodzi o to, że dziewczyny w sytuacji Ani są święcie przekonane, że jeszcze nie chcą się wiązać i odkładają to na później. A naszym zadaniem jest właśnie dać im to „później”.

– Tylko trochę wcześniej – mrugnęła okiem Jadwiga.

– Nie przejmuj się, my sobie wszystko sprawdzimy – powiedziała Krystyna łagodnym

tonem terapeuty i poprawiła okulary. – Dowiemy się

wszystkiego, co trzeba, na temat Fryderyka i spróbujemy znaleźć dla niego alternatywę. Zazwyczaj kiedy faceci czują konkurencję, przestają bać się deklaracji. A może Ania wybierze właśnie naszą propozycję?

– Ale ja absolutnie nie chcę za nią decydować... – zaczęła wycofywać się Beata.

Danuta uznała, że czas wtrącić się do rozmowy.

– My za nikogo decyzji nie podejmujemy. My tylko dajemy wybór i okazje. Najlepsza swatka to zbieg okoliczności, moja droga, wiarygodny i romantyczny – powiedziała z przekonaniem i zgasiła papierosa. – To proste: los zsyła ci właściwego mężczyznę, zakochujesz się... Gdybyś wiedziała, że tego faceta podstawiła twoja matka, od razu myślałabyś, że to niedojda, maminsynek. Na tym polega cały problem. Na niedocenianiu przez młodych doświadczenia życiowego. Na ignorowaniu matczynego instynktu. A my w końcu jesteśmy weterankami, znamy życie od podszewki. – Roześmiała się. – Sprawdzamy zainteresowania, pasje, historię byłych związków i rodziną, nawet horoskopy. Wszystko. Oczywiście, czasami się nie udaje, ale zdziwiłabyś się, jak często ludzie, których ze sobą stykamy, zaczynają doceniać fakt, że obok jest ktoś podobny. Zaczynają dostrzegać sens... A potem nazywają to przeznaczeniem.

Krystyna poprawiła okulary i usiadła przed komputerem.

– Przejdźmy zatem do konkretów. Opowiedz nam coś o Ani. Jaka jest?

Co lubi? Hobby, faceci, fantazje. Wszystko, co tylko pomoże nam znaleźć dla niej królewicza z bajki... Zrobię profil psychologiczny.

Beata otworzyła usta, chcąc wyrzucić z siebie wszystkie nagromadzone przez lata informacje, ale nagle uświadomiła sobie, że właściwie to ona niewiele wie. Łyknęła zatem jeszcze koniaczku i uśmiechnęła się.

– Co potrzebujecie wiedzieć? – zapytała dyplomatycznie.

Początek był prosty. Najpierw opisała dokładnie Anię. Oczy szare, włosy blond, lat trzydzieści trzy.

Potem było już trudniej.

– Usposobienie?

– Łagodna, lubi dzieci, bardzo zorganizowana. Nieśmiała.

– Znaki szczególne? Jakies tatuaże, piercing i takie tam. Niektóre matki nie lubią tego typu rzeczy, a to one muszą zaaprobować jej profil.

– No wiesz! Oczywiście że nie ma!

– Jakies fantazje? Mówiła, jacy faceci ją pociągają?

Beata spojrzała zdumiona na Krystynę.

– Jak to jacy?

– Blondyni? Szatyni? Łysi?

– Łysi? Nie wiem... Fryderyk jest blondynem – przypomniała sobie z zadowoleniem. –

Na pewno lubi blondynów. A poza tym normalni chłopcy jej się podobają. Mili, przyzwoici, przystojni, wykształceni... – rozmarzyła się. – Spotykała się z dwoma księgowymi, lubi normalne ustabilizowane życie.

– Taaak – powiedziała nieprzekonana Krystyna i spojrzała na Beatę spod oka. – Jakies nietypowe hobby?

Beata zagryzła wargi. Jak to jest, że deklarujesz, że znasz własne dziecko najlepiej na świecie, a potem okazuje się, że niewiele o nim wiesz?

– Hobby? Dzieci. Lubi... filmy obyczajowe i dramaty psychologiczne.

Ambitne książki... Aha! i muzykę klasyczną. Jak Fryderyk – dodała. – Nic takiego

nadzwyczajnego.

– Ulubiona kuchnia? Drink? – wypytywała Krystyna.

– Kuchnia polska? Herbata?

Zapadła cisza. Beata popatrzyła na twarze słuchających jej kobiet. Nie wyglądało to dobrze, – Ty naprawdę myślisz, że ona jest taka nudna? – przeszła do sedna sprawy Jadwiga.

Krystyna rozparła się na krześle i rzuciła Beacie świdrujące spojrzenie znad okularów.

– Beatko, my potrzebujemy czegoś, czego będziemy mogły użyć. Czegoś interesującego. Czegoś, co ją wyróżni...

Beata zagryzła wargi, a że z tych interesujących, pikantnych rzeczy na temat Anki przychodził jej do głowy jedynie pieprzyk na prawym pośladku córki, postanowiła zmienić temat.

– I tak nic z tego nie wyjdzie – zadeklarowała gniewnie. Była wściekła na siebie. Wystarczyło kilka minut i okazało się, że cała jej wiedza na temat własnego dziecka jest bardzo powierzchowna. Nie wystarczy dzwonić kilka razy dziennie. Nie wystarczy obserwować i wypytywać o wszystko.

Nie wystarczy mieszkać w tym samym domu. – Ania i tak nie ma teraz głowy do amorów! – oświadczyła z mocą. Tego jednego przynajmniej była pewna.

– A to czemu? – zainteresowały się nagle wszystkie kobiety.

– Nowy dyrektor ją prześladowuje – powiedziała z miną matki cierpiénicy. – To taki stary cap, który robi czystki. Ania jest strasznie zestresowana, bo ten Kowalski szuka tylko pretekstu, żeby ją zwolnić. A ona kredyt wzięła, chociaż ją ostrzegałam...

– Hmm – przerwała jej zaszępiła Danuta. – To nie ułatwi nam sprawy. Jak kobieta nie ma nastroju, to nawet królewicza z bajki zignoruje.

– Ja się tym zajmę – powiedziała po chwili ciszy Jadwiga. – Takie wyzwania to ja lubię najbardziej. – A widząc podejrzliwy wzrok Beaty, dodała gwoli wytłumaczenia: – Wprowadzanie klientki w odpowiedni nastrój jest częścią naszej pracy.

– Niby... Jak chcesz się tym zająć? – Beata była jedyną, która miała pytania. Najwidoczniej reszta towarzystwa dobrze zdawała sobie sprawę ze środków, jakie wykorzystywała Jadwiga w swoich akcjach.

Danuta i Krystyna dyplomatycznie wstały i zaczęły zakładać płaszcze, a Jadwiga spozjrzała na zaniepokojoną Beatę i odparła ze stoickim spokojem:

– Normalnie. Jeśli chce się coś na kogoś znaleźć, to się zawsze znajdzie. Trzeba tylko dobrze poszukać... – Nie było jej dane skończyć, bo Danuta, zaalarmowana miną Beaty, powiedziała stanowczo:

– Nie czas na pogawędki. Jedziemy. Trzeba się trochę rozejrzeć.

ROZDZIAŁ 8

Antoś Majewski był najbystrzejszym dzieckiem w klasie. I dlatego właśnie Anka darzyła go specjalnymi względami. Choć w dni takie jak ten sama się sobie dziwiła.

– Pani źle wygląda! – wypalił, gdy tylko usiadła przy biurku. – Ale ma pani potargane włosy!

– I potargane spodnie – zachichotała Majka siedząca w pierwszej ławce.

– Właśnie – chrząknęła Anka, starając się schować za biurkiem. – To wszystko dlatego, że się przeprowadzam i... – Zamilkła na krótką chwilę przytłoczona wspomnieniem groźnego uśmiechu boskiego malarza, który nie wiedzieć czemu stał się synonimem słowa

„przeprowadzka”. Zamilkła dosłownie na sekundę, ale to wystarczyło.

– A czego mama nie chciała pani kupić? – zapytał z poważną miną Tadzio. – Ja postanowiłem się wyprowadzić do babci, kiedy moja nie chciała mi kupić konsoli.

– To tak jak moja mama – krzyknął rozgorączkowany Tomek. – I powiedziała mi, że to głupota. Że ona w moim wieku cieszyła się, jak mogła Misia Uszatka na dobranoc obejrzeć. I jakiegoś Kosa czy Klossa. To ja jej wtedy powiedziałem, że to dopiero głupota oglądać telewizor, jak w nim tylko stare seriale puszczają.

– I co? – dopytywał się Antoś.

Anka zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie została nauczycielką.

– Mama się strasznie wściekła. No to się wyprowadziłem.

– Jak to się wyprowadziłeś? Dokąd? – wyrwało się Ance.

– No... do sąsiada na dół. – Tomaszek wzruszył ramionami.

– Naprawdę? Ale... co na to sąsiad? – zapytała, choć czuła, że nie powinna.

– Nic. Musiał mnie przyjąć, bo to mój tato. Mieszka tam z nową żoną.

Ale, wie pani, on mnie rozumie. W końcu sam też się wyprowadził.

Na szczęście weszła świetlicowa, mówiąc, że pani Romantowska jest pilnie wzywana do telefonu. Anka, wdzięczna za chwilę spokoju, szybko znalazła się za drzwiami.

Kiedy szła korytarzem, zastanawiając się, kto może dzwonić do niej w czasie lekcji, poczuła nagle szarpnięcie. Obejrzała się przestraszona i zobaczyła Matyldę, która z miną komandosa w akcji, sprawdzwszy, czy nie ma w pobliżu dyrektora, wciągnęła ją do swojego gabinetu, a potem bez słowa wskazała na siedzącego na kozetce Fryderyka. Dmuchał w papierową torbę, a jego jedwabny szalik unosił się i opadał w nierównym rytmie ścigających się oddechów.

– Gdy przechodziłam obok sali muzycznej, od razu wyczułam, że coś jest nie tak. Grał nokturny Chopina – wyszeptała Matylda Ance na ucho. – Wyciągnęłam go z sali, przyprowadziłam tutaj i kazałam oddychać.

I Fryderyk oddychał. Wyjątkowo żałośnie. Jakby musiał zmuszać się do tej prostej czynności.

Fryderyk grał utwory swojego genialnego imiennika tylko wtedy, kiedy jego stan emocjonalny był krytyczny, a jego dusza umierała w wielkich boleściach. Anka przypominała sobie jeden z humorów zeszytów szkolnych „Chopin od dawna nie żyje, ale jego muzyka nadal prześladuje genialnych pianistów”. W przypadku Fryderyka było to zgodne z prawdą. I wcale nie śmieszne.

– Co się stało? – zapytała i przykucnęła obok kozetki. Nie chciał na nią spojrzeć. Zmusiła go.

– Moja matka przyjeżdża – wydusił w końcu.

Matka Fryderyka mieszkała w Warszawie, w rodowej kamienicy, w której mieszkało już z pięć pokoleń Szopów. Święcie przekonana o geniuszu swojego syna nie była zadowolona, że jej jedynek, skazany na sukces wirtuoz pianina, nie tylko nie odnosił sukcesów, ale przeniósł się do takiego zaścianka jak Kraków i o zgrozo, uczył muzyki w szkole podstawowej. I to nawet nie muzycznej.

– Nie mogłem spać – przyznał cicho Fryderyk. – Całą noc ćwiczyłem Chopina, bo matka uwielbia słuchać, jak gram. A jak nie ćwiczę, to ona to wie...

– Po co znowu przyjeżdża?

Przez chwilę panowała cisza. Fryderyk wdychał powietrze, dusząc się własnym lękiem, a potem wyszeptał strachliwie:

– Bo się zaręczyłem.

– To... świetnie! – wykrzyknęła Anka, wymieniając jednocześnie z Matyldą zdziwione spojrzenia. – Dlaczego nic nie mówiłeś? Z kim!?

Fryderyk przełknął ślinę.

– Z tobą – przyznał się.

Matylda wybuchnęła śmiechem, a Anka wpatrywała się w struchlałego Fryderyka szeroko otwartymi oczyma.

– Co powiedziałeś?

– Ona... ona chciała mi dziewczynę przywieźć, pewnie taką samą jak ona... despotkę – zaczął się chaotycznie tłumaczyć, przerywając co chwila, by wciągnąć powietrze z torebki. – A ja... wiesz... ja bym tego nie wytrzymał, ja...

Anka wstała z kolan i usiadła obok Fryderyka na kozetce.

– Ale twoja matka nawet mnie nie lubi! – powiedziała zupełnie irracjonalnie, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Anka, nie czepiaj się. – Matylda przełknęła resztki śmiechu i usiadła za biurkiem. – A ty, Fryderyku, powinieneś z matką porozmawiać – dodała, wracając do swojego profesjonalnego tonu.

– Nie! – wykrzyknął Fryderyk i zerwał się z miejsca, gubiąc przy tym papierową torebkę. – To beton! Ona nie rozumie ludzi. Zresztą, nie czarujmy się, ja to nawet człowiekiem dla niej nie jestem. Tylko maszyną do grania. Gdybym urodził się dziewczynką, pewnie nazwałaby mnie Szafa Grająca. Mówię jej, że mnie muzyka klasyczna nie pociąga, że ja chciałbym rewie robić, pracować w showbiznesie, a ona na to, że proszę bardzo, jeśli chcę ją zabić...

Anka westchnęła, a potem obrzuciła Fryderyka ponurym spojrzeniem.

– Dobra – zdecydowała się. – Mogę przez jakiś czas udawać, że się zaręczyliśmy. Zrobię to dla ciebie. Tylko żeby moja matka nie myślała, że z tego dzieci będą. I tak już ma za wielkie oczekiwania, co do naszego „związku”.

– Dziękuję! Kochana! – Na twarzy Fryderyka można było zobaczyć lekką ulgę. – Ja cię będę na rękach nosić...

– Ale – przerwała mu Anka w pół zdania – musisz być świadomy, że jeśli kiedykolwiek moja matka dowie się, że nigdy nie miałaś zamiaru się ze mną ożenić i świadomie marnowałeś mój czas, to... – Popatrzyła na niego ze śmiertelną powagą, a potem uroczyście wyszeptała: – To cię zabije...

Przerażenie, jakie pojawiło się na twarzy Fryderyka, nie wywołało w Ance żadnego poczucia winy. Wręcz przeciwnie. Uśmiechnęła się słodko i dodała tonem właścicielki, która zyskała właśnie nowego niewolnika:

– I odwozisz mnie dzisiaj do domu.

A potem wróciła do klasy, gdzie jak się okazało, czekała na nią niespodzianka.

Na biurku leżał wielki rysunek, który dzieci wykonały specjalnie dla niej. Wpatrując się w krwawą masę, uśmiechnęła się niepewnie. Na pierwszym planie widać było wielkie zęby wyrysowane jeden po drugim (cały komplet), a na dole kartki pokrzywione koło zdobiące szyję potwora. Potworna sztuka. Albo sztuka potwora. Kiedy świetlicowa wyszła, Anka zapytała z zachęcającym uśmiechem:

– Doskonały rysunek, kochani. A co ma przedstawiać?

– Ja, ja pani powiem, bo ułożyłem do rysunku wierszyk! – oświadczył dumnie Antoś. – Nawet się rymuje!

– Naprawdę? – Anka pokiwała głową, chwaląc kreatywność ucznia. – To słuchamy...

– Czy to zjawą? Czy to zwierzę? Nie, to pani na rowerze! – wyrecytował z prawdziwą powagą Antoś. I uklonił się dumny ze swojego poematu.

W końcu był najbystrzejszy w klasie. I dlatego właśnie Anka darzyła go szczególnymi względami.

ROZDZIAŁ 9

Anka, z trudem hamując podekscytowanie, wysiadła z samochodu i podziękowała Fryderykowi za podwiezienie. Ten spojrzał na nią jak mordowana na potrzeby jakiejś wyjątkowo krwawej opery primadonna, a potem wydał z siebie przybijające westchnienie. Można by odnieść wrażenie, że samochód obciążony takim ładunkiem emocjonalnym nie będzie w stanie ruszyć z miejsca. Ruszył jednak. I Fryderyk odjechał w tempie marsza żałobnego skomponowanego przez swego imiennika.

Dziewczyna nie traciła jednak czasu na rozmyślania o „narzeczonym”, bo w oknie zauważyła swoją matkę. Kiedy pomachała do niej, ta, zupełnie nie reagując na powitalny gest córki, zniknęła za firanką. Dopiero wtedy wzrok Anki padł na karawan, który z otwartymi tylnymi drzwiami stał tuż obok bramy. Ogarnięta nagłą paniką popędziła do domu. W przedpokoju wpadła na swojego brata Michała i jego kolegę Arka niosących łożko.

– Jesteś – stęknął Michał. – Już wszystko, co przygotowałaś, zapakowaliśmy. Poczekać na ciebie? – A potem rozglądając się uważnie, szepnął jeszcze: – Ostrzegam, że w domu teraz nie jest za ciekawie.

„Nie jest za ciekawie!?”

– Michał! – krzyknęła, dysząc ciężko i patrząc na czerwonych z wysiłku mężczyzn. – Ale co się stało!? Umarł ktoś!?

Spojrzeli na nią w zdumieniu.

– Odbiło ci? – zapytał Michał.

– Ale karawan...

Chłopcy ryknęli śmiechem. Aż łożko musieli postawić.

– Karawan jest do przeprowadzki! – śmiał się Michał, kładąc się na łożku. Tuż obok położył się jego kolega. – Dostawczy się zepsuł, a takie małe łożko i te kilka pudeł spokojnie się zmieszczą, nie bój kota.

– Ale... skąd ten karawan?

– Mój wujek ma dom pogrzebowy – wytłumaczył Arek. – Tylko drugą flaszkę muszę dostać. Aha, i musimy się pospieszyć, bo za dwie godziny ma klienta – przypomniał sobie, zrywając się na równe nogi.

Anka zagryzła wargi i z poważną miną przytrzymała drzwi. Postanowiła zachować komentarz dla siebie.

– Matka i babcia są na górze i mają kryzys – wystękał jeszcze Michał, przepychając łożko przez drzwi.

– Obie na raz? – zdumiała się Anka. Zazwyczaj każda chciała mieć swoje i tylko swoje pięć minut. Ale z drugiej strony ostatnio trudno było o widownię. – Może korzystają z okazji, bo się ewakuują. – Nie udało jej się ukryć złości. A potem dodała: – Poczekajcie na mnie, pojedę za wami swoim samochodem. Aha, Michał, zabierz jeszcze lampę z mojego pokoju.

Weszła na górę. I wpakowała się w prawdziwą nawałnicę. Za drzwiami swojej sypialni zabarykadowała się babcia, a matka starała się przekonać ją, żeby wyszła. Bez rezultatu. Na schodach, jak gdyby nigdy nic, siedział dziadek i ze stoickim spokojem czytał gazetę. Należał do tych dziarskich staruszków, których idolem jest Hugh Hefner, sędziwy założyciel „Playboya”. Dziadek cenił Hefnera za wdzięk, z jakim ten potrafił cieszyć się życiem, i mawiał, że gdyby on

pod choinkę zamiast preparatów na pamięć dostawał tabletki na potencję, mógłby swój wdzięk w życiu wykorzystywać. A potem zwykle wzdychał, patrzył na babcię i kiwał głową, mówiąc, że w zasadzie to po co mu wdzięk, jak on życia dawno już nie ma.

– Co się stało? – zapytała szeptem Anka. Matka nie zdążyła jednak odpowiedzieć, bo pierwszy odezwał się dziadek.

– Nie przejmuj się – powiedział, nie odrywając wzroku od gazety. – Skleroza atakuje w najmniej spodziewanym momencie. Ale to czasowe.

Twoja matka za bardzo się martwi. Co z kolei martwi twojego ojca. A wiadomo, że mężczyźni mają bardzo słabe serca. I znowu musiał wyjść na papierosa. Poza tym twój ojciec znowu w delegację wyjeżdża, co z kolei drażni twój matkę. A to doprowadza do szaleństwa twoją babcię. Błędne koło – podsumował.

Matka Anki spoglądała na dziadka wzrokiem, któremu nie brakowało niczego z wyjątkiem aprobaty, a potem przeniosła go na swoją córkę. Aprobata również się nie pojawiła. Za to przyszło westchnienie.

– Babcia znowu myśli, że dziadek Franek ma romans – wytłumaczyła Beata. – Ja nie wiem, jak to w ogóle jest możliwe. Zachowuje się normalnie tygodniami, a potem nagle, nie wiadomo dlaczego, coś się jej wyłącza i momentalnie o wszystkim zapomina. Może ty spróbujesz ją przekonać, żeby wyszła? W końcu uparłaś się, żeby zostać nauczycielką, więc teraz wykorzystaj to, czego cię nauczyli – powiedziała.

„Złośliwie i niepotrzebnie”, zauważyła Anka. Przyzwyczajona jednak do tych małych zaczepek, nie zwróciła większej uwagi na słowa matki.

Zapukała do drzwi.

– Babciu – zawołała tym stanowczym i wyćwiczonym głosem, jakim mówiła do krnąbrnych dzieci – proszę natychmiast otworzyć.

Ku jej zdumieniu i wręcz zawodowej satysfakcji drzwi natychmiast się otworzyły i pokazała się w nich dziwnie czerwona twarz babci.

– Aniu, czy ty wiesz, że Franek ma romans? – zawyła, a jej wielkie, zgaszone zazwyczaj oczy błyszczały jak dwa księżycy w pełni. – A twoja matka jak zwykle mnie zbywa! Wiesz... – ściszyła głos – podejrzewam, że ma sklerozę.

– Babciu – zaczęła łagodnym głosem Anka – masz rację, dziadek Franek miał romans, ale to było w pięćdziesiątym szóstym.

– Naprawdę? – zdziwiła się babcia, a potem jej spojrzenie oprzytomniało nieco. – A mnie się wydaje, jakby to było wczoraj. Jak ten czas szybko leci.

– Właśnie, a poza tym przecież dziadek Franek zmarł w siedemdziesiątym piątym, pamiętasz? – wyrwało się jej jeszcze. I zaraz tego pożałowała, bo babcia zapytała wstrząśnięta:

– Co? Franek nie żyje? Boże! Aniu! Franek nie żyje – krzyknęła i drzwi znowu się zatrzasnęły.

Anka przełknęła ślinę i spojrzała na dziadka, ale ten nie wykazał większego zainteresowania.

– Boże, jakie to szczęście, że jestem mężczyzną. Kobietom szybciej odbija na starość – stwierdził, a potem dodał: – Nic dziwnego, że króliczki Hefnera nigdy nie przekraczają pewnego wieku.

Anka poszła do kuchni. Tam sytuacja także daleka była od sielankowej.

Rozpoznała u matki stan, który razem z Michałem nazywali fazą drzemiącego wulkanu. Beata oddychała ciężko, jakby dławiąc się lawą. W końcu jednak zawsze następowała erupcja. Tak było i teraz.

– Jak możesz? Ja ci na to nie pozwolę! – oświadczyła niespodziewanie i niezwykle

dramatycznie, a potem teatralnym gestem zablokowała drzwi.

Wyglądała zupełnie jak rozdzierający szaty Rejtan. Na szczęście zadowolili się jedynie blokadą, rozdzieranie uważając najwyraźniej za lekką przesadę.

Tym bardziej, że miała na sobie wyjściową bluzkę.

– Słucham!?

– Czy ty się wyprowadzasz!?

– Tak. Przecież ci tłumaczyłam – Anka znowu przybrała nauczycielski cierpliwy ton. „Jak do małych dzieci. W szkole, w domu. A potem się dziwić, że człowiek chce mieć trochę spokoju. I mieszkać sam”, pomyślała. – Na razie zabieram tylko łóżko i najpotrzebniejsze rzeczy, a po remoncie zabiorę wszystko.

– Nie! – oświadczyła strasznym głosem Beata. – Ja protestuję!

– Mamo, nie rób scen. Ja mam już trzydzieści lat! – jęknęła Anka.

– Aż tyle? – mruknęła Beata, ale zaraz spojrzała na córkę jak zarzynana kura. Domowa. – Ale, Aniu, ja chcę tylko twojego dobra. Mamy taki duży dom, przecież możesz tu mieszkać, jak długo chcesz.

– Czyli dopóki nie wyjdę za mąż, to chciałaś powiedzieć? – zapytała Anka z przekąsem.

– Nawet dłużej – potwierdziła Beata gorliwie. – A potem możemy tu osobne wejście zrobić. A Fryderyk? Nic nie wspominał o stałym związku?

– Mamo – Anka zakrztusiła się – to związek mój i Fryderyka. Odpowiada nam życie w ten sposób.

Beata westchnęła, a w jej oczach pojawiły się wielkie łzy.

– Ty się wyprowadzasz, twój ojciec znowu wybiera się w delegację, chociaż wrócił dwa dni temu, babcia ma sklerozę, dziadek ogląda nieprzyzwoite gazety, a stąd, wiadomo, tylko krok do wylewu, Michał się żeni. Wszyscy mnie opuszczają... – Pociągnęła nosem. – Stałam się niepotrzebnym balastem, starym rupieciem. Teraz została mi już tylko dębowa trumna.

Ance powoli zaczęło brakować sił.

– Zamiast martwić się o mnie, zajmij się lepiej weselem Michała. To już za miesiąc – zasugerowała, starając się przekierować myśli matki na młodszego brata. Nie udało się.

– Wszystko już przygotowane! Teraz trzeba tylko czekać. Ale... dlaczego nie chcesz najpierw wyjść za mąż?

– Bo jestem niezależną kobietą i wezmę ślub dopiero, gdy przestaniesz mnie męczyć – oświadczyła mocno już poirytowana Anka. – A teraz muszę iść, bo nie wypada, żeby karawan na mnie czekał.

Kiedy była na korytarzu z góry usłyszała jeszcze ciche „pst”. Podniosła głowę. Na podeście stała babcia i wpatrywała się w nią ze skupioną miną.

– Aniu, chciałam cię jeszcze o coś zapytać, bo twoja matka ma sklerozę

– wyszeptała konspiracyjnie. – Jeśli Franek zmarł w siedemdziesiątym piątym, to kim jest mężczyzna, który śpi ze mną w łóżku? – Wskazała na siedzącego na schodach dziadka.

Anka spojrzała na niego, szukając pomocy. Ale on mrugnął do niej tylko znad gazety i wrócił do lektury.

– To dziadek Kazimierz, twój drugi mąż – powiedziała dziewczyna, otwierając już drzwi. Do domu wdarł się zimny podmuch wiatru.

– Jezu... – wyszeptała babcia, patrząc na dziadka z niezdrową ekscytacją. – To ja mam drugiego męża?

Anka nie odpowiedziała. Wyszła i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Potem przystanąła jeszcze, uśmiechnęła się do siebie i świata i łakomie wciągnęła do płuc wolność, która miała obezwładniającą moc porywistego jesiennego wiatru.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy czerwona fiesta Anki i jadący za nią karawan zniknęły za zakrętem, zaparkowany w pobliżu domu samochód włączył światła i powoli podjechał do bramy. Niemal natychmiast drzwi domu otworzyły się i na zewnątrz wyszła Beata. Szybkim krokiem podeszła do samochodu.

– Wyprowadziła się – jęknęła, spoglądając ponad opuszczoną lekko szybą na Danutę, która siedziała za kierownicą. – Moja córeczka się wyprowadziła! Tak po prostu! Po trzydziestu trzech latach wspólnego życia!

Powiedziała, że się wyprowadza i zatrzasnęła za sobą drzwi!

– Wsiadaj, nie dramatyzuj – rzuciła Danuta. – Zachowujesz się, jakby ci się mąż z domu do kochanki wyniósł. Dorosła jest.

– Ale ja zawsze chciałam tylko jej szczęścia – zapiszczała żałośnie Beata. Bez dyskusji wsiadła jednak do samochodu i kiwnęła głową Krystynie, która siedziała z tyłu. Kiedy Danuta zapaliła silnik, spytała podejrzliwie: – Gdzie mnie zabieracie?

– Jedziemy na rekonesans, moja droga – odpowiedziała jej przyjaciółka, włączając się do ruchu. – A to zadanie, które wymaga żelaznych nerwów, więc się uspokój.

– Wiecie, ale ja mam chyba wątpliwości... – jęknęła Beata.

Krystyna stłumiła bunt w zarodku.

– To normalne – powiedziała stanowczym głosem lekarza, który przekonuje pacjenta do ryzykownej operacji. – Pamiętaj: to dla jej dobra.

– A może wypróbujemy profesjonalne biuro matrymonialne? – wymknęło się Beacie w ataku paniki. – Kupię jej kartę.

– Czy sugerujesz, że my nie jesteśmy profesjonalne!? – huknęła na nią Danuta. Beata skuliła się na siedzeniu.

– Beatko – powiedziała wyjątkowo cierpliwie Krystyna. – Przecież dla młodych to porażka. Chcesz jej odebrać pewność siebie? Dać do zrozumienia, że nie potrafi? Tu trzeba delikatnie, z wyczuciem. Niech Ania sama znajdzie królewicza z bajki. Niech dziewczyna ma satysfakcję, że kieruje własnym życiem.

Beata nie odpowiedziała. Siedziały, słuchając ryku silnika i jęków skrzyni biegów, aż do momentu kiedy Danuta zaparkowała samochód w pobliżu nowego mieszkania Ani i w bezpiecznej odległości od karawanu.

Patrzyły przez okno na podskakującą przed budynkiem Ankę. Danuta wyciągnęła ostatniego papierosa, a pustą paczkę zmięła i wrzuciła do schowka.

– Miałaś rzucić palenie – odezwała się Krystyna, nie odrywając nosa od szyby.

– Jolka masz na imię? Poza tym chyba widzisz, że to ostatni. – Danuta wrzuciła ramionami i wyjrzała przez okno. Potem spojrzała uważnie na przygnębioną Beatę. – Wiesz, ta twoja Anka wcale nie wygląda na nieszczęśliwą – mruknęła, wyciągając zapalniczkę.

ROZDZIAŁ 11

– Tylko nie objście ścian! – krzyczała Anka do Michała i jego kolegi wnoszących na klatkę schodową pudła pełne rzeczy niezbędnych do zasiedlenia dziewiczego terenu.

Sięgnęła po lampę. Minał ją jeden z lokatorów, ale jej uśmiech zbył tylko cichym

mruknięciem. Może onieśmielająco wpłynął na niego karawan?

Nie dodało to Ance pewności siebie, ale postanowiła się nie dołować. Ludziom przyzwyczajonym do tych samych twarzy trudno zapewne zaakceptować od razu kogoś nowego. To normalne. Potem zwróciła uwagę na bezdomnego mężczyznę, który leżał spokojnie pod drzewem przed domem, czekając na lepsze czasy. Zauważyła jego łysą głowę. „Właśnie. Na początku zwykle jest... łyso”. Zachichotała do własnych myśli.

– Przepraszam bardzo – przestraszył ją nagle jakiś głos.

Podskoczyła, lampa wymknęła się jej z rąk i rozbiła w drobny mak. Posłała winowajcy mordercze spojrzenie, chcąc go zabić bez litości, ale widząc czarujący uśmiech, momentalnie wstrzymała ogień. Przed nią stał Johnny Depp. A przynajmniej jego rodzime wcielenie o oczach niebieskich jak niezapominajki. Takich się nie wykańcza, takich się poznaje.

– O k... karawan! Strasznie panią przepraszam. Nie chciałem pani przestraszyć! – Mężczyzna zagryzł wargi.

– Ależ skąd, to nie pana wina. Poza tym to tylko zwykła lampa z Ikei.

Żaden antyk. Choć moja ulubiona. Była.

Przykucnęła, żeby pozbierać rozbite szkło, ale mężczyzna najwyraźniej poczuwał się do odpowiedzialności. Jak rzadko który.

– Proszę zostawić – przykucnął obok i odsunął jej rękę – bo się pani pokaleczy. Wie pani co? Zaraz załatwię jakąś zmiotkę i szufelkę.

Podniósł się i ruszył w kierunku budynku, mijając w drzwiach Michała i Arka, którzy przyszli po łóżko.

– Zostawić babę samą, a już katastrofa – roześmiał się Michał, widząc rozbitą lampę.

– Lepiej bierzcie łóżko – burknęła Anka, wstając.

– Ty mi lepiej powiedz, dziewczyno – stęknął Michał, mocując się z meblem – dlaczego wprowadzasz się przed remontem. Wytrzymałaś w domu trzydzieści lat z hakiem, mogłabyś jeszcze tydzień, nie?

– Tylko bez wypominania wieku, dobra? – obruszyła się Anka. – A poza tym to twoja wina. Trzeba było nie decydować się jeszcze na żonę i nie stawiać starszej siostry w podbramkowej sytuacji.

Michał uśmiechnął się błogo.

– Żonę – mruknął rozanielony i zapatrzył się przed siebie. – Żonę...

– Michał, znowu to robisz – upomniał go Arek, a jego policzki wyraźnie straciły barwę. – Chłopie, nie przerażaj mnie.

Michał momentalnie wrócił do rzeczywistości i napiął mięśnie, siłą ramienia chcąc zapewne zatrzeć w pamięci kolegi ów moment słabości. Zaczęło się mocowanie z łóżkiem. Wyglądało to nieco groteskowo i Anka przez chwilę myślała, że będzie musiała sama, jak mrówka stół w bajce Brzechwy, wziąć łóżko na plecy i zanieść na górę. Na szczęście wtedy w drzwiach pojawił się pomocny nieznajomy z szufelką i zmiotką. Podał je Ance, a widząc przekrwione oczy Michała i drżące mięśnie Arka, osłabione zapewne studenckimi rozrywkami, zaoferował wsparcie. Chłopcy z wdzięcznością pozwolili sobie pomóc.

ROZDZIAŁ 12

– Na co czekamy? – zapytała Beata, odczuwająca już na własnych czterech literach skutki długiego siedzenia w samochodzie i zaczynająca dusić się dymem z ostatniego papierosa Danuty. Zadowolenie, żeby nie powiedzieć euforia, na twarzy córki bynajmniej nie poprawiło jej humoru.

Czy tak źle było Ance w rodzinnym domu?

– Czekamy na Jadwigę. Zobaczymy, czego się wywiedziała – wyjaśniła Danuta przyjaciółce. – Zazwyczaj robi obchód. Dowiaduje się, jakie usługi znajdują się w pobliżu, czy jest jakaś fajna kawiarnia, może biblioteka. Albo siłownia. Wiesz, wszystko co może pomóc przypadkowi.

– Po co wam to?

– Jak to po co? Do przygotowania akcji. Wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. Czasami masz jedną jedyną szansę, żeby zetknąć ze sobą dwoje ludzi. Jeśli nie dograsz przypadku do ostatniego szczegółu, przypadek może nie dojść do skutku. Wiesz, jak to jest: przypadek rządzi światem, a przypadkiem ludzie – mrugnęła okiem i zakrzuszyła się dymem, czego nie omieszkła wykorzystać Krystyna.

– Na miłość boską, zgaś tego papierosa natychmiast! – zażądała stanowczo. – Czuję, jak moje pęcherzyki płucne popełniają samobójstwo.

– Przecież gaszę – mruknęła Danuta, pokazała Krystynie język i spojrzała zrezygnowana na Beatę. – Cholerny nałóg – mruknęła, wyrzucając w końcu niedopałek przez okno. – Papieros jest jak toksyczny kochanek.

Wiesz, że ci nie służy, ale związek z nim daje ci kopa, kiedy najbardziej tego potrzebujesz.

– A próbowałaś plasterka? – zapytała pomocnie Beata.

Danuta odsunęła rękaw płaszcza. Na jej ramieniu w równym rzędku przyklejone były trzy.

– Na co ci trzy plasterki?

– Ten na górze to HTZ, ten w środku antynikotynowy, ale nic nie daje.

– A ten na końcu?

– Antykonceptyjny. Tak na wszelki wypadek, gdyby ten pierwszy dokonał cudu i odmłodził moje jajniki. Ta nowoczesna medycyna... nigdy nie wiesz, w którą stronę zadziała.

Beata pokiwała potakująco głową. Nie żeby rozumiała, ale wołała się nie podkładać.

– Wy wszystkie te plasterki macie? – zapytała jeszcze i poczuła się nagle zadowolona. W końcu cały ten postęp cywilizacyjny jest po coś. Może jeśli menopauza, a tfu na psa urok, nie jest odwracalna, to przynajmniej bardziej znośna dzięki plasterkom?

– Które? – zapytała przytomnie Danuta.

– Na menopauzę.

– Nie. Jadwiga nie ma – oświadczyła krótko przyjaciółka.

– Bo ona jeszcze jest przedmenopauzalna, wstrętne jędrze – wyszeptowała z podziwem Krystyna. – Ja nie wiem, jak ona to zrobiła. Przecież w moim wieku jest.

Danuta wzruszyła ramionami.

– To pewnie przez tę jej pracę w wywiadzie – mruknęła z zazdrością. – Za dużo z facetami przebywała, a kto z kim przestaje, takim się staje. A poza tym od lat jest po rozwodzie, nie ma jej kto do szału doprowadzać.

Wszystkie wiemy, że faceci robią z nas wraki, a potem zamieniają na młodszy model. Jak samochód.

– Ręce do góry! – zaskoczył je nagle dziarski głos.

– Jezu! – Danka chwyciła się za serce. – Ty nas kiedyś zabijesz...

Drzwi otworzyły się i do samochodu włądowała się, rechocząc jak stary chłop, Jadwiga.

– Ale was przestraszyłam! O kim tak rozprawiacie?

– O tobie, żeś schłopiała do reszty – rzuciła bezwstydnie Danuta. – Wreszcie jesteście!

Kwitniemy tu już dobrą godzinę.

Jadwiga usadowiła się wygodnie i rozpięła płaszcz.

– Ale tu gorąco – powiedziała. – Ale nie liczcie, że nazwę was gorącymi laskami! Dobra.

– Ton jej głosu stał się nagle bardzo profesjonalny. – Mam, co trzeba, teraz pozostaje wyselekcjonowanie odpowiedniego kandydata. Krystyna?

Krystyna skinęła głową.

– Mam już zarys profilu, teraz tylko muszę dopracować i nakarmić system danymi. Jutro wszystko powinno być gotowe.

– System? Selekcja? A co z chemią? Iskrzeniem... – zaczęła Beata, ale umilkła pod ciężarem spojrzeń koleżanek.

Danuta uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Tak jak mówiłam, nic na siłę. Próbuje z wyselekcjonowanym kandydatem trzy sytuacje. Jeśli nie wychodzi, typujemy nowego. Czasami próbujemy z wieloma naraz, żeby dziewczyna mogła wybrać spośród kilku.

A poza tym musimy wiedzieć, jak układają się sprawy z Fryderykiem. I czy Ania nie ma kogoś, o kim ci jeszcze nie powiedziała, rozumiesz...

– Gdyby był ktoś oprócz Fryderyka, to już ja bym o tym wiedziała – powiedziała tonem pełnym wyższości Beata.

– Jasne – mruknęła powątpiewająco Danuta, ale nie zdążyła nic więcej powiedzieć, bo przerwał jej pisk Krystyny.

– Aaaa! – Kobieta uśmiechała się z podekscytowaniem, zupełnie nie pasującym do zadumy, która zwykle gościła na jej twarzy. – Uwielbiam to!

Czuję się jak dobra matka chrzestna, dzięki której Kopciuszek pozna królewicza. Teraz zostaje już tylko horoskop.

Beata osłupiała.

– Horoskop? Po co? – wyjąkała.

– Niektóre matki chcą znać horoskop, żeby w ogóle udostępnić profile swoich synów. Tak też bywa. Uważają, że jeśli mamy pomóc przypadkowi, to wszystko musi być jak trzeba.

– Właśnie. Nawet gwiazdy mają się zgadzać. I okazując swój zachwyt, błyskać alfabetem Morse'a! – roześmiała się Jadwiga. – Poczekaj, aż zobaczysz naszą panią astrolog.

– To po prostu formalność – powiedziała z naciskiem Danuta.

– Ależ skąd! – wykrzyknęła teatralnie Jadwiga. – Gwiazdy czasami wyrażają sprzeciw!

Beata spojrzała na nią zdziwiona. Nie wiedziała, co myśleć.

– Naprawdę?

– Nie – powiedziała Danuta, patrząc wymownie na Jadwigę. – Popyt jest, to dajemy, co chcę. Czysty interes. Przecież to niczemu nie szkodzi, prawda? No i w kwestionariuszu możemy odhaczyć wszystkie punkty. Papiery muszą być w porządku.

– Właśnie – potwierdziła Jadwiga, zapinając płaszcz. – Moje także. A za każdym razem, jak widzę naszą *Madame*, mam ochotę ją udusić, więc wybaczcie, ale was opuszczę. Poza tym jestem umówiona z Patrycją i jej teściami na kolację. Jak się znowu spóźnię, to tym razem moja córka na pewno odda się do adopcji. Ale nie przejmujcie się – uśmiechnęła się słodko, wysiadając z samochodu – złapię taksówkę.

ROZDZIAŁ 13

Anka pożegnała się ze spoconymi chłopcami, wdzięczna niezmiernie za pomoc. Wręczyła jeszcze Arkowi dwie butelki wódki kupione w sklepiku na rogu, a Michałowi zapasowe klucze

do mieszkania. Miał zjawić się u niej po swoim wieczorze kawalerskim, owianym taką tajemnicą, że nie znano nawet jego terminu.

A potem została sama z nowym znajomym. Stał oparty o framugę drzwi kuchennych i obserwował z sympatycznym uśmiechem przeprowadzkowy bałagan. Anka przypatrywała mu się dyskretnie, myśląc, że o to właśnie chodzi przy przeprowadzce: „Zmiana otoczenia. Zmiana znajomych. Nowi mężczyźni. Zmiany są dobre”.

– To może ja się przedstawię – powiedział z galanterią mężczyzna. – Marek Kochanowski.

„A ja myślałam, że Johnny Depp”, chciała odpowiedzieć, ale zamiast tego tylko uśmiechnęła się czarująco i wyciągnęła rękę.

– Anka Romantowska.

Marek Kochanowski szarmancko uściskał podaną dłoń.

Zapadła cisza, przerywana jedynie trzepotem jej rzęs.

– Własne mieszkanie? – zapytał po chwili.

Pokiwała głową, a potem dodała podekscytowana:

– Pierwsze!

– Gratulacje! Całkiem fajne. Gdzie pani pracuje? – zapytał, ale zaraz potem spojrzał na nią przepraszająco i strasznie się speszył. – Że też ja się nigdy w język nie ugryzę. Bardzo panią przepraszam, to nie wścibstwo tylko zboczenie...

Anka zastygła w bezruchu. Zauważył.

– Nie zboczenie! To znaczy... to takie zawodowe zboczenie. Jestem policjantem – wydusił w końcu.

Odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Ależ rozumiem! Ja jestem przyzwyczajona. Moja matka jest jak oficer śledczy, stanowczo minęła się z powołaniem. Tylko że u niej to nie jest żadne zboczenie zawodowe. Ona ma do tego naturalne predyspozycje.

Mnie też właściwie można uznać za eksperta w przepytывaniu – dodała. – Jestem nauczycielką.

Wyraźnie się ucieszył.

– O! Jak to miło spotkać kogoś podobnego! My z budżetówki powinniśmy trzymać się razem. – Pokiwał z przekonaniem głową. – Jak pani będzie miała jakiś problem, to proszę od razu do mnie!

Anka nie odpowiedziała, ale spod w półprzymkniętych powiek rzuciła mu uważne spojrzenie. Na wypadek... Na wszelki wypadek. A on mrugnął do niej. Jakby też miał ochotę na ten „wszelki wypadek”.

– Bardzo dziękuję – odpowiedziała. – Pan też tu mieszka?

– W tym momencie to bardzo żałuję, ale nie. Czasami pomieszkuję.

Wie pani, mieszkam aż na Prokocimiu i czasami po pracy, kiedy nie chce mi się jechać tak daleko albo kiedy babcia czuje się gorzej, śpię u niej. Jestem wnukiem pani sąsiadki – wytłumaczył, a potem się roześmiał. – Ależ ze mnie bałwan. Pani pewnie jeszcze tutaj nikogo nie zna.

– To zależy – odpowiedziała Anka ostrożnie. – A której sąsiadki?

– Najbliższej. Tej z naprzeciwka – dodał.

– Pani Gieni?

Zobaczyła niedowierzanie w jego oczach. Które, dobrze wiedziała dlaczego, zamieniło się w przerażenie.

– Zna ją już pani!?

Anka zawahała się. W jej głowie pojawił się obraz złośliwej staruszki ze świdrującymi oczkami o mocy teleskopu Hubble'a i z uszami jak u słonia.

Nie wspominając nawet o języku. Nie dość, że długim jak droga mleczna, to jeszcze tak ostrym, że można by nim ciąć szkło.

Spojrzała na Marka spod oka, ale widząc jego przerażoną minę, uśmiechnęła się. W końcu to nie jego wina, że ma taką babcie.

– Poznałam ją dzisiaj rano. Na pewno będziemy się dobrze rozumieć, proszę ją uspokoić – dodała, marszcząc brwi. Ogarnęło ją nagle podejrzenie, że po to właśnie przyszedł. Zapytać, czy zapamiętała reguły. – A może pani Gienia chciałaby mnie jeszcze o coś wypytać? – zasugerowała pogodnie. – To ja mogę podejść i odpowiedzieć na pytania.

Policjant zmieszał się straszliwie.

– Ależ nie, broń Boże! – krzyknął. – Ona jest bardzo zadowolona z pani.

A teraz już śpi. Bo ona z kurami chodzi spać, pani Aniu. To taka przypadłość starca. No i sklerozę ma. Pewnie już nawet pani nie pamięta.

– Proszę się niczym nie przejmować. Moja babcia też cierpi na sklerozę

– uspokoiła go.

– Naprawdę? – zdziwił się, a jego zakłopotanie zamieniło się w ulgę. – I znowu mnie pani rozumie. – Popatrzył na Ankę tak czule, że spuściła wzrok. – Pani Aniu, nawet pani nie wie, jak się cieszę, że wprowadziła się pani do tego mieszkania – powiedział i wycofał się na korytarz.

Anka ogarnięta nagłą euforią westchnęła pełną pierśią i zamknęła za nim drzwi. Potem rozejrzała się po mieszkaniu dumnym wzrokiem władcy spoglądającego z wieży zamku na swoje królestwo. A dostrzegłszy pająka, postanowiła rozpocząć królowanie od kilku egzekucji.

ROZDZIAŁ 14

Beata z przerażeniem wpatrywała się w rozpadającą się kamienicę, której konstrukcja wyraźnie została naruszona. Zapewne jeszcze podczas pierwszej wojny światowej. Bo stwierdzenie, że w okresie wojen napoleońskich, byłoby już lekką przesadą. Ścieżka wiodąca na klatkę schodową zasypana była mokrymi liśćmi, przez które gdzieś widać było sterty śmieci.

– Tu mieszka wasza konsultantka od astrologii? – jęknęła Beata, a jej dłoń odruchowo zacisnęła się w pięść. Do samoobrony, rzecz jasna.

Danuta zgasiła papierosa.

– Pamiętaj, kochana, pozory mylą.

– Pozory? – prychnęła Beata, z odrazą przyglądając się tej krainie ściekiem płynącej. – To jakaś melina.

– Melina to tu była kilka miesięcy temu, zanim zatrudniłyśmy tę wróżkę. Teraz jest super elegancko. Nawet prąd już jej podłączyli – skwitowała Danuta i zatkała nos, przekraczając jakieś okropieństwo.

Krystyna miała podobne zdanie.

– Właśnie! Ale najważniejsze jest to, że *Madame* potrafi w tych papierach – pomachała Beacie przed nosem teczką z danymi Anki – gdzieś między wyrazami, dostrzec szczęście. Ona jest niesamowita. Takich horoskopów, jakie ona pisze, nigdy nie widziałam.

– Tak – potwierdziła Danuta. – Tylko czasami trzeba ją motywować do pracy. Ona żyje w innym świecie. Tam czas nie istnieje.

– A skąd wytrzasnęłyście tę *Madame*?

– To moja pacjentka – oświadczyła zadowolona Krystyna.
Beata zatrzymała się gwałtownie.
– Doradza wam osoba chora psychicznie? – wyjąkała.
– Ależ skąd! – oburzyła się Krystyna. – Jak możesz w ogóle tak mówić?
Większość moich pacjentów ma przejściowe problemy natury emocjonalnej. Albo depresję. Albo zaburzenia...
– A ona?
– Tajemnica lekarska – odpowiedziała Krystyna i pierwsza weszła na drewnianą klatkę schodową.
– Ma jakieś wizje, ciągle się jej wydaje, że widzi trupy – Danuta wyszeptała przyjaciółce do ucha, a potem dziarsko ruszyła za Krystyną.
Beata zrobiła przerażoną minę, której i tak żadna z jej koleżanek nie zauważyła, i z silnym postanowieniem wstrzymania się od jakichkolwiek, nawet tych wyjątkowo trafnych komentarzy podążyła za resztą. Weszła do mieszkania. I musiała zmrużyć oczy. Światło było ostre i świeciło niemal wszystko. Przede wszystkim dziwna kula.
Madame Klara Widząca zajęta była swoją najnowszą zabawką.
– Kochane! – wołała do kobiet, podskakując jak małe dziecko. – Spójrzcie! Dziś przysłali mi nową kulę! Najnowszy optyczny model!
Beata nie patrzyła na kulę. Z szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w porażającą fizjonomię wróżki. *Madame Klara* była... cóż... była wyjątkowo niemedialna. Za to jej wielki rudy kot wprost przeciwnie. Nadawali się do filmu o tygrysach. Piękny i bestia.
– Janino, mamy nowe zlecenie – rzuciła Danuta i wpatrzyła się w wielką białą kulę zajmującą honorowe miejsce na brudnym stole.
Wróżka nie zaszczyciła Danuty nawet jednym spojrzeniem.
– Jestem strasznie zajęta – mruknęła niechętnie. Ale nie wytrzymała i zapiszczała jak małe dziecko: – Testuję ją właśnie!
Kobiety stały przez chwilę i podziwiały nowe cacko wróżki. *Madame Klara*, zapatrzona w magiczny przedmiot, promieniała jakąś tajemną energią.
Kulistą.
Danuta uśmiechnęła się z niezwykłą wyrozumiałością.
– Piękna kulka. Kupiłaś na kredyt, co? – zapytała niewinnie. – A wiesz, że kredyt trzeba spłacać? Inaczej pstryk i zabawka znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – powiedziała teatralnie. A potem dodała: – Tylko że czaruje komornik, a ci są cholernie dobrzy w tym, co robią. Przecież ich znasz...
Wróżka oderwała w końcu wzrok od kuli i obrzuciła kobiety niechętnym spojrzeniem.
– To nie zabawka – powiedziała ostrzegawczo i zakryła kulę burą ścierką tak brudną, że skutecznie tamowała magiczne światło. – Co jest?
Krystyna wręczyła wróżce teczkę z informacjami na temat Anki. Klara ją otworzyła, rzuciła okiem na wydruki i westchnęła, jakby po dwunastu godzinach ciężkich robót została zmuszona do przepracowania kolejnej zmiany.
– Anna Romantowska, urodzona w kwietniu, bla, bla, bla... czyli standard. – Wzruszyła kościstymi ramionami. – Zaraz się do tego zabieram.
Dostarczę wam jutro rano. Tylko na koniec miesiąca bonus w gotówce. Do widzenia.

Kiedy przyjaciółki odjechały z Beatą spod kamienicy Anki, Jadwiga zadzwoniła po taksówkę. Potem rozejrzała się uważnie dokoła i patrząc nerwowo na zegarek, usiadła na pobliskiej ławce. Była już spóźniona i wiedziała, że Patrycja będzie histeryzować. Ewidentnie wdała się w ojca. On też zawsze panikował, gdy się spóźniała. Wciągnęła do płuc powietrze, starając się uspokoić oddech, i machinalnie wyciągnęła z kieszeni piersiówkę.

Kiedy już miała się napić, zauważyła na sobie spojrzenie bezdomnego, który leżał w swoim kartonowym domku kilka metrów od ławki, pomiędzy rozłożystym kasztanowcem a wielkim kontenerem. Mężczyzna wytarł nos brudnym rękawem, podparł głowę ręką, a widząc, że nawiązała kontakt wzrokowy, postanowił spróbować szczęścia.

– Poczęstuje mnie pani papierosem? – zapytał.

Jadwiga przez chwilę nic nie mówiła, tylko przyglądała mu się z uwagą.

Potem sięgnęła do torby i wyciągnęła z niej paczkę papierosów.

– Proszę – rzuciła mu opakowanie. – Cała dla pana.

Wyraźnie się zdziwił. Chwycił paczkę w locie, a potem łakomie wyciągnął papierosa.

– Przywraca mi pani wiarę w kobiety – roześmiał się. – Zazwyczaj kiedy zagaduję panie, zwłaszcza te dojrzałe i porządnie ubrane, one natychmiast wstają i odchodzą, sprawdzając, czy nie zostały okradzione. Przez mojego niewidzialnego współnika. Czasami chciałbym mieć takich wymyślonych przyjaciół, wie pani? Żeby nie martwiły się na próżno.

– Może też sprawdzę – Jadwiga odgryzła się za „dojrzałą”.

Pokiwał głową.

– Nie chce się pani poczęstować?

– Nie palę – odpowiedziała, a widząc jego zdziwiony wzrok, uśmiechnęła się jak krnąbrne dziecko, które choć musi przyznać się do winy, wcale nie żałuje. – Ukradłam tę paczkę koleżance. Chociaż słowo „kraść” nie bardzo pasuje do dobrego uczynku, prawda? Panu też radzę rzucić. Papierosy szkodzą.

– Oddychanie szkodzi, szanowna pani – powiedział filozoficznie mężczyzna. – I picie – dodał, wskazując na piersiówkę, którą trzymała w dłoni, a potem uśmiechnął się i podniósł rękę z zapalonym już papierosem. – Na zdrowie.

Jadwiga odwzajemniła uśmiech i wzniosła toast.

– Na trawienie.

– Jak pani ma na imię?

– Jadwiga – odpowiedziała, chowając piersiówkę.

– A ja Marian. Nie wiem, dlaczego moja świętej pamięci mamusia pokarała mnie takim imieniem. Bo co jak co, ale maryjny to ja w żadnym wypadku nie jestem. Pewnie przewidywała, że zostanę grzesznikiem.

– Jak każdy z nas. Długo pan tu – zawahała się, a potem dokończyła – mieszka?

Wzruszył ramionami i zapatrzył się gdzieś ponad dachami budynków.

– Jakiś czas, lubię tę okolicę. Wprawdzie mam jeszcze jedno ulubione miejsce, na Podwalu, ale tam straszny hałas, masa ludzi. A ja nie lubię tłoku... – Zamilkł na chwilę, a potem obrzucił ją uważnym spojrzeniem. – A pani? Mieszka pani gdzieś blisko? Nie widziałem tu pani wcześniej, a pamięć do twarzy to ja mam.

– Nie. Czekam tylko na taksówkę. Umówiłam się z córką i jej teściami na obiad. Już jestem spóźniona – przypomniała sobie, pochmurniejąc, i rozejrzała się za taksówką. – Zabije mnie...

– Stała się chodzącą doskonałością i nie toleruje potknięć, co? – rzucił Marian.

Jadwiga się uśmiechnęła.

– Dobrze pan to ujął, panie Marianie – powiedziała, a potem zapytała instynktownie: – A

może pan mi powie, czy to bezpieczne miejsce? Córka koleżanki wprowadziła się dzisiaj do tej kamienicy.

Marian łypnął na nią okiem.

– Czy to ta w karawanie? – zapytał, a widząc, że Jadwiga skinęła potakująco głową, dodał: – Dziewczyna musi mieć fantazję. – Przez chwilę milczał, paląc papierosa, a potem, jakby decydując się na zwierzenia, przysunął się nieco i rozejrzawszy się uważnie, powiedział, ścisząc głos: – Tutaj różnie bywa, pani Jadwigo. A ostatnio dziwne elementy się tu kręcą.

Proszę mnie źle nie zrozumieć, zawsze się kręciły, bo jedna pani tutaj była profesjonalną dziwką, *excusez moi* za słowo, ale „kurwa” brzmi jeszcze bardziej chamsko, nie uważa pani? – zapytał, a potem, nie czekając na odpowiedź, dodał gwoli wyjaśnienia: – A przecież i dziwkom w miarę możliwości szacunek się należy. Zwłaszcza tym dobrym. Lewandowska się nazywała – westchnął ciężko, a Jadwidze wydawało się nawet, że wytarł oko.

– Kaśka. Ale odkąd pamiętam, a znam ją długo, wszyscy nazywali ją Sowa.

Fajna była... – rozmarzył się. – Ale co to ja mówiłem?

– O dziwnych elementach – przypomniała mu Jadwiga.

– Właśnie. Zawsze można tu było spotkać różne elementy, alfonsów i inne robactwo, ale ostatnio zagaściło się strasznie. – Zamilkł i rozejrzał się dookoła po raz kolejny.

Jadwiga także zlustrowała okolicę.

– A skąd pan wie, że to robactwo? Przecież nie mają na czołach wypisane: „Jestem kryminalistą”.

– To prawda, pani Jadwigo – powiedział ze stoickim spokojem, wypuszczając z ust kłęby dymu. – Ale jak mawiał mój świętej pamięci dziadus: „Pilnujcie kieszeni, bo złodziej wygląda jak człowiek”. Zresztą ja po tylu latach życia wśród robactwa nauczyłem się odróżniać to najgorsze od całej reszty zwykłych robali. Instynkt, wie pani?

Jadwiga nie odezwała się. Sama wiedziała, co to instynkt. I w tym momencie to właśnie on kazał jej zidentyfikować. Robactwo.

Pan Marian najwyraźniej uznał rozmowę za skończoną, bo w pełni oddał się kontemplowaniu cennego papieroska.

– A jak pan myśli, dlaczego robactwa ostatnio więcej? – zapytała go jeszcze.

Wzruszył ramionami.

– Widocznie taka pora roku, że robactwo wychodzi spod ziemi – powiedział, a potem wskazując na samochód, który właśnie zatrzymał się przed kamienicą, dodał: – Pani taksówka przyjechała.

ROZDZIAŁ 16

Anka z czułością wycierała półki w kuchni i czyściła szafki, które obłaziły z farby. Pewnie ze strachu przed śmiercią na wysypisku. Kiedy zupełnie przypadkiem spojrzała na zegarek, uświadomiła sobie, że Matylda z Fryderykiem już pewnie czekają na nią w klubie, do którego zawsze chodzili oblewać sukcesy i zalewać smutki. A dzisiaj mieli oblać jej mieszkanie. A ona zapomniała.

Chwyliła tylko torebkę i narzuciła w biegu płaszcz. Późny październik przypomniawszy się zimnym deszczem, porywistym wiatrem i pożółkłymi liśćmi, które wirowały nad chodnikiem. Podniosła kołnierz płaszcza. Nie mogąc się powstrzymać, rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie na okno swojego mieszkania. W oknie obok stała, a jakże, pani Gienia. Anka pomachała jej odruchowo, a sąsiadka momentalnie zniknęła za zasłoną. Dziewczyna wzruszyła tylko

ramionami. Bezwiednie pomyślała o Marku. „M jak Marek. M jak mężczyzna. M jak...”
Otrząsnęła się. „Jezu, za dużo seriali!

Przecież to ewidentnie szkodzi. Ogranicza! Ogranicza do litery M. A przecież alfabet jest taki długi...” rozmyślała, wytrwale idąc przed siebie z nadzieją, że złapie po drodze taksówkę. Bez powodzenia. Kiedy w końcu jakąś zobaczyła i wybiegła na ulicę w desperackiej próbie jej zatrzymania, oślepił ją tylko blask reflektorów. I błoto z kałuży, które rozchlapane przez koła samochodu pokryło jej płaszcz i twarz brunatnym szlaczkiem.

Wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła policzki. Ruszyła dalej, wyzywając się od totalnych idiotek.

Następna taksówka. Nic.

Szła coraz szybciej. Znowu usłyszała za sobą warkot silnika. Odruchowo odsunęła się od krawężnika. Po chwili zorientowała się jednak, że auto nie jedzie dalej. Zaniepokojona zwolniła nieco i dyskretnie obejrzała się za siebie. Samochód jechał tuż za nią, powoli. Przełknęła ślinę. Przyspieszyła.

Samochód też. Zatrzymała się. Samochód był tuż przy niej. Przyłożyła dłoń do czoła, starając się dostrzec coś przez oślepiające ją światła. Wtedy reflektory zgasły i usłyszała, że drzwi samochodu otwierają się z niepokojącym zgrzytem. Znieruchomiała.

– Witam panią, pani Aniu – usłyszała znajomy głos.

Wpatrzyła się w atletyczną sylwetkę mężczyzny, który wysiadł z samochodu. Deszcz nagle zrobił się lodowaty, a krople ciężkie jak płynny ołów.

Anka zmrużyła oczy i wtedy go rozpoznała. To był on. Wiktor Małaszyński.

Malarz pokojowy. Ten, którego... nie zatrudniła.

Na pewno chce się zemścić! Bo z jakiego innego powodu chciał ją rozjechać przed szkołą? A teraz za nią jedzie? Zaczęła drżeć jak targane wiatrem liście.

Mężczyzna uśmiechnął się czarująco, a potem odezwał spokojnym głosem:

– Może panią podwieźć, pani Aniu? Kobiety nie powinny włóczyć się same po nocach, to niebezpieczne.

„Ha! Niebezpieczne! Dobry tekst – pomyślała, wstrzymując oddech. – I co teraz!?”

Wpatrywała się w malarza jak zahipnotyzowana. A on ruszył w jej stronę. Jego ciemne oczy błyszczały niebezpiecznie. Jak świeży lakier na dębowej trumnie.

Bez zastanowienia odwróciła się na pięcie i zaczęła uciekać.

Za sobą usłyszała tylko stłumione: „Cholera, proszę poczekać”, i szybki odgłos przybliżających się kroków. Jak na złość nikogo nie było. Nie chodziło już nawet o policjanta, ale nawet psa z kulawą nogą nie było! Nie było do kogo krzyknąć: „Burek, bierz go!”

Zaczęła desperacko kluczyć. Wpadła w jakieś krzaki. Serce tłukło jej się tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi. Kroki dudniły zwielokrotnionym echem. Wbiegła w jakiś zaułek. Skręciła w bramę. Co rusz potykała się o jakieś puszki, śmieci. Najwyraźniej strach płatał się jej pod nogami.

Przystanęła na chwilę, a potem, nie mając siły biec dalej, schowała się za jakimś kontenerem. W dłoniach ścisnęła żwir i piasek. W końcu tego nauczyła ją matka. Jak przetrwać.

Kiedy już się jej wydawało, że zgubiła malarza, znowu usłyszała kroki.

Były coraz bliżej. I bliżej. Przełknęła ślinę. W ataku desperacji instynktownie zrobiła jedyną rzecz, jaka jej jeszcze przyszła do głowy. Wbiegła do jakiegoś budynku, a potem drżącą ręką pociągnęła za klamkę pierwszych lepszych drzwi. Otworzyły się z cichym zgrzytem. Nie zastanawiając się, wpadła do środka, zamknęła drzwi za sobą i dysząc straszliwie, przekręciła szybko wielki klucz tkwiący w zamku. Przez chwilę nie ruszała się, tylko wpatrywała w drzwi, jakby mogła dojrzeć przez nie czające się niebezpieczeństwo. Nikt się jednak nie dobijał, nikt nie

szarpał za klamkę.

Oddechnęła z ulgą, a potem się odwróciła. I od razu tego pożałowała.

Poczucie zagrożenia nie tylko nie minęło, ale w jednej chwili się spotęgowało. Tuż za nią stała bowiem stara, wyjątkowo brzydka kobieta, która przyglądała się jej intensywnie, zupełnie jak matka Anki, kiedy zastanawia się, co podać na niedzielny obiad. Albo jak Baba Jaga musiała przyglądać się Jasiowi i Małgosi, zanim zdecydowała się ich utuczyć i pożyć.

Anka poczuła niewypowiedzianą ochotę, by krzyknąć. Chciała natychmiast cofnąć się i uciec, ale to oznaczało, że musiałaby otworzyć drzwi i stanąć twarzą w twarz z żądnym zemsty malarzem pokojowym.

– Dobry wieczór – wyjąkała, przełknąwszy ślinę. – Bardzo przepraszam za najście, ale właśnie gonił mnie jakiś mężczyzna i...

– Proszę usiąść – przerwała jej sztywno kobieta.

– Ależ nie, ja przepraszam, tylko zadzwonię po koleżankę... – Anka zaczęła mówić chaotycznie, ale po chwili zamilkła. Miała wrażenie, że intensywnie spojrzenie kobiety chwyciło ją za kołnierz i powlekło do rozklekotanego krzesła. I że zepchnęło leżącego tam rudego kota. Kot zeskoczył obrażony. I miauknął, a w tym miauknięciu było coś ludzkiego. Anka usiadła.

– Głęboki wdech – poinstruowała ją kobieta. – Wydech.

Posłusznie wykonała wdech. I niemal się zadławiła. Po chwili była w stanie przełknąć ślinę.

– No. Już lepiej. Jestem *Madame* Klara Widząca – powiedziała staruszka, wywracając teatralnie oczami, a widząc przestraszony wyraz na twarzy Anki, dodała: – Dla znajomych Janina. A pani? Jak się pani nazywa? – zapytała bez żadnych ceregieli. Świdrujące oczy przewiercały dziewczynę na wskroś.

Anka przeniosła spojrzenie na kota. Jego wielkie, jakby ludzkie oczy również wpatrywały się w nią z zainteresowaniem.

– Anna Romantowska – wykrztusiła.

– Romantowska? – Czoło wróżki zmarszczyło się, wskazując wyraźnie, że w jej głowie zachodzi intensywny proces myślenia. – Skąd ja znam to nazwisko? Gdzieś je już słyszałam... Romantowska... – powtórzyła powoli, a potem zamilkła. Jej wzrok padł na rozłożony folder. Ale tylko na chwilę.

Zaraz potem odchrząknęła i z tajemniczą miną odchyliła się do tyłu, żeby zerknąć na rozrzucone notatki. Nagle posadziła na nich kota i powiedziała: – Pani pokaże rękę.

Anka zacisnęła zęby i wyciągnęła dłoń. W końcu gdyby tego nie zrobiła, wróżka mogłaby wyrzucić ją za drzwi, a za drzwiami wiadomo... Lepszy seans niż śmierć. *Madame* wpatrzyła się uważnie w podaną dłoń.

– Urodzona w kwietniu... w połowie miesiąca. Wie pani, nigdy nie miałam głowy do cyferek. – Zaśmiała się jak z dobrego dowcipu, a potem spoważniała i uroczyście powiedziała: – Nauczycielka.

Anka znieruchomiła. Patrzyła tylko oniemiała na wróżkę, która rozkoszowała się tą chwilą prawdziwego triumfu, by potem dodać ze znużeniem, a nawet z pewną nonszalancją, tak charakterystyczną dla ludzi sukcesu:

– A mogła pani zostać prawnikiem.

Przez chwilę panowała grobowa cisza, po czym wróżka mówiła dalej:

– Widzę zmiany. Nowe mieszkanie... I nowe znajomości. Zaraz, jak to było... – zawiesiła głos i zaczęła przypatrywać się swojemu kotu, który nagle wyprężył się, otrzepał, a potem powoli, krok za krokiem zaczął zbliżać do Anki. – Pechowiec, siad! Ani się waż! – syknęła i znowu spojrziała na Ankę, a na jej twarzy pojawił się tajemniczy uśmiezek. – Właśnie! Lekarza

widzę, ale jeszcze nie wiem na pewno, bo to może być na przykład artysta.

Ale jutro będę wiedzieć. Pechowiec przestań przerywać! – warknęła na mruczącego kota.
– Wizja mi się rozmywa... Nic nie widzę! Cholera, zapomniałam...

Pechowiec, nie odrywając wzroku od Anki, zaczął miauczeć. Z początku cicho. Potem coraz głośniej. Aż w końcu, pomimo prób uspokojenia go podejmowanych przez *Madame*, kot zaczął przeciągle wyc.

– Proszę się nie bać – uspokajała Ankę wróżka, podnosząc wyrywającego się Pechowca.
– To bardzo łagodne i wyjątkowo zdolne zwierzę. To... – zaniemówiła i zeszywniała, jakby kot, wczepiwszy się w nią pazurami, przekazał jej elektryczne paraliżujące wibracje. Ścisnęła zwierzaka. Kot jęknął i wytrzeszczył oczy. – Widzę mężczyznę – powiedziała nagle wróżka nieswoim, bardzo głębokim i chrapliwym głosem.

Anka znieruchomiała i rozejrzała się dookoła.

– Co proszę? – zapytała na wszelki wypadek.

– *Mężczyznę*. W niedalekiej przyszłości.

– A fajnego? – nie wytrzymała Anka.

– Mężczyzna udaje kogoś innego. Strzeż się go, bo za nim stoi śmierć – wycharczała złowrogo wróżka, a potem kot wyrwał się jej z objęć i wszystko wróciło do normy.

– Co pani powiedziała? – zapytała drżącym głosem Anka. Mężczyzna to jedno. Można się na niego przygotować. Ale śmierć?

– Mówiłam, że to bardzo utalentowane zwierzę. Ale proszę się nie bać.

Anka wpatrzyła się w kota i przełknęła gulę w gardle.

– Czy mogę zadzwonić? Nie chcę zabierać pani więcej cennego czasu.

Obserwowana uważnie przez *Madame* dziewczyna otworzyła trzęsącą się ręką torebkę i wyciągnęła telefon. Wezwała na ratunek Matyldę.

Przyjaciółka zjawiała się po piętnastu minutach. Upewniwszy się, że z Anką wszystko w porządku, obdarzyła wróżkę lekceważącym spojrzeniem niedowiarka. Oględziny mieszkania i jego właścicielki przerwało jej gwałtowne szarpnięcie za rękę. Anka patrzyła na nią błagalnie.

– Poproś, żeby ci powróżyła – wyszeptała przyjaciółce do ucha.

– Nie wierzę we wróżby. To zabobony – odszepnęła Matylda.

– Ja też nie wierzyłam. Ale ona wszystko o mnie wiedziała, nawet drobne rzeczy. Jakby... sama nie wiem... jakby znała moją matkę.

– Naprawdę? – zdumiała się Matylda.

Anka pokiwała głową.

– Chcę sprawdzić, czy o tobie też będzie wszystko wiedzieć – dodała szeptem.

Matylda wzruszyła ramionami, a potem obrzuciła *Madame* kolejnym, tym razem zaintrygowanym, spojrzeniem.

– Nie lubię wróżek, a ta wygląda na psychopatkę – próbowała się jeszcze bronić.

– Błagam cię, ja muszę to sprawdzić. – Anka uczepiła się przyjaciółki jak wróżka kota podczas transu. Musiała wiedzieć, czy ma czekać. Na tego właściwego.

Matylda westchnęła ciężko, a potem odwróciła się do wróżki.

– *Madame* Twierdząca czy jakoś tak... Czy mogłaby pani spojrzeć dla mnie w swoją magiczną kulę? – zapytała teatralnie i wywróciła oczyma.

Madame Widząca obrzuciła ją niechętnym spojrzeniem.

– Jak dla pani pięćdziesiąt złotych – powiedziała.

Anka, widząc wymowne spojrzenie Matyldy, bez wahania wyciągnęła z torebki żadaną sumę, a wróżka wskazała im rozklekotane krzesła obok stolika, gdzie magicznym światłem błyszczała wielka kula. Kota na szczęście nigdzie nie było widać.

Usiadły. Anka chwyciła ramię Matyldy, której pomimo wrodzonego sceptycyzmu udzieliła się atmosfera podekscytowania. Obie zaczęły wpatrywać się w imponującą kulę. Pod szponiastymi palcami wrózki kryształowe cudo nabierało dziwnych kolorów.

– Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie? Co to będzie? – mamrotała starucha, pocierając raz po raz magiczny przedmiot. Gdyby był metalowy, na pewno rozgrzałaby go do czerwoności. Ale kula zupełnie niespodziewanie rozbłysła niepokojącym światłem. Barwne cienie zaczęły przesuwać się po ścianach w niesamowitym tańcu. A potem kula zgasła. I wszystkie lampy. Zapadł mrok, przy którym ciemności egipskie mogłyby wydać się zaledwie bladym odcieniem szarości. Anka kurczowo trzymała Matyldę za ramię. Nagle wróciło wspomnienie malarza. Niemal czuła, jak palce mężczyzny zaciskają się na jej szyi. Zaczęła lekko kwilić, kiedy przez gęstość i intensywność czerni przedarł się wściekły głos *Madame*:

– Cholera! Znowu mi prąd odcięli!

ROZDZIAŁ 17

W taksówce Anka gorączkowo opowiadała Matyldzie o incydencie z malarzem. Mówiła tak chaotycznie i była tak roztrzęsiona, że Matylda nie wytrzymała. Nakrzyczała na przyjaciółkę, że jest nieodpowiedzialna, bo powinna była od razu zadzwonić na policję. A jeśli jeszcze nie zadzwoniła, to teraz stanowczo nie powinna, bo zachowuje się jak osoba niepczytalna i tak ją właśnie potraktują, więc musi się natychmiast uspokoić. A poza tym to ona nie ma nerwów do wrózek. Kiedy była u mamusi na Jamajce, a miała wtedy dziesięć lat, to mamusia kazała odprawić nad nią czary, żeby miała szczęście w miłości. I szczęście w miłości ma. Jak ta Julia od Romea. I ona teraz musi wyglądać jak Maryna od Janosika i gwarą mówić. Taka, psia mać, jest sprawiedliwość szamańska.

Kiedy dojechały na miejsce, Matylda zapłaciła kierowcy i pierwsza wysiadła z samochodu. Rozejrzała się uważnie dookoła, a nawet wciągnęła mocno powietrze przez nos jak węszący pies. Na szczęście nie podjęła żadnego tropu, tylko dała Ance znak do opuszczenia taksówki.

– Czysto, wchodzimy. W klubie nic nam nie grozi. Za dużo ludzi – rzuciła i chwyciwszy przyjaciółkę mocno za rękę, jakby od mocy uchwytu zależało jej bezpieczeństwo, wciągnęła ją do środka.

Klub wypełniony był po brzegi, jako że syn właściciela lokalu obchodził właśnie urodziny. Na scenie w otoczeniu pięciu mężczyzn z zespołu o bardzo wymyślnej nazwie Gang Wioli wypinała wdzięki i wydawała dźwięki Wiola we własnej osobie. W białych kozaczkach i w cekinowych majtkach starała się udowodnić wszystkim, że ma talent. Co prawda nikogo jak dotąd nie przekonała, ale mężczyźni, z reguły bardziej tolerancyjni od kobiet, dostrzegali duży potencjał tkwiący za jej skąpym odzieniem i skandowali bez ustanku: „Wiola la... wiolala...”, zupełnie nie zwracając uwagi na drobny szczegół, że pośród obfitości walorów, którymi Wiola mogła się pochwalić, zabrakło niestety czystego głosu. Ta drobnostka nie przeszkodziła jednak Wioli w karierze scenicznej. Choć może to, że była dziewczyną syna właściciela klubu, miał jakiś wpływ na angaż.

Anka przeciskała się do zarezerwowanego przez Matyldę stolika, rozglądając się niepewnie dokoła. Anonimowy tłum wydał się jej nagle groźny i złowrogi. A nie pijany, jak zwykle. Nawet wyjąca na scenie Wiola rzucała jej złe spojrzenia. A może po prostu uwierały ją cekinowe majtki?

Kiedy dotarły na miejsce, Matylda usiadła i wyciągnęła telefon. Wpatrywała się w

otrzymanego SMS-a.

– Fryderyk nie dojedzie! – chciała mruknąć, ale w klubowym hałasie musiała krzyknąć. – Wygląda na to, że mamuśka przyjechała wcześniej, niż zapowiadała!

Anka położyła swoje rzeczy na krześle.

– To po co ja w ogóle dzisiaj z domu wychodziłam? – powiedziała zrezygnowana, a na okrzyk Matyldy: „Co? Nic nie słyszę!”, wskazała drzwi toalety. Przyjaciółka pokiwała głową, a Anka, z trudem przepychając się przez rozbawiony tłum i zerkając uważnie w każdą stronę, dotarła w końcu w pobliże damskiej ubikacji. Tuż przed drzwiami z trójkącikiem, z domalowanym zieloną fluorescencyjną farbą wielkim penisem, stał jakiś dryblas w czarnej czapce. Wydawało się, że na kogoś czeka. Kiedy minęła go, starając się nie nawiązać kontaktu wzrokowego, poczuła na ramieniu mocny uścisk i zanim się zorientowała, została wepchnięta za drzwi ozdobione fluorescencyjnym członkiem, które zatrzasnęły się z głuchym trzaskiem.

Ze strachu zachłysnęła się własnym oddechem. A potem znowu to piekące uczucie paniki, które z prędkością płomieni rozprzestrzeniło się po całym organizmie, paląc żołądek, serce, przełyk. A nawet twarz. Trzęsącymi się rękami próbowała otworzyć drzwi, ale dryblas w czapce najwyraźniej trzymał klamkę z drugiej strony.

Nagle usłyszała za sobą szelest. Zamarła. A potem odwróciła się gwałtownie.

Powitał ją uśmiech malarza psychopaty rozjeżdżającego klientki niepodatne na jego manipulacje i urok osobisty. Choć z tą niepodatnością to nie do końca była prawda.

Serce zaczęło jej się kurczyć, jakby chciało pobić rekord Guinnessa w kołataniu na czas. Przylgnęła do drzwi, próbując otworzyć je siłą nacisku swoich pięćdziesięciu ośmiu kilogramów, a wtedy mężczyzna pokazał w uśmiechu wszystkie zęby. A ona o mało nie posikała się ze strachu. Przez te zęby.

– Proszę się nie bać, pani Aniu, nic się pani nie stanie – do uśmiechu dodał zwyczajowy banał.

„Nic mi się nie stanie. A to dobre!”, pomyślała, gryząc wargi do krwi.

A on spokojnie stał i patrzył, jakby kontemplowanie jej panicznego strachu i wsłuchiwanie się w oszalałe bicie serca sprawiały mu jakąś sadystyczną przyjemność.

„Parszywy koneser strachu”.

– Czego pan ode mnie chce!? – wydyszała histerycznie i zaniósła się suchym kaszlem, nie będąc w stanie wydać z siebie żadnego innego dźwięku.

– Nie wiem, czym zasłużyłem, żeby na panią trafić, pani Aniu, ale cóż...

– Przerwał i spojrzał na nią z ciężkim westchnieniem. – Jestem z policji – przyznał się. Usłyszawszy jej straszliwy kaszel, postanowił okazać współczucie, bo zapytał z troską w głosie: – Może wody? – I wskazał na niedo kręcony kran.

„Wody?” Anka postanowiła napić się wody, chociaż jej przepełniony pęcherz nie miał na to najmniejszej ochoty. Nie wolno odmawiać. Żeby się czasem nie zdenerwował. Nie pęcherz, mężczyzna.

Zataczając się nieco, ominęła napastnika szerokim łukiem, nachyliła się nad kranem i zaczęła chleptać wodę jak pies. A potem dotarł do niej sens jego słów.

„Zaraz, zaraz... z policji? To znaczy, że nie zostanę porwana!? Nie zostanę pobita!”, łomotało jej w głowie, ale na wszelki wypadek nie spuszczała z niego oka. Zauważyła przy jego pasku kaburę z pistoletem, ale zasłonił ją szybko kurtką. On także nie odrywał od niej wzroku, a kiedy skończyła chleptać, powiedział:

– Bardzo przepraszam, że tak obcesowo panią potraktowałem, ale chodzi o stuprocentową dyskrecję. Nigdy nie posunąłbym się tak daleko, gdyby pani dała mi szansę wytłumaczyć się. Przedstawić. Od razu zaczęła pani uciekać i krzyczeć – powiedział z wyrzutem. – Dobrze, że

natknąłem się na znajomego i pomógł mi zaaranżować to spotkanie. – Spojrzał na nią z ukosa.

Anka wytarła usta, ale nie odpowiedziała.

– Aha i bardzo przepraszam, że to męska toaleta. W damskiej zazwyczaj jest straszny tłok – dodał, chcąc pewnie rozładować sytuację niewinnym żartem.

Wyjątkowo źle trafił. Anka zdążyła odzyskać już kontrolę nad własnym językiem. I była wściekła.

– Naprawdę? A ja myślałam, że ma to związek z terenem. Już pan go pewnie zaznaczył i czuje się jak u siebie, prawda?

Uśmiechnął się pogodnie. W dodatku seksownie, jak zauważyła Anka, zła na siebie, że zwróciła na to uwagę. Spostrzegawczość jest zazwyczaj dobrą cechą, ale jeśli chodzi o dostrzeganie seksapilu u faceta, który jest szowinistą, seksistą, a w dodatku policjantem udającym malarza, niekoniecznie. Nigdy nie podejrzewała, że mogą pociągać ją takie typy.

– Coś w tym jest – skwitował rozbawiony.

– Pana to śmieszy!?! – wybuchnęła. – Mnie nie! Ja wcale nie czuję się komfortowo! Wręcz przeciwnie! Poza tym uważam, że męskie ubikacje są odrażające!

– Naprawdę? – zdumiał się Wiktor. – Nigdy nie zauważyłem, a muszę przyznać, że bywam regularnie. Niby dlaczego?

– Jak to dlaczego!?! Jak to dlaczego! Przecież to takie wstrętne: wszędzie pisuary, mocz i męskie członki! – Przerwała, a jej spojrzenie zupełnie niechcący zjechało na rozporek męczyzny.

Wiktor znieruchomiał. Jego wzrok powędrował dokładnie w to samo miejsce i niemal natychmiast zasłonił je dłońmi.

Anka przerażona popatrzyła prosto na klatkę piersiową mężczyzny, a że było na czym oko zawiesić, zawiesiła i jakby nigdy nic uśmiechnęła się (w końcu jest nauczycielką, wie, jak opanować stres):

– My tu o takich... nieistotnych rzeczach rozmawiamy, a czym mogę panu służyć? – zapytała z jadowitym uśmiechem tonem, który podpatrzyła u sekretarki dyrektora Kowalskiego, starej żmii.

– Widzi pani – mężczyzna zagryzł na chwilę wargi. – Ja mam z panią taki problem... Znieruchomiła.

– A właściwie z pani mieszkaniem.

Na słowo „mieszkanie” Anka momentalnie doszła do siebie.

A właściwie to wyszła z siebie.

– Słucham!!!? – wybuchnęła. – A co pan ma do mojego mieszkania, ja się pytam!!!? Moje mieszkanie! Zapłaciłam za nie! Może niewiele, ale to była okazja! Mieszkanie jest moje! Zbierałam na wkład własny pięć lat! Kredyt wzięłam na trzydzieści!

Wiktor cofnął się nieco. Najwyraźniej bał się rozhisteryzowanych kobiet.

– Ależ oczywiście, mieszkanie jest pani – powiedział uspokajająco. – Nikt nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Problem polega na tym, że...

hm... poprzednia właścicielka...

– Pani Lewandowska? – upewniła się Anka, patrząc z utęsknieniem na drzwi kabiny i zastanawiając się, czy byłoby bardzo nie na miejscu poprosić bezczelnego policjanta o chwilę dla siebie.

– Tak. Lewandowska była umówiona z pewnym dżentelmenem, z którym musimy w trybie natychmiastowym porozmawiać.

Anka zauważyła, że pomimo starań, by zachować profesjonalną obojętność, słowo „dżentelmen” wymówił z głęboką niechęcią.

– No ale ona już tam nie mieszka – powiedziała, przypatrując mu się uważnie. – Więc niech się umówią gdzie indziej.

– Cóż... – Wiktor łypnął okiem. – Pani Lewandowska gdzieś się nam... zawieruszyła – wypalił.

Anka roześmiała się.

– Ależ skąd! Wyjechała do Argentyny... – Nagle przerwała, a widząc poważną minę Wiktora, przestała się uśmiechać. – Nie wyjechała do Argentyny?

– A wyjechała? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– A ten ktoś wie, że sprzedała mieszkanie? – spytała.

– Nie.

– A wie, że zniknęła?

– Nie.

– Proszę, jaki pan potrafi być zwięzły. Wtedy, kiedy nie trzeba. Typowy facet – westchnęła, a potem zapytała jeszcze na wszelki wypadek: – Czy jestem w niebezpieczeństwie? Zabrzmiało to wyjątkowo melodramatycznie, ale mężczyzna dostosował się do klimatu sceny.

– Ależ, pani Aniu, przy mnie zawsze będzie pani bezpieczna – rzucił z błyskiem w oku tonem, który nie wróżył nic dobrego.

Anka spojrzała na niego przeciągle. Jej wściekłość rosła z każdą chwilą.

– Radzę te doskonale hasła zapamiętać i wypróbować ich moc na kimś innym. Co to za człowiek?

Małszyński odchrząknął i przestał się uśmiechać.

– Przystępca. Tyle powinno pani wystarczyć. Najlepiej by było, gdyby pani pozwoliła mi poczekać na niego pod pretekstem remontu mieszkania.

I nalegam, żeby pani wstrzymała się z przeprowadzką.

– Jak długo?

– Nie dłużej niż do niedzieli.

W głowie Anki pojawiła się babcia, matka i dziadek. I ojciec. I Michał. I Iga, jego narzeczona. Nie wspominając o duchach przeszłości, które tłumnie nawiedzały babcię.

– Nic z tego! – oświadczyła z mocą. – Ale – zawiesiła głos i spojrzała na mężczyznę spod oka – jestem skłonna pójść na kompromis i pozwolę panu wyremontować sobie mieszkanie. Ale naprawdę wyremontować, a nie udawać. Zapłacę za materiały, a robocizna za darmo – dodała.

Rzucił jej spojrzenie pełne niedowierzania.

– Z pani to jest szczwany lis, pani Aniu. Myślałem, że nauczycielki są ideowcami, że sprawy materialne nie są dla nich takie istotne, w końcu pracują prawie za darmo.

– Najwyraźniej zatrzymał się pan na etapie *Silaczki* – dogryzła mu, a potem złożyła oficjalne i stanowcze oświadczenie: – Zostaję w mieszkaniu i nie chcę żadnych problemów.

– W porządku – powiedział ostro, zakładając ręce – ale żeby pani nie żałowała. Będzie pani robić dokładnie to, co powiem, i nie stwarzać problemów. Nie może pani z nikim rozmawiać na ten temat. I nie może poruszać tej kwestii w mieszkaniu. Może być na podsłuchu.

– Na podsłuchu? Jak to? – zdziwiła się, a jej pewność siebie ulotniła się nagle jak wieczorna mgła. Przelknęła ślinę.

– Tak to. Czego to przestępcy nie zrobią, prawda? Co jeszcze...? Jeśli ktoś zadzwoni na domowy numer i zapyta o niejaką Sowę, proszę nic nie mówić, tylko odkładać słuchawkę – instruuował Wiktor, a widząc, że Anka chce jeszcze o coś zapytać, dodał stanowczo: – Nic więcej pani nie powiem.

Jak to było? Aha, dobro śledztwa... Ale o czym to ja... Właśnie. W nocy będziemy

obserwować mieszkanie z ulicy, bo mało ludzi wtedy chodzi. Łatwiej upilnować. A zresztą w nocy raczej nie przyjdzie, bo trudniej byłoby mu się przemknąć. Tylko proszę pamiętać, pełna dyskrecja. Nikt, powtarzam, nikt nie może się o tym dowiedzieć. Dla dobra śledztwa. I pani. – W jego głosie zabrzmiała groźba.

– To znaczy?

– Jeśli złamie pani umowę, nie będę w stanie pani chronić. I proszę zachowywać się normalnie, proszę wrócić spokojnie do stolika, jakby mnie pani nie spotkała. A jeśli przyjaciółka będzie dociekliwa, to proszę jej powiedzieć, że zmieniła pani zdanie. Wyjaśniliśmy sobie wszystko i zdecydowała się pani mnie wynająć.

– Ona wie, że mnie na to nie stać.

– Na raty, bez procentów.

Facet najwyraźniej nie znał Matyldy.

Anka nie odezwała się, mając przecucie, że będzie tego żałować. Wiktor spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Wymyśli pani coś. Ja zjawię się jutro z samego rana. I proszę przygotować zapasowe klucze. Oczywiście będę ich używał tylko, kiedy pani nie będzie w domu. Czy mam się spodziewać jeszcze jakichś lokatorów? Mąż?

Narzeczony?

– Nie – odpowiedziała krótko. I zazgrzytała zębami. Z irytacji.

Najwyraźniej usłyszał, bo rzucił jej uważne spojrzenie, po czym zapytał tonem, który wydał się jej wyjątkowo złośliwy:

– Nie spotkała pani jeszcze tego jedyne?

– Spotkałam, nawet kilku, ale co to pana obchodzi? – wyrzuciła z siebie z taką wściekłością, że od razu się zreflektował.

– Przepraszam – powiedział i zapukał cztery razy w drzwi toalety. A kiedy te uchyliły się, dodał bezczelnie: – Nie wiedziałem, że to drażliwy temat.

I zniknął.

Anka, dziękując w duszy za to, że nie zsikała się przy tym bezczelnym mężczyźnie, zamknęła się w najbliższej kabinie.

„Drażliwy temat, też coś! – wściekała się, zapinając pasek od spodni. – Normalnie, jakbym matkę słyszała”.

Kiedy już miała wyjść z kabiny, wpadło jej do głowy, że ów bezczelny policjant powinien być przecież pokazać odznakę. Ta inteligentna myśl pojawiła się jednak w niewłaściwym momencie i bezpowrotnie umknęła. Za drzwiami dał się bowiem słyszeć hałas i toaleta zaczęła zapęlniać się ludźmi. Konkretnie facetami. Zdenerwowanymi facetami.

– Kurde, co za ludzie! Dla jednego gościa zamknęli cały kibel – mówił jeden. – Akurat jak mamy przerwę na siura. Nie wiedzą, kurwa, jak to jest grać z pełnym pęcherzem na saksofonie.

– Jak taki nieśmiały i nie chciał publicznie się obnażać, mógł iść do kabiny – dodał drugi.

– Wątpię, żeby chodziło o nieśmiałość. Nie znam faceta, ale ten, co tarasował drzwi, to Bodzio. Kudłaty Edzio, wiesz, ten co jest tu kucharzem, opowiadał mi o nim. Ale lepiej, żebyście nie wiedzieli. Wiedza zabija – podsumował pesymistycznie pierwszy.

Anka usłyszała, że ktoś szarpie za klamkę do kabiny.

– No nie, kurde, gówniane życie, zepsuta!

Trzeci facet.

– Pewnie zamek się zaciął.

Czwarty, liczyła z przerażeniem Anka.

I wtedy zadzwonił telefon. Najwyraźniej przedłużająca się nieobecność przyjaciółki zaniepokoiła Matyldę. Anka przestała oddychać. Bojąc się tej strasznej ciszy, jaka zapanowała, odebrała i trzęsącym się głosem wyszeptała:

– Ratunku! Jestem w męskiej ubikacji!

Potem wzięła głęboki oddech i gwałtownie otworzyła drzwi kabiny. Liczyła na przewagę, jaką daje zaskoczenie. I nie pomyliła się.

– A! Kobieta! Kobieta zboczeniec! – krzyknął trzeci (prawdopodobnie) i w wielkim szoku odskoczył do tyłu, zasłaniając przyrodzenie.

Właśnie. W klasyfikacji generalnej niżej od zboczeńca jest już tylko kobieta zboczeniec.

Wszyscy faceci stojący przed pisuarami jednocześnie odwrócili głowy w stronę Anki. Przyrodzenia też. Lejący się po podłodze mocz potwierdził tylko jej opinię na temat męskich toalet. W głowie dziewczyny kołatała się tylko jedna myśl: nigdy w życiu nie widziała tyłu męskich członków jednego zespołu. Na raz.

Kiedy zaczęła się zastanawiać, czy ma pomachać i przedstawić się, czy od razu uciekać, drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Matyllda.

Głowy i przyrodzenia facetów powędrowały zatem w drugą stronę.

– Atak kobiet zboczeńców! Ratuj się, kto może! – krzyknął jeden z mężczyzn.

Tak. Stanowczo gorzej już być nie mogło. Matriarchat stał się faktem.

Anka dzielnie wyminęła zdezorientowaną grupę mężczyzn i dotarła do Matyldy bez żadnego uszczerbku na ciele. Straty moralne to kwestia odrębna, ale była przekonana, że z tym sobie poradzi.

– W nogi – syknęła i pociągnęła oszołomioną widokiem wszystkich tych męskich członków zespołu przyjaciółkę.

W pośpiechu zabrały swoje rzeczy ze stolika i nie oglądając się, ewakuowały z lokalu. Kiedy tylko znalazły się na zewnątrz, Matyllda wybuchnęła:

– A co to miało znaczyć? Co ty robiłaś w męskiej toalecie!?

Anka wzruszyła ramionami i drżąc z zimna, albo z emocji, zaczęła zakładać płaszcz.

– Jakiś dowcipniś mnie zamknął – skłamała bez zmrużenia oka. A potem zamówiła taksówkę.

Matyllda zaniemówiła. Głos odzyskała dopiero po kilkunastu minutach, gdy wsiadały do samochodu.

– Ty szczęściaro – powiedziała z wyraźną zazdrością. – Fajnie było!?

– No wiesz? – oburzyła się Anka, podnosząc kołnierz, by ukryć rumieniec. – Fajnie? Ty wiesz, jak odrażające są męskie toalety? Ten odór moczu, pisuary, męskie członki... – Spojrzała na Matyldę i zachichotała jak pierwszoklasista, który zobaczył majtki koleżanki. – Ekstra. Też cię kiedyś zamknę.

Taksówka ruszyła, a dziewczyny zajęte fascynującą konwersacją nie spostrzegły, że spod klubu jedzie za nimi jakiś samochód.

ROZDZIAŁ 18

Kiedy Anka wysiadła przed swoją kamienicą, dochodziła jedenasta.

Dziewczyna była straszliwie zmęczona wydarzeniami dnia, a najwięcej wysiłku kosztowało ją przekonanie Matyldy, że cała sprawa z krwiożerczym malarzem była tylko wytworem jej bujnej fantazji. Na szczęście przyjaciółka bardzo dosłownie rozumiała słowo „fantazja”. Doszła do wniosku, że fantazje Anki muszą mieć nieco masochistyczne podłoże, i nie

poruszała więcej tego tematu, aczkolwiek jedno było pewne: nigdy potem nie traktowała już przyjaciółki jak naiwnej marzycielki. Raczej jak niezłe ziółko.

Taksówka odjechała, zabierając ze sobą Matyldę, a Anka poczuła się nieswojo. Przez chwilę zastanawiała się, czy Wiktor obserwuje ją teraz z ukrycia, w końcu powiedział, że mają tu specjalny monitoring, ale jedynym monitorującym, i to gwiazdy, wydawał się bezdomny leżący w kartonie koło kontenera. Anka przywołała się do porządku i postukała palcem w czoło. I tak jej to nie obchodzi. Poza tym Wiktor nie interesuje się nią tylko kimś innym. Najważniejsze, żeby jej remont zrobił. Będzie miała w domu faceta, który wszystko zrobi, ale nie będzie musiała się nim zajmować. Witamy w idealnym świecie.

Zamykając wejściowe drzwi, zauważyła, że tuż obok przystanku tramwajowego zatrzymał się radiowóz. Wsiadł z niego jej nowy znajomy Marek w policyjnym wdzianku i charakterystycznej czapce. Najwyraźniej kończył zmianę, bo pożegnał się z kolegą i radiowóz odjechał. Korzystając z okazji, że jej nie widzi, obserwowała go przez szparę w drzwiach. Było w nim coś intrygującego. I to nie tylko mundur, choć ten najwyraźniej dodawał mu uroku. I seksapilu. Zawsze podobali jej się faceci w mundurach. Stała tak jeszcze chwilę, mając nadzieję, że Marek wejdzie, ale on usiadł na ławce przy przystanku i zwiesił głowę. Najwyraźniej nigdzie się nie spieszył.

Anka westchnęła z zalem i domknęła drzwi. Już miała zapalić światło, kiedy przypomniała sobie groźną minę pani Gieni i stchórzyła. Zrezygnowana rozpoczęła wędrówkę po omacku, dziwiąc się własnej słabości i zaczynając rozumieć, dlaczego Marek został na zewnątrz. „Pewnie będzie dzisiaj spać u babci i czeka, aż ta mocniej zaśnie”, pomyślała. Też by tak zrobiła. Starła się stąpać bezszelestnie, ale jej kroki w nocnej ciszy brzmiały jak trąbienie słonia o świecie. Kiedy wreszcie dotarła na miejsce i z ulgą włożyła klucz do zamka, drzwi obok otworzyły się z impetem i na klatkę schodową wylało się światło. Wraz z głośnym sykiem.

– Aha! – Wzniesiony oskarżycielsko palec pani Gieni urósł do rozmiarów maczugi Herkulesa. – A obiecywała pani, że nie będzie żadnych hałasów! Że nie pląta się pani po nocach. To takie osóbkki szkolą dzieci? Nic dziwnego, że społeczeństwo schodzi na psy. A ma pani być wzorem dla młodzieży!

– Ależ proszę pani... – zaczęła Anka zaskoczona, zastanawiając się, czy pani Gienia nie jest czasem spokrewniona z dyrektorem Kowalskim tudzież z jego sekretarką – starą żmiją.

– Żadnego „ależ” – przerwała jej ostro sąsiadka. – Proszę się poprawić!

– Potem złagodniała nieco i poprawiła siatkę na głowie. – A poza tym powinna pani zrozumieć, że ja naprawdę nie mam paranoi, ja wiem, że tu masa dziwnych ludzi się kręci i ostrzegam panią tylko dlatego, że nie chcę mieć tu pogrzebu. Już i tak widziałam dzisiaj karawan. Myślałam, że to Lewandowską wynoszą, ale przypomniałam sobie, że ona już tu nie mieszka. Potem myślałam, że to pani, ale jak się okazuje, pani nie trupem śmierdzi tylko alkoholem.

Anka zakaszłała.

– Ależ... nawet łyka nie...

– Taaak. W każdym razie proszę uważać.

Anka przełknęła ślinę i tylko pokiwała głową.

– Proszę się nie przejmować, w razie czego zawsze można zadzwonić po policję... – zaczęła, ale nie dane jej było skończyć.

– Swoje lata ma, a jaka naiwna – prychnęła pogardliwie pani Gienia. – Nie wie pani, że policja w dzisiejszych czasach nadaje się jedynie do ratowania kotów z drzew?

– Jestem przekonana, że pani wnuk, Marek, jest bardzo dobrym policjantem...

Sąsiadka spojrzała na nią obrażona.

– Ja z żadnym policjantem nie utrzymuję bliższych kontaktów, proszę pani – wysyczała,

jakby została zelżona w wyjątkowo perfidny sposób. – Wszyscy są skorumpowani. Bez wyjątku. Wnuk, syn, ojciec. Każdy jeden to porażka. Zresztą, już nawet nie pamiętam dokładnie... Marek? – Postukała się po głowie. – A nie Marcel?

– Jeden z dwóch na pewno – odpowiedziała z bladym uśmiechem Anka. – Proszę się nie przejmować. Dobranoc.

Potem skinęła jeszcze głową i zniknęła w swoim mieszkaniu. Rzuciła się na łóżko. Ostatnią twarzą, jaka zamajaczyła w jej głowie przed snem, była twarz policjanta. Ale którego? Tego po przebudzeniu Anka nie mogła sobie przypomnieć.

Tym bardziej że obudził ją krzyk.

Zerwała się ogarnięta nagłym strachem. Przez chwilę siedziała jeszcze na łóżku, po szyję przykryta kołdrą i przepełniona jakimś irracjonalnym lękiem. Fluorescencyjne wskazówki budzika wskazywały trzecią szesnastą. Nic więcej nie usłyszała.

Pomyślała, że krzyk to skutek uboczny stresu i wyjątkowo wysokich pisków Wiolali w cekinowych majtkach.

Położyła się. Nie mogła jednak zasnąć.

Po chwili na klatce schodowej usłyszała kroki. Skurcz w sercu. Bolesny rozkurcz. Dławiący strach. Wstała i na palcach podeszła do drzwi wejściowych. Kroki ucichły. Miała wrażenie, że ktoś stoi pod jej drzwiami.

Kiedy wyjrzała przez wizjer, światło zgasło.

ROZDZIAŁ 19

– Dzień dobry – powitał ją promienny uśmiech Wiktora. – Przyszedłem, jak się umówiliśmy.

Była szósta rano.

Anka rzuciła mężczyźnie zaropiałe spojrzenie i poprawiła szlafrok.

– Dzień wczesny – oświadczyła zachrypniętym głosem. – Natchnienie nie daje panu spać? – zapytała zła, że zgodziła się na to wszystko. Kryminalistę, bezczelnego agenta i broń jeszcze jest w stanie znieść, ale pobudka o szóstej rano to już doprawdy przesada!

Wiktor obdarzył ją jednym ze swoich bezczelnych uśmieszków, a potem wymownie przycisnął palec do ust.

– Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje – dociął jej już głośno, ale za to z uroczym uśmiechem.

– Rano to jest pojęcie względne, proszę pana, dla mnie nadal jest środek nocy – oświadczyła Anka butnie, nie widząc powodu, by owijać w bawełnę.

– Zazwyczaj klienci są zadowoleni, kiedy wcześniej zaczynam. Wtedy wcześniej kończę – mrugnął okiem. Jeśli miał nadzieję, że ją rozbawi, to się przeliczył. Świadomy swej porażki dodał: – A jak pani jest zmęczona, to proszę iść spać, mnie to nie przeszkadza.

Chciała mu odpowiedzieć, żeby się pilnował, bo jeszcze może go wyrzucić, kiedy ten, nic sobie nie robiąc z jej zaspanej obecności, ściągnął kurtkę i sweter. Najwyraźniej był facetem, który od słów do czynów przechodzi bardzo szybko. A gdyby jeszcze miała jakieś wątpliwości, zdjął podkoszulek. I już było po wszystkim. Słowa się jej pokręciły. Mózg ściał się jak jajo na patelni. Nagi, a w dodatku wyjątkowo kształtny tors Wiktora wyraźnie ją przytłoczył.

– Nie mogłabym już zasnąć – wymamrotała, zdziwiona własną reakcją, ale zadowolona, że głoski znowu zaczęły układać się w słowa. Pewnie dlatego, że Wiktor założył kombinezon.

Uciekła do łazienki. Umyła twarz zimną wodą, a potem spojrzała z wyrzutem na swoje

odbicie w lustrze. I znieruchomiła. Zobaczyła w swojej twarzy coś nowego... Jakiś od dawna niewidziany... blask? „Jutrzenki blask, kretynko!” – syknęło do niej odbicie w lustrze i postukało się po głowie. Zamknęła oczy. „Nie potrzebuję komplikacji. A facet to komplikacja. Nie potrzebuję teraz nikogo. Wszyscy faceci to takie duże dzieci”. Machinalnie wklepała w twarz krem, a potem fluid. I pomalowała rzęsy.

Opamiętała się, gdy wzięła do ręki szminkę, której nie używała od zeszyłych świąt. Zdenerwowała się. Ale potem, starając się myśleć racjonalnie, przekonała siebie, że zrobiła makijaż tylko i wyłącznie dlatego, że chce użyć tego faceta do własnych celów. I musi w pełni wykorzystać swoje atuty. Na jej twarzy pojawił się przebiegły uśmiech. Zrelaksowała się. Tak. Wiktor wykorzystuje ją, to ona wykorzysta jego. Uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze.

„Jesteś atrakcyjną młodą kobietą. Możesz osiągnąć, co chcesz. Tylko musisz się postarać. Ten facet to szowinistyczna świnią. Nie powinnaś mieć skrupułów. Bądź miła, wykorzystaj wszystkie swoje zalety i masz darmowy remont”. Dodała sobie odwagi odrobiną perfum, a potem wyszła.

Żeby poćwiczyć zdolności manipulacyjne.

Na początek postanowiła zaparzyć kawę.

Kiedy dotarła do kuchni, mijając po drodze przeróżne wiaderka, pędzle i inne narzędzia ułożone przez Wiktora w korytarzu niczym tor przeszkód, rozpakowała pudło, do którego, przysięgłaby, włożyła kawę. Niestety, znalazła tam wszystko, włącznie z płynem do kąpieli, jedynie kawy nie było.

Zagryzła wargi.

A potem weszła do salonu i oparła się o framugę drzwi. Przez chwilę obserwowała mężczyznę. Stał na drabinie i obstukiwał nie wiedzieć czemu ściany. Kiedy spojrzał na nią, powiedziała z głupawym uśmiechem:

– Zapropionowałabym panu kawę, ale zabrałam wszystkie niezbędne rzeczy, łącznie z płynem do kąpieli, a o kawie najwyraźniej zapomniałam.

– Zawsze może pani zaprosić mnie na kąpiel z pianką – oświadczył pogodnie.

Znieruchomiła. Przez głowę przemknęła jej wizja: ona i przystojny policjant w wannie pełnej piany. Ułamek sekundy, a tyle emocji.

Wiktor wybuchnął śmiechem.

– Żartowałem, pani Aniu – mrugnął do niej. – Ale wie pani co? Ja mam kawę. – Wskazał na termos wystający z zielonej torby stojącej pod oknem.

– Napije się pani ze mną?

Anka spojrzała podejrzliwie na torbę, a potem na niego.

– Zaprasza mnie pan na kawę?

– Czemu nie? To bardzo dobra kawa. Sam parzyłem. A z doświadczenia wiem, że nawet najlepsza kawa w samotności nie smakuje tak dobrze jak przeciętna w dobrym towarzystwie – powiedział poetycko.

Spodobało się jej to. Przytaknęła nagle przekonana.

– W takim razie zapraszam pana na śniadanie – wyrwało się jej. – Proszę do kuchni.

Choć w pierwszej chwili pożałowała swoich słów, wyciągając z pudełka i myjąc talerze, poczuła miłą odmianę. Pierwsze śniadanie w nowym mieszkaniu i to od razu z apetycznym mężczyzną. A wiadomo, apetyczny mężczyzna może zadziałać odpowiednio na kobiecy apetyt. Pewnie dlatego zrobiła się strasznie głodna.

Położyła naczynia na stole, a Wiktor rozlał kawę do kubków. Usiedli na rozklekotanych krzesłach. Anka upiła łyk. Dostała skrętu języka.

– A tfu! Chce mnie pan otuć!?

– Jak pani może – powiedział z udanym wyrzutem. – Nie smakuje pani moja kawa?
– Nie – odparła. – Moja przeciętna kawa w samotności jest przepyszna w porównaniu z tą...

Kolejny dreszcz.

Wiktor wzruszył ramionami.

– Trudno, może jest pani z tych, co to nie potrafią pić kawy w towarzystwie – zadrwił z niej z uroczym uśmiechem.

„Co? Ja jestem z tych...?” Ze złości przymknęła powieki. Ale tylko na moment. Potem z wymuszonym uśmiechem podniosła kubek do ust.

Kolejny łyk. Kolejny skręt. Tym razem gałek ocznych.

– Po drugim łyku smakuje duuużo... – przeszył ją dreszcz –... lepiej – dokończyła dzielnie, a jej serce rozszalało się nagle w rytm jednej z symfonii Beethovena. – Nie ma się co dziwić, że pan pije taką mocną kawę. W końcu wstaje pan jeszcze przed bladym świtem. Żona tak wcześnie pana z łó... z domu wypuszcza? – powiedziała, żeby zagłuszyć ciszę. Jednak zanim skończyła zdanie, już wiedziała, że nie wyszło tak, jak powinno. Ale Wiktor spojrzał na nią i uśmiechnął się zadowolony.

– Nie mam żony – wyjaśnił.

– Naprawdę? – zakrzuszyła się, a Beethoven dalej tworzył.

– Nie wierzę w małżeństwo – przyznał się szczerze. A na jego twarzy pojawił się bardzo seksowny uśmiech. Z tych, które doprowadzają kobiety do szału. – W końcu my, mężczyźni, jesteśmy tak różni od was, kobiet, że współżycie inne od intymnego jest wręcz niewyobrażalnie trudne. Niektórzy rzecz jasna próbują różnych kompromisów, najczęściej z marnym skutkiem, ale cóż... Ja nigdy nie byłem dobry w kompromisach.

Wziął bułkę z talerza Anki i ciągnął dalej:

– Proszę się zastanowić: do czego dążą w związku kobiety?

– Do szczęścia? – odpowiedziała automatycznie, choć naprawdę wcale nie miała ochoty się odzywać. Chciała odebrać mu bułkę, ale niestety już ją zdążył nadgryźć. Tylko dlatego odpuściła.

– Do małżeństwa – odpowiedział, jakby jej nie usłyszał. – Tak właśnie jest! Chcą małżeństwa i dzieci. Spotykają się z facetami, ale tak naprawdę już po tygodniu czekają na jakąś poważniejszą propozycję. Za waszym:

„Czy mnie kochasz?” w rzeczywistości kryje się całkiem poważne pytanie:

„Oświadczysz mi się, czy tracę z tobą czas?” Wtedy trzeba uciekać, gdzie pieprz rośnie – oświadczył zadowolony ze swojej przezorności.

– A szczęście i małżeństwo w parze nie idą? – zapytała.

Spojrzał na nią z pobłażliwością, z jaką traktuje się dzieci i wariatów.

– Oczywiście że nie! Przynajmniej nie w przypadku mężczyzny. Facet żyje pełnią życia, poznaje kobietę, a ta manipuluje nim tak, że się z nią żeni. Zasypia szczęśliwy, ale budzi się już w koszmarze. Im dalej brnie, tym gorzej. Żona wiecznie niezadowolona, wrzeszczące bachory... brrr... – Jego biceps zaczął drgać, co wyglądało na tik nerwowy. – I te żony ładujące tłuste obiady w tych biednych mężów, żeby nabrali zbędnych kilogramów i wypadli z obiegu, aby żadna inna się za nimi nie obejrzała... Słyszałem te potworne historie od moich kolegów. Straceńcy.

Anka wpatrywała się w niego zszokowana.

„Jezu kochany, co mi strzeliło do głowy, żeby zgodzić się na ten układ?”

Na piękne oczy go zatrudniłam. Pech. Właśnie. Pech. Pech ma piękne oczy. Koloru czekoladowego jak widać. Powinnam o tym pamiętać”.

– Tak! A druga cecha kobiet, której nienawidzę, to hipokryzja – ciągnął Wiktor. – Na

przykład kobieta zadaje nieśmiertelne pytanie: „Czy jestem gruba?”. Czego oczekuje?

Anka nie odpowiedziała.

– No właśnie – pochwalił ją Wiktor, jakby powiedziała dokładnie to, czego chciał.

Zagryzła wargi. „Faceci w ogóle nie słuchają, jak się do nich mówi. A jak się nie mówi, proszę, też nie słuchają. Za to wtedy im się wydaje, że się z nimi zgadzamy”, pomyślała.

– Oczekuje, że facet powie: „Ależ skąd, kochanie, wcale nie jesteś”.

Czyli kobieta czeka na kłamstwo, dzięki któremu poczuje się lepiej. Tak to z wami, kobietami, jest. Zamiast wziąć się w garść i poszukać siłowni, wolicie zmuszać faceta, żeby kłamał.

– Przecież mężczyzna swój rozum ma, nie musi kłamać – powiedziała Anka słabo, odsuwając talerz. Straciła apetyt.

– Właśnie! Swoją rozum ma! Jeśli odpowiedź nie jest zgodna z oczekiwaną, to potem głowa was boli przez miesiąc! I dramatyzujecie. O! To jest kolejna cecha, której nie mogę u was, kobiet, zrozumieć! Wasza fascynacja scenami dramatycznymi jest wręcz chorobliwa. – Westchnął ciężko i zamilkł.

Najwyraźniej przytłoczyła go jakaś kolejna refleksja egzystencjalna.

– Zabawne – powiedziała Anka po chwili ciężkostrawnej ciszy, ostentacyjnie wylewając kawę do zlewu. – W jednym się z panem zgodzę. Ja również nie wierzę w małżeństwo. Ale tylko i wyłącznie z jednego prostego powodu.

– Tak? – Wpatrzył się w nią z wyraźnym zainteresowaniem. – Z jakiego?

– Bo dzisiejsi faceci nadają się co najwyżej do zabawy w piaskownicy. A potem i tak trzeba po nich wymieniać piasek.

ROZDZIAŁ 20

– Dzień dobry – powiedziała Jolka i uśmiechnęła się do Beaty, poprawiając blond loki *a la* Marilyn Monroe. – Panie Danuta i Krystyna już są.

Pani Jadwiga znowu utknęła w korku.

Beata pokiwała uprzejmie głową i z trudem odrywając wzrok od karminowych ust Jolki, podeszła do biurka, przy którym Krystyna w okularach zsuniętych na czubek nosa wklepywała jakieś dane do komputera.

– Znowu system padł. Musimy zainwestować w lepszy serwer – zamruczała i spojrzała na Beatę znad okularów. – Siadaj, napijesz się kawy?

Beata ściągnęła płaszcz.

– Chętnie – odpowiedziała, sadowiac się wygodnie na kanapie.

Krystyna podeszła do ekspresu, przygotowała kubki i nacisnęła odpowiedni guzik.

– Aha, profil już prawie gotowy! – oświadczyła, wskazując pytającym gestem na cukier.

Beata z widocznym niesmakiem, w końcu dieta nie jest niczym przyjemnym, odmówiła, a potem przełknęła machinalnie ślinę i rozkojarzona zapytała:

– Czyj profil?

– Królewicza, którego szuka Ania. Oczywiście to tylko początkowy zarys i będziemy go na bieżąco weryfikować, ale na podstawie tego, co mówiłaś o jej byłych mężczyznach, o tym, jaka jest i co lubi, udało mi się stworzyć profil idealny. Tylko jeszcze muszę go wrzucić do naszej bazy danych.

– Bazy danych? – Zdumienie Beaty stawało się coraz większe, choć myślała, że już nic jej nie zdziwi.

– Tak – odpowiedziała Krystyna, wręczając jej kubek z kawą. – Może nie jest jeszcze bardzo rozbudowana, ale codziennie ją aktualizujemy, a poza tym zawsze kilku facetów znajdzie się w okolicy. I mamy doskonały program do kojarzenia par, stworzony przez dwóch znajomych informatyków z uniwersytetu. System nazywa się PA@UJ. Znak zastrzeżony!

– Fascynujące – powiedziała powoli Beata. Już miała dowiedzieć się czegoś więcej o szczegółach, kiedy pojawiła się Danuta.

– Co słyhać? – zapytała, klepiąc Beatę po ramieniu. Ta spojrzała spod oka, bo wciąż nie zdecydowała, czy gniewać się na przyjaciółkę za tak długie milczenie i okrycie tajemnicą owej interesującej inicjatywy. Z tego niezdecydowania aż posłodziła kawę.

– W porządku – odpowiedziała, jeszcze raz zawieszając spojrzenie na twarzy Danuty. Postanowiła jednak jej przebaczyć i dodała: – Tylko nerwowa jestem. Nie mam co robić, bo wesele Michała już dawno przygotowane, wszystko zapięte na ostatni guzik.

– Pewnie jeszcze zanim się zaręczyli, co? – roześmiała się przyjaciółka, a potem przybrała surową minę jak szefowa starająca się poskromić niezdyscyplinowanych pracowników, na horyzoncie bowiem pojawiła się wreszcie Jadwiga. Rozwiązała apaszkę i opadła na krzesło.

– Jak tam wczorajszy obiad ze swatami? – zapytała kąśliwie Danuta, wskazując wymownie na zegarek.

Jadwiga machnęła ręką.

– Dotarłam dopiero na deser. Patrycja była wściekła. Całe szczęście, że Konrad jest emerytowanym pułkownikiem i rozumiemy się bez słów. – Spojrzała wymownie na Beatę. – Widzisz, koleżanko, jak ważny może się okazać dobór rodziny?

– Czemu się spóźniłaś? – Danuta nie dawała za wygraną.

– Wszystko dzięki jednemu panu o wdzięcznym imieniu Marian, który oświecił mnie jak lampka policyjna przesłuchiwanego cwaniaczka.

– I co? Poraziło cię? – zapytała ironicznie Danuta, zupełnie zapominając, że pytała o spóźnienie do pracy.

– Dowiedziałam się czegoś bardzo ciekawego – oświadczyła zadowolona Jadwiga i rozparła się wygodnie na krześle, przejmując przy okazji kubek z kawą Beaty. – Moje panie, zainspirowana opowieścią wspomnianego pana Mariana, zamiast jechać na kolację z córką i jej teściami, krążyłam po sąsiadkach Anki, zbierając informacje. Wyobraźcie sobie, że wszystkie jak jeden mąż, stare czy młode, piękne czy brzydkie, twierdzą, że poprzednia właścicielka miała nieprzyzwoitą wprost liczbę facetów.

– Wstrętne zazdrośnice – mruknęła Krystyna, kiwając potępiająco głową.

– Przepraszam bardzo, ale co to w ogóle znaczy nieprzyzwoita liczba, co? – wyraźnie zainteresowała się Danuta. – Ile to jest przyzwoicie dużo, a ile już nie? Jaka liczba facetów różni kobietę mającą powodzenie od puszczańskiej?

Jadwiga wykrzywiła usta w ironicznym uśmiechu.

– Nie dopytywałam się – oświadczyła. – Ale na uspokojenie powiem ci, że nie należysz ani do jednej, ani do drugiej kategorii, moja droga, więc nie masz się nad czym zastanawiać. Wracając do raportu: z tego, co mówią ludzie, wynika, że ta cała Lewandowska ciągle sprowadzała sobie do mieszkania mężczyzn.

Beata wzruszyła ramionami.

– To już puszczać się nie wolno? – zapytała zła z powodu ogarniającego ją znowu niepokoju i odebrała koleżance kubek.

Jadwiga westchnęła ciężko.

– To zależy, czy profesjonalnie, czy amatorsko. Wygląda na to, że Lewandowska grała w lidze zawodowej.

– Co!? – Beata zadławiła się kawą. – Jezu kochany! Moje dziecko w burdelu! Ja tego nie przeżyję!

Kobiety spojrzały na histeryzującą koleżankę.

– Kochana! – huknęła Danuta – Uspokój się! Normalnie hormony przestają mi przy tobie działać! Czego buczysz?

– Bo moje biedne dziecko w tym mieszkaniu samo, a tam pełno zboczeńców dokoła. Krzywdę jej mogą... – Beata nie wytrzymała, łzy zaczęły spływać po jej policzkach.

Jadwiga spojrzała spod oka na szlochającą koleżankę i zrobiła minę, jakby właśnie dostała zimną zupę.

– Jakość kur domowych w ostatnich latach wyraźnie się pogorszyła.

Stanowczo za mało przebywają na świeżym powietrzu... – powiedziała głosem telewizyjnego lektora, ale Krystyna uciszyła ją wzrokiem.

– Beatko, Jadwiga ma manię prześladowczą i to uświadomioną – powiedziała spokojnym głosem. – Leczy się u mnie.

Jadwiga zarechotała, a potem po męsku klepnęła Beatę w ramię, przez co ta wylała kawę na swoje jasne spodnie. I na pewno nie poczuła się lepiej.

– Właśnie – parsknęła Danuta. – Wiesz, że ona sobie nad drzwiami umieszcza spinacz, żeby wiedzieć, czy ktoś otwierał drzwi, jak jej nie było w domu? Normalnie nerwica okopowa!

Beata przestała czyścić spodnie i obrzuciła Jadwigę podejrzliwym spojrzeniem.

– No ja przepraszam – zezłościła się tym razem Jadwiga. – Chyba każdy chciałby wiedzieć, czy ktoś myszkuje w jego domu, jak go nie ma, prawda? Nie wyjeżdżaj mi tu z nerwicą. Poza tym robię to tylko wtedy, kiedy Marcinek mieszka u ojca. I proszę mnie nie obgadywać, kiedy jestem obecna. Zawsze możecie to zrobić, jak już wyjdę.

Danuta podrapała się z powagą po odkrytym ramieniu, na którym można było dostrzec przyklejone w równym szeregu trzy plasterki, najwybitniejsze osiągnięcia cywilizacyjne.

– Lepiej bierzmy się do roboty, żeby Ania szybciej tego faceta znalazła – powiedziała swoim profesjonalnym tonem.

– Właśnie – poparła ją Jadwiga. – Bierzcie się do roboty, zamiast kwalifikować mnie jako nerwusa. A my, Beatko, damy dziewczynom trochę popracować i pojedziemy do Morfeusza. Musisz się przewietrzyć... dotlenić...

Brwi Beaty powędrowały w górę, niemal do linii włosów.

– Morfeusza? – powtórzyła przeciągle. – Kto to jest?

– Nasza tajna broń – wytłumaczyła Jadwiga, tak naprawdę niczego nie tłumacząc. A potem pociągnęła ją za sobą. Beata znowu dostała wypieków i myśląc intensywnie o tym, że stan psychiczny koleżanek jest poważniejszy, niż sądziła, dała się pociągnąć. Do Morfeusza.

Okazało się, że Morfeusz mieszka u Jadwigi, za czerwonymi drzwiami, na których wisi znak zakazu ruchu.

– Morfeuszkule, kochanie, mam prośbę – zawołała Jadwiga, pukając delikatnie do drzwi. Cisza. Drzwi pozostały zamknięte.

– Chyba go nie ma – powiedziała w końcu Beata. – Tego... Morfeusza.

Widząc jej podejrzliwą minę, Jadwiga nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Ależ jest. Radek, jego ojciec, zjawi się dopiero po dyżurze. Jest policjantem – zaczęła tłumaczyć. – Marcinek nie odzywa się do mnie, bo od dłuższego czasu ma kryzys. Wiesz, to normalne. – Starła się przekonać przede wszystkim samą siebie. – Jest w klasie maturalnej, buntuje się.

Przeczytał o tych hikikomori i oświadczył, że świat jest zły i on się będzie izolował. Kazał nazywać się Morfeusz i zamknął w pokoju. Nawet do łazienki wychodzi, gdy nikogo nie

ma w pobliżu. Już tydzień go nie widziałam!

Beata wpatrzyła się w znak zakazu ruchu.

– I co? Nie martwi cię to? – zapytała.

– Jeszcze nie. Dowiedziałam się, że w Japonii to nawet normalne. Krystyna mówi, żeby jeszcze trochę poczekać, a co najważniejsze, starać się jednak utrzymywać z nim kontakt. Jak zmieni otoczenie, to może mu się poprawi. A na razie dbam, żeby miał zajęcie. Pomaga nam w weryfikacji danych. Jest tak dobry, że jeśli tylko ma nazwisko i imię, rok urodzenia, adres albo po prostu szczęście, to każdą informację wydobędzie. Czasami sprawdza nam osoby już wybrane przez dzieci, co do których matki mają wątpliwości. Tak jak ty.

Beata odruchowo pokiwała głową, ale ogarnięta nagłym podejrzeniem, zapytała:

– A jak zdobywa te wszystkie informacje?

– No... – zawahała się Jadwiga, pukając do drzwi jeszcze raz – z różnych źródeł. W internecie wiele ciekawych rzeczy można wyszukać. Ja się na tym dokładnie nie znam, ale on jest niesamowity. Wszystko znajdzie.

Nawet tam, gdzie inni pochowali. Morfeusz złamie każde zabezpieczenie – powiedziała z wielką matczyną dumą. – Czasami bawi się komputerem ojca. Wtedy to dopiero ma informacje...

– A czy to nie jest hakerstwo? Czy jakoś tak?

– No proszę, kura domowa, a jakie wyrażenia zna. – Jadwiga przestała się uśmiechać, zaraz jednak machnęła ręką. – Nie wiem, skąd od razu takie straszne słowa ci przychodzą do głowy. Po prostu Morfeusz potrafi znaleźć to, co inni chowają. To taka internetowa zabawa w chowanego, w której jest wyjątkowo dobry... – przerwała, bo Morfeusz wreszcie postanowił się ujawnić i wsunął w szparę pod drzwiami kartkę. Z trzema wściekłymi pytajnikami. Bardzo obrazowe.

Jadwiga, przyzwyczajona zapewne do tej jakże nietypowej międzypokoleniowej konwersacji, uśmiechnęła się czule i szepnęła:

– Nawet dobrze, że głosu nie ma, nie uważasz?

Beata pokiwała głową, wyjątkowo zgadzając się z opinią koleżanki, a Jadwiga odchrząknęła i powiedziała dużo głośniejszym głosem:

– Słuchaj, Morfeuszu, mam na razie dwa nazwiska. – Zapisała na kartce drukowanymi literami: „Fryderyk Szopa, nauczyciel muzyki w szkole podstawowej, lat trzydzieści cztery, urodzony w Warszawie” i „Janusz Kowalski, dyrektor tej samej szkoły. Jego dane osobowe w kuratorium”.

Szybko wsunęła kartkę pod drzwi, a potem ręką dała Beacie znak do ewakuacji. Najwyraźniej audyencja dobiegła końca. Wszak każdy geniusz potrzebuje czasu, przestrzeni i spokoju do pracy.

Beata, nieco zawiedziona, że nie dostąpiła zaszczytu poznania Morfeusza osobiście, została wyprowadzona z budynku i zmuszona do ponownego zajęcia miejsca w samochodzie.

– Teraz dokąd? – zapytała zniecierpliwiona, patrząc na zegarek. Było już późno, a ona nie miała jeszcze zaplanowanego obiadu.

Jadwiga zapaliła silnik i uśmiechnęła się.

– Dziewczyny pewnie odwały już większość papierkowej roboty... – A potem ni z tego, ni z owego powiedziała: – Danka wspominała, że grasz w brydża.

Na myśl o ulubionej rozrywce na twarzy Beaty pojawiły się rumieńce.

– A gram... Lekarz zalecił mi uprawianie sportu, to zapisałam się do klubu brydża sportowego. – Konspiracyjnie mrugnęła okiem, momentalnie zapominając o obiedzie.

– W takim razie wracamy do biura na partyjkę. Zobaczymy, jak się grywa w kurnikach – mruknęła wyzywająco Jadwiga.

I pojechały.

ROZDZIAŁ 21

Anka powoli szykowała się do pracy. Kątem oka obserwowała Wiktora stojącego na drabinie. Kontemplowała jego wcześniejsze wynurzenia na tematy egzystencjalne. I ciało. Szukała też racjonalnego powodu jakże przesadzonej reakcji swojego organizmu na widok tych prężących się przed nią mięśni. Kiedy jej wzrok zawisł na jego pośladkach, przestała myśleć. Ale tylko na chwilę. Z zalem doszła do wniosku, że coś ze światem nie jest do końca w porządku, bo dlaczego facet, na widok którego bezmyślnie malujemy sobie usta, jest szowinistycznym dupkiem?

Z zadumy wyrwał ją dźwięk dzwonka. Pośladki Wiktora spięły się, a jego oczy złapały jej spojrzenie. Zawieszona na jego tyłku.

– Czy czeka pani na kogoś? – zapytał, udając, że nie widział, w co się wpatrywała. Zszedł z drabiny.

Anka zmieszała się jak dziecko przyłapano na podjadaniu cukierków, a potem rzuciła na niego wściekłe spojrzenie. W końcu to jego wina. Trzeba było nie wchodzić na drabinę. I nie wkładać obcisłego kombinezonu.

– Na królewicza z bajki – odparowała i ruszyła w stronę drzwi.

Kiedy przechodziła obok niego, chwycił ją niespodziewanie za rękę i przyciągnął do siebie. Znieruchomiała.

– To nie zabawa – dotarł do niej ledwo słyszalny szept, który powoli zamieniał się w jej głowie w krzyczące echo. To nie zabawa...! Nie zabawa...! Zabawa...

Przełknęła ślinę.

– Rozumiem. Nie ma zabawy, jak się gości nie lubi... – powiedziała prowokująco. Też szeptem. Trzęsąc się z emocji. Nie była tylko pewna, czy te emocje wzbudzała niepewność, kto stoi za drzwiami, czy mocny dotyk i niespodziewana bliskość tego mężczyzny.

Kąćki ust Wiktora podniosły się w niekontrolowanym uśmiechu.

– Dobrze to pani ujęła, nie lubię gości. Z natury jestem samotnikiem – szepnął jej wprost do ucha. Miała wrażenie, że mężczyzna nie ma ochoty jej puścić. – Pewnie dlatego kobiety długo ze mną nie wytrzymują.

– Naprawdę? A ja myślałam, że to dlatego, że ślubował pan wierność swojemu *ego* – nie wytrzymała. Uwolniła się z uścisku jego stalowego ramienia i podeszła do drzwi. Spojrzała przez wizjer. I zupełnie ją zamurowało.

Za drzwiami stał Marek Kochanowski. W rękach trzymał duże pudło.

Odwróciła się do Wiktora.

– To mój znajomy – oświadczyła zadowolona, a kiedy bez słowa zniknął w salonie, pokazała mu język i wyzywając się w duchu od niedojrzałych emocjonalnie gęsi, otworzyła drzwi. Marek uśmiechnął się radośnie na jej widok.

– Dzień dobry. Przepraszam, że tak wcześnie, ale przechodziłem, bo...

idę do pracy, a babcia powiedziała, że już od godziny pani hałasuje, więc nie chciałem z tym czekać. Mam coś dla pani – powiedział podekscytowany. Wręczył jej pudełko.

Otworzyła. W środku była lampa.

– Taka sama jak ta, którą pani rozbiła – powiedział pomocnie, na wypadek gdyby nie zauważyła.

– Dzięki panu – wyrwało się Ance, ale od razu się poprawiła, doceniając jego gest. – To

znaczy... dziękuję panu. Rzeczywiście, taka sama. Ale nie trzeba było...

– To nic takiego. Znalazłem w Ikei, nawet pięciu minut mi to nie zajęło.

Może przejdziemy na ty? – zaproponował nagle, a kiedy pokiwała głową, uśmiechnął się trochę nieśmiało i dodał: – Aniu, potraktuj to jako prezent na nowe mieszkanie. Staram się ciebie przekupić, żebyś zaprosiła mnie na parapetówkę. Czy to źle? – Zrobił skruszoną minę.

Anka parsknęła śmiechem.

– Ach, więc to forma przekupstwa? Twoja babcia ma rację, wszyscy jesteście skorumpowani.

– Proszę, masz dowód na moją korupcję... – przerwał, bo nagle z salonu wyszedł Wiktor z wiaderkiem.

– To malarz – wyjaśniła Anka, widząc pytające spojrzenie Marka.

„Szowinista”, dodała w myślach, a panowie skinęli sobie głowami, obrzucając się uważnymi spojrzeniami. Kiedy Wiktor zniknął, tym razem w łazience, Anka odchrząknęła i powiedziała: – Wracając do parapetówki, to na pewno zrobię, ale po remoncie. I będziesz na początku mojej listy gości.

A jak babcia?

Uśmiech Marka wyraźnie przygasł.

– Trochę źle się ostatnio czuje – westchnął ciężko. – To przez pogodę, zawsze była meteopatką. Jesienią wpada w takie stany otępienia, że budzi się dopiero na wiosnę.

– Wiesz, że czekała na mnie wczoraj wieczorem?

– Naprawdę? Jezu, co ja z nią mam! Pewnie ci dokuczała. Strasznie cię przepraszam, tyle z nią ostatnio problemów. – Speszył się i zasmucił. – Pogarsza się jej...

– Zauważyłam, że nie lubi policjantów...

– Wstydzi się mnie – zagryzł wargi. – Wiesz, ona uważa policjantów za idiotów, jak w tych dowcipach. Ironia losu, prawda? Człowiek ciężko pracuje dla społeczeństwa, a własna babka... ech, szkoda gadać...

Anka postanowiła go pocieszyć. Miał taką smutną minę.

– Nauczycieli też nie lubi – powiedziała z uśmiechem. Ożywił się.

– To prawda. Za strażakami zresztą też nie przepada. I za listonoszami.

Zaczęliśmy się z mamą zastanawiać, czy to nie jest przypadkiem objaw jakiejś choroby psychicznej, nawet chcieliśmy ją zabrać do lekarza, tylko że... – zawiesił głos z powagą. Ale nie wytrzymał. Uśmiechnął się. – Babcia nie znosi lekarzy i zakomunikowała nam, że woli umrzeć, niż udać się na konsultacje. Pozostaje nam tylko jej pilnować, bo już raz pogoniła listonosza. Ale nie martw się, dopilnuję, żeby więcej ci się nie naprzykrzała.

Spróbuję ją przekonać... – mrugnął, ale westchnął przy tym, jakby miał dokonać czegoś niemożliwego.

Potem pożegnał się szybko i wyszedł, a Anka stała jeszcze przez chwilę przy drzwiach i w zamyśleniu pocierała lampę. „Jak to możliwe, że taki fajny facet ma taką straszną babcie. Ciekawe, jaka jest jego matka?”

ROZDZIAŁ 22

– Pas – oświadczyła Krystyna, podnosząc głowę znad kart. Potem przeciągnęła się leniwie i spojrzała na komputer. Na jej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia. Wskazała palcem na ekran. – Chyba mamy trafienie, drogie panie – powiedziała.

Beacie z podekscytowania wypadły karty. Zapiszczała i podbiegła do biurka.

– Pokaż!

Jadwiga z wyraźnym niezadowoleniem na twarzy odłożyła karty.

– Może byśmy tak dokończyły partyjkę – mruknęła. Danuta wzruszyła ramionami.

– Co mamy kończyć? Przerznięłyście jak amen w pacierzu, drogie panie. Mówiłam wam, że Beata to zupełnie inna liga.

– Cóż... – westchnęła Jadwiga, przyjmując porażkę po swojemu. – Kury domowe też czasami potrafią zadziwić... lotnością.

Ale żadna z koleżanek nie zwracała już uwagi na jej mruczenie. Krystyna przeglądała znalezione dane, które system dopasował do profilu Ani, i objaśniała Beacie sytuację.

– Widzisz, faworytów jest trzech. Tutaj mamy panów z naszymi systemowymi numerami piętnastym, dwudziestym i trzydziestym pierwszym.

Numer piętnaście to Tomasz Kowal, fotograf, lat trzydzieści pięć, lubi muzykę klasyczną... O, zdjęcie tu nawet mamy...

– Fajny – mruknęła Jadwiga wpatrująca się w ekran znad brydżowego stolika. – Wygląda jak jeden z tych poetów romantycznych. Podoba mi się.

– A ten? – zapytała Beata, wskazując na numer dwudziesty.

– To okulista. Rafał Kawa. Ma strasznie fajną matkę i gabinet przy Karmelickiej. Ciekawa opcja. Jest jeszcze jeden. Krzysztof Zajac. Prawnik, ale bez aplikacji. Pracuje jako agent ubezpieczeniowy.

– Ania też kiedyś chciała być prawnikiem, ale zmieniła zdanie...

Beata nie dokończyła, bo drzwi otworzyły się niespodziewanie i ukazała się w nich wróżka z podniesioną ręką.

Jolka wydała z siebie słaby pisk, a potem zerwała się z krzesła. Papiery dotąd równo ułożone na biurku rozsypały się na podłodze.

– *Madame* Klara? – wyjąkała sekretarka, wpatrując się w ekscentryczną postać. – Ale mnie pani wystraszyła... Skąd pani zna kod do drzwi?

Wróżka spojrzała na nią, jakby Jolka pytała o rzeczy oczywiste, a potem, wyraźnie wzburzona, w nerwowych podskokach podbiegła do stojących przy komputerze kobiet. Wachlowała się swoją rozłożystą spódnicą, nie zdając sobie sprawy, że przy okazji prezentuje wyjątkowo owłosione nogi.

Beata przełknęła ślinę i cofnęła się o krok. Wróżka chaotycznie skakała spojrzeniem od jednej kobiety do drugiej, by w końcu zatrzymać wzrok na Krystynie.

– Ty! – zapiszczała i wycelowała w swoją ofiarę zakrzywiony palec. I nos.

Krystyna poprawiła okulary, a potem zapytała profesjonalnie:

– Dzień dobry, Janinko. Czy coś się stało?

– A stało się! – wybuchnęła wróżka. – Miało być tak różowo i co!? I

gówno, a nie różowo! Patrzę sobie na horoskop, na wszystko i znowu śmierć widzę! Mam w nosie taką pracę! Znowu mam wizje. A mówiłaś, Krystyna, że mam remisję... Potrzebuję sesji! – oświadczyła. – Natychmiast.

Pod Beatą ugięły się kolana. Usiadła na kanapie i wpatrzyła się we wróżkę.

– Krystyna zaraz będzie do twojej dyspozycji, Janinko. Ale... horoskop masz? – zapytała spokojnie Danuta, nie zwracając uwagi na szalony wzrok *Madame* ani na bladość Beaty.

– A pewnie, że mam! Weźcie to ode mnie! – krzyknęła rozhisteryzowana wróżka i rzuciła w Danutę papierową kulka. – Co za pech! A mój kot... – Spojrzała tragicznym wzrokiem na kobiety, ale nie doszukała się ani odrobiny współczucia. – Czy możemy zrobić sobie leczenie grupowe? – rzuciła nagle. – Bez dopłaty – zaznaczyła.

– Ja się nie piszę – prychnęła Jadwiga. – Mam terapię indywidualną.

– Ależ ja nie mówię o was, tylko o Pechowcu. Mój kot też potrzebuje leczenia.

Danuta popatrzyła wymownie na Krystynę i uśmiechnęła się rozbawiona.

– Pani doktor, proszę czynić swoją powinność. I stanowczo nie zapominać o kocie. To takie utalentowane zwierzę. My sobie tu poradzimy.

Wróżka parsknęła.

– Poradzicie? Dobrze wam radzę, zostawcie tę małą w spokoju. Cała sprawa śmierdzi trupem. – Chciała jeszcze coś dodać, ale Jadwiga zerwała się z kanapy.

– Oczywiście, Janinko. A ty weź sobie dzień wolny i zrób coś dla społeczeństwa, na przykład ogól nogi – oświadczyła impertynencko, wskazując na wystające spod spódnicy łydki wróżki.

Madame Klara znieruchomiała, a potem z prawdziwą nienawiścią zaczęła wyciągać szponiaste palce w stronę Jadwigi. Krystyna zdążyła jednak złapać wróżkę za rękę, zanim ta użyła swojej mocy tudzież szponów wobec bezczelnej znajomej, i westchnąwszy ciężko, wyprowadziła ją z biura. Kiedy tylko zniknęły za drzwiami, Beata odzyskała głos.

– Ania! Trzeba na policję – zapiszczała.

Jadwiga wróciła na kanapę.

– Chcesz jechać na policję, bo wróżce się pogorszyło? – spytała, wzruszając ramionami. – Przecież to stara wariatka. Nic się nie dzieje.

Danuta także wydawała się niczym nie przejmować. Z kamienną twarzą rozprostowała papierową kulkę i wklepała do komputera jakieś cyferki. Po chwili nazwiska zmieniły kolejność.

– Dobra – powiedziała zapatrzona w monitor. Jej obojętna mina uspokoiła nieco Beatę, aczkolwiek nadal miała pewne obawy. – Według gwiazd najlepszą parę z Anią tworzyłby nasz kandydat numer... dwadzieścia.

Okulista. Drugi będzie fotograf, a prawnik nadal na miejscu trzecim.

– Czyli... – Beata wyczekująco zawiesiła głos.

– Czyli do roboty! – Danuta wpisała jakieś hasło i na ekranie pojawił się plan dnia okulisty... zaktualizowany przez jego matkę. – Jeśli kandydat jest, jak my to nazywamy, *live*, to możemy go w każdej chwili zlokalizować.

No mniej więcej – tłumaczyła. – To kwestia skuteczności matek. O to, by dane były właściwe, dbają przede wszystkim one. Nie trzeba im nawet przypominać. Wiedzą, że jeśli raz zapomną, to wymarzony królewicz czy królewna może przejść dzieciom koło nosa. Zobaczmy, co dzisiaj robi nasz okulista...

– Ale jak to? – zdziwiła się Beata i momentalnie strach jak wielka pijawka zaczął ssać jej serce. – Już dzisiaj!?

– A na co chcesz czekać? Już się chyba Ania wystarczająco długo naczekała. O której będzie w domu?

– Nie wiem, muszę się upewnić.

– To zadzwoń do niej i zapytaj – powiedziała stanowczo Danuta, podając jej telefon. – Aha, i od razu umów ją na jutro z fotografem. Zamówimy jej profesjonalną sesję zdjęciową.

– Ale... ona się nie zgodzi.

– Zgodzi się. Każda dziewczyna ma w sobie odrobinę próżności. Zobaczysz, nie oprze się pokusie. Sprawdzimy, czy zaiskrzy z fotografem. Jeśli nie, to za kilka dni znowu coś zaaranżujemy, z nowym kandydatem. A teraz zajmijmy się naszym okulistą... – Zapatrzyła się znowu w ekran. – Ma prywatny gabinet przy Karmelickiej... to nie po drodze. Dzisiaj kończy koło czwartej... Nie... – Spojrzała na koleżanki. – Nie mają szans się spotkać.

Trzeba go po coś posłać.

– Zaraz obok mieszkania Ani jest pralnia – podpowiedziała Jadwiga, ziewając.

– Może być i pralnia – mruknęła Danuta, a potem spojrzała na spiętą Beatę. – Dzwon do Ani. A ja zatelefonuję do matki naszego okulisty, żeby znalazła coś do prania... już na dzisiaj.

ROZDZIAŁ 23

– Pani wygląda na zmęczoną – oświadczył Antoś Majewski, uważnie przypatrując się z pierwszej ławki swojej ulubionej nauczycielce.

Anka machinalnie poprawiła włosy. Cierpliwość i pogoda ducha to klucz do sukcesu w pracy pedagogicznej.

– Nie wyspałam się – oświadczyła z przyklejonym uśmiechem.

Dzieci aż buzie pootwierały z oburzenia.

– Jak pani mogła!?! – wyrzucił z siebie Antoś. Aż napluł sobie na sweterek. – Zawsze nam pani mówi, że trzeba się wysypiać, żeby mieć siłę do nauki i zabawy – zadeklamował. – Dlaczego dorośli mówią nam jedno, a sami robią coś innego?

Nawet nie zdążyła się zdenerwować, bo odezwała się Maja.

– Pewnie nasza pani ma nowego narzeczonego – zaczęła chichotać. – Moja siostra też tak wygląda, bo wreszcie znalazła narzeczonego i teraz spać nie może. Tata mówi, że dlatego, że się boi, żeby jej żadna sprzed nosa go nie sprzątnęła, ale ja tam nie wiem, bo jak śpi u niego, to wygląda jeszcze gorzej. Mama mówi, że miłość wykańcza i dlatego ona sama jest już wrakiem człowieka. I nie ma zamiaru więcej się poświęcać.

Tomaszek pokiwał z ubolewaniem głową.

– Mój tato mówi, że kobiety to są zmęczone przede wszystkim tym, że się im za dużo wydaje.

– Właśnie. Za dużo chcą od mężczyzn. A mężczyźni nie lubią się męczyć, wie pani? – oświadczył Robuś. Z pełnym przekonaniem.

– Moja mama mówi, że mężczyźni to straszne lenie i już nic nie robią! – Karolina też chciała wziąć udział w dyskusji.

Bardzo ubodło to Tomaszka.

– Jak to nie? – zbulwersował się. – A dzieci? Dzieci robią! – Spojrzał na bladą nauczycielkę, szukając u niej wsparcia, i dodał: – Siostra mi powiedziała.

Anka zamknęła oczy. Zapowiadał się bardzo stresujący dzień.

ROZDZIAŁ 24

Beata i Danuta siedziały w samochodzie. Jak co dzień o tej porze ulice szczytowały natłokiem samochodów, autobusów i ludzi. Nie wspominając nawet o psach. Przyjaciółki miały doskonały widok na wejście do kamienicy, w której znajdowało się mieszkanie Ani. Mogły też bez przeszkód obserwować pralnię chemiczną i przystanek tramwajowy oraz kiosk Ruchu.

– Ten Fryderyk to katastrofa, zobacz – Danuta wskazała na wykaz dyplomów uczestnictwa w konkursach i listę prestiżowych nagród. Przeglądała właśnie raport na jego temat, który niespodziewanie szybko przysłał Morfeusz. Najwyraźniej pierwsze, co zrobił po przeprowadzce do ojca, to zamknął się z komputerem w pokoju. – Nie rozumiem tego. Zdolny, ukończył najlepsze szkoły muzyczne, stypendium zagraniczne, i co? Uczy muzyki w podstawówce. Czy to ma sens? Na miejscu jego matki też bym sobie z głowy włosy rwała.

Beata westchnęła ciężko i oderwała wzrok od okna.

– Właśnie. Już rozumiesz, dlaczego mnie to tak niepokoi?
– Nie przejmuj się. Chłopak pewnie boi się wiązać. A może sprawa jest jeszcze prostsza?
Może jest nienormalny?
Beata parsknęła śmiechem.
– Bardzo przepraszam, ale jak tak na was patrzę, drogie matki swatki, to sama już nie wiem, co jest normalne, a co nie... – Pokiwała głową. – A dyrektor? Coś ciekawego?
Danuta sięgnęła do drugiej teczki.
– Niewiele wiadomo. Facet wydaje się bez skazy, ale siostrą Teresą to on na pewno nie jest – mruknęła i pokazała jakieś wydruki. – Morfeusz zdołał zerknąć na profil jego żony na jednym z portali społecznościowych.
Popatrz na to.
– Zdjęcia z wakacji. – Beata wzruszyła ramionami, zauważając nie tyle palmy i plaże jak z widokówki, co młodą i wyjątkowo seksowną panią Kowalską.
– Nie rozumiesz? Zastanów się. On jest nauczycielem... Z tego, co umieszcza na swoim profilu jego młoda żonka, podejrzewam zresztą, że bez wiedzy mężusia, wynika, że na egzotyczne wycieczki jeżdżą dwa razy w roku. Do tego narty w Austrii, Sylwester w Monte Carlo...
– Co sugerujesz? Myślisz, że ma drugie źródło dochodów? – Beata spojrzała na nią podekscytowana.
Danka wsadziła teczkę do torby i ściągnęła okulary.
– Na pewno. Tylko że nieopodatkowane. Bierze w łapę.
Beata opadła na siedzenie.
– Takie coś trzeba udowodnić...
Danuta pokiwała głową, ale nie zdążyła nic więcej powiedzieć, bo odezwała się krótkofalówka.
– Trójka wiezie mleko – usłyszały głos Krystyny. – Czas dostawy: 16.09. Zobaczymy się za chwilę.
Danuta sięgnęła po komórkę.
– Co to miało znaczyć? – zdumiała się Beata.
– A widzisz! Nie sprawdziłaś tajnych haseł.
– Bo nie widzę takiej potrzeby. Po co wam to?
– Żeby było śmiesznie. Panie w średnim wieku też się chcą czasami powyglądać. – Danuta przyłożyła telefon do ucha. – Pani Karolina? Tu Danka, 16.09. Powtarzam 16.09. Kiedy odkładała komórkę, w otwartym oknie samochodu pojawiła się nagle głowa Jadwigi.
– Wszystko przygotowane – zameldowała. – Załatwiłaś sprzęt?
– W bagażniku – rzuciła krótko Danuta.
Jadwiga niezmiernie zadowolona obeszła auto. Beata obserwowała w lusterku, jak jej twarz znika na moment przysłonięta klapą, a potem pojawia się znowu, rozpromieniona, jakby właśnie dane jej było dostąpić niebiańskich rozkoszy. Tknięta złym przeczuciem wysiadła z samochodu.
– Co to jest? – zapytała oniemiała, patrząc na czarny futerał w rękach Jadwigi.
– Karabin snajperski – rzuciła niedbale koleżanka.
Beata poczuła, że jej nogi, pomimo otulających je ciepłych rajstop, zmieniają się nagle w zimne nóżki. A może machinalnie pomyślała o jutrzejszym obiedzie?
– Naprawdę? – wyszeptała.
Jadwiga przyglądała się przez chwilę ze śmiertelną powagą bliskiej zawału koleżance, a

potem ryknęła śmiechem.

– Wyluzuj, kobieto, to tylko luneta z aparatem cyfrowym!

Na dowód tego, że mówi prawdę, otworzyła futerał i wyciągnęła lunetę, a potem przytuliła się do niej z prawdziwym uczuciem.

– Oto godne narzędzie inwigilacji – mówiła zadowolona. – Carl Zeiss PhotoScope 85 T* FL ze zintegrowanym aparatem fotograficznym i wyświetlaczem ciekłokrystalicznym. Cudo. Wszystko w jednym. Niezastąpiony podczas polowań. – Widząc jednak, że mina Beaty nadal jest nietęga, w przeciwieństwie do jej raczej tęgiej sylwetki, sprecyzowała cierpliwie: – Chodzi mi o bezkrwawe łowy, robienie zdjęć.

Beata przełknęła ślinę.

– A po co ci to?

– Jak to: „po co”? To, że poprzednia właścicielka mieszkania Ani prowadziła działalność taką, a nie inną, może nieść za sobą pewne... reperkusje.

– Reperkusje, powiadasz? – skrzywiła się Danuta, która też zdążyła już wysiąść z samochodu i grzała twarz w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

– Właśnie. I przed nimi musimy Anię ochronić, a ja, nie chwaląc się, mam doświadczenie. I szósty zmysł – powiedziała Jadwiga z naciskiem, a widząc przerażoną minę Beaty, roześmiała się. – Ależ nie denerwuj się.

Lunetkę już mi dawno Danka obiecała, ale dopiero ostatnio znalazły się fundusze. Uważam, że takie zabawki znacznie ułatwiają i uprzyjemniają pracę, prawda?

– Obywatelka Jadwiga uwielbia inwigilować społeczeństwo. – Danuta ziewnęła, wyciągnęła z kieszeni mały przedmiot i wręczyła go Jadwidze, która ku niezmiernemu zdziwieniu Beaty wsadziła sobie to coś do ucha. A potem pokazała Danucie język.

– I takim dają świadectwa dojrzałości. – Danuta pokręciła z ubolewaniem głową, patrząc na zadowoloną koleżankę jak na przypadek zidiociałego jeża. – Totalna porażka systemu edukacyjnego...

– Co ona ma w... – zaczęła Beata, ale przerwał jej dźwięk przychodzącego SMS-a i uroczysty głos Danuty:

– Mleczarz w drodze.

Jadwiga zasalutowała i odłożyła pieczołowicie lunetę na tylne siedzenie, a Danuta z miną generała wyprawiającego na wojnę swojego żołnierza powiedziała:

– Powodzenia. Utrzymujemy stały kontakt. Tu nie ma miejsca na błąd.

Tu chodzi o czyjeś szczęście.

Jadwiga rozejrzała się uważnie i poprawiła tkwiącą w uchu miniaturową słuchawkę. Potem machinalnie sprawdziła, czy pasek od torebki łatwo się odczepia, w co nie wątpiła, bo oliwiła go równie często jak swojego walthera, którego nielegalnie, tak na wszelki wypadek, trzymała w sejfie w biurze. Wszystko działało jak należy. Z wyjątkiem bohatera. Ten pojawił się trochę za wcześnie.

Jadwiga rozpoznała go, kiedy wychodził z pralni. Wyciągnęła z kieszeni fotografię, by potwierdzić wstępną identyfikację. Robiła to skrupulatnie od czasu, kiedy poszczuła psem przypadkowego faceta, w rezultacie czego pielęgniarka z izby przyjęć zakochała się nie w tym mężczyźnie, którego wytypowała jej matka. I był problem.

Jednak teraz Jadwiga nie miała żadnych wątpliwości. To był ich cel.

– Tu Śmietana. Odbiór – powiedziała do kołnierza, w którym wcześniej umieściła mikrofon.

– Słyszemy cię, Śmietana – usłyszała w uchu. – Co jest?

Mijała właśnie pana Mariana, który patrzył na nią jak na dziwadło, zauważywszy

zapewne, że mówi do kołnierza. Skinęła mu głową, nie przestając mówić, a on szerzej otworzył oczy, a potem przetarł je jeszcze brudnym rękawem.

– Mleczarz zjawił się za wcześnie. Powtarzam. Mleczarz już jest.

– Cholera. Śmietana, musisz go zatrzymać! Pięć minut!

– Kefirek, co ty byś beze mnie zrobił – westchnęła Jadwiga i uśmiechnęła się do wymijającego ją niezadowolonego mężczyzny obladowanego praniem. Machinalnie odwzajemnił jej uśmiech i przyspieszył kroku. Szła tuż za nim, pilnując, by nie zrobił niczego, co zaburzyłoby akcję.

Kiedy na przystanek podjechał tramwaj, Jadwiga wyczuła, że mężczyzna będzie próbował zwiać przeznaczeniu. Czekala zatem w pełnej gotowości bojowej. Tak jak przewidziała, facet ruszył do przodu, chcąc dobiec i wskoczyć do otwartego wagonu. Była przygotowana i na taką ewentualność. Zahaczyła paskiem torby o pranie i skutecznie przytrzymała mężczyznę.

– Stop! – wrzasnęła bardzo teatralnie. – Proszę poczekać. Coś mi się zaczepiło!

Mężczyzna znieruchomiał na chwilę, a drzwi tramwaju zatrzasnęły mu się przed nosem.

– No i widzi pani – bezsilnie wzruszył ramionami – tramwaj mi odjechał. – Powoli odczepiał pasek, marudząc: – Ja nie wiem, po co matka zaniósła pranie do tej pralni, ma trzy pod domem. To naprawdę irytujące.

– Dziękuję panu – Jadwiga uwolniła torebkę, a potem zapytała: – A czy nie jechała już czasem trójka? – i chwyciła mężczyznę pod ramię.

– Nie wiem, proszę pani, i nie... O, ale proszę zobaczyć, właśnie jedzie – odpowiedział, starając się uwolnić z żelaznego uścisku. Bezskutecznie.

– Nie mam okularów, ale to mi wygląda na szóstkę – Jadwiga pokiwała przekonująco głową.

– Naprawdę? – zdumiał się i stali tak w dwójkę, czekając aż tramwaj zbliży się do przystanku. – Miałem rację. Trójka – oświadczył po chwili zadowolony. – Jestem okulistą, wiem, co widzę – zażartował, a potem uśmiechnął się i zaproponował: – Pomogę pani wsiąść.

– Ależ kto panu powiedział, że ja chcę wsiąść? Nie czekam na trójkę.

– Nie? – zdziwił się mężczyzna.

Jadwiga zmrużyła oczy i nie odrywając się od swego rozmówcy (bo pasek znowu się zahaczył), wypatrywała kogoś w tłumie. I nagle bez żadnej wydawałoby się przyczyny zaczęła ciągnąć torebkę, a potem, oczywiście przypadkiem, wpadła na przechodzącą dziewczynę, kopnęła ją dotkliwie w kostkę i popchnęła tak mocno, że ta straciła równowagę, upadła na tory, a właśnie nadjeżdżał tramwaj. Na twarzy okulisty pojawiło się przerażenie.

Upuścił pranie, a śnieżnobiałe koszule rozpostarły nadmuchane wiatrem rękawy, jakby chciały ratować zagrożone życie.

Beata przez nową lunetę obserwowała całą scenę. Nagle zamarła.

„Nadjeżdżający tramwaj. Ania na torach!” Włosy stanęły jej dęba i nigdy potem nie reagowały już tak jak wcześniej na trwałą ondulację.

Rzuciła lunetą w Danutę i zaczęła szarpać za klamkę.

– Rany boskie! Co ta wariatka robi!?! Ona mi dziecko chce zabić...

Danuta przytrzymała przyjaciółkę za rękę.

– Poczekaj – powiedziała z wyraźnym naciskiem.

Beata znieruchomiała. I znowu spojrzała przez lunetę.

Motorniczy, jakby przygotowany na całą akcję, zaczął hamować dużo wcześniej, tak że bez trudu zatrzymał się w bezpiecznej odległości od dziewczyny. Potem wystawił głowę przez okno i obwieścił przerażonym ludziom na przystanku:

– Ma się ten refleks, nie!? MPK Kraków. Z nami jesteście bezpieczni! – obwieścił.

W samochodzie Beata, ciężko dysząc, opadła bezwładnie na fotel. Dopiero wtedy Danka puściła w końcu jej rękę i zapaliwszy papierosa, spojrzała przez lunetę. Nagle coś przykuło jej uwagę.

– A to kto? – mruknęła, wskazując palcem na biegnącego w stronę Anki mężczyznę w czarnej kurtce. Podała Beacie lunetę i włączyła radiostację.

– Kefirek, sprawdź faceta. Biegnie w waszą stronę.

Beata szybko przyłożyła lunetę do oka. Obserwowała uważnie atletycznie zbudowanego nieznajomego, który wbiegł na tory, wziął jej córkę na ręce i przeniósł na chodnik. Chciała coś powiedzieć, ale przerwał jej czyjś kaszel. Oderwała wzrok od lunety. Przed samochodem stała wyfiokowana blondyna z plastikowym biustem i wpatrywała się w nią z niezdrową ciekawością.

– Co panie oglądają? – zapytała. – Czy tam jest jakaś celebrytka!?

– Nie – oświadczyła ze spokojem Danuta, przyglądając się plastikowej kobiecie jak egzotycznemu zwierzęciu na safari. – Będzie bardzo rzadkie zjawisko atmosferyczne zwane spadającymi sputnikami.

Blondyna spojrzała podejrzliwie na Danutę, a potem odruchowo do góry. I dostała w głowę ptasim gównem. Za wścibstwo.

ROZDZIAŁ 25

Jadwiga momentalnie odepchnęła atletycznego nieznajomego, który przebojem wdarł się na scenę, i przerażona nagłą komplikacją, przyciągnęła do siebie okulistę. Ten zdążył już pozbierać swoje koszule i szykował się do ucieczki.

– Czy jest tu lekarz!? – wrzeszczała z całych sił. Dała mu zaledwie sekundę. – O! – krzyknęła i uwiesiwszy się jego ramienia zmusiła mężczyznę, by przykucnął tuż obok Anki. – Pan mi wygląda na lekarza! Ta śliczna dziewczyna miała wypadek! Ta śliczna dziewczyna jest ranna. Może śmiertelnie!? A może trzeba ją zanieść do domu!? A pan ma takie mięśnie, że da radę!

Okulista spojrzał na pranie, które było w oplakany stan, westchnął ciężko, przeklinając zapewne pomysły swojej matki, i w końcu obrzucił leżącą na chodniku Ankę obojętnym spojrzeniem. A potem jeszcze raz. Już mniej obojętnym. A nawet z błyskiem zainteresowania.

– Boli coś panią? – zapytał łagodnie.

Jadwiga wyczuła pozytywne vibracje.

Anka spojrzała zdezorientowana na nachylającego się nad nią troskliwego nieznajomego.

– No... w zasadzie to boli mnie trochę noga – przyznała się. – W kostce.

– Proszę się nie przejmować. Jestem lekarzem – powiedział mężczyzna, jakby obwieszczając jej, że jest Supermanem ratującym świat przed zagładą.

Jadwiga z zadowoleniem zauważyła, że Anka rzuciła mu kolejne, dłuższe, spojrzenie.

– Lekarzem? Naprawdę? – zachichotała. – Ja to mam szczęście... – zaczęła mówić, trzepocząc rzęsami, kiedy nagle facet, który przeniósł ją na chodnik, przedarł się w końcu przez zasłonę z pleców Jadwigi, odsunął okulistę i przykucnął tuż obok niej.

– Pani Aniu! Czy wszystko w porządku?

Jadwigę zamurowało.

Okulista chrząknął i podniósł się z wyraźnym ociąganiem, patrząc na napięte i na pewno wyjątkowo twarde mięśnie konkurencji.

– Nic mi nie jest, panie Wiktorze. Tylko trochę mnie noga boli – wytłumaczyła Anka, a potem wskazała na okulistę i dodała: – Ten miły pan jest lekarzem i...

Wiktor wstał i zmierzył mężczyznę z koszulami niechętnym spojrzeniem.

– A pan... ortopeda jest? – zapytał sucho.

Jego zdecydowana postawa i atletyczna sylwetka wyraźnie zniechęciły lekarza do udzielenia poszkodowanej jakiegokolwiek pomocy doraźnej. Nie wspominając nawet o miłosnych podbojach.

– Nie – cofnął się o krok – okulistą. Tylko, że akurat pani miała mały wypadek i... – zaczął tłumaczyć, kiedy nagle do całej sprawy wmieszała się kioskarka.

– Jaki wypadek! – przerwała mu, wystawiając głowę przez okienko i kiwnięciem wskazując na stojącą grzecznie z boku Jadwigę. – Przecież ta pani to specjalnie zrobiła. Sama widziałam!

– Co!? – Oburzenie Jadwigi nie miało granic. – Ależ bezczelność! – Podeszła do kioskarki i zadarła wyzywająco głowę. – Co pani sobie wyobraża? Rzucac takimi kalumniami!

– Kalumniami? – Kioskarka zapowietrzyła się na moment ze złości, ale że nie należała do takich, co dają sobie w kaszę dmuchać, już po paru sekundach zaczęła krzyczeć: – Chce mnie pani obrazić! Ja niczym nie rzucam! Pani jest psychopatką!

Nagle Jadwiga potrząsnęła głową i wsadziła sobie palec do ucha. Kioskarka zamilkła. W końcu nienormalni mogą zabijać i zawsze są usprawiedliwieni. Bo są nienormalni.

– Nie teraz... Jak to? – sprawczyni całego zajścia szeptala z wściekłością do kołnierza. – Muszę rozprawić się z jedną taką... – Kioskarka zatrzaskała okienko. Jadwiga znieruchomiała. – Gdzie jest? – rozejrzała się nagle, ale było już za późno. – Zaraz, a gdzie jest lekarz?

Nikt z gapiów nie wiedział. Jak się okazało, poszkodowanej też już nie było. Jadwiga zdołała jeszcze zauważyć, że nieznajomy mężczyzna wnosi Ankę do budynku, obejmując ją mocno swoimi doskonale zbudowanymi ramionami. I nawet Jadwiga, pomimo całej swojej złości spowodowanej nieudaną akcją, musiała przyznać, że te ramiona pasowały do dziewczyny, jakby były stworzone specjalnie dla niej.

ROZDZIAŁ 26

Wiktor wniósł Ankę po schodach aż pod same drzwi mieszkania. Nie protestowała. Starła się nie oddychać za często. Czuła się słabo. I tylko dlatego oparła głowę o jego ramię. Właściwie to najchętniej poprosiłaby go, żeby ją zaniósł do łóżka, taka była słaba, ale ten bezczelny szowinista na pewno opacznie zrozumiałby jej prośbę. Tacy właśnie są faceci.

Kiedy postawił ją w końcu przed drzwiami, wyciągnęła z torebki klucz i zadziwiająco szybko opanowała drżenie dłoni. „Kontrola nad emocjami.

Wdech. Wydech. I wszystko jest jak należy. Oddech opanowany. Żeby tylko serce przestało tak łomotać bez powodu. Bez powodu przecież”. Wpuściła Wiktora do mieszkania.

– Dziękuję panu za pomoc – powiedziała. Mrugnął okiem.

– Nie ma za co. My, chłopcy z piaskownicy, też potrafimy się przydać.

Superman nie ma monopolu na bohaterstwo.

Roześmiała się.

– Marzy się panu czerwona pelerynka, co?

– Nie peleryna czyni z człowieka bohatera – odgryzł się z bezczelnym uśmiechem i ściągnął kurtkę.

Anka weszła do łazienki i wpatrzyła się ponuro w lustro. Była wściekła, że ktoś tak

nieskomplikowany emocjonalnie jest w stanie wyprowadzić ją z równowagi. Umyła twarz zimną wodą, a potem uczesała włosy i usiadła na wannie zamyślona. Z tego zamyślenia wybiło ją dopiero pojawienie się wielkiego pająka, który zaczął tuż nad rurą tkąć wielką pajęczynę, jakby był u siebie. Wyglądał na ostrego gościa. Postanowiła pozbyć się go raz na zawsze. I całej jego bandy.

Przemknęła zatem do sypialni, przebrała się w specjalnie na taką okazję przygotowane stare ciuchy, które trzymała na wierzchu pudła, i wdziwając wielkie żółte rękawiczki, poszła do łazienki. Chciała wyminąć Wiktora z obojętnym wyrazem twarzy, ale uśmiechnął się do niej. To co miała zrobić? Też się uśmiechnęła. A on zapytał:

– Jak noga?

– W porządku – odpowiedziała, a widząc, że odwraca się usatysfakcjonowany odpowiedzią, zawahała się i dodała z grymasem bólu: – Chyba.

„Chyba? Świetnie!”, zagryzła wargi. Ale reakcja była przewidywalna.

– Mogę zobaczyć?

Zamiast zaprotestować, bo przecież nie było czego oglądać, usiadła na krześle i podciągnęła nogawkę spodni. Wiktor przykucnął obok. Przez chwilę w milczeniu patrzył na wytatuowane tuż nad jej kostką czarne skrzydła. A potem nacisnął. Syknęła z bólu.

– Boli? – zaniepokoił się.

– Już nie – zapewniła go. Dał się uspokoić.

– Ten okulista też by sobie z tym poradził. To tylko stłuczenie.

– Dziękuję za diagnozę – powiedziała. – A prawdziwego lekarza pan wystraszył. Chociaż mi go wróżka wywróżyła.

– Ja wystraszyłem? Sam zwiął – roześmiał się. – Jak trzeba posmarować, to ja chętnie.

Spojrzała na Wiktora ironicznie.

– Wazeliniarstwa nie uznaję. Poradzę sobie.

Nie ruszył się z miejsca.

– Ładny tatuaż – powiedział półgłosem. – Czy ma jakieś znaczenie?

Przez chwilę panowała cisza.

– Symbolizuje odzyskaną wolność – Anka odezwała się w końcu, patrząc na niego wyzywająco. Nie odwrócił spojrzenia. Tylko jego czekoladowe oczy pociemniały jeszcze bardziej.

Poczuła, że musi szybko wyjść.

Wściekła na siebie chwyciła miotłę i weszła do łazienki.

„Ty kretynko. Nogi obcym facetom pokazujesz!? Ty, ty... ekshibicjonistko!”, wyzywała siebie, wpychając miotłę we wszystkie zakamarki, jakie mogła znaleźć.

I stało się. Zaatakowany pająk, najwyraźniej czując się zagrożony, wezwał posiłki. Rozpoczęła się ofensywa. Pająki atakowały zewsząd, całą chmarą. A jeden szczególnie dorodny okaz jak jakiś cholerny Indiana Jones zaczął zjeżdżać na nici prosto na Ankę. Dziewczyna wpatrzyła się w jego paszczę, a potem, nie czekając, aż bestia zaszczeka (dałaby głowę, że potrafi, taki był wielki), zaczęła straszliwie piszczeć.

Odskokzyła.

I wpadła prosto na Wiktora.

Przytrzymał ją swymi muskularnymi ramionami. Poczuła mrowienie w okolicy kręgosłupa. Przez chwilę oboje się nie ruszali. Sekundę później Anka odsunęła się. Przyłożyła dłonie w żółtych rękawiczkach do piersi, jakby chcąc zasłonić swoje serce przed zakusami Amora.

– Tak? – Jej głos był oschły, co przyjęła z wielkim zadowoleniem.

– Przyszedłem zobaczyć, czy wszystko w porządku. Tak pani piszczała...

– Przepraszam, że moje piski przeszkodziły panu w pracy.

– Ależ nie ma za co. Lubię, jak kobiety piszczą.

Zamknęła oczy, nie znajdując odpowiedniej riposty, a on dodał:

– Ma pani pajęczyny we włosach.

Od razu otworzyła oczy i otrzepała się gwałtownie.

– Brrr – wzdrygnęła się i niemal histerycznie zapytała: – A pajaka pan widzi!?

– Nie, ale może się gdzieś przyczaił i tylko czeka na okazję?

Anka, widząc na twarzy mężczyzny ironiczny uśmiech, wyprostowała się z godnością. O ile można godnie wyglądać z miotłą w ręku i we flanelowej koszuli bez trzech guzików. Bez trzech guzików! Jej wzrok odruchowo zjechał na biust. A palące spojrzenie Wiktora zatrzymało się dokładnie w tym samym miejscu. „Dekolty faktycznie robią swoje”, pomyślała, odkrywając przy okazji, że z braku dekolców i brak guzików się przydaje.

– O! Panie Wiktorze – uśmiechnęła się, postanawiając wykorzystać brak guzików do zmanipulowania mężczyzny. – Instalacja jest stara. Trzeba wymienić – powiedziała i pociągnęła za zardzewiałą rurkę.

Wtedy usłyszała dziwny świst. I plusk. A potem spadła na nią kaskada zimnej wody, zupełnie jakby ktoś nagle wepchnął ją pod wodospad.

Zaczęła znowu piszczeć. Mężczyzna rzucił się, żeby zakręcić wodę.

Chwilę trwało, zanim znalazł odpowiedni zawór. I wodospad wysechł.

A Wiktor stanął przed Anką równie mokry jak ona. Śmiali się jak para małych dzieci, którym udało się wślizgnąć do fontanny w upalny letni dzień.

– Znowu panią uratowałem – wydyszał zadowolony, nie spuszczając z niej oka.

Odgarnęła z policzka mokre włosy.

– No proszę, teraz to już na pewno klasyfikuje się pan jako bohater.

Jeśli nie lubi pan pelerynek, to proszę sobie sprawić lateksowe wdzianko.

Takie z wielką literą W... – zachichotała.

– W takim wdzianku można się łatwo zaparzyć. Nie skorzystam – powiedział, mrugając okiem i ocierając twarz rękawem.

– Szkoda. Te obcisłe wdzianka są takie seksowne... – przerwała, bo słowo „seksowny” zbyt działało na jej wyobraźnię.

Wiktor założył ręce.

– No proszę – powiedział kpiąco, ale z odrobiną uznania w głosie. – A ja myślałem, że nauczycielki są grzeczne, ułożone i poślubiają miłych, nudnych chłopców... Kim pani naprawdę jest?

– Tajemnica – oświadczyła Anka konspiracyjnym tonem. – Widzi pan, jak łatwo jest wpaść w pułapkę stereotypów? Dotknęła mnie kłótwa obiegowej opinii.

Spojrzał jej w oczy, a potem powoli przesunął wzrok niżej, na jej usta, szyję, piersi... Przełknął ślinę jak dziecko na widok góry cukierków.

Zadrzała.

– Zimno mi – powiedziała, zupełnie nie czując zimna.

– Miss mokrego podkoszulka nie miałyby z panią szans – rzucił, starając się pozostać tym szowinistycznym, seksistowskim sobą. Ale nie do końca mu się to udało, bo coś w jego głosie się zmieniło. Pękło. Jak ta rurka.

Stał tuż obok Anki. Był na wyciągnięcie ręki.

– Pójdę się przebrać – powiedziała cicho i uciekła do sypialni.

Bała się, że mogłaby wyciągnąć rękę. A na etapie życia, na którym była, wolna ręka

wydawała jej się dokładnie tym, czego potrzebowała.

ROZDZIAŁ 27

– Coś ty chciała zrobić!?! – ryknęła Beata, gdy tylko Jadwiga wsiadła do samochodu i usadowiła się z tyłu obok Krystyny. – Chciałaś ją zabić!?

– Zabić? Ależ skąd ci to przyszło do głowy? – zapytała Jadwiga tak zdziwiona, jakby jedynym jej przewinieniem było pomachanie Ance na powitanie.

Twarz Beaty zaczęła się mienić wszystkimi odcieniami czerwieni, a potem zzieleniała. Ze złości.

– Bo wepchnęłaś ją pod tramwaj!!!?

Jadwiga ziewnęła ostentacyjnie i zmusiła Danutę do podania jej buteleczki ziół szwedzkich, które zawsze (wraz z małym kieliszkiem) wozila ze sobą w schowku. Na trawienie.

– Nie doceniasz mnie – powiedziała, nalewając ziółek i podając kieliszek Danucie. – Motorniczy wiedział, że Ania wpadnie pod tramwaj.

– Co!?! – Beata wpatrzyła się w Danutę, która ze spokojem wychyliła kieliszeczek. Na trawienie. Jadwiga naląła Krystynie.

– Dostał informację o przeprowadzanym teście na refleks – powiedziała Jadwiga, patrząc z niechęcią na Krystynę, która odmówiła wypicia ziółek i podała kieliszek Beacie. – Wykazał się i dostanie pochwałę na piśmie.

– Od kogo? – zapytała Beata, a potem wlała w siebie podany płyn. Najpierw ją pokrzywiło, ale potem poczuła w żołądku dziwną błogość. Tak.

Trawienie to jest ważna rzecz. Najważniejsza.

– A co za różnica? Coś wymyślę...

– A jakby nie zdał?

– Beatko – westchnęła Danuta – czy ty nas uważasz za nowicjuszeki?

My jesteśmy profesjonalistkami. To właśnie była bardzo dobrze zaplanowana akcja „na bohatera”, tylko nie wyszła, bo na scenie pojawił się jakiś Wiktor, który bezczelnie wykorzystał nasze starania – powiedziała bardzo spokojnie, choć jej oczy rzucały wściekłe iskry.

– Zażądaj zwrotu kosztów – mruknęła Jadwiga, wychylając kieliszek, i oddała zestaw natrawienny Danucie.

– Ale... ale ją boli... – Beata chciała usłyszeć ton współczucia albo chociaż pokory w głosach kobiet. Nie doczekała się.

Jadwiga wzruszyła ramionami.

– Życie boli! – powiedziała dobitnie. – To tylko lekkie stłuczenie. W porównaniu z bólem egzystencjalnym i samotnością obolała kostka to pestka.

– Co to za Wiktor? – zapytała Danuta, uznając temat akcji za skończony. – Znasz go?

Beata pokręciła przecząco głową, a na jej twarzy pojawił się smutek.

– Ona go zna, a ja go nie znam! Moje dziecko nic mi nie mówi... – jęknęła.

Żadna z kobiet nie zwróciła na nią uwagi.

– Wsiadł z tamtego samochodu. – Krystyna wskazała na białą furgonetkę. – Zauważyłam go, bo wcześniej zaparkowałam tuż obok jego auta.

Trzeba było widzieć, jak bardzo się spieszył, żeby Anię uratować...

Jadwiga przywarła nosem do szyby, a potem wpisała coś do swojego telefonu.

– Wysyłam numery rejestracyjne do Morfeusza, niech sprawdzi, co to za jeden – wyjaśniła. – Przyznam, że wyczuwałam między nimi napięcie, a trzeba być otwartym na

propozycje losu. – Jadwiga mrugnęła okiem do zatopionej w myślach Danuty i zapytała z poważną miną: – Myślicie, że to klient?

– Jaki znowu klient!?! – Beata nie była w nastroju do żartów. – To Lewandowska miała burdel! Ania nie ma z tym nic wspólnego.

– To może alfons Lewandowskiej? Chce zwerbować Anię do pracy? – roześmiała się Jadwiga, ale widząc wściekłą koleżankę, dodała szybko: – Przecież żartuję.

Krystyna spojrzała na nią wymownie i poklepała wyraźnie zdenerwowaną Beatę po ramieniu.

– Dobrze będzie, Beatko – pocieszyła ją, a potem oświadczyła wszem i wobec: – Bawcie się dalej, ja muszę się ewakuować. Pamiętajcie, że mam tydzień wolnego i nie chcę was widzieć. Inaczej składam wymówienie.

Niech wam nawet nie wpadnie do głowy prosić mnie o dodatkową pracę.

Muszę odpocząć. A tak *a propos*, Jadwiga, wyrazy uznania. Byłaś świetna, chyba cała ulica cię zapamięta i to na długie lata.

Odprowadzana wzrokiem koleżanek przesiadła się do swojego samochodu i odjechała.

– Krystyna jakaś blada jest ostatnio, nie uważasz? – zauważyła półgłosem Jadwiga.

Danka wzruszyła ramionami i wyciągnęła kolejnego papierosa.

– Przepracowana – mruknęła. – Gdyby nie ona, już dawno zawałyłyby nas papiery.

Zwłaszcza, że pracuje za ciebie.

– Kto lepiej odwali papierkową robotę jak nie Wielki Teoretyk? Ja sprawdzam się w terenie, nie w biurze...

Danuta zapaliła, tym razem silnik, i spojrzała na Beatę.

– Nie przejmuj się – powiedziała, włączając się do ruchu. – Jestem pewna, że jutro będzie lepiej.

Beata zazgrzytała zębami, a potem ostatnim spojrzeniem omiotła wejście do budynku.

– Zatrzymaj samochód! – krzyknęła nagle i przykleiła nos do szyby. – A to kto?

Danuta zahamowała tak gwałtownie, że głowa Jadwigi niemal przebiła przednią szybę.

– Dostawczy stoi – mruknęła Jadwiga, masując czoło. – Przywieźli komuś lodówkę albo pralkę.

– Nie, tam!

Tuż obok dostawczego zatrzymał się szary opel.

ROZDZIAŁ 28

Dzwonek zabrzmiał jak seria z pistoletu. Głośno i gwałtownie. I urwał się zaraz, jakby żałował, że zadzwonił. Anka wynurzyła się z kuchni, gdzie chowała się przez ostatnią godzinę, zupełnie nieprzygotowana na to, co miała zobaczyć.

Obok drzwi czał się Wiktor, a czarny pistolet błyszczał niebezpiecznie w jego dłoni. Przez chwilę nie mogła się ruszyć. Patrzyła na niego nieprzytomnie, a potem zamknęła oczy. Pistolet podział na nią jak zimny prysznic. A może był to spóźniony efekt wcześniejszego prysznica? Efekt pękniętej rury. Dziurawe szczęście.

– Czekają na kogoś? – zapytał Wiktor cicho. Profesjonalnie. I tak... obojętnie.

Anka pokręciła przecząco głową, nie odrywając wzroku od pistoletu.

Zauważył jej spojrzenie i schował broń za siebie. Wskazał głową drzwi.

Przełknęła ślinę. Bez słowa podeszła i spojrzała przez wizjer. Nikogo nie było.

– Kto tam? – zapytała drżącym głosem.

Cisza.

Znowu nadmiar śliny. I to niepokojąco twarde spojrzenie Wiktora.

– Kto tam? – powtórzyła głośniejszym głosem. Nic.

Wiktor położył palec na ustach i kazał jej otworzyć. Sam stanął tuż za framugą. I uśmiechnął się, najwyraźniej chcąc dodać jej otuchy. Nie odwzajemniła uśmiechu.

Powoli otworzyła drzwi.

Nikogo nie było. Już chciała je zamknąć, kiedy nagle, zupełnie jak w filmie grozy, zza rogu wypadły na nią z krzykiem dwie postaci.

– Niespodzianka!!!

Przed nią zatrzymał się Fryderyk, a tuż za nim jego matka. Anka, dysząc ciężko, oparła się o ścianę.

– Ale cię przestraszyliśmy! – zaśmiewała się pani Szopowa. Rozkołysana żarówka nad drzwiami kiwała się powoli, raz oświetlając, raz ukrywając w mroku jej wypacykowaną twarz.

– Właśnie. Świetny dowcip. Ale się uśmieiałam – wyjąkała Anka, starając się wrócić do rzeczywistości.

Spojrzała do wnętrza mieszkania. Wiktor stał oparty o ścianę. Zapewne dziękował refleksowi, że nie dał się sprowokować i jak na razie nikt nie zginął. Szybko zniknął w salonie, a Anka wpuściła gości do środka. Fryderyk podszedł do niej i objął ją ramieniem. Wcale się nie śmiał. Spojrzał jej błagalnie w oczy.

– Mama uparła się, żeby zobaczyć nasze mieszkanie. – Słowo „nasze” podkreślił wyjątkowo mocno.

Zrozumiała w lot.

– Ależ oczywiście, kochanie, nasze mieszkanie – rzuciła gościowi upiorne spojrzenie i uśmiechnęła się do towarzyszącej mu kobiety. – Tylko dlaczego nie zadzwoniłeś, kochanie?

Powiedziała to nieco głośniejszym głosem, niż zamierzała, na co zapewne złożyły się stres i wściekłość, która powoli zaczynała ją ogarniać. Jej słowa osiągnęły niezamierzony efekt. W salonie dał się słyszeć straszliwy łomot.

Matka Fryderyka rzuciła jej podejrzliwe, jędzowate spojrzenie, a potem bez pytania ruszyła w kierunku, z którego dobiegł hałas.

– Nie pozwoliłam mu zadzwonić – trajkotała, węsząc. A przed wejściem do salonu powiedziała do syna: – Wytrzymaj buty, kochany. – I znowu zwróciła się do Anki: – Nie chciałam robić ci kłopotu, my tylko na chwileczkę... – Stała w drzwiach salonu, a za nią znieruchomieli potulnie Fryderyk i Anka.

Wszyscy wpatrzyli się w Wiktora, który najwyraźniej spadł z drabiny, bo podnosił się właśnie z podłogi, masując sobie nogę. Widząc całe towarzystwo, rzucił ponure: „dzień dobry” i wyraźnie unikając wzroku Anki, ponownie wspiął się do góry. Szczebelki za szczebelkiem.

– A to kto? – zapytała podejrzliwie pani Szopowa.

– To malarz – odpowiedziała szybko Anka, a mając wątpliwości, czy dotarło, dodała inteligentnie: – Remontuje mi mieszkanie. – Spojrzała na zrozpaczoną minę Fryderyka i na jego rękę, którą zasłaniał swoją delikatną szyję. – To znaczy nam mieszkanie remontuje. Chcemy pomalować jak najszybciej. Żebyśmy się mogli...

– Wprowadzić? Ależ ja już powiedziałam: najpierw ślub! – oświadczyła pani Szopowa z mocą, tak żeby wszyscy słyszeli. Anka była pewna, że pani Gienia będzie wyjątkowo zadowolona z tak chrześcijańskiej postawy „teściowej” sąsiadki.

– Ależ oczywiście, mam. Tego nie kwestionujemy – przytaknął gorliwie Fryderyk. A za nim „narzeczona”. Z wyraźną ulgą.

Pani Szopowa przekroczyła próg salonu, a za nią wszedł syn. Anka zdążyła za plecami jego matki zrobić mu awanturę. I poderżnąć gardło. Na razie palcem. Przez chwilę cała trójka wpatrywała się w wyjątkowo foremne męskie pośladki na wysokościach, a potem Fryderyk, patrząc uważnie, czy matka nie widzi, zdobył się na blady uśmiech i wskazując na Wiktora, zrobił rozanieloną minę, która doprowadziła Ankę do prawdziwej furii. Furia szybko jednak zamieniła się w przerażenie, bo matka Fryderyka obwieściła. Prawie szeptem:

– Ale skoro już się zaręczyliscie, to jakoś przeboleję.

Chwilę upiornej ciszy, jaka zapanowała po jej słowach, przerwał niespodziewanie Wiktor.

– No proszę, jaka pani jest liberalna – rzucił z góry z uznaniem. Wyjątkowo podejrzanym uznaniem. A potem zaczął zawzięcie zdzierać tapety.

– No, no, tylko nie liberalna, proszę pana. Liberalizm jest podstawą wszelkich wynaturzeń – pogroziła mu palcem pani Szopowa. Po chwili mrugnęła do Anki i powiedziała: – Bardzo ładne gniazdko sobie wujecie, moje złotka. I takie wielkie...

– Przepraszam bardzo... – Anka nie wytrzymała. Chciała wyrzucić z siebie gorycz nieporozumienia, ale drastycznie pobladła twarz Fryderyka powstrzymała ją przed ostatecznym ujawnieniem prawdy. – Ale Fryderyk i ja znamy się dopiero kilka... hm... naście miesięcy. A ślub to poważna rzecz, trzeba czasu...

– Właśnie – weszła jej w słowo Szopowa. – Trzeba czasu, żeby się przygotować. Ale zróbcie to szybko, bo Fryderyk nie może tej swojej symfonii pisać. Ciągłe tylko głupotami się zajmuje. Chyba chcesz dla niego tego, co najlepsze? Zasłużonego uznania dla jego geniuszu. Tylko praca...

Przerwała. Z przedpokoju dały się słyszeć zamierzenie głośnie kroki i po chwili, ku zdumieniu Anki, do salonu wkroczyła jej matka. Zapewne zapomniała zapukać.

Dziewczynie pociemniało w oczach. A Beata się uśmiechnęła.

– Aniu, to ja! Jak możesz zostawiać otwarte drzwi? To niebezpieczne, nigdy nie wiadomo, kto ci wejdzie... – zaszczębiotała, a potem pomachała całemu towarzystwu.

Tego już było za wiele. Anka poczerwieniała gwałtownie i myśląc w duchu, że matka ma rację i trzeba drzwi zamykać, bo nie wiadomo, kto przyjdzie, wpatrzyła się w Beatę jak fakir w hipnotyzowanego węża. „Jedź do domu... w domu Michałek głodny... trzeba obiadek dla Michałka...”

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytała słabym głosem, nie tracąc z matką kontaktu wzrokowego.

Beata zrobiła wielkie oczy. Ale nie wyszła.

– Przechodziłam właśnie... I mam ci coś do powiedzenia... ależ... – Postanowiła najwyraźniej zmienić temat, bo uśmiechnęła się do wypacykowanej Szopowej i Fryderyka. – Beata jestem, mama Ani. Od dawna chciałam panią poznać. – Ścisnęła się z panią Szopowa, zupełnie nie zwracając uwagi na córkę. – Ania ciągle tylko o Fryderyku opowiada, czas żebyśmy się poznały.

– Właśnie – zgodziła się ochoczo tamta. – Bardzo mi miło... – zaczęła mówić, ale Beata przerwała jej niezainteresowana.

– A to kto? – zapytała bez ceregieli, wpatrując się w Wiktora, który wydawał się dobrze bawić, obserwując wściekłość Anki.

– A, to Wiktor – machnęła ręką matka Fryderyka.

– Wiktor? Jaki Wiktor?

– Małszyński, mamó. Malarz – powiedziała Anka. – Ale co to ma do rzeczy?

– Malarz nieważny, pani Beato. – Szopowa ściszyła głos. – Ważne, że dzieci sobie gniazdko wiją.

Anka poczuła, że słabnie. Po chwili poczuła też podejrzliwe spojrzenie swojej matki.
– Gdzieś się muszą... – zakaszła Beata – poznawać. Piękne mieszkanie, prawda?
– Idealne – odpowiedziała matka Fryderyka. – A ten mniejszy pokój? W sam raz dla dzidziusia...

Anka zamknęła oczy. Poziom stresu przekroczył granice bezpieczeństwa i w głowie słyszała sygnał alarmowy. Przez chwilę panowała pełna wyczekiwania cisza.

– Aniu – odezwała się Beata, patrząc osłupiała na córkę – czy ty chcesz mi o czymś powiedzieć?

Anka zaczęła ruszać szczęką, a potem otworzyła oczy. „Niemożliwe, że to się dzieje. To nie tak miało być”, zaklinała w myślach. Wszyscy, łącznie z Wiktorem, wpatrzyli się w nią, jakby oczekiwali, że zaraz z jej łona wyskoczy dziecko i wyda pierwszy krzyk.

Nie zdążyła się odezwać, bo jak zwykle znalazł się ktoś lepiej poinformowany od niej i zabrał głos w jej imieniu.

– Ależ chce! – zawołała matka Fryderyka, wychodząc do przedpokoju. – Dzieci się zaręczyły!

To przepełniło kielich. Goryczy. Już miała zacząć tupać nogami i krzyczeć, że ona nie chce! Ale ktoś zadzwonił do drzwi.

ROZDZIAŁ 29

Jadwiga, czekając na Beatę, zaczęła się nudzić. Pobawiła się już nową lunetą, zrobiła mnóstwo zdjęć kotom, psom i atletycznym studentom, pooglądała sobie półnągą brunetkę, która w oknie dwa piętra nad mieszkaniem Anki ćwiczyła przysiady. Pewnie w rytm tej starej piosenki *W domach z betonu*. Nawet zaczęła sama nucić, aż Danuta zajęta przeglądaniem jakichś faktur spojrzała na nią podejrzliwie. Jadwiga wzruszyła ramionami i odłożyła lunetę. Postanowiła rozprostować kości. Profesjonalnie, jakby szkolili się u najlepszych kieszonkowców, ukradła Danucie kolejną paczkę papierosów i jak gdyby nigdy nic wysiadła z samochodu.

Wieczór był wyjątkowo przyjemny, a dryfujące na lekkim wietrze żółte liście za nic wydawały się mieć siłę grawitacji. Jadwiga przeciągnęła się leniwie, rozmasowała nieco kręgosłup, myśląc o negatywnych skutkach mijającego czasu, i powoli podeszła do ławki. Spojrzała na bezdomnego, który leżał na swoim zwykłym miejscu i kontemplantował gwieździste niebo.

– Dobry wieczór – rzuciła w kierunku mężczyzny, a potem usiadła.

– „Niebo gwieździste nade mną, prawo moralne we mnie” – wyrecytował ku zdumieniu Jadwigi, a potem zerknął na nią spod oka, zrzucił z kartonu jakiegoś robala i pogładził się z zadumą po łysej czaszce. – Proszę mi nie brać za złe, że pytam, ale... naprawdę chciała pani wepchnąć pod tramwaj tamtą dziewczynę? – zapytał bez ogródek.

Jadwiga rzuciła mu zdumione spojrzenie, a potem przypomniała sobie, że był świadkiem akcji „na bohatera”, i uśmiechnęła się szeroko.

– Ależ skąd! To córka koleżanki. Jej matka chce wyswatać ją z jednym lekarzem... – zaczęła wyjaśniać, jednak podejrzewając, że może nie zrozumieć, machnęła ręką. – To trudno wytłumaczyć.

Pokiwał głową.

– Nie wątpię. Proszę nawet nie próbować, tylko od razu powiedzieć, czy się udało?

– Niestety nie. – Jadwiga spochmurniała nieco, przypominając sobie niepowodzenie akcji mającej taki potencjał. – Zjawił się taki jeden i wszystko popsuł.

– Ten w czarnej kurtce? Co ją uratował spod tramwaju?

– Powiedzmy – mruknęła Jadwiga. – Zna go pan?

– Nie osobiście, ale kojarzę z widzenia.

Przez chwilę panowało milczenie. Jadwiga zagryzła wargi, a potem wyciągnęła paczkę papierosów. Wiedziała, jak przekonać innych do spowiedzi. Swego czasu ćwiczyła przy konfesjonalach i nie było księdza, który nie opowiedziałby jej czegoś ciekawego.

– Chce pan? – Rzuciła mu papierosy.

– Dziękuję. – Po chwili jego twarz rozświetliła się w blasku zapalki.

– A gdzie go pan widywał? Tego faceta, co pomógł Ani? – rzuciła tonem osoby pytającej o zdrowie psa sąsiada kuzyna i żeby ukryć zainteresowanie, wpatrzyła się w dwóch mężczyzn, którzy wyciągali z samochodu dostawczego jakiś sprzęt kuchenny.

Przez chwilę bezdomny nie odzywał się.

– Kaśka Lewandowska miała do niego słabość – odpowiedział w końcu niechętnie. – W każdym razie często go z nią ostatnio widywałem. Ale nie miałem okazji poznać go osobiście. W żadnym wypadku nie sugeruję, że płacił jej za usługi, ale kto wie... W końcu każda kobieta marzy o swoim toyboyu, prawda?

– Ja na pewno – przyznała się bezwstydnie Jadwiga. – Ale może inne kobiety są bardziej przyzwoite ode mnie. A skąd pan właściwie znał tę całą Lewandowską?

Mężczyzna wzruszył ramionami, a na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech.

– Kaśkę wszyscy tutaj znali, pani Jadwigo... i lubili. I wie pani co... – Uśmiech zamienił się niespodziewanie w straszliwy spazm. – Powiem pani coś...

– Tak? – Spojrzała na niego zaintrygowana.

– Ten facet... nie wnikając głębiej, co to za gość... Kiedy widziałem, jak niósł tę dziewczynę do budynku, to wtedy zobaczyłem... – połknął spazm.

W końcu, jakby nie było, jest odpornym facetem mieszkającym w kartonie. To zobowiązuje.

– Co pan widział, panie Marianie!?

– Zobaczyłem siebie i Kaśkę Lewandowską dwadzieścia lat temu... – westchnął ciężko, oczy mu zwilgotniały. Najwyraźniej miał problemy emocjonalne.

Jadwiga oparła się zrezygnowana o ławkę i wpatrzyła w niebo. Nie ma łatwo. Chciała „jak na spowiedzi” i jej się udało. A pan Marian, znalazłszy bratnią duszę, opowiadał dalej łzawym głosem egzaltowanego gimnazjalisty:

– Widzi pani, powiedziałem kiedyś Kaśce, że gdybyśmy mieli inne życie, mniej skomplikowane, pewnie bylibyśmy bardzo szczęśliwi... razem.

Taka ironia losu, uwierzy pani, pani Jadwigo? Nie chciałem kurwy, a tu się okazało, że ta kurwa to było moje szczęście... – załkał. Po chwili uspokoił się. – Zresztą, po co wywlekać przeszłość? Kaśka już tu nie mieszka, a ja zdechnę jak ten bezański pies, sam na śmietniku. – Widząc zdumione spojrzenie kobiety, dodał gorliwie: – Dlatego tak mnie cieszy szczęście młodych, ma się rozumieć...

Jadwiga chciała jeszcze o coś zapytać, ale rozmowę przerwał dźwięk przychodzącej wiadomości. Machinalnie wyciągnęła telefon i przeczytała mail. A potem bez słowa wstała i poszła prosto do samochodu, cały czas czując na plecach spojrzenie bezdomnego.

ROZDZIAŁ 30

Na dźwięk dzwonka Wiktor momentalnie zjawił się w przedpokoju. Rękę trzymał w

kieszeni. A w ręce pistolet. Niczego jednak zrobić nie zdążył. W następnej sekundzie bowiem Beata, stojąca najbliżej drzwi, beztrudnie pociągnęła za klamkę. Tak obojętnie, jakby otwierała lodówkę. Choć gdyby Anka mogła się nad tym dłużej zastanowić, powiedziałaaby, że jej matka nigdy nie otwierała lodówki z obojętnością.

Anka zamarła. Ze strachu zeszytywniały jej wszystkie stawy i miała problem z rozprostowaniem kończyn. Strach ma wielką siłę. Nawet nie próbowała spojrzeć na Wiktora.

A drzwi otworzyły się i ku wielkiemu zdumieniu wszystkich obecnych do mieszkania wkroczył bukiet goździków na męskich nogach. Dopiero po chwili zza bukietu wyłoniła się czarująco uśmiechnięta twarz młodego mężczyzny, który na widok tłumu zamarł. Jego uśmiech również.

Anka w przypiływie bezradności spojrzała na Wiktora. Ten chwycił wiaderko z cementem i patrząc na nią ze złośliwą satysfakcją, wycofał się do salonu. Wrażenie, że chce gościa nafaszerować cementem, pozostało.

Mężczyzna z goździkami patrzył na Ankę zdezorientowany.

– Właśnie pomagałem babci, bo kupiła nową zamrażarkę – zaczął wyjaśniać, wymachując kwiatami, jakby do zamrażarek dodawali bukiety *gratis* – i postanowiłem wpaść na moment... – Widząc, że nikogo nie przekonał, schował kwiatki za plecami i dokończył zacinającym się nieco głosem: – Przepraszam, nie wiedziałem, że masz gości.

– Tak – powiedziała, czując ucisk w klatce piersiowej. – Ja też nie wiedziałam.

W salonie rozległ się nagle huk, jakby Wiktor wyładowywał na ścianie nagłą frustrację. Albo natchnienie artystyczne.

Wtedy właśnie, jakby obudzony przeraźliwym hałasem, Fryderyk nerwowo zachichotał.

– To my już pójdziemy. Mama spieszy się na pociąg, prawda? – powiedział, a jego kolejny chichot zabrzmiał wyjątkowo nieszczerze. Zamilkł gwałtownie, krzywiąc się, jakby zabolął go ząb. Miał słuch absolutny i każdy fałszywy dźwięk bolał go niezmiernie. – Aniu, do zobaczenia przed kinem...

Pożegnany przez Ankę spojrzeniem „tylko spróbuj mnie cmoknąć, to cię zamorduję, a twoje jelita każę końmi rozwłóczyć” uśmiechnął się z wdzięcznością, a potem wciągnął głośno powietrze do płuc i pociągnął matkę do drzwi, nie pozwalając jej dojść do głosu.

Beata nie spuszczała wzroku z mężczyzny z bukietem. Najwyraźniej wyczuł jej zainteresowanie, bo kiedy kroki Fryderyka i jego matki umilkły już na klatce, spojrzał w jej stronę i powiedział, kłaniając się uprzejmie:

– Marek Kochanowski, miło mi. Pani jest pewnie mamą Ani? – Kiedy skinęła twierdząco głową, uśmiechnął się i dodał: – Poznałem po oczach.

Beata poczuła się zupełnie rozbrojona.

– Bardzo mi miło – powiedziała. – Pan tu gdzieś mieszka?

Tego Anka już nie była w stanie wytrzymać.

– Babcia Marka, pani Gienia, jest moją sąsiadką, a Marek jest tak miły, że jej pomaga i często tu bywa. A on sam jest policjantem i... i... i bardzo lubi dawać nauczycielkom goździki – wyrecytowała, a potem spojrzała na matkę wściekła. – Coś jeszcze chcesz wiedzieć?

Zapadła krępująca cisza, a właściwie krępujący huk, bo Wiktor hałasował tak, jakby właśnie próbował przebić się z salonu do kuchni. Beata spojrzała na Ankę jak niewinna ofiara niczym nieusprawiedliwionego ataku (bo kto by pamiętał, a ona na pewno nie, o ostatnich trzydziestu latach wtrącania się w życie córki) i powiedziała łagodnie:

– Ależ skąd, dziecko, to przecież nie moja sprawa. – A potem z miłym uśmiechem dodała: – Gościa masz, kochanie, nie pozwól mu tak stać w proggu. Nie wypada... Ja niestety muszę pędzić, bo Michałek pewnie już w domu, obiad trzeba... – Spojrzała jeszcze na Marka i

uśmiechnęła się. A potem wyszła, nakazując córce zamykać drzwi na klucz.

Przez chwilę, żeby ukoić nerwy, Anka wsłuchiwała się w huk dochodzący z salonu, a Marek się uśmiechał. Potem popatrzyła życzliwie na gościa, a ten zrobił dziwną minę, komentującą odgłosy remontu.

– Ale się wpakowałem – powiedział w końcu i wręczył Ance bukiet. – Dla ciebie.

Podziękowała mu i pod pretekstem odszukania wazonu zaciągnęła go do salonu. Podeszła do stojących pod ścianą pudeł i rozpoczęła żmudny proces przerzucania stosu dziwnych rzeczy.

– Piękne kwiaty – powiedziała, badając kątem oka reakcję Wiktora.

Udawał, że nie słyszy.

Marek uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Moim nauczycielkom zawsze dawałem goździki – powiedział pół żartem, pół serio, wyraźnie akcentując słowo „moje”.

Wiktor najwyraźniej to usłyszał, bo wypadło mu z rąk wiaderko z cementem, a nad pokojem uniosła się nagle toksyczna chmura. Znieruchomiał, a potem odstawił wiaderko na bok i zaczął ze złością zamiatać rozsypany cement, powodując jeszcze większe zachmurzenie.

– Dziękuję. To naprawdę miło z twojej strony. Wszyscy mężczyźni powinni się uczyć od ciebie, jak należy traktować kobietę – wykaszała.

– Jakież plany na wieczór? – zapytał Marek, cały czas przypatrując się jej z wyraźnym zadowoleniem.

– Idę z przyjaciółmi do kina – powiedziała, znajdując w końcu wazon na parapecie. – Na nową komedię romantyczną. Tę z Julią Roberts.

– Uwielbiam komedie romantyczne! Tylko nie mów nikomu – oświadczył konspiracyjnym szeptem, a Wiktor tak mocno ścisnął miotłę, że słyhać było wyraźny chrupot.

Ale Anka chrupotu nie słyszała. Wpatrywała się w niebieskie oczy Marka, błyszczące wyraźnym zainteresowaniem, i czuła się adorowana. Adorowana! Potem przeniosła wzrok na ponurą twarz Wiktora. Zaczęła się zastanawiać, co z nią jest nie tak. I znowu spojrzała na Marka. Przecież przed nią stoi prawdziwy dżentelmen, mężczyzna przystojny, dowcipny, a do tego policjant.

Anka uśmiechnęła się do niego i spontanicznie, tak żeby Wiktor słyszał, zaproponowała:

– To może pójdziesz z nami?

– To moja kwestia, Aniu. Tylko wtedy pokazuję jeszcze odznakę – rzucił Marek i roześmiał się z własnego dowcipu, a dziewczyna głośno mu zawtórowała.

Wiktor znieruchomiał.

– Pan Marek jest policjantem – wytłumaczyła, złapawszy jego pytające spojrzenie, a potem, chcąc mu dokuczyć, dodała: – Prawdziwym policjantem.

Reakcja Wiktora była co najmniej dziwna. Spiał się, a nawet zbladł. Potem odwrócił się gwałtownie i nie patrząc już na nikogo, zniknął w przedpokoju. A potem zamknął się w łazience.

– Niestety, dzisiaj w nocy pracuję – mówił Marek, widząc tylko Ankę. – Może... sami pójdziemy. Jutro?

– Nie mogę – uśmiechnęła się rozkojarzona, zastanawiając się, co ugryzło Wiktora. A potem postanowiła zwalczyć w zarodku to zainteresowanie. Niech go zagryzie. To, co go gryzie. Nie jej sprawa. – Ślub – wyjaśniła, przechodząc z wazonem do kuchni.

– Mam nadzieję, że nie jesteś panną młodą? Nie przeżyłbym – zapewnił czule Marek, a potem spojrzał na zegarek i popędził podłączyć babci zamrażarkę.

Beata wyszła z budynku. Przez chwilę wpatrywała się jeszcze uważnie w okna mieszkania Anki. Niestety, jako że nie była obdarzona przenikającym ścianami spojrzeniem Supermana, niczego ciekawego nie zobaczyła, nie licząc sterczącej za szybą sąsiedniego mieszkania staruszki o mentalności szpiega. Szybko podeszła do czekającego na nią samochodu, wsiadła i spojrzała na milczącą Jadwigę i Danutę, niespodzianka!, palącą papierosa.

– Ten Wiktor to tylko malarz – wydyszała zupełnie niezrażona milczeniem koleżanek. – Nazywa się Małaszyński. Nie wiem, jak Ania mu płaci, bo przecież nie ma już w ogóle pieniędzy, a ode mnie nie chciała ani grosza... – przerwała, bo Jadwiga dostała ataku kaszlu. Beata wykorzystała tę chwilę na złapanie oddechu i zrobienie odpowiednio oburzonej miny, a potem mówiła dalej: – Zresztą to nieistotne. Słuchajcie! Ania zaręczyła się z Fryderykiem, wyobrażacie sobie!? – podniosła ręce do góry, jakby mówiła:

„Boże, ty o tym wiedziałeś i nie grzmiałeś?” – I powiedziała mi o tym jego matka!

– Myślałam, że chcesz, żeby Ania się zaręczyła, prawda? – Danuta spojrzała na przyjaciółkę badawczo. – Widzisz, sama sobie poradziła. Powinnaś się cieszyć.

Beata znieruchomiała. Nagle dotarło do niej, że wcale się nie cieszy.

– Taaak! Ale coś mi tu nie pasuje... Pomyślcie tylko, kiedy Fryderyk zobaczył Marka z kwiatkami, nawet się nie skrzywił! Wręcz przeciwnie.

Ucieszył się. A potem wyszedł zadowolony. Czy tak się zachowuje zakochany narzeczony!?

– Zaraz, to jest i Marek? – zdumiała się Danuta.

– Właśnie! To policjant, wnuk sąsiadki Ani – mówiła Beata chaotycznie. Nagle nasunęła jej się refleksja: – Wiecie, tak ich sobie wszystkich obserwowałam... I zauważyłam coś dziwnego. Marek wpatrywał się w Anię, ona w malarza, a Fryderyk w mamusię. Jak myślicie, co może z tego wyniknąć?

– Katastrofa – powiedziała spokojnie Danuta.

– Właśnie – mruknęła Jadwiga i nie czekając na żadne nowe rewelacje i kolejnych facetów, wyciągnęła telefon. – Morfeusz przysłał wiadomość.

Według niego, a co za tym idzie według urzędu komunikacji, numer rejestracyjny samochodu, którym porusza się ten cały Wiktor, nie istnieje...

Beata otworzyła usta, ale dopiero po dłuższej chwili wyszły z nich słowa:

– Może to jakaś pomyłka?

Jadwiga pokiwała głową i jeszcze raz spojrzała na zaparkowaną w pobliżu furgonetkę.

– Cóż... wszystko jest możliwe. Pozostaje jednak ta odrobina niepewności, która zapewne nie pozwoli ci zasnąć.

– Ale... ten Wiktor wydaje się całkiem normalny. – Beata nie mogła dopuścić do siebie strasznej myśli, że Ania znajduje się sama w mieszkaniu z kimś, kto ma cokolwiek nielegalnego w swoim posiadaniu.

– I złodziej wygląda jak człowiek – zacytowała bezdomnego znajomego Jadwiga.

– Dobra – westchnęła ciężko Danuta, potem wyrzuciła za okno niedopałek i zapaliła silnik. – Na razie proponuję zająć się planem na jutro. Ja zajmę się akcją z fotografem, a Jadwiga będzie miała szansę wykazania się w terenie. Trzeba szybko z tym Kowalskim coś zrobić... – Zamyśliła się.

– Proponuję przejrzeć jego biurko. Wydaje mi się, że jeśli bierze w łapę, na pewno robi to w pracy, nie w domu – powiedziała obojętnie Jadwiga, oglądając paznokcie. – Może coś znajdziemy. Poza tym zainstalujemy mu ukrytą kamerę. – Strzepnęła niewidzialny pyłek z palców.

Beata wyraźnie zbladła.

– Zwariowałaś!? Przecież to włamanie. I inwigilacja.

– To poszukiwanie dowodów łapówkarstwa, a to różnica – oświadczyła koleżanka, odrywając w końcu wzrok od paznokci. – Wspomagamy organa sprawiedliwości, czyż to nie szczytny cel? Poza tym w poniedziałek mam zamiar zjawić się u niego z wypchaną kopertą. – Na jej twarzy pojawił się

kpiący uśmiech. – Może załatwię przyjęcie Marcinka do szkoły bez wymaganych dokumentów. Może nawet do klasy Ani...

– Marcinka? – Beata osłupiała, a potem spojrzała na Danutę. – Danka, a ty nic nie powiesz?

Przyjaciółka zatrzymała się na czerwonym świetle i zapaliła kolejnego papierosa.

– Nie lubię ludzi bez skazy, bo takich nie ma – powiedziała, wydmuchując dym. – Doskonałość jest wbrew naturze człowieka. Pamiętaj, że ten Kowalski zatruwa życie twojej córce. Ania jest zestresowana... To obniża sprawność psychofizyczną, a co za tym idzie jej możliwości znalezienia odpowiedniego mężczyzny. Czasami, żeby osiągnąć cel, trzeba odwołać się do nieco... kontrowersyjnych środków. Pamiętaj, w naszej pracy obserwujemy ludzi i czasami trafiamy na różne śmierdzące sprawy. Gdy mamy pewność, naszym obowiązkiem jest zawiadomić policję... tylko musimy tę pewność jakoś zdobyć...

Beata opadła ciężko na siedzenie.

– Dobrze, że ten Marek jest policjantem – westchnęła po chwili. – Przynajmniej jestem o nią odrobinę spokojniejsza.

Jadwiga spojrzała na nią z zadumą.

– Najciemniej jest zawsze pod latarnią – mruknęła.

ROZDZIAŁ 32

Anka zamknęła za Markiem drzwi i oparła się o ścianę zupełnie wyczerpana. Po chwili wzięła się jednak w garść. Kiedy wróciła do salonu, zastała Wiktora układającego w równym szeregu pędzle. Przez moment przyglądała się zdumiona jego zajęciu, a potem podeszła do przykrytej workiem kanapy. Usiadła. Kanapa zaskrzypiała, wrywając Wiktora z transu.

– Żadnego nie brakuje? – zapytała Anka kpiąco, wskazując na pędzle.

– Podejrzewa pan moich gości o kleptomanię?

Czekolada w jego oczach dziwnie zgorzkniała.

– Nie wiedziałem, że pani wychodzi za mąż. Gratulacje – powiedział, jakby składał kondolencje.

– Nie sądzę, żeby ze ślubu coś wyszło. To skomplikowane – westchnęła.

– Nie musi mi pani nic tłumaczyć – przerwał jej sucho. Dalej układał pędzle, jakby to były srebrne łyżeczki. Wyczuwała w jego głosie rozdrażnienie. – A dlaczego? – nie wytrzymał.

– Jak by to powiedzieć... Fryderyk nie spełnia moich oczekiwań – powiedziała szczerze.

Wiktor osłupiał.

– Naprawdę? – zapytał po dłuższej chwili. – Zaskoczyła mnie pani. Nie wygląda pani na taką zimną i wyrachowaną osobę, która igra z uczuciami innych. Ten Fryderyk taki... zapatrzony.

– Ledwie mu to przeszło przez usta. Chciał powiedzieć coś jeszcze, coś na pewno bardzo nieprzyjemnego na temat kobiet i wyrachowania zapewne, ale Anka wybuchnęła śmiechem.

– Zapatrzony? Chyba w swoją matkę. No co pan wymyśla, panie Wiktorze! Przecież Fryderyk jest gejem i proszę mi nie mówić, że pan tego nie zauważył.

Przez chwilę panowała krępująca cisza. Potem Wiktor odchrząknął niepewnie, jakby uwalniając gardło od wielkiego ciężaru, i spojrzał w okno. I znowu na nią.

– Przykro mi strasznie – powiedział zakłopotany. – Jeśli mógłbym pani jakoś pomóc... zawsze mogę ramię nadstawić. Żeby pani mogła się wyżyć.

Na facetach.

– Bardzo dziękuję, ale ja się wcale nie martwię – oświeciła go, patrząc na jego biceps. Był jak należy.

– Nie? – zdumiał się jeszcze bardziej.

– Panie Wiktorze, my z Fryderykiem jesteśmy jak samopomoc koleżeńska. Czemu pan tak na mnie patrzy? Na pewno nie jest to najdziwniejszy układ, jaki istnieje. Ja pomagam Fryderykowi, bo jego matka padłaby trupem na wieść o homoseksualizmie genialnego jedynaka, a Fryderyk jest dla mnie tarczą odpierającą ataki słowne matki i ciotek, i babć, i innych...

dotyczące męża. To takie upokarzające – dodała z przekonaniem wynikającym z bolesnych doświadczeń.

– Zaraz, zaraz, żebym dobrze zrozumiał... – powiedział Wiktor, zakładając ręce. – Pani udaje, że ma narzeczonego, chociaż nigdy nie zamierza się z nim związać, a ten facet udaje, że pani jest jego narzeczoną, żeby matka nie dowiedziała się, że woli chłopców.

Anka uśmiechnęła się przekonująco.

– Tak. Proste, prawda?

– Fantastycznie! – Spojrzał na nią z uznaniem. – Jak na nauczycielkę to z pani jest niezły numer! *Chapeau bas* – mruknął rozluźniony, a potem dodał z zainteresowaniem: – A teraz co, weźmiecie ślub?

ROZDZIAŁ 33

Siedzieli w trójkę przy swoim ulubionym stoliku w klubie i pili drinki.

Od czasu do czasu któreś z nich nie wytrzymało i krzywiło się niemiłosiernie, słysząc piszczącą na scenie Wiolalę, choć równie dobrze mógł to powodować nadmiar cytryny utopionej w drinku. Odwróćni tyłem do sceny bojkutowali cekinowe majtki i białe kozaczki i tylko co jakiś czas któreś z nich zwracało się ku zespołowi, by podjąć desperacką próbę trafienia w Wiolę pestką z cytryny. Próbowali rozmawiać o filmie, z którego Anka niewiele zapamiętała, bo zastanawiała się nad ulubionym rodzajem czekolady. (Gdy zrozumiała, że najbardziej lubi czekoladowe spojrzenie Wiktora, postanowiła przejść na dietę). Pozostawało jej zatem potakiwanie.

Zresztą bardzo szybko przerwali się na bardziej egzystencjalne tematy.

– A jak właściwie doszedłeś do tego, że pociągają cię faceci? – zapytała Matylda, wpatrując się uważnie we Fryderyka.

Fryderyk poczerwieniał.

– A ty? – zapytał ją zadziornie.

– Proste – Matylda podparła policzek ręką i pokazała mu język. – Odkąd pamiętam, moją ulubioną zabawką był orchidometr.

– Orchidometr? – zdumiała się Anka.

Matylda wyszczerzyła w uśmiechu białe zęby.

– Dokładnie. Kiedy któryś z moich związków dobiegał końca, wybierałam sobie na sznureczku kolejny rozmiar jądra, a potem wyruszałam na poszukiwania... Kopciuszką – mrugnęła.

– I dziwić się, że kobiety mnie przerażają. – Ciałem Fryderyka wstrząsnął dreszcz.
– No opowiedz, Fryderyczku – jęknęła błagalnym tonem Matylda. – Zabaw nas, dopóki cekinowe majtki wyją na scenie.

Fryderyk spojrział w kierunku Wiolali, a potem westchnął ciężko i dał się namówić. W końcu każdy ma czasami potrzebę ekshibicjonizmu.

– Wszystko paradoksalnie zaczęło się od kobiety – zaczął ściszym głosem. – Kiedyś zatrzasnąłem się w windzie razem z taką jedną, która najwidoczniej ostro przechodziła owulację i uff, była gorąca jak deska w saunie.

– I co!?! – Matylda zakrztusiła się z przejęcia.

Fryderyk uśmiechnął się, jakby opowiadał dobry dowcip.

– Ona podchodzi do mnie i mówi: „Może to ostatnia godzina naszego życia. Zapomnijmy się”. Miałem wtedy siedemnaście lat. Ona co najmniej trzydzieści. Zaczyna ściągać z siebie bluzkę. Zupełnie jak w jakimś filmie dla dorosłych. Ona wyciąga swoje skarby, do dziś jestem przekonany, że jeden nazywał się I, a drugi Q, a ja w takim ekscytującym dla młodego chłopaka momencie mogę skupić się tylko na wiszącym przede mną plakacie z Bradem Pittem. Pamiętam jak dziś, Brad reklamował *Wywiad z wampirem*... – westchnął teatralnie. – Wtedy wszystko stało się jasne.

– Że podnieca cię krew?

– Nieee... – pokręcił głową Fryderyk. – Że podniecają mnie faceci.

Matylda klasnęła.

– Właśnie to powiedziałeś – uśmiechnęła się zadowolona. – Może czas zatem skończyć z udawaniem, że jest inaczej? Zrób coś z tym. Nie możesz całe życie bać się sam siebie.

– Słucham!?! – Fryderyk nie krył zaskoczenia.

– Tak! Przecież ty się wstydzisz bycia gejem. Pogódź się z tym! Zaakceptuj siebie! Ja, balneolog, to znaczy szkolny psycholog, ci to mówię!

Fryderyk chciał zaprotestować, ale przerwał mu aplauz, bo Wiola skończyła właśnie jeden ze swoich popisowych, tudzież popiskowych, kawałków. Anka zerknęła w stronę wokalistki i zamarła. Na scenę wskoczył bowiem przystojny chłopak, szybkim krokiem podszedł do dziewczyny i chwycił ją mocno za szyję. Przez chwilę wydawało się, że chce udusić Wiolę, wyrwać jej język albo struny głosowe, żeby czasem z jej gardzieli nie wydobył się już żaden fałszywy dźwięk, ale on wsadził jej do ust swój język. A kiedy po kilkunastu sekundach go wyciągnął, krzyknął do mikrofonu ku rozentuzjanzmowanemu męskiemu towarzyszemu:

– To moja Wiola! Jeszcze raz, kotku! Bis!

Publiczność zaczęła skandować:

– Wiolala! Wiolala!

Anka nie zdążyła nawet skrzywić się z dezaprobatą, a spłoniona Wiola już otworzyła buzię. Znowu ten przeszywający pisk. Bolało. Ale panom przy scenie się podobało.

– Wiolala! Wiolala!

– Czy są jeszcze faceci, którzy nad cekinowe majtki przedkładają osobowość? – wyrwało się Ance razem ze straszliwym westchnieniem. I potwornym żalem.

Matylda chwyciła ją za ramię.

– A co ty taka dobita? Zadurzyłaś się w kimś? – zażartowała.

– Oczywiście, że nie! – Anka gwałtownie zaprotestowała. I zamilkła.

Zadurzenie nie było właściwym słowem. Odurzenie brzmiało dużo lepiej.

Odurzyła ją obecność Wiktora. I zaburzyła jej życie.

– To pewnie przez te seksowne pośladki... – zaczął Fryderyk, będąc bliżej prawdy, niż mu się wydawało, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo Anka poderwała się gwałtownie z krzesła.

– A! – krzyknęła rozzwierając i spojrzała na niego histerycznie. – Widziałam prawdziwego ekshibicjonistę!

– Gdzie? Gdzie!?! – Fryderyk także zerwał się z krzesła i wyciągał szyję w kierunku tłumu.

– Tam! O, już go nie ma! – dodała z zalem i opadła na miejsce, patrząc spod oka na Matyldę. Nie chciała, żeby przyjaciółka dowiedziała się o Wiktorze przed niedzielą. W końcu tajemnica to tajemnica. Na szczęście Matylda nie zwróciła uwagi na słowa Fryderyka. Ale Anka i tak zaczęła chaotycznie opowiadać:

– Mam kryzys. To, że faceci wolą takie Wiolale w cekinowych majtkach i białych kozaczkach zamiast normalnej dziewczyny, jest dołujące. Właśnie, Matylda, powinnaś napisać artykuł *Zmagania młodej nauczycielki z depresją wywołaną przeciętnością i niską samooceną*.

– Trudno nie mieć depresji, jak się ma nadgorliwą matkę, nie twoja wina – zaczęła pocieszać ją Matylda. – Ale przeciętna wcale nie jesteś. Nie bardziej niż my – dodała, a Fryderyk gorliwie przytaknął.

Anka nie dała się przekonać.

– Jestem kwintesencją przeciętności – powiedziała smutno. – Nawet imię mam przeciętne.

Matylda wybuchnęła śmiechem.

– Co ty jesteś na etapie *Ani z Zielonego Wzgórza*? Dziecko, każdy z nas ma w sobie coś wyjątkowego, tylko trzeba to w sobie odnaleźć. Najlepiej zresztą, jak ci to jakiś zainteresowany facet wytłumaczy. W łóżku.

– Prawda – pokiwał głową zasępioły Fryderyk. – Tylko gdzie ci faceci?

Pewnie w łóżku z kobietami – mruknął ponuro i wychylił drinka do dna.

– Właśnie, z takimi w cekinowych majtkach – zgodziła się Anka. Potem naszła ją refleksja, którą zapewne pod wpływem alkoholu i nadmiaru soku z cytryny zdecydowała się podzielić z przyjaciółmi: – Wiecie, czasami się czuję, jakbym siedziała w pociągu i wyglądała przez okno. I nagle w pociągu stojącym na drugim torze widzę tego kogoś, z kim chciałabym być. Ale kiedy wybiegam z wagonu, żeby go odnaleźć, tamtego pociągu już nie ma... Znowu zostaję sama na peronie. I chociaż wiem, że ten ktoś też mnie szuka, może nawet czeka na następnej stacji, najzwyczajniej w świecie go nie spotykam. Czasami wydaje mi się, że już do końca życia będę sama jeździć pociągami, spotykając różnych dziwnych ludzi, a ten jedyny zawsze będzie w innym pociągu... A te pociągi już nigdy więcej nie przyjadą na tę samą stację o tej samej porze, rozumiecie?

Matylda pokiwała z zadumą głową.

– Dlatego właśnie PKP są bliskie bankructwa... – westchnęła. – Nie dowożą ludzi tam, gdzie trzeba, na czas...

– Bardzo śmieszne. – Anka rzuciła Matyldzie obrażone spojrzenie.

Przyjaciółka w ogóle się nim nie przejęła i wzniosła toast.

– Zdrowie PKP.

– Zdrowie – dołączył się Fryderyk, a widząc kwaśną minę Anki, dodał pocieszająco: – Jak PKP zbankrutują, to może traficie do tego samego autobusu?

ROZDZIAŁ 34

Anka otworzyła oczy z uczuciem, że coś się dzieje. Przez chwilę leżała bez ruchu i wpatrywała się w ciemność nocy. Nic. Cisza. A potem niespodziewanie głośny łomot. Usiadła

sztwno na łóżku, trzymając się kurczowo kołdry, jakby ta miała jakąś magiczną moc chroniącą przed wszelkim złem. Patrzyła przed siebie, mrugając oczyma, by szybciej wyostrzyć wzrok. Kontury przedmiotów rozmazywały się jednak w ciemnościach. Jęczący za oknem wiatr potęgował jej niepokój. Zadrżała i przygryzła wargi.

Znowu niespodziewany dźwięk. Przeciął ją jęk, którego nie był w stanie zagłuszyć nawet stukot gałęzi uderzających w okno. Zerwała się z łóżka, nagle hiperprzutomna. Bardzo powoli przeszła przez pokój i przyłożyła ucho do drzwi, zza których dochodziły odgłosy szamotaniny. Odskokzyła, zastanawiając się gorączkowo, co w takich sytuacjach trzeba zrobić. Nie wiedziała, czy ma zabarykadować się w pokoju, czy krzyczeć. Kiedy już miała wejść pod łóżko, spośród gwałtownych dźwięków wyłonił się znajomy głos.

– Aaankaaa – zawodził.

Impulsywnie otworzyła drzwi sypialni i wbiegła do przedpokoju. Jej oczom ukazał się zaskakujący widok. Zobaczyła wielkie ciało. Przygniatające inne ciało.

– Panie Wiktorze! – wrzasnęła ochryplym głosem, rozpoznawszy go po pośladkach.

Przyłożyła ręce do serca. – Co pan robi!?

Wiktor nie puścił swojej ofiary.

– Zauważyłem go, jak skradał się do pani mieszkania – wysapał. – Złapałem w samą porę.

Anka spojrzała na leżącego na podłodze Michała, który rzucił jej spojrzenie zarzynanego prosiaka i próbował się poruszyć, ale profesjonalny chwyt Wiktora nie dawał mu żadnych szans.

– W samą porę na co? – wycedziła, czując narastającą złość.

– Żeby pani krzywdy nie zrobił, oczywiście – Wiktor patrzył na nią z dumą samca, któremu się wydaje, że imponuje swojej samicy.

Pokiwała głową.

– Koniecznie chce pan zostać bohaterem, co? – powiedziała sarkastycznie. I wyjątkowo złośliwie. – Niestety, jak na razie zdobył pan jedynie tytuł antybohatera... Michał, wszystko w porządku?

– Niby tak, tylko jakiś dryblas dał mi po gębie, a teraz siedzi na moich plecach – dał się słyszeć zduszony, ale wyraźnie rozbawiony szept.

Wiktor, widząc, że bandyta jest Ance dobrze znany, puścił go. Chłopak, masując sobie prawą rękę, usiadł na podłodze, a potem z ciekawością zaczął przypatrywać się napastnikowi.

– Kto to jest, do cholery? – zapytał z uśmiechem pożyczonym od stałych bywalców barów. – Twój... ochroniarz?

– Mój... malarz – powiedziała Anka, patrząc wściekle na Wiktora. – Remontuje mi mieszkanie.

– O czwartej rano? – zdumiał się Michał. – Kurde, nie spodziewałem się, że jesteś taką kapitalistyczną świnią – powiedział z wyraźnym obrzydzeniem i żeby zaakcentować swoje stanowisko, dostał czkawki.

– To nie wina pani Ani. – Wiktor poczuł potrzebę wtrącenia się, a potem nagle zmienił temat. – Ja bardzo pana przepraszam. Myślałem, że ktoś włamuje się do mieszkania.

Anka podeszła do Wiktora. Stała bardzo blisko. Tak blisko, że jej włosy zaczęły się elektryzować.

– Co pan robi o tej porze w moim mieszkaniu? – syknęła wściekła. – Nie taka była umowa!

– Wracalem z jednej imprezy... – zaczął i uśmiechnął się, czarująco jak zwykle. Żeby rozładować napięcie. Bezskutecznie.

– Na drugi raz proszę wracać inną drogą – wyszeptala, patrząc prosto w czekoladowe

oczy, które wydawały się topić pod wpływem jej bliskości.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle do ich uszu dobiegł przejmujący chichot. Odwróciła się. Michał leżał na plecach i śmiał się, jakby łaskotały go własne myśli.

– Żenię się! Ja się żenię! – krzyczał.

Ankę opuściły nagle wszelkie siły vitalne.

– Idę spać – powiedziała tylko zdegustowana. – A wy róbcie, co chcecie.

ROZDZIAŁ 35

Poranek był dokładnie taki, jaki zapowiedziała noc. Beznadziejny. A instynkt podpowiadał Ance, że dzień nie będzie lepszy. Wstała i włożyła na siebie szlafrok, starając się nie słyszeć stukającego miarowo za oknem deszczu. Spojrzała w lustro. Cienie pod oczami były większe i ciemniejsze niż zazwyczaj, a włosy nie dawały się ułożyć. Wszelkie znaki na ziemi i niebie zwiastowały fatalny dzień.

Otworzyła drzwi. Z kuchni dobiegły ją męskie głosy.

– Ja też kiedyś miałem problemy z deklaracjami, a te dozgonne wprost zwały mnie z nóg – usłyszała głos Michała. – To wina kobiet z mojej rodziny. Są wyjątkowo dominujące...

Anka zacisnęła wargi i mocniej opatulila się szlafrokiem. Nie ma to jak kilka ciepłych słów od rodzzonego brata i to z samego rana. Od razu zrobiło jej się gorzej.

– A co cię skłoniło do zmiany decyzji? – Wiktor wydawał się szczerze zainteresowany.

Z niedowierzaniem zauważyła, że są na ty. „Facetom tak niewiele potrzeba, wystarczy wypić po jednym, porozmawiać o dziewczynach albo wysikać się do sąsiadujących pisuarów i już sztama. Może dlatego, że już wtedy wszystko, co ich interesuje, o sobie wiedzą?”, pomyślała.

Weszła do kuchni, rzuciła mężczyznom ponure spojrzenie i jeszcze bardziej ponure „dzień dobry”. Zauważyła, że Michał siedzi na rozklekotanym krześle w samej bieliźnie i namiętnie tuli się do kubka z kawą.

– Może założyłbyś spodnie, co? – zawarczała. W końcu skoro brat rozpowiada wszem i wobec, że jest dominująca, to proszę bardzo, ona mu pokaże, do jakiego stopnia potrafi taka być. – Nie katuj mnie widokiem swoich gołych łydek – dodała z niesmakiem.

– Dzień dobry, pani Aniu – wyrwał się Wiktor. – Kawy?

– Tej siekiery? – zapytała, patrząc na niego ze złością. Ale potem przypomniała sobie, że z powodu natłoku zajęć i gości zapomniała kupić kawę, a nie jest w stanie utrzymać opadających powiek. Powiedziała zatem łaskawie: – Zawsze.

– Co ty mówisz? – oburzył się Michał. – Wiktor naprawdę robi świetną kawę! Najlepszą na kaca – powiedział z entuzjazmem i zataczając się, wyszedł w poszukiwaniu spodni.

– Właśnie mówię – mruknęła, odbierając z rąk Wiktora kubek. – Sam jej zapach wprost zwała z nóg.

– To zupełnie jak pani, pani Aniu – powiedział cicho mężczyzna, a potem odwrócił się szybko, jakby pożałował swoich słów.

Oprzytomniała bez kawy.

Michał wrócił, mocując się z zamkiem od spodni. Wiktor chrząknął, a chłopak kontynuował swoje refleksje, uśmiechając się przy tym na tyle głupkowato, że widać było wyraźnie, że alkohol nie wyparował jeszcze z jego krwi.

– Wiesz, to było tak... – mówił. – W zeszłym roku, pamiętam, jakby to było wczoraj, choć... – tu zastanowił się przez chwilę – z wczoraj to ja niewiele pamiętam, ale tamtą noc – pokiwał głową – pamiętam. To było jak objawienie. Na jednej imprezie wypiliśmy z chłopakami

za wolność chyba z pięć litrów, aż mi ta wolność zaczęła ciążyć na pęcherzu. Jak wracałem do domu, to poszedłem za jakiś blok, za potrzebą, wyciągam, proszę ciebie, instrument...

Anka dostała ataku kaszlu, ale nawet na nią nie spojrzeli: Wiktor zasłuchany, Michał zamyślony. Męskie rozważania egzystencjalne. Poważna rzecz.

– W głowie mi huczy. Wymierzam i czuję błogość, rozumiesz, ulgę...

czuję się taki wyzwolony. I nagle zaczynam myśleć o tej wolności, o szczęściu i po raz pierwszy w życiu chcę się z kimś tą wolnością podzielić, wiesz? Nie oddać, ale się nią podzielić. Dociera do mnie, o co w tym wszystkim chodzi. A w głowie, jak drzazga w mózgu, nie do usunięcia, tkwi ona, Iga, i uśmiecha się do mnie z piedestału – ciągnął natchniony, a w jego oczach łzy! – I wiem, że nie chcę już ani jednej nocy spędzić bez niej. Zaczynam się bać, że znajdzie sobie kogoś innego... Wtedy unoszę

głowę, w jakimś takim dziękczynnym geście, a nade mną... – na moment zawiesił dramatycznie głos – nade mną znak jak ta gwiazda betlejemka...

Anka omal nie wypłuła kawy. Przez chwilę panowała uroczysta cisza, którą przerwał Wiktor.

– Jaki znak?

Michał spojrzał na niego nieprzytomnie.

– Billboard. Z wiadomością od losu.

– Billboard? I co tam było napisane? – chciała wiedzieć Anka. Zaczynała się martwić o zdrowie psychiczne jedyne go braciszka. „Może dziadek ma rację? Może powietrze w domu rodzinnym faktycznie jest toksyczne dla mężczyzn?”, rozważała.

– Sama mądrość i to wielkimi literami! – odpowiedział z powagą Michał, wpatrując się w sufit. Anka i Wiktor podążyli za nim wzrokiem, a on, jakby właśnie miał widzenie, wyjął wreszcie nawiedzonym tonem: – Napisane było: *Nike. Just do it.*

Anka zakrztusiła się kawą.

– Od kiedy ty w reklamy wierzysz? – parsknęła, ale brat nawet na nią nie spojrzął.

– To był znak – kiwał tylko głową. – A Nike to bogini zwycięstwa.

Wyszła. Nie mogła znieść tej uroczystej ciszy objawienia i poszła się ubrać. Miała wrażenie, że ona również doznała olśnienia. Zaczęła nagle rozumieć męską logikę. Brak logiki. Zrozumiała, dlaczego niektóre pielęgnowane związki mają przetrwać wieczność, a kończą się niespodziewanie szybko, a inne, te spontaniczne miłości z góry skazane na porażkę, jakimś cudownym zrządzeniem losu nigdy się nie kończą. Bo Amor czy Kupidyn, jak to faceci, często partaczą sprawę. Dopiero kiedy do akcji wkracza Nike, bogini zwycięstwa, kobieta czynu, żaden facet nie ma szans. To ona daje mężczyźnie kopa, a potem przy dźwiękach marsza Mendelssohna obrączkuje go jak niesfornego koguta. W tym szaleństwie jest metoda, jak to ujął Szekspir, a czymże jest życie, jeśli nie szekspirowskim dramatem?

Kiedy ubrana weszła znowu do kuchni, zauważyła, że Michał nadal plotkuje z Wiktorem. Dobrze się przy tym bawiąc. Żeby dopasować się do stworzonego przez Michała wizerunku dominującej Romantowskiej, postanowiła wtrącić się złośliwie i, tylko i wyłącznie dla dobra jedyne go brata, zabić w zarodku tę przyjaźń. Taki szowinista jak Wiktor mógłby jeszcze zaszkodzić niewinnej duszyczce.

– Michał, zbieraj się. Po drodze do pracy podrzucę cię do domu – burknęła, wychodząc do przedpokoju. Usiadła na pudle, podciągnęła nogawki jeansów i zaczęła wkładać buty.

Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Podniosła głowę i złapała spojrzenie Wiktora. Stał oparty o framugę kuchennych drzwi i wpatrywał się w jej tatuaż. Podciągnęła skarpetkę, dziwnie speszona, i włożyła martensa.

Wiktor odchrząknął.

– Proszę, jakie ma pani ciężkie buty – dobił ją. „Pewnie też jest koneserem białych kozaczków. Nie wspominając o cekinowych majtkach”, pomyślała. – A ja słyszałem, że kobiety potrafią skoncentrować się tylko w szpilkach... – zauważył, starając się być zabawny. Nie udało mu się.

– Naprawdę? No proszę, wyszło, jaki rodzaj kobiet zna pan najlepiej.

Muszę pana rozczarować, ja do nich nie należę. I na szczęście nawet na golasa nie mam problemów z koncentracją. A szpilki zakładam tylko i wyłącznie po to, by dekoncentrować facetów...

– Na golasa? – przerwał jej.

– Na obcasach – poprawiła go ze złością. – Na golasa nie muszę.

– Faktycznie, jeszcze się pani nie rozebrała, a ja już się czuję nieco zdekoncentrowany – powiedział niskim seksownym głosem.

Usłyszała zduszony śmiech brata.

– Michał, wychodzimy – rzuciła wściekła. Kontrolując sytuację. Jeszcze.

– Poczekaj – Michał wtoczył się i usiadł na środku przedpokoju, próbując założyć buty. – Ale z ciebie jędba. Nie poganiaj mnie. Złe się czuję. Słabo mi...

Zadzwoił telefon. Anka, nie zastanawiając się, weszła do salonu i podniosła słuchawkę.

– Sowa? – usłyszała konspiracyjny szept. Zazgrzytała zębami.

– Nie. Przykro mi, że to ja muszę pana poinformować, ale Sowa nie żyje. Zmarła we wtorek na ptasią grypę – obwieściła podniesionym głosem.

– Na ptasią grypę? – głos zabrzmiał histerycznie.

– Tak – potwierdziła gorliwie. – Zatem może pan ogłosić wśród znajomych i przyjaciół, że nie mają tu więcej po co dzwonić. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do przedpokoju, nic sobie nie robiąc z zaskoczonej miny Wiktora.

– Sowa? – Michał leżał na podłodze z pięścią przy uchu, płacząc ze śmiechu. – Halo? Tu dziupła. Czy jest dzięcioł?

– Jesteś gotowy, Michał? Musimy natychmiast wyjść! – wycedziła, rzucając Wiktorowi ostre spojrzenie. A potem dodała gwoli wytłumaczenia – Zbyt długie przebywanie w pana towarzystwie może okazać się zgubne dla pana młodego.

– Potraktuję to jako komplement – oświadczył cierpko mężczyzna i ściągnął koszulkę.

Tylko i wyłącznie po to, żeby ją zdekoncentrować. Na pewno. Zacisnęła wargi, a on nie wytrzymał.

– A jak wieczór z narzeczoną? – zapytał jadownicę. Stał przez chwilę nieruchomo, pozwalając Ance przyjrzeć się swoim mięśniom, a potem zaczął wkładać kombinezon. – Film mu się podobał? Jak dobrze, że w komediach romantycznych występują także przystojni aktorzy.

Otrząsnęła się, a potem zerknęła z niepokojem na brata. Ale choćby Wiktor powiedział wprost, że Fryderyk jest gejem, Michał i tak by nie zrozumiał. Był na innym etapie. Odlotowym. Wpatrywał się z czułością w swoje buty. Jak się okazało, jeden był zupełnie inny niż drugi.

– Świetnie, bardzo dziękuję – odpowiedziała gniewnie.

– Mam nadzieję, że pomimo tych wszystkich przystojnych mężczyzn narzeczoną zwróci uwagę na Julię Roberts, w końcu jest bardzo do pani podobna.

– Niesłuchanie – odparowała. A potem serce zaczęło jej zwawiej bić.

Wiedziała! Wiedziała, że Julia Roberts kogoś jej przypomina, ją samą! Że też właśnie on, ze wszystkich facetów na kuli ziemskiej i w przestrzeni kosmicznej, też to zauważył!

– Tylko radzę uważać, bo według psychologów oglądanie komedii romantycznych szkodzi kobietom na głowę – zaskoczył ją dobrą radą. I chwycił wiadro z farbą.

– Słucham? A to niby czemu? – zapytała, mocując się z paskiem od płaszcza.
– Komедie romantyczne zaburzają postrzeganie rzeczywistości. Potem kobiety szukają królewicza z bajki.
– Naprawdę? – znieruchomiała zaskoczona.
– Tak! Za dużo się wam wydaje. Marzycie o jakichś romantycznych gestach, miłości do grobowej deski, a normalnych facetów spychacie do poziomu piaskownicy!
– Czy te dwa buty są różne, czy tylko widzę jakoś dziwnie? – przerwał im Michał, próbując zahipnotyzować sznurówki, żeby same się zawiązały.
Jako że nie odniósł sukcesu, zwymyślał buty od idiotów, a potem, nie mogąc uwierzyć w ich tępotę, zarechotał. Anka poczuła nagle uderzenie gorąca. Chwyciła Michała pod ramię.
– Idziemy – szarpnęła go, ale niespodziewanie opadł na kolana.
– Pomogę... – zaczął Wiktor, ale jedno jej spojrzenie i zamilkł.
– Poradzimy sobie, a pan niech robi ten remont i to szybko – wycedziła przez zęby. „Bo już dłużej pana nie zniosę”, dodała w myślach.
A potem z nadludzką siłą, jaką tylko gniew potrafi wyzwolić, wywlokła Michała na korytarz i zatrzasnęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 36

Beata wstała wcześniej. Nie mogła spać. Odkąd rozpoczęła się akcja „Królewicz dla Ani pilnie poszukiwany”, miała problemy z zasypianiem.

Męczyło ją poczucie winy. A tej nocy także niepewność co do losu syna.

Westchnęła. Ciężka jest rola matki.

Kiedy zza firanki dostrzegła czerwoną fiestę Anki, odetchnęła z ulgą i poprawiła okulary. Potem szybko chwyciła gazetę i z filiżanką zimnej już kawy usiadła przy stole w kuchni. Zajęta udawaniem zajętej ledwie zauważyła, że weszli.

– Cześć, mamusiu – wybulgotał radośnie Michał. Beata uniosła wzrok i spojrzała na niego znad okularów.

– O, jesteś już, synku – udała zdziwienie. – Ania cię przywiozła, jak miło. Siadajcie. Aniu, od razu ci przypominam, że masz zapłaconą sesję u fotografa.

– Mamo, tłumaczyłam ci wczoraj, że to strata pieniędzy... – jęknęła Anka.

– Tylko znowu nie zaczynaj. – Beata podniosła rękę na znak końca dyskusji. – To ostatnia rzecz, o jaką cię proszę. Zrozum – powiedziała żałośnie. – Wyprowadziłaś się, to niechże chociaż mamy po tobie jakąś pamiątkę.

– To ma być sesja nagrobna? Ja jeszcze nie umarłam, mieszkam w tym samym mieście...
– Anka próbowała się wymigać, ale jej matka była nieugięta. A do tego zza drzwi wyskoczyła babcia.

– Zjecie z nami śniadanie? – zapytała zadowolona. – Zrobiłam pieczeń.

Michał przypomniał sobie, że mu niedobrze. Anka spojrzała na babcie.

– Nie, dziękuję, jestem po śniadaniu. A poza tym muszę pędzić do pracy.

– A drugie śniadanie masz?

– Nie, ale...

– Poczekaj, zaraz ci zrobię – powiedziała babcia i zaczęła kroić wielkie pajdy chleba. I jeszcze większe plasty pieczeni.

– Michałku, a jak się bawiłeś na wieczorze kawalerskim? – zapytała syna Beata, powoli sącząc kawę i przyglądając się mu świdrującym spojrzeniem, które umiejętnie ukrywała pod

nisko opuszczonymi okularami.

Michał, znając zdolności śledcze matki i wiedząc, że nie do końca trzeźwy mógłby chlapać to i owo, postanowił zmienić temat.

– Świetnie. A wiecie, że w nocy w mieszkaniu Anki napadł na mnie jej malarz? – zarechotał.

Siostra spojrzała na niego z wściekłością, a Michał pożegnał się bardzo szybko i poszedł spać.

– Ten malarz u ciebie śpi!?! – wykrzyknęła Beata po chwili konsternacji.

– Ależ skąd, mamu! Przecież to tylko malarz. Wracał z jakiejś imprezy i zauważył, jak Michał się skrada...

– Z ulicy? – zdumiała się Beata.

– Czy ty zawsze musisz się czepiać szczegółów? – zdenerwowała się Anka.

– Szczegółów? – zdumiała się jeszcze bardziej Beata. – Ależ, dziecko, to nie są żadne szczegóły, tylko bardzo istotne fakty!

– Wiktor nie...

– Kto to jest Wiktor? – przerwała jej babcia, ładując olbrzymie płaty pieczeni między wielkie pajdy chleba. – To twój mąż?

Anka nie zdążyła słowa powiedzieć. Beata jak zwykle była szybsza.

– Ależ skąd! – oburzyła się, nie dopuszczając córki do głosu. – To malarz. Ania nie ma męża – dodała. Na wypadek, gdyby ktoś zapomniał.

Chociaż nigdy nikt nie zapomniał.

– To na co ty czekasz, dziecko? – zdumiała się babcia. – Łap tego Wiktora, póki dostępny.

– Ania szuka królewicza z bajki – zauważyła złośliwie Beata. I zaraz tego pożałowała, bo córka popatrzyła na nią z jawną wrogością.

Babcia westchnęła ciężko, a potem rzuciła urażone spojrzenie dziadkowi, który stanął właśnie w drzwiach kuchni.

– Aniu, takich nie ma – powiedziała z żalem. – A jak ci się wydaje, że takiego złowiłaś, to pamiętaj, że to tylko sen. I ten królewicz na białym koniu zaraz ściągnie cię z siodła wprost w końskie gówno. – Pokiwała głową, jakby sama przez to przeszła, a potem jeszcze pociągnęła nosem.

Sprawdzając, czy śmierdzi. – Nie dumaj o herosach, tylko żywego chłopca łap!

– Aha, to już zapomniałyście o Fryderyku, tak? – rzuciła chłodno Anka. – Dlaczego nikt nie traktuje poważnie naszego związku!? A przecież mówiłam wam, że to jeden z najwspanialszych... – nie dokończyła.

Jej płomienna mowa została brutalnie przerwana przez babcię.

– Dam ci trochę mięsa – powiedziała nagle do dziadka.

Anka zagryzła wargi.

– Dla mnie tylko kawa – odezwał się dziadek.

– Jak to? Mojej pieczeni nie skosztujesz? – oburzyła się babcia. – W nocy piekłam. Spać nie mogłam. Ania specjalnie przyjechała tak wcześnie, żeby skosztować...

– Nie – oświadczył stanowczo dziadek.

– Pamiętasz, babciu, dziadek jest wegetarianinem... – Anka próbowała ratować sytuację, ale dołała tylko oliwy do ognia. Babci z rąk wypadł talerz i z głośnym brzękiem wylądował na podłodze, rozbijając się w drobny mak.

– Matko Boska!! Ja tego nie przeżyję! W moim łóżku śpi wegetarianin!

ROZDZIAŁ 37

Ance wydawało się, że dzień zmierza ku lepszemu. Deszcz zamienił się w mżawkę, przy drzwiach wyjątkowo nie wpadła na dyrektora, a dzieci siedziały grzecznie w ławkach i uśmiechały się, pokazując dziury po mlecznych zębach. Po dłuższej chwili stwierdziła, że spokój w klasie jest podejrzany i coś musi być na rzeczy. Nie myliła się.

– Proszę pani – nie wytrzymał Antoś – a Tadzio powiedział, że Tomaszek jest gejem! Zakrztusiła się i odszukała wzrokiem Tomaszka. Wyglądał na bardzo przygnębionego. Przeniosła wzrok na winowajcę.

– Tadzio, a czy ty chociaż wiesz, kto to jest gej? – zapytała poważnie. – Wiecie, że nie powinno się używać słów, których nie rozumiemy.

„Tak – powtarzała sobie – jestem profesjonalistką. Jestem pedagogiem.

Potrafię rozmawiać z dziećmi na każdy temat. I to wcale nie jest śmieszne”, przekonywała samą siebie, dusząc się ze śmiechu.

– Wiem – oświadczył Tadzio. – Rafał z czwartej b mi powiedział, że to chłopiec, który nie lubi dziewczynek, tylko chłopców. A Tomaszek zawsze mówi, że woli ożenić się z chłopcem, niż pozwolić jakiejś dziewczynce dobrać się do jego kolekcji samochodzików. To kim jest? Gejem przecież.

Zanim zdążyła skomentować definicję geja podaną przez Rafała z czwartej b, odezwał się Antoś.

– Phi! – Wzruszył ramionami. – To nie masz się co przejmować, Tomaszek. To ja też jestem gej.

Anka zaczęła kaszleć.

– Ja tam wołę dziewczynki. – Maja zadarła do góry nos. – To kto ja jestem, proszę pani? Geja?

Anka nie była w stanie się odezwać. Z każdą sekundą narastało w niej pragnienie śmiechu, który powstrzymywała tylko i wyłącznie dlatego, że była profesjonalistką.

Nagle drzwi się otworzyły i do klasy wszedł krokiem żołnierza dyktator.

Dyrektor. Z dziennikiem. Wiedziała, że o czymś zapomniała.

Anka przełknęła ślinę i opanowała swoje rozbawienie ostatkiem sił.

Dzieci wstały.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – powiedziały grzecznie.

I wszystko byłoby jak należy, gdyby ciszy nie przerwał głośny chichot Tomaszka, który najwyraźniej pokonał przygnębienie.

Dyrektor spojrzał niezadowolony w stronę, z której dobiegał śmiech, a dostrzegłszy rozradowanego ucznia, pogładził się na wszelki wypadek po włosach i zapytał:

– A ty, Marchewka? Coś taki zadowolony?

– Bo ja jestem gej, panie dyrektorze.

– Słucham!?! – Dyrektor spojrzał na chłopca szeroko otwartymi oczami.

Tomaszek wziął to za dobrą monetę. W końcu dyrektor też na pewno lubi chłopców.

– Gej – powtórzył głośniej, a potem, jakby tego było mało, dodał: – I jestem z tego dumny!

Anka wpatrzyła się przerażona w Kowalskiego, który z ogromnym zadowoleniem, wręcz radością, podał jej dziennik.

– Doskonale – powiedział triumfująco. Z wyraźną satysfakcją w głosie.

– To, pani Romantowska, była pani ostatnia pomyłka. Za poruszanie nieodpowiednich

tematów wśród dzieci zupełnie psychicznie do tego nieprzystosowanych, za wywoływanie traumy – spojrział na nią z teatralnym smutkiem – jest pani zawieszona od poniedziałku!

Reszta dnia była sennym koszmarem. Dyrektor nie zamierzał wysłuchiwać jej „pokrętnych tłumaczeń”, a ona nie miała siły, żeby go przekonywać. Nie dzisiaj. Może zajmie się tym w poniedziałek. Przecież nie zrobiła niczego złego. Pójdzie do kuratorium, do związków, do prezydenta... Ale nie dzisiaj. Ogarnęło ją straszne zniechęcenie. Skończyła lekcje i nie mogła się już doczekać, kiedy opuści szkołę. Szła korytarzem w stronę drzwi wyjściowych przepełniona żalem. Tak wiele kiedyś obiecywała sobie po tej pracy. Wszystko miało być takie wspaniałe. I było. Dopóki nie zjawił się nowy dyrektor. Teraz już nie myślała, że złapała szczęście za nogi. Wręcz przeciwnie. Ale teraz to „szczęście” nie chciało jej puścić. Trzymało się jej rękami i nogami, rechocząc jak stara wiedźma: „Nie możesz mnie, babo, puścić, bo teraz to ty masz kredyt. Teraz potrzebujesz pracy”...

Dotarła do drzwi.

– Pani Romantowska – tuż za jej uchem wysyczał nieprzyjemny głos.

Trafiony, zatopiony. O wilku mowa. A nie mogła myśleć o królewiczku z bajki?

Na ułamek sekundy zamknęła oczy, a potem odwróciła się.

Przed nią stał zniechęcony mężczyzna o twarzy zniekształconej gniewem.

– Tak? – zapytała i przykleiła do twarzy grzeczny uśmiech. – Co mogę dla pana zrobić, panie dykta... dyrektorze?

– Wolę, żeby pani dla mnie już nic nie robiła, ale powinna pani zrobić coś dla siebie.

Nawet musi – powiedział z wyraźnym naciskiem. – Musi pani zostać i zmienić gazetkę.

– Ale... jest piątek. Mogę to chyba zrobić w...

– Nie – wysyczał niepokojąco. Nie znosił sprzeciwu. Czasami Anka miała wrażenie, że to właśnie dyrektor, a nie woźny, powinien leczyć się u Matyldy. Na zaburzenia nastroju i nienawiść do ludzi. – Jest pani zawieszona do odwołania. A jeśli pani w dodatku zaniedbuje, i to tak rażąco, swoje obowiązki, to proszę się nawet nie łudzić, że pani tu wróci. – Zbliżył się do niej, a w jego głosie usłyszała wyraźną groźbę. – Zrobi to pani teraz. Prokrastynacja nie świadczy dobrze o człowieku. A o nauczycielu jak najgorzej.

I wyszedł bez pożegnania. Zamknął drzwi przed nosem.

Przez chwilę Anka nie była w stanie się ruszyć. Sparaliżowała ją wściekłość. To był jeden z tych momentów w życiu, kiedy człowiekowi nóż sam się otwiera w kieszeni. Jak się go tam ma. Dlatego właśnie nie powinno się nosić noża w kieszeni. Żeby pod wpływem nagłego impulsu nie wbić go w oponę czyjegoś samochodu.

– Wyszedł już? – Nagle usłyszała za sobą głos. Odwróciła się i zobaczyła kryjącego się w kącie Fryderyka.

– Dyrektor? Wyszedł już? – powtórzył. Anka pokiwała głową, a on podszedł i ściszej głos dodał: – Ty wiesz, że on naprawdę te godziny, które potrzebowałem na orkiestrę, dał chemiczce!?! Ciekawe, ile mu zapłaciła – mruknął, a potem spojrział na Ankę. – Podwieźć cię do domu? Coś się stało?

Pokiwała ponuro głową. Nie miała ochoty na rozmowę.

– Muszę poprawić tę cholerną gazetkę – powiedziała tylko. – Ale jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić...

ROZDZIAŁ 38

Beata stała przed drzwiami sekretariatu, który prowadził do gabinetu dyrektora.

Zastanawiała się gorączkowo, co ją zaćmiło, że zgodziła się na takie rozwiązanie. Inwigilacja Kowalskiego może i była konieczna, ale sam fakt włamywania się do jego gabinetu i montowanie jakiegoś sprzętu, pewnie bez specjalnej licencji, to chyba już karalna (bo na pewno nie lekka) przesada.

Spojrzała na zegarek. Jadwigi nie było zaledwie od czterech minut, a jej wydawało się, że minęło co najmniej pół godziny. Wytarła spocone ręce o płaszcz i jeszcze raz zerknęła na drzwi.

– Mama? – przestraszył ją nagle niespodziewany głos.

Odwróciła się i poczerwieniała jak dziecko przyłapanie na podkradaniu cukierków.

– A... Ania!? Ale co ty tu robisz? – wymknął jej się okrzyk zdziwienia.

Córka zmarszczyła brwi.

– Ja tu pracuję – odpowiedziała wolno, przyglądając się matce podejrzliwie. – Co ty tu robisz?

– Ale... dlaczego nie jesteś u fotografa?

– Musiałam zostać dłużej w pracy. Co ty tu robisz? – powtórzyła.

– Ja... – zaczęła Beata nieco piskliwie – bo... właśnie. Wiedziałam! Tak mi zależało, żebyś zrobiła tę sesję, że przyszłam sprawdzić, czy już wyszłaś z pracy. I oczywiście, jak zwykle, masz w nosie to, o co cię proszę!

Ance opadły ręce.

– Wiesz, mam, ty naprawdę masz jakiś problem z kontrolowaniem innych – powiedziała chłodno. – Oficjalnie zaczynam się o ciebie martwić.

Przez chwilę matka i córka patrzyły na siebie, jakby mierząc siły, a potem Beata poddała się.

– Bo ja fatalnie się czuję! – jęknęła zrozpaczona. – Odwieszisz mnie do domu?

– Oczywiście, mam – odpowiedziała spokojnie Anka, ale Beata złapała jej uważne spojrzenie. – Tylko zostawię klucz...

– Nie! – krzyknęła histerycznie Beata. Pod wpływem wzroku córki zamilkła i znieruchomiała, a potem pokiwała grzecznie głową. Najpierw jednak sama otworzyła drzwi sekretariatu i wsadziła głowę do środka. – Nikogo nie ma, Aniu – powiedziała głośno, zastanawiając się, czy córka nie wezwie psychiatry. Ona by pewnie tak zrobiła.

– Tak, mam – potwierdziła Anka łagodnym, uspokajającym tonem.

Próbowała najwidoczniej nowego podejścia. – O tej porze nikogo już tu nie ma – wyjaśniła cierpliwie, a potem ominęła Beatę szerokim łukiem i weszła do sekretariatu, by odwiesić klucz na miejsce.

Beata patrzyła za nią uważnie i nagle dostrzegła na podłodze mokry ślad. Zamarła. W następnej sekundzie ślad zobaczyła Anka. Dostrzegłszy na twarzy matki poczucie winy, zniecierpliwiona otworzyła drzwi wiodące do gabinetu dyrektora i zajrzała do środka.

Gabinet był pusty.

– Dziwne – mruknęła ni to do siebie, ni to do Beaty. – Te drzwi powinny być zamknięte.

Nie odrywając wzroku od matki, znalazła właściwy klucz, wsadziła do zamka i przekreśliła.

Beata nie odważyła się już wydać z siebie żadnego dźwięku. Kiedy Anka odwiesiła klucz i wyszła na korytarz, potulnie podążyła za nią.

ROZDZIAŁ 39

Jadwiga sprawnie wydostała się spod biurka. Potem otrzepała płaszcz, poprawiła

rękawiczki i jeszcze raz sprawdziła, czy kamera umieszczona w starym kilimie z orzełkiem działa i czy jest niewidoczna. Wszystko było, jak należy.

– Doskonale – powiedziała do siebie zadowolona i podeszła do drzwi.

Pociągnęła za klamkę. Upewniwszy się, że drzwi są zamknięte, westchnęła ciężko.

– Robię się na to za stara – mruknęła.

Podeszła do parapetu i wyjrzała na zewnątrz. Na szczęście biuro znajdowało się na parterze. Otworzyła okno. Już miała wyskoczyć, ale coś ją powstrzymało. Rozejrzała się. Wiedzioną nagłym impulsem chwyciła elegancki czarny parasol, który wisiał na wieszaku, i rozłożyła go z błyskiem szaleństwa w oczach. Dopiero wtedy, nieco uspokojona, uśmiechnęła się do siebie.

– Ku chwale Mary Poppins! – powiedziała uroczyście. I wyskoczyła.

Ból. Przez chwilę nie ruszała się ze strachu. Bała się, że połamała sobie ręce i nogi. Po chwili wstała jednak, pomasaowała łydkę i zaciskając wargi, podniosła kołnierz płaszcza.

– Mary Poppins musiała mieć lepszy wiatr – mruknęła wściekła i odeszła, podpierając się parasolem.

Kiedy zniknęła, zza drzewa niespodziewanie wyłonił się drobny, łysiejący mężczyzna. Podszedł do miejsca, w którym wylądowała kobieta, i zadarł głowę do góry. Patrząc na otwarte okno gabinetu dyrektora, wyciągnął telefon. Wstukał numer i rozmawiał z kimś przez chwilę cichym głosem. Gdy skończył, rozejrzał się jeszcze uważnie dokoła, a potem podążył w stronę, gdzie przed chwilą zniknęła Jadwiga.

ROZDZIAŁ 40

Anka zostawiła Beatę pod domem, po czym z ulgą pojechała do swojego mieszkania, dziękując w duchu bankowi za kredyt i zastanawiając się, jakim cudem wytrzymała z matką pod jednym dachem ponad trzydzieści lat.

Kiedy stanęła przed drzwiami, przypomniała sobie dyrektora Kowalskiego. Przeklinając jego i zaciągniętą pożyczkę, nacisnęła klamkę. I zupełnie ją замуrowało. Powitał ją jakiś nierealny świat – świat pojemników z farbą, drażniącego pyłu i milionów kawałeczków zdartej tapety unoszących się w mieszkaniu jak liście na wietrze. Weszła i wpadła na worki z cementem.

– Proszę uważać, przywożem różne materiały do remontu – usłyszała ostrzegawczy głos. – Nigdy, nie wiadomo, co się może przydać.

Podniosła oczy i zobaczyła Wiktora stojącego w drzwiach salonu. Miał na sobie kombinezon poplamiony białą farbą, kawałki tapety we włosach i pot na czole. Nadawał się jedynie do kąpieli. Z pianą.

Przełknęła ślinę.

– Chce mnie pan замуrować? – zapytała. Żeby coś powiedzieć.

– I tak by to nic nie dało. Pani sarkazm przebije się przez każdy mur – usłyszała.

Uśmiechnęła się blado, a potem weszła do salonu. Pokój wyglądał nieszczególnie, żeby nie powiedzieć katastrofalnie. Tapety dzielnie broniły się przed zderciem. „Ale co im więcej pozostało?”, pomyślała smutno.

– Miałem nadzieję, że pani tu dzisiaj nie wejdzie – powiedział Wiktor. – Nie mogę tego zedrzeć. Ten klej jakiś taki...

„Ten klej jakiś taki... Rzeczywiście... A może najpierw trzeba namoczyć?”

Komentarz uznała jednak za zbędny i weszła do kuchni. Na kuchennym stole zauważyła świeżą plamę. Spojrzała w górę. Sufit pokryty był gęsto farbą, która utworzyła dziwne zacieki. W

niektórych miejscach skapywała.

Wiktor wszedł tuż za nią.

– Dopiero gruntuje – usprawiedliwił się, najwyraźniej starając się odwrócić uwagę Anki od moczącego się sufitu. – Ale to straszna praca, muszę powiedzieć...

Stanął tuż obok niej. Blisko. Za blisko.

– Aż pan osiwił – powiedziała, patrząc na cement i resztki tapety w jego włosach.

Nabrała wielkiej ochoty, żeby przejechać po nich dłonią, strzepnąć ten cały pył. Chciała, żeby ktoś ją przytulił, powiedział, że będzie dobrze, że się wszystkim zajmie. A potem zapakował do łóżka. A on rzucił niespodziewanie:

– Wszystko przez panią.

Zacisnęła machinalnie palce.

– Jak pan widzi, remont jest nieco trudniejszy od załadowania... – Chciała powiedzieć „magazynka”, ale zamilkła. W końcu nic jej nie wolno powiedzieć. Usiadła na rozklekotanym krześle. Wiktor przyglądał się jej intensywnie.

– Pani Aniu, ja... – zaczął, nagle wyjątkowo spięty – chciałem panią przeprosić za swoje zachowanie dzisiaj rano. Stanowczo przekroczyłem pewne granice. Ta sytuacja jest dla mnie bardzo frustrująca, pani pewnie nie rozumie, nie musi pani, ale... Ten cały remont... Ale to już nie potrwa długo. Obiecuję...

– Miałam ciężki dzień – przerwała mu. A potem zamknęła oczy, żeby powstrzymać łzy. – Dyrektor mnie zawiesił – dodała cicho.

Przez chwilę panowało milczenie. Potem usłyszała, że Wiktor siada na krzesło tuż obok niej.

– Za co?

– Za geja – wyszeptała.

– Za Fryderyka?

Spojrzała na niego, a potem roześmiała się szczerze, połykając łzy.

– Może pan nie wierzyć, ale za innego.

– To jest jeszcze jeden? – Zrobił zdziwioną minę i mrugnął do niej. – Pani Aniu... jest pani przykładem na to, jak pozory mylą. Nawet zacząłem myśleć o tym lateksowym wdzianku. Na pani cześć... – przerwał w pół zdania. A potem usłyszała dokładnie to, co chciała usłyszeć: – Wszystko będzie dobrze.

– Wcale nie. – Pociągnęła nosem, załamana. – W dodatku za trzy tygodnie jest wesele Michała. Nienawidzę wesel, wie pan? Są takie frustrujące...

Oparła się o jego ramię i poczuła, że zadrżało pod wpływem jej niespodziewanego ruchu.

– Widzi pani, znalazłem kolejną rzecz, w której się zgadzamy. Ja też nie lubię wesel – powiedział Wiktor z udawaną powagą. – Te wszystkie panny chcące złapać welon i jak najszybciej wyjść za mąż. Porażające...

– Prawda? – zgodziła się z nim i uśmiechnęła przez łzy. – Ja też nie lubię tych panien – wyszeptała.

– Mogę z panią pójść – wypalił nagle.

Znieruchomiała.

– Naprawdę?

– Tak – powiedział ze śmiertelną powagą. – Tylko najpierw musi mnie pani uwieść.

Roześmiała się rozbawiona.

– Nie mogłabym tego zrobić narzeczonemu, wie pan? – Pokiwała głową.

– Szkoda... Mam straszną ochotę z panią zatańczyć – wyrwało mu się.

Anka przestała się śmiać. Zapadła krępująca cisza. Podniosła głowę z jego ramienia, a on,

jakby tylko na to czekał, błyskawicznie zerwał się z krzesła.

– To ja już pójdę – rzucił nieprzytomnie. W jego oczach zobaczyła panikę. – Muszę kupić... klej!

– No jeśli klej, to rozumiem – powiedziała cicho.

W końcu klej to jest ważna rzecz. Przydaje się, kiedy konwersacja przestaje się kleić. I kiedy mamy złamane serce. A i do tapet się nada. Magiczny klej. Tylko gdzie taki kupić?

ROZDZIAŁ 41

Następnego dnia, jak zwykle bladym świtem, obudził Ankę dźwięk dzwonka. Wpuściła Wiktora bez słowa. On również był milczący i unikał jej wzroku, jakby bał się, że mogłoby dojść do spięcia. Anka kiwnęła mu tylko głową i pomaszerowała z powrotem do łóżka. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że są jak dwie planety, które znalazły się we wzajemnej strefie przyciągania i nie mogą się już od siebie uwolnić. Ani do siebie zbliżyć.

Schowała głowę pod poduszkę, starając się nie słyszeć stukotów i szurań dochodzących z salonu.

„Dość! – powtarzała sobie w myślach. – Przestań przyciągać tego faceta, natychmiast! On jest z zupełnie innej galaktyki i jedyne, co może po sobie zostawić, to czarna dziura. W twoim sercu”.

Wstała.

Poszła do łazienki.

Wzięła prysznic. Ułożyła włosy. Zrobiła odświeżny makijaż.

„Teraz przestaniesz myśleć o tym mężczyźnie, któremu się wydaje, że się zna na remoncie”, instruowała siebie, wkładając koronkową bieliznę kupioną już na wesele Michała.

Narzuciła szlafrok i przemknęła do sypialni.

„Przestaniesz myśleć o dyrektorze Kowalskim – powtarzała sobie, wyciągając z szafy zieloną sukienkę z wyjątkowo nieskromnym dekoltem na plecach. – Zaczyniesz myśleć o weselu Haneczki. Ubierzesz się seksownie. Pojedziesz tam i zatańczysz się z jakimś Janosikiem aż do nieprzytomności”.

Włożyła sukienkę i spojrzała w lustro. Przez chwilę z zadowoleniem przyglądała się swojemu odbiciu, nabierając przekonania, że taka sukienka bez pleców może zmienić jeśli nie dzieje świata, to na pewno przeznaczenie, a potem powiedziała na głos tonem pewnej siebie i własnej atrakcyjności kobiety:

– Zatańczysz się do nieprzytomności, a planeta Ziemia zawiruje i zresetuje strefę wzajemnego przyciągania.

Potem wpięła w uszy efektowne, długie kolczyki i spojrzała na zegarek.

Okazało się, że nie ma już czasu na śniadanie. Właściwie była już pora obiadowa.

Kiedy wyszła z sypialni, Wiktor spadł z drabiny. Postanowiła nie zwracać na niego najmniejszej uwagi. Wyciągnęła z pudła stojącego w przedpokoju lakierowane szpilki i wsunęła je z wdziękiem na stopy.

Dopiero wtedy, w pełni przygotowana na podbój krainy Janosików, odwróciła się do mężczyzny, udając, że wreszcie przypomniała sobie o jego istnieniu.

– Aha, panie Wiktorze, już jadę i... – Spojrzała na niego i zamilkła.

Patrzył na nią tak, jak wilk musiał patrzeć na Czerwonego Kapturka.

Przez chwilę panowała krępująca cisza.

– Czy coś się stało? – zapytała na wszelki wypadek.

– Pani Aniu... Wygląda pani nadzwyczajnie. Nic bym w pani nie zmienił – powiedział do niej miękkiem głosem, pozbawionym zwykłej nutki arogancji.

Anka znieruchomiała. Zamiast się ucieszyć, poczuła nagłą niepewność.

A potem zarumieniła się jak jakaś małolata, którą ktoś przypadkowy obdarzył komplementem. Dopiero po chwili odzyskała równowagę wewnętrzną.

– To dobrze. Bo i tak nic bym dla pana nie zmieniła – oświadczyła z cierpkim uśmiechem.

Potem dodała obojętnie:

– Mam nadzieję, że pan trochę ogarnie mieszkanie i jak wrócę, będzie już można tu normalnie egzystować. I że klej, po który musiał pan wczoraj tak niespodziewanie wyjść, wart był pośpiechu...

– Oczywiście – powiedział Wiktor jakoś ciszej niż zwykle. – Co do remontu, to poprosiłem kolegę, żeby mi dzisiaj pomógł, powinniśmy się uwinąć raz dwa...

– Kogę? – Spojrzała na niego, marszcząc czoło, i nagle przypomniała sobie męską toaletę pełną członków Gangu Wioli. Aż poczerwieniała. – Czy mówi pan o Bodziu od Kudłatego Edzia? – Roześmiała się beztrąsko. – No jeśli jego umiejętności są tak samo niepoważne, jak ksywki jego i jego znajomych, to boję się, co zastanę, kiedy wrócę... – A potem dodała złośliwie, patrząc na jego umięśnione ramiona: – Bo jak widać, same bicepsy do remontu nie wystarczą...

Zostawiła osłupiałego Wiktora i zadowolona zatrzasnęła drzwi.

ROZDZIAŁ 42

Kiedy tylko czerwona fiesta Anki zniknęła za zakrętem, z samochodu zaparkowanego za skrzyżowaniem wysiadła Jadwiga i przeciągnęła się leniwie.

– Gdzie Danka? – zapytała Beata, wysiadając z drugiej strony.

– Tam się schowała. – Jadwiga wskazała ręką na stojący za drzewami samochód, z którego wydobywały się kłęby dymu. – Ma za swoje. Jak nie przestanie palić, to nie tylko będzie sama jeździć, ale wystawimy jej biurko na korytarz. Gdyby wczoraj siedziała, jak miała siedzieć, przed pracownią fotograficzną, a nie latała po papierosy do kiosku, to nie zamknęłaby w zakładzie jakiegoś faceta! Teraz matka fotografa grozi, że nie zapłaci. I jeszcze rekompensaty za straty moralne oczekuje. Twierdzi, że kiedy otworzyła dziś rano drzwi, to z przerażenia prawie zupełnie wyłysiała.

Obie ostentacyjnie odwróciły się tyłem do auta Danuty.

– To co teraz? – Beata oparła się o maskę samochodu i wystawiła twarz do słońca.

– Czekamy.

– Nienawidzę czekać...

– Myślałam, że wy, kury domowe, lubicie czekać... na męża, na pieczeń, na święta...

Myślałam, że to kwintesencja waszej egzystencji. – Jadwiga nie mogła się powstrzymać od złośliwości.

– Tak, a najbardziej lubimy wbijać kurczaka na rożen i czekać na jego powolną śmierć. – Beata spojrzała na Jadwigę. Jak na kurczaka. A potem zapytała: – Naprawdę myślisz, że wydarzy się dzisiaj coś ciekawego?

Jadwiga wzruszyła ramionami.

– Jeśli nasz Wiktor ma coś na sumieniu, wykona jakiś ruch. Ania wyszła z domu. To najlepszy moment, żeby zrobić to, co ma zrobić.

– Niby co?
– Gdybym wiedziała, to bym tu nie sterczała jak ten kolek – oświadczyła Jadwiga i pomachała Marianowi, który przyglądał się im ze swojego stałego miejsca.
– Ciekawych masz znajomych – mruknęła Beata, patrząc nieufnie na mężczyznę. – Kto to jest?
– Marian. Taka pokrewna dusza. On też jest stamtąd... – Jadwiga zawiesiła intrygująco głos.
– Skąd? – zdumiała się Beata, rzucając bezdomnemu jeszcze jedno spojrzenie.
– Zza szklanego muru. – Koleżanka zrobiła tajemniczą minę. – Ty tego nie zrozumiesz, bo zawsze żyłaś w swoim ciepłym kurniku. Nie wiesz, co to prawdziwa dżungla.
Beata spojrzała na nią z zadumą.
– Wiesz co – powiedziała po chwili. – Może kurnik to nie dżungla, ale to właśnie w kurniku najtrudniej utrzymać się na grzędzie.
Jadwiga znieruchomiała, pozwalając dolnej wardze odłączyć się na moment od górnej. Była to zapewne reakcja jej organizmu na uświadomienie sobie, że ona już z tej grzędy spadła. I to dwa razy.
– Cóż... – odchrząknęła i rzuciła ironicznie: – Nie jestem aż taka twarda, żeby co niedzielę gotować rosół.
– Wystarczy chcieć. – Beata wzruszyła ramionami. – Kiedyś też nie chciałam pogodzić się z rolą matki i gospodyni. Codziennie, gdy miałam gotować obiad, przechodziłam kryzys. Miałam nawet taki etap, kiedy mi się wydawało, że mój pot śmierdzi rosółem, a potem... przyzwyczyłam się.
I od tego czasu jest w porządku. Tylko, tak na wszelki wypadek, zmieniłam dezodorant – powiedziała i z powrotem wsiadła do samochodu.
Jadwiga nie odezwała się. Wsiadając za Beatą do auta, próbowała przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz ugotowała rosół. Bez powodzenia. Uświadomiła sobie za to, że nie umie gotować. Po tym odkryciu przestała się rozpraszać głupotami, a jej myśli zajęły się dwoma podejrzanymi mężczyznami, którzy właśnie weszli do kamienicy.

ROZDZIAŁ 43

Anka zjawiała się u Matyldy tuż po dwunastej. Ze zdumieniem zauważyła, że przyjaciółka od stóp do głów ubrana jest w góralski strój ludowy.

Nawet jej kruczoczarne włosy zaplecione były w dwa warkocze ozdobione czerwonymi wstążkami.

– Tym razem postanowiłam wmieszać się w tłum – oświadczyła Matylda, odrzucając do tyłu warkocze i poprawiając śnieżnobiałą góralską koszulę, która sprawiła, że jej skóra nabrała apetycznego koloru karmelków.

– Jestem przekonana, że rodzina Jaśka doceni to, jak bardzo staram się dostosować. Wyglądam, wypisz wymaluj, jak Maryna. Może trochę bardziej opalona – mówiła, zamykając drzwi.

Kiedy podeszły do fiesty, zatrzymała się nagle i błysnęła niezwykłą bielą swoich zębów.

– Czy mogę prowadzić?

– Dlaczego? – zapytała niechętnie Anka. Nie lubiła, kiedy ktoś jeździł jej samochodem. Tak mało życia mu zostało. Nie chciała, żeby ktoś go zajeździł, a Matylda... cóż... znana była z ostrej jazdy.

– Nie możemy się spóźnić – wytłumaczyła jej przyjaciółka i nie czekając na pozwolenie, włączyła się za kierownicę. – To znaczy ja nie mogę. Ale jedziesz ze mną, więc sama rozumiesz. Ja jeżdżę bardziej agresywnie...

– Niebezpiecznie.

– A poza tym mnie zawsze puszczają, bo widocznie wyglądam za kółkiem bardziej profesjonalnie.

– Egzotycznie. Nie o to chodzi. – Anka z rezygnacją usiadła na miejscu pasażera. – Moim samochodem trzeba umieć jeździć, bo inaczej odmawia współpracy.

– No wiesz!? Czy ty sugerujesz, że ja nie umiem jeździć? Nie wymyślaj!

Pomyśl raczej, jak ja się muszę wysilać, żeby mnie rodzina narzeczonego zaakceptowała. To straszne! Jak o tym kiedyś komuś opowiesz, to cię zabiję! – trąkotała Matylda, włączając silnik. Samochód zawył agonicznie i ze zgrzytem, który nie wzbudził w Ance pozytywnych emocji, ruszył. – To dlatego, że górale tacy twardzi, czy raczej zatwardziali, są. Bo matka Jaśka była z domu Bachleda.

– I co z tego?

– Jak to co? Bachleda jest dalekim kuzynem Zapotocznego.

– Nie rozumiem – wyjąkała Anka i niemal zadławiła się śliną, bo jakiś pies zanadto zbliżył się do jezdni akurat wtedy, kiedy fiesta uderzyła w krawężnik. Anka odwróciła się z niepokojem. Przeżył.

– Cholera – mruknęła Matylda, odbijając w stronę środka jezdni. – Czego nie rozumiesz? Przecież to banalne! Z Zapotoczanką, córką tego Zapotocznego, miał się mój tatuś ożenić. I by się ożenił, gdyby nie zapłodnił mojej mamusi na Jamajce. Nie muszę ci chyba mówić, jaka to była zniewaga dla Zapotocznych. Do dzisiejszego dnia z nami nie rozmawiają. Ty wiesz, jaki to przełom, że ja w ogóle mogę pojawić się na tym weselu? Na szczęście stara Zapotoczna już na cmentarzu, bo pewnie nasłababy na mnie swoich Janosików. Moja babcia to nawet nie wie, że jestem zaręczona z Jaśkiem. Jeszcze by udaru dostała. Ale jako że żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, to tak się zastanawiam... Myślisz, że Jasiek jest zbyt uległy?

Anka nie odpowiedziała, tylko z widocznym przerażeniem wpatrzyła się w przednią szybę. Właśnie mignęła jej przed oczami błada twarz jakiegoś starszego pana.

– Ludzie łążą, jak chcą! – burknęła wściekła Matylda. – To powinno być zabronione! – wrzasnęła.

– Co? Przechodzenie przez ulicę na pasach? – wyjąkała Anka, trzymając się fotela.

– Nie. Kontrolowanie dorosłych dzieci. Przecież Jasiek już dawno powinien się postawić. Ale rodzina...

Matylda koniecznie chciała przejechać na żółtym, ale kierowca samochodu znajdującego się z przodu postanowił zrobić jej na złość. I zatrzymał się. Ale na dobre mu to nie wyszło, bo fiesta, ku przerażeniu Anki, zahamowała z piskiem opon. W naprawdę ostatnim momencie.

Facet najwyraźniej poczuł się zagrożony, bo cały czerwony wyszedł ze swojego fiacika. Ale kiedy podszedł do samochodu i spojrział w twarz kierowcy, zapadła głucha cisza.

– Przepraszam – odezwała się po chwili Matylda ze swoim popisowym uśmiechem. – Myślałam właśnie o narzeczonym i tak jakoś... Rozmarzyłam się.

Twarcz mężczyzny zapłonęła. A potem zgasła.

– Co za dzień! Najpierw żona mnie wkurzyła, potem szef mnie zwolnił, a teraz... nawet wyżyć się nie można, bo mnie o rasizm oskarżają. Co za kraj! Jakby nie mogłaby pani być blondynką, choćby tlenioną! – rzucił z wyraźną urazą.

ROZDZIAŁ 44

Beata i Jadwiga siedziały w samochodzie zaledwie kilka minut, każda pochłonięta własnymi rozmyślaniami, kiedy w drzwiach kamienicy pojawił się Wiktor. Przez chwilę stał, rozglądając się uważnie. Potem zapiął kurtkę, przeskoczył murek, minął samochód Jadwigi i podążył w kierunku swojej furgonetki.

– Mam cię – wyszeptała Jadwiga z ekscytacją myśliwego, który właśnie wypatrzył sarenkę tudzież dorodnego kozła. I zaraz da mu bobu. Mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. Beata, czując z kolei mocne uderzenia gorąca i jeszcze mocniejsze serca, wbiła się w siedzenie najgłębiej, jak się dało.

Mężczyzna wszedł do furgonetki. Jadwiga bez żadnego wahania uruchomiła silnik. A potem przypomniawszy sobie o Beacie.

– Wsiadaj!

Ta spojrzała na nią z uporem małego dziecka, które nie zamierza zejść z karuzeli.

– Ale ja nie chcę...

– Bo cię wyrzucę z samochodu! – zagroziła Jadwiga, obserwując uważnie furgonetkę, znikającą za zakrętem. – To ja jestem agentką od zadań specjalnych i każda akcja oparta jest na moich zasadach. To nie zabawa.

Jak robi się niebezpiecznie, od razu zaczniesz krzyczeć „ko ko ko” i jajka ze strachu znosić.

– Ale...

– Teraz! Bo go zgubię!

Beata z godnością uniosła głowę i wysiadła. Samochód ruszył gwałtownie. A ona wraz z nim. Jej płaszcz został przytrzaśnięty przez drzwi. Przez ułamek sekundy, biegnąc i pukając w szybę, widziała się już w wiadomościach jako ofiara niezrównoważonej psychicznie kobiety z manią prześladowczą. Na szczęście Jadwiga zauważyła. Dała jej chwilę na oswobodzenie się, a potem z piskiem opon skręciła, zostawiając po sobie tylko chmurę spalin.

Wściekła do granic możliwości Beata minęła wpatrującego się w nią dziwnie bezdomnego i podeszła do auta Danuty. Przez chwilę stała sztywna, ale w końcu rozluźniła się na tyle, by móc się schylić i wsiąść do środka.

– Co? Ostracyzm się skończył? – powitał ją ironiczny głos przyjaciółki, która demonstracyjnie wyciągnęła kolejnego papierosa.

Przez chwilę panowała cisza. Z powodu zasłony dymnej Beata niewiele widziała, ale w końcu przejrzała na oczy.

– Ta Jadwiga nie jest do końca normalna – powiedziała z przekonaniem.

Danuta spojrzała na nią z ukosa.

– Wyrzuciła cię z samochodu, co? – westchnęła, wydmuchując przyjaciółce w twarz chmurę toksycznego dymu. – Nic się nie przejmuj, ona zawsze tak robi, jak poczuje zew. To silniejsze od niej. Moim zdaniem to musi mieć coś wspólnego z podwyższonym testosteronem. Spójrz na facetów.

Testosteron takie spustoszenia potrafi w psychice niektórym zrobić, że trudno im najprostsze rzeczy wytłumaczyć... Poza tym każdy ma jakieś

wady, prawda? – Uśmiechnęła się i dodała pojednawczo: – Starajmy się być tolerancyjni dla innych. Ostracyzm zostawmy politykom.

Beata pokiwała głową.

– Mam dość tego czekania. Chodźmy do mieszkania Ani. Jeśli Jadwiga ma oko na Wiktora, to możemy chyba napić się herbaty...

– A skąd masz klucz? – zapytała podejrzliwie Danuta.

Beata uśmiechnęła się niewinnie.

– Znalazłam w spodniach Michałka. Razem z prezerwatywą, serwetką z odciskiem ust i numerem telefonu jakiejś Wioletty z adnotacją: „Tanio biorę”. Jak ja się cieszę, że Michałek się żeni. Wreszcie będę mogła odetchnąć, bo Iga przejmie całą odpowiedzialność i kontrolę...

ROZDZIAŁ 45

– Co się mogło stać?

Anka stała tuż obok przyjaciółki i obie wpatrywały się w bliżej nieokreślone miejsce pod maską samochodu.

– Czemu nie jedzie? – jęknęła Matylda w bezsilnej złości. – Przecież silnik jest.

Anka spojrzała w czarną dziurę. Faktycznie, silnik był. Co z tego, kiedy milczał jak zaklęty. W dodatku z jego czeluści wydobywały się kłęby dymu.

Rozejrzała się dookoła. Stały przy Zakopiance, a żaden z mijających je samochodów się nie zatrzymał.

– I co teraz? – zapytała Anka, patrząc z niepokojem w niebo. Nad nimi jak na złość zbierały się czarne chmury.

– Musimy złapać stopa – powiedziała Matylda, zamykając klapę.

– Ale będzie padać. Może lepiej zadzwonić po kogoś... – zaczęła Anka, żeby ją zniechęcić.

Niestety Matyldy nie dało się zniechęcić.

– No co ty! – machnęła ręką i odrzuciła do tyłu warkocze z czerwonymi kokardkami. – Specjalnie wczoraj oglądałam prognozę. Cały dzień ma być piękna pogoda. Chodź za mną, musimy przejść kawalek, w takie jedno miejsce, gdzie jest ograniczenie prędkości. Tam zatrzymam stopa w dziesięć minut, przekonasz się!

ROZDZIAŁ 46

Jadwiga jechała spokojnie, utrzymując bezpieczny dystans pomiędzy swoim samochodem a białą furgonetką.

„Wiktor może oczekiwać, że ktoś go będzie śledzić”, myślała. W końcu ci, którzy mają coś na sumieniu, zwykle są bardzo ostrożni, wręcz podejrzliwi.

Po kilkunastu minutach furgonetka zatrzymała się gdzieś w Podgórzu i Wiktor, rozglądając się uważnie, wysiadł z samochodu. Jadwiga minęła go, nie patrząc w jego stronę, a potem zniknęła za zakrętem. Kiedy miała pewność, że mężczyzna nie może jej już zobaczyć, gwałtownie zatrzymała samochód, wyskoczyła na chodnik i podbiegła do rogu budynku.

Wychyliła się. Raz, a dobrze. Ma się tylko jedną szansę, żeby wszystko zauważyć. Dwa razy to za dużo. Można zwrócić na siebie uwagę.

Wiktor wszedł do jakiegoś baru.

Jadwiga oparła się o chropowaty mur, zamknęła na chwilę oczy i uspokoiła oddech. Potem, jakby nigdy nic, wyszła zza rogu. Doszła do baru.

Trzy kroki dalej i znalazła się w zadymionym wnętrzu małej speluny, w której słychać było jedynie głośną transmisję meczu piłki nożnej.

„... nasz orzełku ty, biało-czerwony! Strzelaj! Jeee... Nieeeeeestety, proszę państwa,

wyjątkowy pech! Tylko słupek...”

Trzymając na wodzy myśli i spojrzenie, podeszła prosto do barmana i babcinym, „przepraszam, że żyję” głosem zapytała:

– Przepraszam, czy mogłabym skorzystać z toalety?

Barman, wściekły, że stara baba przerywa mu oglądanie transmisji z takiego meczu, zmierzył ją lekceważącym spojrzeniem, a potem swoim „spadaj do kościoła” głosem odpowiedział:

– Kibel tylko dla gości.

Jadwiga uśmiechnęła się grzecznie. Kątem oka zauważyła, że nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Prześroczysta kobieta menopauzalna.

Jakże to ułatwia sprawę.

– To wodę, proszę – powiedziała. – Niegazowaną.

„Czy strzeli, proszę państwa, czy tym razem...? Taaak... już prawie... jeee... Niestety, znowu słupek...”

Barman zaklął pod nosem, pomyślał przez chwilę, a potem wziął brudną szklankę i nalał do niej wody z kranu.

– Pięć złotych – powiedział bezczelnie.

Jadwiga grzecznie zapłaciła, myśląc sobie, jak to z wiekiem się pokornieje i nie wali od razu po głowie za chamstwo. Zabrała szklankę i przebijając nogami, usiadła przy brudnym stoliku. Tuż obok Wiktora. I zarośniętego blondyna w czarnej czapce. A potem zapatrzyła się w ekran telewizora.

„Tym razem musi się udać! To nasz najlepszy napastnik... Taaak... Jaki piękny lewy sier... to znaczy lewe skrzydło pędzi jak koń w galopie! Podanie i... jeee... nad poprzeczką...”

– Moja ma ostatnio takie zachcianki, że już nie daję rady – zwierzał się Wiktorowi nieznajomy mężczyzna. – Kobiety mnie kiedyś wykończą.

– Nie będziesz jedyny – westchnął Wiktor, a w jego westchnieniu wyczuwało się głębszy podtekst. – Ty nie masz pojęcia, jak ja się tam męczę...

„... proszę państwa... Nieprawdopodobne... nasz orzeł sam na sam z bramką! Musi... Już musi być gol! Tak! Strzela! Jeee... Dlaczego nie trafił...!?”

– Z remontem?

– Też – powiedział Wiktor, a Jadwiga spojrzała na niego uważnie, przyciągając niechęć jego spojrzenie.

„Błąd! Zauważył mnie”, pomyślała zła na siebie. Momentalnie utkwiała wzrok w telewizorze.

„Proszę państwa, to jak walka bogów! Nasz, powiedzmy... Zeus kopie piłkę do, no niechże go nazwę Posejdonem... A tu taka szansa... Będzie goool! Jeee!!! I poprzeczka...”

– Ona nawet nie jest w moim typie. Nie wiem, co mi się stało... – mówił Wiktor bardziej do siebie niż do kumpla. – Mam do niej straszną słabość.

Nie masz pojęcia, jak ja z tym walczę...

– Też tak miałem. A teraz jestem wrakiem. Dlatego dobrze ci radzę, bracie: jak cię męczy, to ją od razu przeleć i ci przejdzie.

– No wiesz! Tu nie chodzi tylko o seks. To bardziej... metafizyczne...

Cisza. I znowu obcy głos, w którym słychać było współczucie:

– Aha. To po tobie. Tylko żebyś przez to nie zawałił sprawy, bo będziemy mieli kłopoty. Zabawisz się później.

– Nie bój się. Jestem profesjonalistą. – Następnego głośne westchnienie.

Jadwiga nadstawiła uszu.

„... no coś takiego...! Ale pech...! To nawet koniowi może podciąć skrzydła, oczywiście mówię o Pegazie... Słupek!!! No ja chyba zaraz będę na gazie...”

– Słuchaj, trzeba będzie odwiedzić Kudłatego Edzia. – Kobieta usłyszała głos Wiktora. – Nawet nie wiesz, jak mnie poraziło, kiedy o nim wspomniała.

– Jezu, teraz to mnie zdenerwowałeś! Skąd ta twoja panna zna Edzia?

– Nie wiem, pewnie z klubu. Edek jest przecież kucharzem w Explicit Content, a z tego, co wiem, ona ciągle tam przesiaduje ze swoim towarzystwem. Nie chcę cię denerwować, stary, ale o tobie też wspomniała. Ktoś nas tam musiał widzieć razem w środę. Albo Edek coś palnął.

– Parszywy garkotłuk! Same komplikacje... Nic, muszę z nim pogadać.

Co teraz z tą panną zrobimy?

– Ja się nią zajmę. – Głos Wiktora był stanowczy. I zimny. – Najgorsze jest to, że przyprowadza do domu jakiegoś policjanta. Nie podoba mi się to. Wszystko może się skomplikować.

– Nawet mnie nie denerwuj i tak już mam problemy. Widział cię ktoś!?

– syknął zarośnięty blondyn, a Jadwiga kątem oka złapała jego podejrzliwy wzrok.

„... nieee...! Nieee!!! Nieee!!! Znowu... słupek!!!” Kiedy Wiktor dopijał colę, Jadwiga jednym haustem opróżniła szklankę wody, a potem podreptała w kierunku toalety. Nie musiała pytać o drogę.

Smród moczu wiódł ją jak nić Ariadnę poprzez labirynt. Weszła. Do stajni Augiasza. Ale nie przyszła tu badać zagęszczenia bakterii na milimetr kwadratowy. Bezdotykowo zatkała nos. Potem jeden szybki ruch. W dłoniach trzymała dwie rolki papieru toaletowego. Sprawnie umieściła je w muszli, a następnie wepchnęła głębiej, pomagając sobie szczotką, którą wypatrzyła w kącie ubikacji. Wreszcie wyczuła opór. Rolki najwyraźniej się zaklinowały. Wtedy spuściła wodę i fachowo zablokowała spłuczkę wsuwką do włosów. Poczekała chwilę, a kiedy woda zaczęła wylewać się z muszli, spojrzała w lustro, spokojnie poprawiła włosy i uśmiechnęła się do siebie. Po czym starannie zamknęła za sobą drzwi.

Wiktora już nie było, a blondyn płacił za piwo, więc wyszła i skierowała się prosto do samochodu. Jeden ruch. Otworzyła bagażnik. Kolejny ruch.

Luneta z aparatem w gotowości. Trzeci ruch. Siedzi za kierownicą. Kiedy blondyn wyszedł z baru i wsiadał do swojego audi, zrobiła mu zdjęcie, a potem obróciła się jeszcze i zdążyła cyknąć fotkę przejeżdżającemu obok Wiktorowi.

Pchana instynktem postanowiła śledzić zarośniętego blondyna. Przekręciła kluczyk w stacyjce i wcisnęła pedał gazu, ale maszyna nie zdołała poderwać się z miejsca. Silnik ryczał tylko jak zwierzę złapane w sidła. Jadwiga przez chwilę siedziała w samochodzie ze świadomością porażki, bo audi zniknęło już za zakrętem, a ona nie zdołała nawet spisać numerów rejestracyjnych. Potem wysiadła i spojrzała na koło. Tkwiło w blokadzie.

Jadwiga zaklęła jak pijany szewc, aż jej przekleństwa poderwały do lotu stado gołębi.

ROZDZIAŁ 47

Kiedy Beata i Danuta podeszły do drzwi mieszkania Anki, usłyszały straszny łomot. Beata spojrzała ze zdziwieniem na przyjaciółkę i wstrzymując oddech, pociągnęła za klamkę. Drzwi były otwarte. W przedpokoju zastały chłopaka pastwiącego się nad tapetą.

– Dzień dobry – powiedziała Beata, przekrzykując huk. Chłopak zauważył kobiety.

– Proszę poczekać, ja tu nie jestem od gadania – wyjaśnił od razu. A potem uśmiechnął się i żeby przekrzyknąć hałas, gdzieś z otchłani przepony wydobyl piękny i zadziwiająco czysty

dźwięk: – Roomeeeek!!!

Hałas ustał.

– Czego, kurwa, Teodor, znowu chcesz? Wiesz, jak mało czasu mamy?

– Ktoś przyszedł! – wrzasnął Teodor. Już mniej czysto.

Z łazienki wyszedł Romek, wycierając ręce o kombinezon. Obrzucił kobiety podejrzliwym spojrzeniem.

– Panie w jakiej sprawie? – zapytał grzecznie. Beata odchrząknęła.

– To mieszkanie mojej córki, co panowie tutaj robią?

– Remont robimy – wrzucił ramionami Romek. – Ale jak pani chce wiedzieć więcej, to Wiktor za chwilę będzie. My nie jesteśmy od gadania.

Terminy nas gonią.

Beata patrzyła na niego przez długą chwilę, a potem przeniosła osłupiałe spojrzenie na Danutę.

– Herbata – koleżanka przypomniała jej usłudźnie, wykonując ponaglący ruch głową.

Beata odchrząknęła.

– Tak. Herbata! – Ruszyła w stronę kuchni, a potem zatrzymała się w pół drogi: – A pan Wiktor... kiedy wróci?

Romek wrzucił ramionami.

– Powinien zaraz być. Pojechał tylko po rury.

– Aha, to proszę sobie nie przeszkadzać... my już znikamy – powiedziała i weszła do kuchni. Przez chwilę rozglądała się dokoła, a potem odruchowo chwyciła dwie torebki herbaty.

Kiedy wróciła do przedpokoju, zastała Danutę rozmawiającą z Markiem.

Już wiedziała, kogo jej przypominał. Zbyszka Cybulskiego. Ubranego w mundur policyjny.

– Dzień dobry! – Marek uśmiechnął się spontanicznie na jej widok i zdjął czapkę. – Strasznie przepraszam, ale babcia nie może tego hałasu wytrzymać i musiałem przyjść, bo ja nie mogłem dłużej wytrzymać jej narzekania – mrugnął. – Wie pani, moja babcia potrafi huczeć nad uchem godzinami. I nawet tonacja jej się nie zmienia. A ja dopiero z pracy wróciłem.

– A jak my to, kurwa, mamy zrobić bez hałasu? – wtrącił się pomocnik Romka, Teodor.

Romek splonął się, jakby pierwszy raz jego uszy zostały potraktowane tak brutalnym słowem.

– Ależ, Teodor, co ty za słów przy starszych paniach używasz!? Wstydy!

Przepróż.

Teodor wrzucił ramionami i przeprosił „starsze panie”. Jednak żadna z nich nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Obie zajęte były rzucaniem na pozbawionego wrażliwości Romka obrażonych spojrzeń. Radziły sobie z tym doskonale, lepiej niż niejeden profesjonalista zonglujący nożami. Ale co z tego, skoro żadne z nich nie zdołało przebić się przez tors gruboskórnego mężczyzny i zanurzyć w jego sercu. Starsze panie! Co za bezczelność!

Nie zrozumiał.

– Obiecujemy, że jeszcze chwila i zaraz będzie spokój – powiedział, masując się po piersi, a potem skrzywił się lekko i dodał, wskazując wymownie na drzwi: – Jedna chwila. Tylko kafelki skuję.

Kobiety odwróciły się i podążając za Markiem, wyszły na korytarz.

– Czy pani Ania zdecydowała się w końcu zmienić malarza? Tamten naprawdę nie wzbudzał zaufania. – Marek wyraźnie się ożywił.

– Nie sądzę – odpowiedziała Beata, przygryzając wargi. – On chyba tylko po coś pojechał...

– Tak? Ania mówiła, że ten Wiktor to złota rączka, nawet kafelki położy. A teraz każe jej płacić za dodatkowych fachowców? – zaniepokoił się. – Obiecałem Ani, że go przypilnuję – wyjaśnił.

– Na pewno jakoś to ustalą, proszę się nie przejmować – machnęła ręką Beata. – Aha, i proszę uspokoić babcię. To nie powinno długo potrwać.

– Przepraszam... takie mamy z nią ostatnio problemy. Teraz już muszę ciągle się nią zajmować, fatalnie się czuje. Mama mieszka w Warszawie i bardzo się niepokoi.

Beata spojrzała z sympatią na mężczyznę.

– Proszę się nie przejmować, a babci najlepiej herbatkę na uspokojenie zaparzyć – powiedziała, po czym jej wzrok padł na trzymane w ręku torebki. Marek też spojrzał. I oniemiał. – Właśnie! – modląc się, by nie potraktował jej jak wariatki, wcisnęła mu do ręki jedną z nich. – Na przykład taką. Malinową.

Zapanowała cisza.

– A panu też przyda się odrobina relaksu. – Beata uśmiechnęła się z wdziękiem i dorzuciła drugą.

– To ja już pójdę – oświadczył nagle Marek, przyglądając się podejrzliwie torebkom. – Do widzenia.

– Do zobaczenia! – zawołała za nim Beata, a on otworzył drzwi i zniknął w mieszkaniu babci.

Danuta pierwsza ruszyła w dół po schodach.

– Coś taka zadowolona? – zapytała przyjaciółkę. – Nie ma z czego.

Przestraszyłaś go.

– Skąd! Taki fajny chłopak na pewno nie zniechęci się tak łatwo. Widać, że naprawdę lubi Anię – rozmarzyła się Beata, co Danuta skwitowała tylko ironicznym uśmiechem. Nie miały jednak czasu na przedyskutowanie dodatkowych działań w ramach akcji „Królówicz pilnie poszukiwany”, bo kiedy dotarły do samochodu, usłyszały, jak z zostawionej tam krótkofalówki dobiega pełen irytacji głos Jadwigi.

– Odbiór, Kefir! Gdzie jesteście, do cholery!

Danuta westchnęła ciężko i pokręciła z dezaprobatą głową, a potem przycisnęła guzik.

– Czego, Śmietana?

– No! Odbierzcie mnie z Podgórze, mam mały kłopot z samochodem. A potem jedziemy prosto do Krystyny.

– Krystyna ma urlop, zapomniałaś? – zauważyła Danuta, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– To będzie musiała go przełożyć. Mamy problem.

Oszołomione sprawozdaniem Jadwigi jechały do Krystyny w zupełnym milczeniu. Nawet silnik nie wył tak straszliwie jak zwykle, być może dlatego, że Danuta, zatopiona we własnych rozmyślaniach, zmieniała biegi machinalnie i cały proces odbywał się wyjątkowo płynnie.

Nerwową ciszę przerwał sygnał telefonu. Beata podskoczyła i wyszarpnęła komórkę z torebki. Wpatrzyła się w wyświetlacz.

– Ania dzwoni! – wykrzyknęła.

– To odbierz – mruknęła spokojnie Jadwiga. – Nic się przecież nie dzieje.

Beata przełknęła ślinę, a potem zamknęła oczy i podniosła telefon do ucha.

– Halo? Cześć, córeczko. Co robisz? A... nic nadzwyczajnego. Cóż ja mogę robić w sobotnie popołudnie...? Tak... sprzątam... – Zagryzła wargi. – A ty?

Jadwiga parsknęła śmiechem, a Beata rzuciła jej wściekle spojrzenie.

– Jak to się zepsuł!? Łapiecie stopa!? Ale to niebezpieczne... – rozhisteryzowała się nagle,

aż Jadwiga wyrwała jej komórkę i zakrywając głośnik, szepnęła:

– Przestań, bo zaraz się wyłączy. Pamiętaj, zadzwoniła do ciebie po pomoc, nie krytykuj, tylko pomagaj. – Spojrzała na koleżankę wymownie i oddała jej telefon.

Beata przełknęła ślinę i szybko przyłożyła komórkę z powrotem do ucha.

– Jestem, Aniu. Coś na łączach... To jak mogę ci pomóc?

Jadwiga poklepała ją po ramieniu pochwalnym gestem.

– Michał ma wyłączony telefon i mam go wysłać po samochód? Rozumiem... Zapasowe kluczyki wciąż są chyba w kuchni w słoiku... dobrze...

Teraz mam sprawdzić? – Beata spojrzała osłupiała na Jadwigę. – Czy znalazłam? –

Jadwiga pokiwała głową. – Rzeczywiście, są – Beata zamknęła oczy. – Będziemy w kontakcie. Baw się dobrze na weselu.

Wyłączyła się, a potem zaczęła wstukiwać numer.

– Do kogo dzwonisz? – zapytała Danuta.

– Do Michała. Ani zepsuł się samochód i...

– To świetnie! – przerwała jej entuzjastycznie Danuta, zapalając na światłach papierosa. – Wreszcie jakaś dobra wiadomość.

– Nie rozumiem. – Beata wpatrzyła się zadziwiona w przyjaciółkę i z wahaniem odłożyła telefon.

Danuta zaciągnęła się dymem.

– Zastanów się – powiedziała, próbując zmienić bieg tą samą ręką, którą trzymała papierosa; silnik zawył straszliwie, ale samochód posłusznie pojechał dalej. – Fajnego faceta mamy w ubezpieczalni, kandydat numer trzy, jeśli zapomniałaś. Mógłby jej pomóc... Pamiętaj, że akcja „Królewicz pilnie poszukiwany” jest w toku.

Przez chwilę panowała cisza.

– Danuta, tyle lat masz, a takie głupoty opowiadasz. – Beata była wyraźnie zirytowana. – Przecież to tylko drobna awaria. Żeby facet z ubezpieczalni przyszedł oszacować straty, musiałyby zdarzyć się coś znacznie poważniejszego.

– Myślisz? – Przyjaciółka zaciągnęła się jeszcze raz i wyrzuciła papierosa przez okno.

– Przecież to oczywiste. – Beata wzruszyła ramionami.

– No dobrze. – Danuta spojrzała wymownie na Jadwigę, która uśmiechnęła się z zadowoleniem i zamruczała zupełnie jak kot na dźwięk otwieranej puszki z jedzeniem. Widząc niepokój na twarzy Beaty, poklepała koleżankę po ramieniu.

– Nie przejmuj się – powiedziała pocieszająco. – Obiecuję, że coś wymyślę...

ROZDZIAŁ 48

Drzwi do mieszkania Krystyny otworzyła *Madame* Klara Widząca. Była ostatnią osobą, którą przyjaciółki spodziewały się tam spotkać, toteż dopiero po chwili Danuta wydmuchała jej w twarz słowa przywitania:

– Witaj, Janino. Co tu robisz?

– Przyszłam umówić się na sesję – oświadczyła piskliwym głosem wróżka, obrzucając gości, zwłaszcza Jadwigę, niechętnym spojrzeniem. A potem szybko schowała coś, co trzymała w ręku i czego najwyraźniej nie chciała pokazać, do kieszeni kurtki.

– Sesję z kotem? – mruknęła zaczepnie Jadwiga, zła, że dała się zaskoczyć.

– Nie. Ale zamiast się naśmiewać, powinnyście być mi wdzięczne, że przyszłam – oświadczyła Klara, nie zwracając uwagi na zaczepki. – Zostawiłyście Krystynę samą pod

wpływem negatywnych wibracji Jowisza...

Kobiety wymieniły między sobą zdumione spojrzenia.

– Co się stało? – zapytała ostro Jadwiga. Nigdy nie miała odpowiedniego podejścia do Klary, a pobłażliwość przyjaciółek traktowała jako dowód ich naiwności i co gorsza, podatności na manipulację.

– Ma depresję – powiedziała z zadowoleniem *Madame* i podrapała się za uchem.

Kobiety spojrzały na siebie z niepokojem, a Jadwiga, nie czekając na dalsze rewelacje, bez słowa odsunęła wróżkę i weszła do mieszkania. Klara zrobiła zbulwersowana minę, a kiedy tamta odeszła już na bezpieczną odległość, mruknęła:

– Wiesz, gdybym chciała, to mogłabym użyć czarnej magii...

Jadwiga zatrzymała się w pół kroku i odwróciła do niej z ironicznym uśmiechem.

– I co? Zamagujesz mnie? Zamagować to mnie może najwyżej Beata przy doprawianiu rosółu – powiedziała lekceważąco i zniknęła w środku.

Madame wyciągnęła przed siebie ręce.

– Zgiń, przepadnij, siło nieczyste – wymruczała, patrząc z wściekłością za Jadwigą, ale nie zdążyła wyemitować ze swojej dłoni żadnych elektrycznych prądów, bo do przedpokoju wepchnęła się Danuta. I Beata, która, na wypadek gdyby z palców wróżki wypłynął jednak jakiś prąd, ominęła ją szerokim łukiem.

W kuchni przy stole siedziała Krystyna. Zabeczana do granic przyzwoitości.

– Krystyna, co jest? – zawołała dziarsko Jadwiga i usiadła tuż koło niej. – Oczy masz jak królik albinos po przebiegnięciu maratonu. Nie pasują do twojej karnacji. Nie pora na żadną depresję. Mamy bombę!

Danuta rzuciła Jadwidze ostrzegawcze spojrzenie, a potem przysunęła sobie krzesło i usiadła z drugiej strony stołu. Beata stanęła przy drzwiach, na wszelki wypadek mając na oku wróżkę. W końcu z wróżkami nigdy nic nie wiadomo. Zwłaszcza z takimi, które wszędzie widzą trupy.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś, Krysiu? Masz kryzys emocjonalny?

Krystyna spojrzała na koleżanki, starając się ukryć łzy.

– Nie tyle emocjonalny, co emerytalny – chlipnęła. – Listonosz przyniósł kolejny odcinek... emerytury!

– Emerytura!? Krystyna! Przecież ty dalej jesteś młoda! I aktywna zawodowo! Mamy firmę, a to, co ci listonosz przynosi, to masz na kawę od państwa za dobrą robotę, jaką w życiu odwaliłaś – powiedziała Jadwiga bardziej entuzjastycznie, niż tego wymagała sytuacja. – Problem mają ci, którym nie starcza od jednej wizyty listonosza do drugiej. Ty jesteś w komfortowej sytuacji. Czego więcej chcesz?

– Ale... nie rozumiesz. Nie chodzi o pieniądze, chodzi o fakt. Ja jestem... emerytką! – Krystyna wybuchnęła straszliwym płaczem.

Jadwiga westchnęła ciężko, a potem spojrzała wymownie na Dankę.

– To jest fakt.

I zaczęła się prawdziwa histeria.

– No właśnie! Kiedyś byłam w centrum uwagi, a teraz nikt nawet nie spojrzy na mnie jak na kobietę. Stałam się nagle niewidzialna. Jestem kobietą menopauzalną, bytem pomiędzy kobietą, której się pożąda, a staruszką, której się ustępuje miejsca i współczuje... Stałam się kimś przezroczystym, kimś, przez kogo się patrzy. Myślałam, że jeszcze... sama nie wiem. Że może jeszcze spotkam jakiegoś mężczyznę, ale teraz wiem, że to się nigdy nie zdarzy. – Spojrzała na twarze przyjaciółek, a potem jednym tchem wyrzuciła z siebie zduszone słowa: – Wy nawet nie wiecie, jak to jest ciężko być ładną, a potem stać się starą babą! – W końcu zabrakło jej

powietrza i zaczęła się dusić.

Jadwiga ironicznie wyduła wargi.

– Dzięki, Krysiu. Rzeczywiście, my nie wiemy, jak to jest być ładną, a potem się zestarzeć. Trafnie to ujęłaś...

Danuta puściła przytyk Krystyny mimo uszu.

– Znowu liczyłaś zmarszczki – powiedziała tylko potępiająco. – Wiesz, że tego robić nie wolno. To szkodzi.

Zapanowała refleksyjna cisza, przerywana jedynie wydawanymi przez Krystynę westchnieniami, a po chwili Jadwiga roześmiała się niespodziewanie i rzuciła prowokacyjnie, patrząc na Danutę:

– Kiedyś trzeba zacząć się starzeć. Danka może ci co nieco poopowiadać, bo ona już od dawna przez to przechodzi.

Danuta spokojnie zapaliła papierosa.

– Na szczęście, jeśli chodzi o wiek, to idziemy prawie łeb w łeb – powiedziała z przesadnym entuzjazmem.

– Czego nie można powiedzieć o IQ – docięła jej Jadwiga.

– Bo jeśli chodzi o inteligencję, to wyprzedzam cię już w przedbiegach, droga przyjaciółko. – Danuta wydmuchała jej w twarz kłęb dymu.

Jadwiga ryknęła śmiechem.

– To się nazywa falstart, moja droga. A za to grozi dyskwalifikacja! – Mrugnęła do Beaty, a potem spojrzała na Krystynę z łagodnym wyrzutem.

– Popatrz, Krysiu, jaka ty jesteś powierzchowna. Beata to ma dopiero problemy. A właściwie jej córka, a ty przejmujesz się takimi głupstwami. Za bardzo całe życie skupiałaś się na swoim odbiciu w lustrze.

Beata instynktownie zaczęła pociągać nosem.

– Ania, moje biedne dziecko! – zaczęła się rozklejać. Trochę na pokaz.

Ale bardziej ze zdenerwowania.

Krystyna przestała płakać.

– Co się dzieje? – zapytała zaniepokojona.

Jadwiga wstała i obrzuciła towarzystwo wzrokiem wodza, który zaraz da sygnał do ataku.

– Ania może być w niebezpieczeństwie – powiedziała uroczyście. I dodała: – Ale tak do końca to nie wiemy. Dlatego jesteś nam potrzebna, Krysiu. Do wywarcia presji psychicznej, w końcu jesteś psychiatrą... Poza tym jest takie powiedzenie: „w kupie różniej”, zatem kupą go, drogie panie!

Krystyna uśmiechnęła się. Przez łzy.

– Ale kogo?

– Takiego jednego – machnęła ręką Jadwiga. – Jeszcze go nie znamy...

– Ja też chcę! – wrzasnęła nagle *Madame*, aż jej spódnica uniosła się do góry, ukazując łydki. Mimo dobrych rad Jadwigi wciąż nieogolone.

– Absolutnie... – zaczęła Danka, ale Jadwiga przerwała jej podniesieniem ręki.

– Absolutnie tak – powiedziała. Widząc zdumioną minę Danuty, wyjaśniła (już z większą pokorą): – Nie wiadomo, jak nas ten Edzio potraktuje.

Jeśli nas wyrzuci, to może wróżki wysłucha? Jak mu Klara w bardzo wiarygodny sposób śmierć przepowie, to może on nam wszystko jak księdzu na spowiedzi wyśpiewa...

– O tak! Ja potrafię być przekonująca – potwierdziła gorliwie *Madame*.

– Właśnie – mruknęła nie do końca przekonana Jadwiga, po czym wykrzyknęła zachęcająco: – Chodźcie, drogie panie, poszukamy świeżej krwi!

– Auuu – zawyła niespodziewanie *Madame*, aż Jadwiga zaczęła się zastanawiać, czy zabranie na akcję wróżki nie było jej najgorszym pomysłem od czasów, kiedy przyjęła oświadczyzny swojego drugiego męża. Byłego, już od dziesięciu lat.

ROZDZIAŁ 49

Tuż za dziewczynami zatrzymała się wielka ciężarówka.

Spojrzały po sobie z niewymowną ulgą, bo ich przemokniętymi i przemarzniętymi do szpiku kości ciałami wstrząsały dreszcze. Anka odrzuciła do tyłu włosy ociekające deszczem. I błotem.

– Jest! A nie mówiłam!?! – wykrzyknęła euforycznie Matylda. – Ja to mam szczęście!

– Mówiłaś, że w tym miejscu najwyżej dziesięć minut ci to zajmie. Minęła godzina.

Mówiłaś też, że nie będzie padać – wyjąkała Anka, drżąc z zimna.

– Bo nie pada – wzruszyła ramionami Matylda.

– Już nie – dopowiedziała znacząco Anka. – Gdybyś choć raz w życiu mnie posłuchała i zgodziła się zostać przy samochodzie... – Ale przyjaciółka jej nie słuchała. Pobieгла do ciężarówki.

I przestraszyła kierowcę, który właśnie oddawał mocz.

– Jezu! – Facet chwycił się za serce, mocząc sobie przy okazji buty.

Widząc Murzynkę w góralskim wdzianku, zastygł w bezruchu.

– Przepraszam – szczebiotała Matylda, nic sobie nie robiąc z miny kierowcy – czy mógłby nas pan podrzucić do Czarnego Dunajca?

ROZDZIAŁ 50

Do klubu o podejrzanej nazwie Expiicit Content kobiety dotarły wieczorem. Beata pierwsza wyskoczyła z samochodu i wciągnęła do płuc świeże powietrze. Chciała wyrzucić z głowy dziwne formułki, które przez całą drogę szeptała pod nosem *Madame*.

Najprawdopodobniej były to osłabiające potencję przeciwnika bojowe zaklęcia, powtarzane z duchami wojowniczych Indian, z którymi najwyraźniej połączyła się Klara. Na żywo. Rytuały wojenne, jak to u czerwonoskórych, polegały na jedностajnych pieśniach na koncentrację (mruczenie), potrząsaniu pióropuszcami (włosami) i przestępowaniu z jednej nogi na drugą (z jednego pośladka na drugi). Przez całą drogę.

– Idziemy wszystkie? – zapytała Danuta, która także zdążyła wysiąść z samochodu i z braku wachlarza chłodziła się, machając ręką. Uderzenia gorąca bezlitośnie atakowały jej organizm.

– Po namyśle doszłam do wniosku, że na razie nie ma takiej potrzeby – oświadczyła Jadwiga, nie chcąc przyznać się do pochopnej decyzji, jaką było zabranie Klary. – Beata, chodź ze mną, w końcu chodzi o twoją córkę.

A jak ten Edzio nie będzie chciał gadać, to wtedy użyjemy presji psychicznej. Czarną magię zostawimy sobie na deser – dorzuciła.

– Ja też idę – powiedziała Danuta i ruszyła w stronę wejścia do klubu.

Beata i Jadwiga podążyły za nią.

Krystyna, chcąc nie chcąc, została wybrana do pozostania w samochodzie i pilnowania Klary, co nie było żadnym problem, gdyż *Madame* weszła właśnie w fazę medytacji szamańskich

i wyłączyła się z rzeczywistości jak odcięte od prądu urządzenie. A może po prostu się ładowała?

Drzwi do klubu zatarasował jakiś mężczyzna o nieruchomym spojrzeniu i wypukłych mięśniach.

– To impreza zamknięta – oświadczył.

Jadwiga spojrzała na niego odpowiednio, ale widząc, że jest odporny na wdzięki pań w średnim wieku, westchnęła ciężko i powiedziała:

– Tak, synku, ale zamknięta czy nie, my tylko do kucharza.

– To do kuchni – domyślił się.

– Tak – zgodziła się z wyraźnym uznaniem dla jego refleksu Jadwiga. – Gdzie ta kuchnia?

– Na prosto i na prawo.

Na prosto i na prawo rzeczywiście znajdowała się kuchnia, a w niej mężczyzna w białym fartuchu, który siedział z nogami wyłożonymi na stole i czytał gazetę.

– Czy pan jest kucharzem? – zapytała Jadwiga.

Mężczyzna zerwał się gwałtownie z krzesła, a widząc, że nachodzą go tylko trzy niepozorne kobiety, popatrzył na nie odpychająco. Nie dały się jednak odepchnąć, co skłoniło mężczyznę do ciężkiego westchnięcia i krótkiej odpowiedzi na pytanie.

– Tymczasowo – burknął i zaczął ostrzyć noże.

Przyjaciółki wymieniły szybkie spojrzenia, a na ich twarzach pojawiła się koncentracja. Powietrze zgęstniało. Zupełnie jak zupa zalana śmietaną.

– Szukamy Kudłatego Edzia – powiedziała Jadwiga.

Mężczyzna znieruchomiał, a potem bez słowa wrócił do ostrzenia noży.

Czekał na dalsze informacje.

– Jesteśmy siostrami miłosierdzia – wtrąciła Danuta, zapalając drżącymi rękami papierosa. – Tylko... w cywilu. Wie pan, nie lubimy się afiszować. Zwłaszcza w takich miejscach jak to...

– Aha. I wszystkie panie to siostry... miłosierdzia? – Mężczyzna spojrzał podejrzliwie. Nawet na chwilę nie przestał ostrzyć noży.

– Tak. W samochodzie zostały jeszcze dwie – dodała na wszelki wypadek Danuta. – I szukamy Edzia, bo Edzio postanowił... podążać dobrą drogą, wie pan, ku wieczności... – Nabożnie wzniosła oczy. – I obiecał zostać kucharzem na naszej misji.

Mężczyzna nie wytrzymał i ryknął śmiechem.

– Ale musiał być nawalony, drań! – wykrztusił, a potem nagle spoważniał. – A gdzie ta misja?

– W... – Danutę zatkało.

– Laponii – wyrwała się Beata, chcąc jej pomóc. Z marnym skutkiem.

– W Laponii??? – Mężczyzna spojrzał na nie zdumiony, nie wypuszczając z ręki noża.

Danuta zaczęła nerwowo zaciągać się papierosem. Im szybciej wdychała dym, tym szybciej mężczyzna ostrzył noże.

– Będziemy nawracać Japończyków – ciągnęła dalej niezrażona Beata.

– Japończyków? W Laponii? – Mężczyzna znieruchomiał, a potem, zapewne na wszelki wypadek, odłożył noże i wpatrzył się w Beatę, która szukając pomocy u Jadwigi, zaczęła robić dziwne miny i pocić się jak Lapończyk w środku parnego japońskiego lata.

– Może to byli Lapończycy w Japonii? – spojrzała pytająco na Danutę.

– Eskimosi – poprawiła ją szybko Jadwiga, kopiąc przy okazji w kostkę.

– W Japonii? Ciekawe, czy zdecydował się na to, zanim zaliczył Wioletkę, czy był to skutek jej zaliczenia? Bo jeśli to drugie, to musi być dużo gorsza, niż mówią, zwłaszcza jeśli

Edzio ucieka przed nią do Japonii... Laponii?

Danuta zaczęła straszliwie kaszleć.

– Czy może nam pan powiedzieć, gdzie możemy go znaleźć? – zapytała błagalnym tonem.

– Z przyjemnością! – Niespodziewanie chwycił dłoń Beaty i zanim ta zdołała zaprotestować, nabazgrał na niej adres Edzia fioletowym długopisem. – Proszę mu powiedzieć, żeby mi koniecznie przysłał kartkę. Gdziekolwiek będzie.

Wyszły. Przez chwilę Beata z niezadowoleniem przyglądała się adresowi napisanemu na dłoni, a potem rozejrzała się dookoła. Zobaczyła rozbawiony tłum, alkohol i wyrobierane, śmiejące się dziewczyny w wyuzdanych pozach. Od razu zapomniała o bazgrołach kucharza. Opuściła rękę.

– Nie za zimno na takie stroje? – mruknęła do Danuty.

– Czego się spodziewać po knajpie o nazwie Explicit Content, moja droga... – zaczęła mówić Danuta, ale Beata nie pozwoliła jej skończyć.

– Nie mogę uwierzyć, że moje dziecko spędza czas w takim miejscu! – Pokręciła z dezaprobatą głową. – Kiedy pracowały tu z Matyldą jako kelnerki, dorabiając na studiach, to była przyzwoita kawiarnia... A teraz? Tyle razy ją przestrzegałam przed takimi miejscami!

– To ona i tak zadziwiająco długo w domu wytrzymała – wtrąciła Jadwiga.

Beata ostentacyjnie udała, że nie słyszy. Nadstawiła ucha, prosząc niewinnym tonem, by Jadwiga powtórzyła, ale wtedy uświadomiła sobie, że głos dochodzący z głębi lokalu jest dziwnie znajomy. Spojrzała na występujący zespół. I oniemiała. Dopiero po chwili znalazła w sobie dość siły, by wyciągnąć rękę.

– Patrzcie – powiedziała zdruzgotana i oskarżycielsko wskazała palcem na scenę, gdzie przy fortepianie w cekinowych kalesonach siedział... Fryderyk Szopa. I najwyraźniej świetnie się bawił. Zwłaszcza kiedy podszedł do niego facet z mikrofonem, też w cekinowych kalesonach, i pocałował go namiętnie. W usta.

Beata z wrażenia musiała oprzeć się o ścianę. Jadwiga spojrzała na nią z westchnieniem.

– Co ty, Beata, geja jeszcze nie widziałas? Masz swoje lata, powinnaś już...

– Ale... to Fryderyk – wyjąkała Beata.

Wszystkie panie zapatrzyły się w wyjątkowo zadowolonego z życia mężczyznę.

Danuta zapaliła kolejnego papierosa. Tym razem ze zdziwienia.

– Faceci potrafią być nie mniej toksyczni niż papierosy – powiedziała, wydmuchując dym.

Przez chwilę stały, wpatrując się w cekinowych mężczyzn, a potem Jadwiga dokonała kolejnego wstrząsającego odkrycia.

– Przecież ten drugi w cekinowych rajtkach to nasz fotograf!

Danuta zachłysnęła się dymem. Po chwili grozy odzyskała jednak zdolność mówienia.

– To dlatego jego matka przestała się odzywać! – wykaszła. – A ja myślałam, że naprawdę wyłysiała ze strachu. Zaraz jej wypowiedzenie umowy i rachunek wysłę!

Beata oparła się o ścianę. Jej serce uderzało dwa razy szybciej, niż powinno.

– Moje biedne dziecko! – jęczała, nie mogąc oderwać oczu od cekinowych gaci. –

Przecież... zaręczył się z nią... ale... Ja to wiedziałam, prawda? – Spojrzała na koleżanki z trudną do ukrycia satysfakcją. – Ja znam się na ludziach, wiedziałam, że coś tu nie gra. Czemu ja na to patrzyłam tyle miesięcy!? Powinnam była zareagować... Jezu, ja muszę Ani powiedzieć jak najszybciej...

Jadwiga pokręciła głową.

– Nie teraz. Zapomniałaś, że mamy sprawę do załatwienia? – Wskazała na adres Edzia na

dłoni Beaty. – Później. Teraz to my możemy zrobić tylko jedną przyzwoitą rzecz, jaką każda matka ma prawo zrobić po czymś takim... – Zaświeciły się jej oczy, a chwilę później z głośników popłynął komunikat: „Pan Fryderyk Szopa proszony pilnie na zaplecze. Pan Fryderyk Szopa...”

ROZDZIAŁ 51

Edzio stał w negliżu, kompletnie zaskoczony. Pięć kobiet w średnim wieku, w tym jedna w matuzaleмовym, o ile nie starsza, stało przed nim w równym szeregu i wpatrywało się w jego nowe kwieciste slipki ze specjalną wkładką uwypuklającą przyrodzenie.

Po chwili krępującej ciszy mężczyzna odchrząknął.

– Przepraszam, gdybym wiedział, że to panie... – przesunął spojrzeniem po nieznanym twarzach – kimkolwiek panie są, włożyłbym przynajmniej spodenki – powiedział, chcąc najwyraźniej speszyć kobiety. Niestety.

Nie udało się. – Zazwyczaj odwiedzają mnie dużo młodsze kobiety i to w konkretnym celu – dodał z obleśnym uśmiechem, myśląc zapewne, że je spłoszy, ale one nadal nie ruszyły się z miejsca. Zaczął się zastanawiać, czy nie przyszła czasem pora zapłaty za jego grzeszki. Postanowił zatem zmienić ton na obojętnie uprzejmy i zapytał: – Pewnie pomyliły panie mieszkanie, ale czy mógłbym paniom w czymś pomóc?

Jadwiga oprzytomniała pierwsza. Z trudem odrywając wzrok od jego slippek, zapytała:

– Pan Edzio?

Kiedy zdumiony potwierdził, uniosła do góry dłoń. Wtedy wszystkie kobiety, jakby wybudzone z transu slipkowego zaczęły napierać na mężczyznę, zupełnie jak dzieci na pana rozdającego lizaki, a Klara, wykorzystując ogólne zamieszanie, uszczyptała go w pośladek. Edzio syknął i zrobił unik, zasłaniając na wszelki wypadek swoją wkładkę. I to był błąd.

Kobiety wniknęły do mieszkania.

Nic sobie nie robiąc z protestów mężczyzny, pozaglądały w każdy kąt, by wreszcie dotrzeć do salonu. Przez chwilę z wyraźnym niesmakiem przyglądały się ogólnemu bałaganowi, a Beata, widząc stojące na stole brudne naczynia i rozrzucone ubrania, zaczęła machinalnie sprzątać.

Tego Edzio nie był już w stanie znieść.

– Czego panie sobie życzą? – zapytał oschle i dodał ostrzegawczo: – Jeśli zaraz panie nie wyjaśnią celu swojej wizyty i nie opuszczą mojego mieszkania, to dzwonię po policję.

Jeżeli wydawało mu się, że kobiety się przestraszą, grubo się pomylił.

Bo te wybuchnęły gromkim śmiechem. A Danuta zapytała bezczelnie:

– Dlaczego nazywają pana Kudłaty? Przecież pan jest łysy.

Tego już było za wiele.

– Bo mam kudłate myśli i lubię bzykać wszystko, co się rusza – oświadczył, oblizując usta i szukając sposobu na zgaszenie uśmieszek na twarzach kobiet.

Tym razem zadziało, bo jak z satysfakcją zauważył, kobiety przestały się śmiać. Ale nie przewidział, że mają tajną broń. Naprzód wysunęła się bowiem Klara. I też oblizała usta. To wywołało u mężczyzny nagły dreszcz.

– Moja kudłate myśli właśnie wyłysiały – mruknął do siebie, a potem zapytał już głośniejszym głosem:

– Czy moglibyśmy zatem przejść do celu wizyty? O co chodzi?

– Może pan usiądzie? Mamy do pana kilka pytań – powiedziała spokojnie Jadwiga, siadając na krześle. Pozostałe kobiety rozproszyły się po salonie.

– Jakich? – zapytał niespokojnie, nie wiedząc, na którą patrzeć.

– Zna pan Wiktora? – zapytała Danuta i zapaliła papierosa.
– Nie znam żadnego Wiktora. Proszę natychmiast wyjść! – zdenerwował się nagle Edzio.
– Kim panie są? Kto dał paniom mój adres?
– Taki jeden... – powiedziała spokojnie Danuta i ordynarnie, a nawet, trzeba przyznać, prowokująco dmuchnęła mu dymem w twarz. – Ma pan podejrzanych znajomych, panie Kudłaty Edziu...

Mężczyzna nie wytrzymał. W jednej sekundzie stracił nad sobą panowanie i z przeraźliwym rykiem rzucił się na Danutę, chcąc ją udusić. Albo wyrzucić przez okno.

Złapał ją za szyję, krzycząc:

– Czego wy ode mnie chcecie, czarownice!? Wy staruchy jedne...

Danuta wybałuszyła oczy, ale ust nie otworzyła. Bojąc się zapewne zgubić papierosa.

Widząc ten zupełnie przecież niczym niesprowokowany atak na bezbronną koleżankę, pozostałe kobiety miały rzucić się na ratunek, ale słysząc wyzwiska, z oburzenia nie mogły się ruszyć. Na szczęście Beata wykazała się znakomitym jak na kurę domową refleksem i krzyknęła przerażającym głosem:

– Kupą go, drogie panie, kupą!

Ten porażający okrzyk zdekoncentrował na moment Edzia, który poluzował uścisk i zaczął niespokojnie rozglądać się za wspomnianą kupą, dzięki czemu Danuta zdołała wydmuchać dym. I złapać oddech. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Kobiety rzuciły się na mężczyznę, chcąc pomścić obelgę i przy okazji uratować koleżankę przed straszną śmiercią. Największą przytomnością umysłu i skutecznością na polu bitwy ponownie wykazała się Beata. Chwyciła stojący na stole garnek i walnęła mężczyznę prosto w głowę. Edzio poczuł siłę uderzenia. Znieruchomiał, a potem opadł oszołomiony na kolana.

Beata stała jeszcze przez chwilę z – chciałoby się powiedzieć: dymiącym – garnkiem, ale jego ponowne użycie nie było konieczne. Na widok Jadwigi salutującej jej jak żołnierzowi, który wykazał się niezwykłym męstwem na polu bitewnym, uśmiechnęła się i odłożyła emaliowaną broń.

– Refleks kury domowej. Niezbędny w każdym kurniku – wytłumaczyła skromnie.

Jadwiga pokiwała głową, gdyż właśnie gwałtownie wzrósł jej szacunek dla kur domowych, które z garnkami potrafią wyczyniać prawdziwe cuda, a potem spojrzała na jęczącego Edzia i oczy zabłyśły jej jak gwiazdy. Odbijające się w źrenicach psychopaty. Przed mordem.

– Krystyna, daj krzesło – powiedziała groźnie.

Krystyna rzuciła jej przeciągłe spojrzenie (w końcu dlaczego ona), ale szybko wykonała polecenie i odsunęła się na bezpieczną odległość, pod ścianę, gdzie z szeroko otwartymi oczami warowała Klara. Dziwnie milcząca. Jadwiga z Danutą posadziły Edzia na krzesło, a potem przywiązały go do nóg, podłokietników i oparcia kolorowymi krawatami, które w hurtowych ilościach leżały na kanapie pod oknem.

Kiedy Edzio nieco oprzytomniał, Jadwiga przybrała wyjątkowo surowy wyraz twarzy.

– To była niczym nieusprawiedliwiona napaść na starszą kobietę – oświadczyła spokojnie, nic sobie nie robiąc z urażonej miny Danuty. – A teraz poniesie pan tego konsekwencje... – zawiesiła złowrogo głos.

Po chwili ciszy dodała jednak:

– Chyba że odpowie pan na kilka pytań...

Edzio nie odezwał się. Patrzył tylko spode łba na znajdujące się w pokoju kobiety i próbował uwolnić się z pęt własnych krawatów. Przeklinał w duchu swoją słabość. Do krawatów.

– Kim jest Wiktor? – padło pierwsze pytanie.

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Nie znam żadnego Wiktora. I proszę mnie natychmiast rozwiązać – warknął.

Jadwiga zdążyła już stracić cierpliwość. A może nigdy jej nie miała?

– Nie? Jak to nie! Już ja cię, gagatku, zmuszę do spowiedzi, jakem siostra miłosierdzia.

Krystyna, dawaj broń!

Edzio wyraźnie się spiął. Tego się nie spodziewał.

Krystyna najwidoczniej też nie, bo wybałuszyła oczy i rozejrzała się dokoła, jakby sprawdzając, czy Jadwiga nie mówi do jakiejś innej Krystyny.

Niestety innej nie było.

– Broooń? – powtórzyła zatem, zaciągając, ale Jadwiga mrugnęła do niej.

Krystyna spojrzała na przerażonego Edzia. Przerażona.

– Właśnie – powiedziała, starając się wyrzucić presję psychologiczną. – Jak zaraz nam nie powiesz, to wyciągnę z torebki pistolet i...

– Ale pani nie ma torebki – przytomnie, acz drżącym głosem, zauważył Edzio.

Dopiero po dłuższej chwili konsternacji Krystyna odważyła się spojrzeć na Jadwigę, której mina wskazywała na chęć odebrania komuś życia.

– Faktycznie, tak mnie poganiałyście, że zapomniałam zabrać – powiedziała cicho.

Na twarzy Edzia pojawił się bezczelny uśmiezek. Starły go jednak niespodziewane słowa Klary.

– Ja mam broń – oświadczyła.

Podeszła do mężczyzny, z bliska rzuciła spojrzenie na jego slipki, wsadziła rękę do kieszeni kurtki i wręczyła Jadwidze depilator.

– Przepraszam bardzo, ale to jest mój depilator – wysyczała wściekła Krystyna.

Klara wzruszyła ramionami.

– No co? Przecież bym ci oddała – powiedziała, nie rozumiejąc, o co Krystyna się złości.

Jadwidze zaświeciły się oczy.

– Tak! – wykrzyknęła zachwycona nowym typem broni. – Depilatorem go!

Nie przejmując się protestami właścicielki, szybko podłączyła depilator do prądu.

Edzio oniemiał. Wpatrzył się w dziwne urządzenie, a wibrująca głowica wywołała u niego nerwowe drgania.

Danuta spokojnie rozgniotła niedopałek obcasem. Razem z Jadwigą podeszły do mężczyzny i chwyciły go za nogę. Krystyna zamknęła oczy. Zastanawiała się nad przysięgą Hipokratesa. „Ale przecież to tylko depilacja, kosmetyczki robią to codziennie i to bez żadnych przysięg”, usprawiedliwiła w duchu siebie i przyjaciółki. Wtedy padło pierwsze pytanie.

– Kim naprawdę jest Wiktor Małaszyński?

– Nie znam żadnego Wiktora – wycedził wściekle Edzio.

Jeśli miał nadzieję, że Jadwiga blefuje, najwyraźniej jej nie doceniał. Albo przecenił swoją nadzieję.

Kobieta z obojętną miną przyłożyła mu depilator do nogi. W końcu robiła sobie to samo od wielu lat. I żyła.

Dla Edzia była to jednak zupełna nowość. Szarpnął się i zawył, jakby go ze skóry obdzierali.

Beata miała dość po tym jednym krzyku.

– Nie wiem, czy to naprawdę konieczne... – zaczęła półgłosem, zastanawiając się, czy nadwrażliwość też stanowi objaw menopauzy, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszystkie spojrzenia wbite były w Edzia.

– Ja nic nie wiem! – krzyczał, patrząc na urządzenie jak na ociekającą krwią elektryczną

piłę. – Ja chcę coś powiedzieć, ale nie wiem...

Jadwiga spokojnie przyłożyła mu depilator. Tym razem do klaty.

– Nieee!!! Tylko nie tu! Ja chcę mówić, ale nic nie wiem! – Edzio płakał prawdziwymi łzami.

– Jak nazywa się kumpel Wiktora? – powtórzyła bezlitośnie Jadwiga.

– Tomek!? Janek!? Piotrek! Eustachyyy!?! Tylko nie klaaataaatata...

Jadwiga westchnęła, wyłączyła depilator, skinęła na koleżanki i wyszła do przedpokoju. Wszystkie z wyjątkiem wróżki, która nie potrzebowała słyszeć ani widzieć, żeby wiedzieć, podążyły za nią.

– A mówiłaś, że nawet z umarłego potrafisz informacje wyciągnąć. I co?

– wyszeptala do Jadwigi wściekla Danuta. Jej słowa zagłuszały jęki i przekleństwa Kudłatego Edzia dochodzące zza drzwi.

– Ten jeszcze żyje – mruknęła Jadwiga, wyraźnie sfrustrowana. A potem zapytała: – Jak się nazywa tamten, którego on ma niby znać? Kumpel Małaszyńskiego?

Kobiety spojrzwały po sobie. Danuta zmarszczyła czoło.

– Nie wiem. A ty Krystyna?

Ta wzruszyła ramionami. •

– A skąd ja mam to wiedzieć? To Jadwiga śledziła gagatka.

– Ale teraz sobie przypominam, że Wiktor ani razu nie wymienił jego imienia. O co, do cholery, mam go więc pytać? Czy my wiemy, o co nam chodzi? Przecież nie potrafimy mu nawet zadać właściwego pytania – syknęła do koleżanek. – Ale teraz to już nie ma odwrotu, musimy go o coś zapytać, bo wyjdziemy na idiotki. Przecież nie zaczniemy go teraz przepraszać...

Beata spojrzała na nią wymownie i wydeła wargi.

– Właśnie, nie chcę was martwić, moje wy profesjonalistki, ale tę waszą akcję depilację nazwałabym raczej debilną akcją...

Jadwiga już miała coś powiedzieć, ale dobiegł je przeciągły krzyk Klary.

Pełne strachu, że Edzio jakoś uwolnił się z krawatów i dusi tym razem wróżkę, wbiegły do pokoju. Nic takiego się nie działo. Edzio dalej połączony był z krzesłem, a Klara stała dokładnie w tym samym miejscu, w którym ją zostawiły, z tą różnicą, że przeciągle wyła.

– Wiedziałam... – mruknęła Danuta, zakrywając oczy. – Czemu ja na to pozwoliłam!?

Ale Klara bez żadnej przyczyny wyłączyła się równie niespodziewanie, jak przedtem włączyła. Spojrzała straszonym wzrokiem na Edzia. Nie wyglądała normalnie. Nie żeby zazwyczaj wyglądała, ale w tym momencie przeszła samą siebie.

– Nie!!! – krzyknęła dobitnie, nie odrywając wzroku od przerażonej twarzy mężczyzny.

– Chciałaś coś zanegować, Janinko? – zapytała łagodnie Krystyna, przysuwając się do niej, ale zatrzymała ją wyciągnięta ręka wróżki.

– Trupem śmierdzi... Nie wytrzymam tego – wyrzuciła z siebie gorączkowo i jeszcze raz spojrzała na Edzia. Ten spał.

– Ja przepraszam – wystękał. – Jestem bardzo zdenerwowany...

Klara rzuciła mu ostatnie spojrzenie, a potem zasłoniła oczy ręką i wybiegła, zderzając się z drzwiami.

Kiedy kroki *Madame* ucichły już na schodach i nagły krzyk jakiegoś przechodnia obwieścił jej odejście, Jadwiga spojrzała sfrustrowana na koleżanki. Żadna nie miała odwagi się odezwać.

Edzio płakał.

– Proszę! Błagam! Niech pani pyta!!! Ja wszystko powiem, tylko jakieś konkretne pytanie... – wyjęczał.

– Mów, co wiesz, tylko szybko – wrzasnęła zdenerwowana Jadwiga.

– Urodziłem się... – zaczął, zatykając się własnym spazmem – w siedemdziesiątym pierwszym w Kielcach, jestem kucharzem, kawaler...

– O Wiktorze! – wrzasnęły kobiety, a każdej przemknęło przez myśl, że zazwyczaj słowo „kawaler” traktują bardzo poważnie i rozwijają ten wątek.

– Ale ja naprawdę nie wiem, o kogo paniom chodzi – stękał Edzio, nie mając już siły jęczeć. – Jaki mam ciężki tydzień. Najpierw ta Wioletka.

Sama mi się pchała do łóżka, to ją przeleciałem, bo nie lubię, jak laski tracą pewność siebie, mamusia wychowała mnie na dżentelmena. Ale potem facet Wioletki się dowiedział i mnie pobili, wyrzucili z pracy i zrozumiałem, że dobry uczynek nigdy nie spotka się z należną wdzięcznością.

Potem Bułgar się wściekł, bo sałatka była za mokra, i znowu dostałem, a teraz... panie. O co chodzi? – Rozpłakał się jak małe dziecko. – Ja się sam zabiję, nie muszą się panie fatygować!

Jadwiga przełknęła ślinę. Zapanowała cisza. Już wydawało się, że do przeproszenia jednak dojdzie, kiedy do przodu wysunęła się Beata.

– A Lewandowska? Co pan o niej wie? – zapytała.

Na twarzy Edzia pojawiła się wdzięczność i ulga, jakby zdawał egzamin i do odpowiedzi dopiero na to pytanie był przygotowany.

– Znam! Znam Lewandowską! – wykrzyknął w ekstazie.

– Świetnie, to mów szybko, co wiesz, bo na mszę musimy zdążyć – mruknęła Jadwiga. Zła, że sama na to nie wpadła.

– Lewandowska Kaśka, ksywa Sowa, prowadziła... dziuplę. Pomagała załatwiać fałszywe papiery dla poszukiwanych przez policję, dawała tymczasowe schronienie, a przy okazji, tak słyszałem, i nieco przyjemności *gratis*. Była prawdziwą samarytanką – spowiadał się chaotycznie, bojąc się pominąć jakikolwiek szczegół. Nie odrywał wzroku od depilatora. – Wystarczyło się tylko wcześniej umówić...

– Naprawdę?

– No tak, przecież nigdy nie było wiadomo, kogo tam zastaniesz...

Trzeba było zadzwonić i Sowa wyznaczała dzień, kiedy można... kiedy trzeba się było zjawić. Właśnie ten dzień był pierwszym dniem twojego nowego życia. No chyba, że Wiertara miał akurat rezerwację, bo on był traktowany priorytetowo.

– Słucham? – Beata nie rozumiała. – Kto?

Spojrzał na nią, jakby miała jakiś defekt umysłowy.

– Wiertara – powtórzył wolno i wyraźnie, a widząc, że żadna z kobiet nie kojarzy, wyjaśnił: – Mówię o starym szefie, panie z księżycy spadły? O

Wiertarze panie musiały słyszeć. Ostatni gangster Rzeczypospolitej, tak o nim w gazecie napisali. W sumie się z nimi zgodzę, bo w nim to taka fantazja ułańska była... A i ludzki był, nie tak jak Bułgar... Nieważne – mruknął, widząc, że jego wiedza się marnuje. – Wiertara od dłuższego czasu się ukrywa, zmienia tożsamość co kilka miesięcy i wszystko zawsze załatwiała Sowa... – Nie wiedzieć czemu ściszył głos. – Tylko że ostatnio, nie mówiąc nic nikomu, Sowa sprzedała dziuplę i rozplynęła się jak we mgle.

– Napiął machinalnie mięśnie, mocując się z krawatami, ale widząc nagły ruch depilatora, znieruchomiał i mówił dalej bez żadnych zahamowań: – No i ostatnio ważniaki z organizacji mieli spotkanie nadzwyczajne, tuż po jej zniknięciu. Z tego, co słyszałem, jak podawałem obiad, to mieli problem, bo Sowa zniknęła, zanim Wiertara odebrał swoje papiery. Zwykle zjawiał się od razu. Wiecie, panie, z nim normalnie nie ma kontaktu, bo to niebezpieczne. On ma swoje sposoby, pojawia się tam, gdzie chce. W każdym razie musieli oddelegować kogoś, kto nawiąże

z nim szybko kontakt i przekieruje do nowej dziupli – jęknął, a potem zamilkł. Spojrzał na nie wzrokiem wydepilowanego pudła. – Czy panie są z policji? Jeśli tak, to proszę mnie zabrać na komisariat. Jak się ktoś dowie, co ja tu nagadałem, to mnie zabiją...

– Kto na niego czeka?

– Tego to ja nie wiem – powiedział, patrząc z niepokojem na depilator. – Naprawdę! Jak tylko podałem obiad i zaczęli gadać o konkretach, to kazali Bodziowi odwieźć mnie do klubu. To było w środę... albo w czwartek?

– Kto był na tym spotkaniu?

– Bułgar był, bo on teraz rządzi, chociaż jeśli mam być szczery, to posłuch zdobył tylko dzięki pomocy z zewnątrz. – Jeszcze bardziej ściszył głos. – Słyszałem, że zaczął współpracować z jakąś grubą rybą, sprzedał mu udziały w organizacji w zamian za władzę. – A potem dodał głośniejszym głosem: – Czesiek był... i jeszcze Bodzio, i Ziemiak też był. Muszą się bać o Wiertarę, bo ostatnio kilku chłopaków dostało kulki w łeb... Paskudna sprawa...

Jadwiga spojrzała na twarze otaczających ją koleżanek, a potem wręczyła Krystynie depilator i dała sygnał do odwrotu.

– Uważaj na siebie, synku – powiedziała troskliwie, rozwiązując Edziowi ręce. – Masz stanowczo za długi język, a to niebezpieczne.

Edzio nie odzywał się. Przerażony wpatrywał się w swoje czerwone łydki.

Zauważyła.

– Polecam kąpiel w rumianku – poradziła mu z uśmiechem i nie czekając, aż mężczyzna otrząśnie się z szoku, szybko zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 52

Anka i Matylda na ślub nie zdążyły. Jasiiek był bardzo niezadowolony.

Nie to, co jego matka. Ta była naprawdę wściekła. Przez moment, z miną mówiącą: „Swoją szansę już miałaś”, przyglądała się zziębniętej, brudnej i rozmazanej Matyldzie, a potem odwróciła się na pięcie i zniknęła w tłumie gości, ciągnąc za sobą syna. Po chwili wierny Jasiiek wrócił jednak i masując sobie rękę, zaciągnął Matyldę w ciemny kąt. Starając się rozluźnić jej zeszywniały kark i zaciśnięte z wściekłości usta, błagał o litość.

Anka została sama. Usiadła przy suto zastawionym stole, witając dymiące półmiski jak Robinson Crusoe statki dopływające do bezludnej wyspy. I wtedy zadzwonił telefon.

– Halo? – zapytała, przypatrując się przystojnemu góralowi, który przyśpiewywał pani młodej.

– Aniu! – usłyszała trzęsący się głos matki. – Musisz natychmiast wracać do domu!

– Ale, mamo, ja dopiero weszłam...

– Stało się coś strasznego!

Właśnie wnosili pieczone prosię. Anka zaczęła się ślinić. Przemogła się jednak i ogarnięta nagłym niepokojem zapytała:

– Co się stało?

– Nie mogę powiedzieć przez telefon. To zbyt bolesne. Wracaj natychmiast!

– Nie denerwuj się, mamo, cokolwiek się stało, na pewno wszystko będzie dobrze... – zaczęła, ale przerwał jej skowyt.

– Nie! Nie będzie dobrze! To już koniec! – Matka rozhisteryzowała się na dobre. – Duszę się! Ja się duszę!

Anka zamknęła oczy, odgradzając się siłą umysłu od prosięcia.

– Uspokój się. Zaraz przyjadę – powiedziała zrezygnowana.

Pożegnała się w myślach z boskim górale, a potem uciekła jak Kopciuszek, tylko zamiast zgubić pantofelek, ukradła z czyjegoś talerza widelec z nabitym kawałkiem pieczeni.

Siedziała w autobusie spięta, zła i straszliwie głodna, choć niepokój (i ten kawałek pieczeni) skutecznie zapełniał jej żołądek. Wyglądała przez okno, próbując wytłumaczyć sobie, że nie ma się czym przejmować, bo przecież nic jeszcze nie wie. Wyobrażnia podsuwała jej jednak same czarne scenariusze.

„Może dziadek miał zawał?” Otrząsnęła się. „Na pewno nie. Babcia pewnie straciła rozum i trzeba ją będzie zamknąć w zakładzie”. Przełknęła ślinę. „Nieeee. Może jakiś wypadek? Michał? Ojciec?” Czując, że nerwowo nie wytrzyma, sięgnęła po telefon. Już miała zadzwonić do matki i wyciągnąć z niej prawdę, kiedy zauważyła, że autobus przejeżdża koło miejsca, w którym zmuszona była porzucić samochód.

Przywarła nosem do szyby. Jej oczom ukazał się widok zapierający dech w piersiach. Zapomniała o czarnych scenariuszach, bo życie po raz kolejny napisało swój, i to z właściwą sobie kreatywnością. W bezgranicznym zdumieniu obserwowała, jak w blasku latarni dwóch złomiarzy układa na wózku drzwi jej czerwonej fiesty, a trzeci piluje dach.

Przed matką stanęła w końcowym stadium załamania, zastanawiając się, co złego może ją jeszcze spotkać. Z niepokojem wpatrzyła się w jej zapuchniętą i stroskaną twarz, a potem (nie okazując żadnych uczuć, w końcu czuła się, jakby właśnie uchodziło z niej życie) z należytą powagą wysłuchiwała historii o niewierności „tego sodomity Fryderyka”. Gdy matka zamilkła i wbiła w córkę przerażone oczy, Anka poczuła, że musi coś powiedzieć. Bo sytuacja i matka odpowiedzi wymagały. Spojrzała prosto przed siebie i utkwiała wzrok gdzieś na wysokości czubka matczynej głowy.

– A to drań – powiedziała zimno. A potem bez zmruczenia powiek dodała: – Rzucam go!

Dopiero kiedy Anka wróciła do własnego mieszkania, poczuła ulgę. Odgrodziła się od złośliwego świata grubymi drzwiami. I wszystko znowu nabrało barw. Zwłaszcza gdy zauważyła, jak bardzo mieszkanie zmieniło się w ciągu jednego dnia. Nieprawdopodobne. Znajomy Wiktora najwyraźniej popisał się nie tylko mięśniami, ale i profesjonalną wiedzą. Na krótką chwilę zapomniała o głodzie i chłodzie. Podziwiała gładkie jak pupa niemowlaka ściany. Wdychając po drodze zapach świeżej farby, poszła prosto do łazienki. Na ścianach położone były nowe białe kafelki. Nawet rury wymieniono. Wystarczyło już tylko pomalować ściany. I wszystko gotowe!

Aż łyzy zaczęły cieknąć jej po policzkach.

Dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że nie płacze z radości.

Wyplukała z wanny resztki cementu i zaczęła nalewać do niej wodę, dodając obficie płyn do kąpieli. Kiedy już miała dokonać pełnego zanurzenia, wpadło jej do głowy, że powinna wypić toast za nowożeńców. W końcu to święty obowiązek weselnego gościa. Poszła zatem do kuchni i wzięła butelkę wina, żeby uczcić szczęście Haneczki. Naturalnie.

Wracając do łazienki, zauważyła, że na sekretarce ma nagrany wiadomość. Machinalnie przycisnęła guzik.

„Sowa, to jest, kurwa, *emergency*, odbierz!”, krzyczał ktoś po drugiej stronie kabła, gdziekolwiek to było.

Najpierw oniemiała, ale po chwili, nie czekając na finał wiadomości, wyłączyła telefon i głos umilkł w pół zdania.

Szybko wróciła do łazienki i nie myśląc już o niczym, zanurzyła się w pienistej kąpieli. Wreszcie zrobiło się jej ciepło. Nawet oczy zaczęły jej się pocić. Połykała wino razem ze łzami, powoli obojętniejąc na cały świat.

Zasnęła.

ROZDZIAŁ 53

Beata poruszyła się gwałtownie. Dźwięk telefonu z trudem przedarł się do jej pięknego snu o siwych rycerzach na białych koniach. Nawet podświadomie nie chciałyby uchodzić za taką, co to się ogląda za dwa razy młodszymi. W jej śnie królewicze zawsze mieli twarze pokryte siecią zmarszczek. Tylko ona wyglądała na trzydzieści lat młodszą. I dziesięć kilo chudsza. Zawsze.

Z trudem zaświeciła nocną lampkę i spojrzała na budzik. Czwarta trzydzieści.

Telefon nie przestawał dzwonić. Numer zastrzeżony.

– Halo? – zdecydowała się odebrać.

– Tu mleczarnia – odezwał się jakiś głos.

Otrzeźwił ją absurd sytuacji.

– Słucham? – nie zrozumiała.

– Jezu, zawsze to samo – zirytował się głos. Beata momentalnie rozpoznała Danutę. – Spójrz w tajne hasła, kobieto! I postępuj wedle instrukcji.

W mleczarni jest bomba. Powtarzam: w mleczarni jest bomba.

Beata siedziała przez chwilę na łóżku. Potem westchnęła ciężko, naciągnęła kapcie (lewy na prawą nogę, prawy, cóż... także na niewłaściwą), włożyła szlafrok i wstała, zastanawiając się, ile czynności człowiek musi wykonać, żeby wyruszyć do szafki w salonie. A gdzie samo dotarcie do celu? Wzdychając całą tę długą drogę, podeszła do mebla, wyciągnęła folder z hasłami i włożyła okulary. Dopiero wtedy zauważyła, że napis na jej dłoni wciąż świeci niepokojącym fioletem. Westchnęła jeszcze ciężiej, bo spotkanie z Kudłatym Edziem do lekkich nie należało, a i poczucie winy musiała zapchać kilkoma ciężkostrawnymi balonikami. A to, jako że była na diecie, też nie wpłynęło pozytywnie na jej samopoczucie. Otworzyła folder.

– Mleczarnia – mruczała. – O jest! Bomba? Niebezpieczeństwo? – Wpatrzyła się w ścianę przed sobą. – Boże, co ja robię z tą bandą wariatek?

Bomba w mleczarni! O tak pogańskiej godzinie! Też mi coś!

– Co tu robisz? – usłyszała nagle głos. Podskoczyła, okulary spadły jej z nosa na podłogę.

Za nią stała babcia. W zielonej maseczce na twarzy. Beata podskoczyła po raz drugi.

– Mamo, wzięłaś lekarstwa? – zapytała na wszelki wypadek.

– Jakie lekarstwa? – zdumiała się babcia.

– Na sklerozę, pamiętasz?

– Jak mam pamiętać, dziecko, przecież mam sklerozę!? I znowu zapomniałam, co ci chciałam powiedzieć. Jak sobie przypomnę, to ci powiem, tylko jak zacznę mówić, to mi nie przerywaj.

– Dobrze, mamo. Ale co ty masz na twarzy?

– Maseczkę.

– Ale jest czwarta rano.

– No to co? – Babcia wzruszyła ramionami. – I tak spać nie mogę.

– Może napij się ziółek.

– Skończyły mi się.

Do salonu wszedł zaspany dziadek.

– Co się dzieje? – chciał wiedzieć.

– Nic. Mama nie może spać. – Beata się wściekła. – Jadę po ziółka.

Dziadek spojrział na babcię i nieco dłużej niż zwykle przyglądał się jej twarzy.

– Wiesz, kobieto – powiedział z zadumą – ja od początku wiedziałem, że ty musisz być z innej planety... – A potem wyszczerzył w uśmiechu swoje dziąsła i zapytał z nadzieją: – To kiedy po ciebie przylatują?

Przed biurem Beata spotkała Krystynę. Przywitały się krótkim „cześć”, stłumionym straszliwym ziewaniem, po czym weszły do biura, gdzie czekały już Danuta i Jadwiga. Obie wyglądały, jakby nie kładły się spać poprzedniego wieczora. A od Jadwigi to nawet śmierdziało alkoholem.

– Piłaś – stwierdziła Krystyna i ostentacyjnie zatkała sobie nos.

– A Danuta paliła – poskarżyła Jadwiga, chcąc odwrócić od siebie uwagę.

Krystyna rzuciła się na kanapę.

– Kobiety, czy wy spać nie możecie? – jęknęła zaspana. – Poza tym znowu zapomniałyście, że mam urlop!

– Nie czas na urlop – ucięła sprawę Danuta. – Mamy bombę!

Krystyna ziewnęła.

– Naprawdę? A może to menopauzalne zapalenie mózgu!? Piąta rano...

Jakbyście nie mogły ze dwie godziny poczekać... – Nagle przerwała i wpatrzyła się w ramię Jadwigi. – A co ty masz na ramieniu? – zainteresowała się.

– Plasterek – zaśmiała się Jadwiga, rozpierając się na krześle.

– Na co?

– Muszę cię rozczarować. Zadrapałam się, jak przechodziłam przez płot. Żaden hormon się nie uwalnia. No chyba że hormon miłości, bo mi go Conan przykleił. I coraz milej o facecicie myślę...

Danuta spojrzała na nią jak na niesforne dziecko, a potem wytłumaczyła:

– Jadwiga wraca właśnie ze spotkania z tajemniczym agentem Conanem. Jak zresztą widać – mruknęła.

Beata zeszywniała.

– Kto to jest Conan? – zapytała, zapominając, że jest śpiąca. Poczula, że oprócz uderzeń gorąca atakuje ją jeszcze panika.

– To mój stary znajomy z agencji – wyjaśniła niedbale Jadwiga.

– To znaczy... szpieg? – Beata rzuciła jej niepewne spojrzenie.

– Facet – mrugnęła koleżanka. – Musiałam odświeżyć dawne znajomości. Jak inaczej miałam dowiedzieć się, kim jest tajemniczy znajomy Wiktora? A wiecie jak to jest, po tylu latach trzeba sobie pogadać... I Conan przyjechał specjalnie na jeden wieczór, żeby się ze mną zobaczyć i osobiście przekazać mi wiadomości... – Westchnęła rozanielona. – Wspominaliśmy stare dzieje.

– Przechodząc przez płot!?

– Każdy sposób jest dobry. – Jadwiga wzruszyła ramionami, jakby przechodzenie przez płot w jej wieku i to w towarzystwie szpiega nie było niczym nadzwyczajnym. – Niestety został nagle wezwany do centrali i przyleciał po niego helikopter...

Beata spojrzała osłupiała na Danutę, ale ta postukała się tylko dyskretnie po czole, a potem odchrząknęła.

– Jadwiga, opowiadaj w końcu.

– Kiedyś to było o czym opowiadać – rozmarzyła się. – Niestety te dwadzieścia lat robi różnicę. Bogu dzięki za niebieskie tabletki...

Danuta poczerwieniała, a Beata dostała ataku kaszlu. Pewnie dlatego, że obie znały moc niebieskich tabletek.

– Jadwiga, czy ty się oddajesz za informacje? – zapytała zbulwersowana Danuta.

– Wolno mi, w końcu jestem podwójną rozwódką. I nie. Nie oddaję się za informacje – parsknęła Jadwiga, udając obrażoną – tylko dla przyjemności.

– Na miłość boską, czy ja się mogę w końcu dowiedzieć, dlaczego ściągnęłyście mnie z łóżka o tak pogańskiej godzinie!? – zdenerwowała się Krystyna.

– Właśnie – poparła ją Danuta. – Gadaj, co wiesz! Pełny raport.

Jadwiga spoważniała, a nawet jakby wytrzeźwiała. Położyła na biurku dwie fotografie.

– To zdjęcia, które zrobiłam wczoraj.

Beata przełknęła ślinę i poprawiła okulary. Na jednym ze zdjęć widać było skoncentrowaną twarz Wiktora. Drugie przedstawiało zarośniętego blondyna z grubym karkiem.

– Z tym mężczyzną spotkał się wczoraj nasz Wiktor. Conan był tak miły, że zadzwonił do jednej z drugą... – Jadwiga zazgrzytała zębami na wspomnienie jednej i drugiej – i któraś w końcu znalazła odpowiedź.

Zapanowała cisza. Beata z narastającym niepokojem wpatrywała się w zarośniętą twarz. Przy takim to nawet zbój Madej wygląda jak panienka z okienka.

– Kto to jest? – zapytała spokojnie Danuta, zapalając papierosa. Żadna z kobiet nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

– To Paweł Bodowski, pseudonim Bodzio. Ten, o którym mówił wczoraj Kudłaty Edzio – powiedziała Jadwiga podekscytowana. – A jego szefem jest Bułgar! Odpowiedzialny za śmierć Dziobatego.

– Kogo? – zdumiała się Krystyna, robiąc kawę.

– Co ty gazet nie czytujesz? – zirytowała się Jadwiga.

– Do nekrologów nie zaglądam – wzruszyła ramionami Krystyna.

– Nekrologi!? To była historia z pierwszych stron!

– I co to kogo obchodzi? – wtrąciła Beata. Z każdą chwilą wzrastały w niej przerażenie i straszliwy niepokój o własne dziecko. Czuła, że sytuacja ją przerosła. – Mam głęboko gdzieś, dlaczego Bułgar zabił Dziobatego.

Chcę wiedzieć, kim jest Wiktor i dlaczego kręci się koło Ani!? Że nie jest malarzem, to oczywiste.

– Conan nie zdążył zweryfikować Wiktora. W kartotece policyjnej nie figuruje.

Przynajmniej na razie... Ale spotkał się z Bodziem. A Bodzio to mafia – powiedziała Jadwiga powoli i jasno, żeby wszystkie, nawet kury domowe, nie miały problemów ze zrozumieniem. – Kudłaty mówił, że Bodzio był na spotkaniu w sprawie tajemniczego zniknięcia Sowy i planu awaryjnego...

– Ale zrobili z niego szofera, zapomniałaś? Dalej nic nie wiemy – parsknęła Krystyna i jęknęła cicho, bo oparzyła się kawą.

Znowu zapadła cisza. Beata starała się uspokoić myśli i bicie serca.

Wpatrywała się w szarość za oknem, która powoli zamieniała się w dzień.

– Przecież to oczywiste! – odezwała się nagle Jadwiga.

– Co jest takie oczywiste? – zapytała Danuta.

– Jeśli Wiktor, po pierwsze: znał Sowę, po drugie: zainstalował się w mieszkaniu Sowy po jej zniknięciu, po trzecie: na kogoś czeka, bo o tym przecież rozmawiał z Bodziem, to... – spojrzała na wpatrujące się w nią koleżanki – to właśnie on jest planem awaryjnym Bułgara.

Na Beatę padł blady strach. Dosłownie. Aż ugięła się pod ciężarem tej wiadomości. Zerwała się z kanapy i nie przejmując się, że przez jej gwałtowną reakcję Krystyna wylała kawę, a Danuta oparzyła się w rękę papierosem, podbiegła do drzwi.

– Jadę do niej! – wyrzuciła z siebie histerycznie. – To moja córka. Mam w nosie, co sobie o mnie pomyśli, zresztą pewnie i tak nie myśli już nic dobrego. Najważniejsze, żeby jej się nic

nie stało! A potem prosto na policję!!!

Nagle poprzez chaotycznie krążące w jej głowie myśli przebił się zdecydowany głos Jadwigi.

– Poczekaj.

Znieruchomiała z dłonią na klamce. Podniosła wzrok i ze zdumieniem zauważyła, że Jadwiga jako jedyna z całego towarzystwa wydaje się całkiem usatysfakcjonowana obrotem sprawy.

– Chyba mogłybyśmy załatwić ten problem w nieco mniej konwencjonalny sposób... – rzuciła koleżanka i zawiesiła głos.

– Wyrażaj się jaśniej – powiedziała zaintrygowana Danuta. Jadwiga podeszła do Beaty i chwyciła ją za ramię.

– Może najlepiej byłoby, żeby na trop afery wpadł nasz posterunkowy Marek Kochanowski. Żeby złapał kryminalistę i uratował niewinną panienkę, która, kto wie, może ofiarowałaby mu swoje serce? Nie wspominając o wdziękach...

Po słowach Jadwigi zapanowała cisza.

– No, moja droga – Danuta z uznaniem pokiwała głową – przesłaś samą siebie.

Na twarzy Jadwigi pojawił się uśmiech triumfu.

– Pomyślcie tylko. – Wzniosła wzrok ponad głowy kobiet. – Ania zostanie uratowana przez bohaterskiego policjanta, a my nic nie będziemy musiały robić. Wszystko samo się zaplanowało, niesamowite zrządzenie losu.

I do tego taki przystojny, pomocny facet. Jak w bajce. Czyż życie nie jest piękne? – powiedziała uroczystym głosem, w którym niemalże słychać było zwycięskie fanfary i trąby obwieszczające ślub Ani z królewiczem z bajki.

ROZDZIAŁ 54

Anka ocknęła się z przeświadczeniem, że coś nie poszło zgodnie z planem. Przede wszystkim było jej zimno. Straszliwie zimno. Poza tym cholernie bolał ją kark. A jeszcze mocniej głowa. I jakby tego było mało, gwizdało jej w uszach.

Zadrzała i poruszyła się niespokojnie. A potem otworzyła oczy.

Okazało się, że instynkt jej nie zwiódł. Nic nie poszło zgodnie z planem.

Leżała w wannie, goła jak święta turecka, a tuż nad nią na drabinie... stał Wiktor. Gwizdał i malował sufit. Najpierw przemknęła jej przez głowę myśl, że to senny koszmar, nawet, gdyby się nad tym zastanowić, całkiem zabawny. Na zastanowienie czasu jednak nie było, bo kątem oka zauważyła, że na wannę spadła kropla świeżej farby. Kap. Druga. Kap. I przyszło otrzeźwienie.

To nie sen.

Chciała krzyknąć, ale głos uwiązał jej w gardle. Szybko zamknęła oczy i zaczęła się gorączkowo zastanawiać, czy nie lepiej byłoby udawać, że się

nie obudziła. „Przecież Wiktor kiedyś musi wyjść z łazienki, wtedy szybko wyskoczę z wanny, ubiorę się i wyprę ze świadomości całe zdarzenie. W końcu nawet matka walczy w ten sposób z kaloriami. Wyprzeć i zapomnieć”. Zagryzła wargi. Wiedziała, że skuteczność owego sposobu pozostawia wiele do życzenia. „Przynajmniej piana jest – zaczęła się pocieszać.

– Zaraz, jaka piana!? Już dawno jej nie ma. I nawet nie mogę seksownie wynurzyć się z piany jak Wenus z Milo. Cholera! Nie jestem seksowna, tylko skacowana”. Nie wytrzymała, znowu otworzyła oczy. I natychmiast tego pożałowała, bo spojrzała prosto w ciemne oczy Wiktora. Patrzył na nią obojętnie, jakby miała na sobie barani kozuch, a nie gęsią skórę.

Tylko. I dopiero wtedy poczuła się odkryta, obnażona. Naga. I wściekła.

A Wiktor, nie odrywając pędzla od sufitu, powiedział lekko:

– Dzień dobry. – I znowu zaczął gwizdać.

– Na miłość boską, co pan tu robi!?! – wyrwało jej się. Wciąż nie była w stanie się ruszyć.

– Maluję – odpowiedział logicznie, a potem z niewinnym uśmiechem usprawiedliwił się:

– Terminy mnie gonią.

– Ale... ale ja się kąpię – zdołała wyjąkać przez szczękające z zimna i wściekłości zęby.

– Ależ proszę się nie przejmować, mnie to zupełnie nie przeszkadza – zauważył

pogodnie.

Wrócił jej głos.

– Proszę natychmiast wyjść! – krzyknęła, trochę może zbyt piskliwie, i chcąc szybko wstać, poślizgnęła się i o mało nie utopiła. Wiktor zrobił ruch, jakby chciał ją ratować, ale widząc, że wynurzyła się spod wody, łapiąc (z trudem bo z trudem, ale łapiąc) oddech, spojrział na nią z łagodnym wyrzutem, zupełnie jak na dziecko, które marudzi o byle co. Potem bez słowa i wcale się nie spiesząc, zszedł z drabiny i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Wyskoczyła jak z ukropu, choć temperatura wody przypominała raczej temperaturę arktycznego morza, i cała drżąc, sięgnęła po ręcznik. Niestety. Żadnego nie było. Zza drzwi usłyszała za to głos:

– Czy to czasem nie pani ręcznik leży w przedpokoju na podłodze?

Zamknęła oczy, a potem pokornie uchyliła drzwi i wyciągnęła rękę.

Kiedy obrażona, i w ręczniku, wpadła jak burza do kuchni, powitał ją wyjątkowo zadowolony uśmiech Wiktora.

– Pani Aniu, ja... – zaczął, ale nie dała mu szansy.

– Jak pan śmiał! Pan wykorzystał sytuację! – wrzasnęła teatralnie. W końcu musi dbać o swoją reputację.

– Ja? – szczerze się zdziwił. – Co pani ma na myśli? To oburzające – powiedział, bynajmniej nie oburzony, a isierki śmiechu strzelające z jego oczu atakowały ją ze wszystkich stron. – Myślałem, że pani jeszcze nie wróciła, nie było pani samochodu, wszedłem do mieszkania, a pani leżała w wannie. Nawet pani nie wie, jak się wystraszyłem. Myślałem, że się pani utopiła. Rzucam się na ratunek, o mało usta usta nie zrobiłem. – Anka zamknęła oczy i mocniej chwyciła ręcznik. – A pani chrapie jak jakiś chłop po alkoholowej libacji, więc pozwoliłem dalej pani spać, bo wiem, jak się pani denerwuje, kiedy ktoś, nie daj Boże, za wcześniej panią obudzi... A pani mi tu, że ja sytuację wykorzystuję? To samo mógłbym powiedzieć o pani. Mieszka pani sama, zatrudnia mnie niby to do malowania...

– Ja!? Ja pana zatrudniam... – zaczęła oburzona, ale Wiktor nie pozwolił jej skończyć.

– ... daje mi pani klucze, każe przychodzić o świcie, a potem zostawia drzwi do łazienki otwarte i udaje, że zasłabła w wannie. Żebym musiał ratować! I usta usta robić! Ale ja się znam na tych numerach! To się nazywa kobieca desperacja – zakomunikował jej bez ogródek poważnym głosem, choć dusił się ze śmiechu.

Zaniemówiła.

– Co pan za bzdury wygaduje!!! – wrzasnęła, kiedy wrócił jej głos. – Przecież pan nawet nie jest w moim typie! – skłamała, ulegając panice.

Z satysfakcją zauważyła, że zacisnęła wargi. „Aha, pewnie *ego* się odezwało...”

– Pani w moim też nie! – odwdzieczył się jej. – Z tego co niechcący, rzecz jasna, widziałem, jest pani zdecydowanie za chuda!

Zabrakło jej słów. Odwróciła się na pięcie, wbiegła do sypialni i głośno zatrasnęła za sobą drzwi. Potem wzniosła do sufitu błyszczące radością oczy i ręce w dziękczynnym geście.

„Za chuda!?! Boże, dzięki!”

ROZDZIAŁ 55

Przez następną godzinę Anka nie wychodziła z sypialni. Próbowwała zasnąć, ale zupełnie jej to nie wychodziło, bo szurania dochodzące z salonu działały wyjątkowo nieusypiająco. Kiedy oprzytomniała w końcu z tej niemożności zaśnięcia, okazało się, że jedynym dźwiękiem, jaki dobiega do jej uszu, jest (nie mniej denerwujący niż dźwięk szurania) głos jej matki.

Ubrała się szybko i ostrożnie wystawiła głowę z pokoju.

– O! A tu byliśmy na wczasach – mówiła Beata.

Anka zmarszczyła ze zdziwienia czoło, a potem na palcach podeszła do drzwi salonu. Zobaczyła, jak jej matka siedzi przy stole z Wiktorem, piją kawę i oglądają stare zdjęcia, które Beata musiała znaleźć w jednym z nierozpakowanych pudeł.

– A tutaj... Ania w wannie. Miała może dwa latka... Słodki bobasek, prawda?

Zrelaksowany Wiktor pochylił się z rozmarzeniem nad zdjęciem.

– Tak. A jak teraz wygląda...

– Mamo, co ty tu robisz!?! – Anka pisnęła zza drzwi, a potem weszła do pokoju i spojrzała wściekła na Wiktora, który potulnie podniósł cztery litery i z irytującym uśmiechem zabrał się do pracy.

– Aniu, czy ty aby nie wykorzystujesz swojego pracownika? Przecież jest niedziela – usłyszała w odpowiedzi.

Krytyka. Na każdym kroku i o każdej porze. Wzruszyła ramionami.

– Jeśli pan Wiktor chce, to pracuje. Dzisiaj zgodnie z umową musi skończyć remont. A ty? Co ty robisz? Jest siódma rano.

– Wiem, ale nie mogłam spać. Podziwiałam efekt pracy pana Wiktora.

Jakby cała grupa specjalistów się tu wczoraj uwijała. – Beata uśmiechnęła się podejrzanie słodko do mężczyzny, który spojrzał na nią spod oka, ale się nie odezwał. Paplała więc dalej: – Śliczny kolor ścian wybrałaś, chociaż ja wolałabym nieco ciemniejszy, ale nieważne... Czekaając na ciebie, pozwoliłam sobie wyciągnąć zdjęcia...

Chwila ciszy. Anka ze zdziwieniem zauważyła, że matka wygląda, jakby nie spała od tygodnia. Wielkie cienie pod jej oczami przypominały pomarszczone plastry bakłażana.

– Mamo, stało się coś? – zapytała. Spojrzenie Beaty powędrowało na sufit.

– Chciałam sprawdzić, jak się czujesz – powiedziała, przyglądając się lampie. – W końcu jestem twoją matką, a wczorajszy dzień musiał być dla ciebie wyjątkowo trudny. I chciałam jeszcze... – Spojrzała znowu na Ankę, a potem uśmiechnęła się jakoś smutno. – Córeczko, chciałam cię za wszystko przeprosić – wypaliła. – Nie wiem, dlaczego tak się martwię o ciebie. Ale ostatnio regularnie spotykam się psychiatrą... wiesz, bo ja naprawdę chcę być lepszą matką...

Ance opadły ręce.

– Ale, mamo... – wybąkała zupełnie zbita z tropu – przecież jesteś dobrą matką, zawsze się starałaś...

– Właśnie – przerwała jej Beata. – Może starałam się za bardzo i widziałam tylko to, czego ja dla ciebie chciałam, a nie to, czego ty potrzebowałaś... Nie chcę, żebyś się ode mnie odsunęła. I zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa.

– Proszę, mamo, tylko nie rób nic, żebym była szczęśliwa, dobrze? – jęknęła Anka, ale widząc minę matki, złagodniała. – Mamo, ja się wcale od ciebie nie odsunęłam...

– Jak to nie!?! Uciekłaś, wprowadziłaś się...

Nagle wszystko stało się jasne.

– Mamo – zirytowała się dziewczyna – znowu chcesz mnie wpędzić w poczucie winy.

– Ależ absolutnie nie! Ja tylko chciałam cię przeprosić. Jesteś przecież taką fantastyczną młodą kobietą, a ja ciągle chciałam cię zmieniać... Ale ja się lecę – mówiła Beata z narastającą histerią. – Psychiatra tłumaczy mi mechanizmy postępowania i uczy, jak kontrolować siebie, bo okazuje się, że ja lubię kontrolować innych, tylko z kontrolowaniem siebie mam straszne problemy.

Anka utkwiała w matce zaskoczone spojrzenie. Beata pokiwała głową.

– A może to te hormony? To strasznie dziwne, ale czuję się winna, że Fryderyk okazał się tym, no... homoseksualistą, a teraz jesteś nieszczęśliwa... – pochyliła się i ścisnęła rękę córki.

Anka poczuła palącą ochotę, żeby zmienić temat. Przez moment zastanawiała się, co powiedzieć, a potem zauważyła na dłoni matki napis nabazgrany fioletowym długopisem. I znalazła nowy temat.

– Ulica Długa... Czyj to adres?

Cisza. Po chwili ze zdziwieniem dostrzegła, jak na twarzy matki pojawiają się czerwone wypieki. A później usłyszały wielki huk. Wiktor spadł z drabiny. Anka nie ruszyła się z miejsca. Jej matka także nie.

– Koleżanki. – Beata w ataku paniki schowała rękę pod stół. – Ten długopis jakiś trudny do zmycia. A... zauważyłaś? Malarz spadł z drabiny! – Szybko podniosła do ust kubek.

– Za dużo kawy pije – podsumowała Anka z satysfakcją, patrząc, jak Wiktor siedzi na podłodze i masuje sobie bark.

Beata odstawiła kubek.

– Nie chciałabym, żebyś z powodu jednego Fryderyka straciła wiarę w mężczyzn – powiedziała nagle poważnym głosem. – Nie wszyscy są tacy źli, popatrz na przykład na swojego ojca...

Anka parsknęła śmiechem, ale nie do końca przekonująco.

– Mamo, ja już dawno straciłam wiarę w mężczyzn. I nawet ojciec mi już nie pomoże – westchnęła, czując nagle charakterystyczne mrowienie w kręgosłupie. Wiktor musiał na nią spojrzeć.

I wtedy ktoś zapukał.

Mrowienie ustało. Zapewne spojrzenie Wiktora przeniosło się na drzwi.

Anka przełknęła ślinę, a Beata, widząc zapewne przerażenie na jej twarzy, zadała nieświadomie pytanie, które chciał zadać Wiktor.

– Spodziewasz się kogoś?

– Nie – odpowiedziała dziewczyna, a potem spojrzała na Wiktora.

Skinął głową.

Wstała. Jak gdyby była robotem sterowanym przez tego mężczyznę o czekoladowych oczach, podeszła do drzwi.

– Kto tam? – zapytała metalicznym głosem (pewnie przez warzywa skażone metalami). Zauważyła, że poci się jak czajniczek na wolnym ogniu i zupełnie irracjonalnie zaczęła się zastanawiać, czy czasem na jej bluzce nie widać rdzawych plam (od tych metali).

Chwila złowroziej ciszy. A potem histeryczny głos:

– To ja, Matylda!

Anka odetchnęła głęboko i z wyraźną ulgą, a potem odwróciła się do Wiktora. Zdążył już jednak zniknąć w kuchni. Otworzyła. A zaraz potem ugięła się pod ciężarem swojej przyjaciółki, która nie zwracając na nic uwagi, rzuciła się jej na szyję. I ostentacyjnie zawyla.

– Co się stało? – zapytała Anka, klepiąc ją pocieszająco po plecach.

Matylda pociągnęła teatralnie perkatym nosem.

– To koniec! – wyjęczała. – Rzuciłam Jaśka! – Jej wzrok padł na Beatę, która stała pod drzwiami i przyglądała się całej scenie z wielce poważną miną. – Dzień dobry. Przepraszam, ale właśnie mam kryzys.

– Nie ty jedna, dziecko – westchnęła Beata i ogarnięta nagłą myślą zapytała: – To wy pewnie będziecie się teraz długo pocieszać?

– Tak. Przynajmniej do końca roku – wyszlochała Matylda.

– Doskonale – mruknęła Beata, a potem, patrząc na Ankę, powiedziała głośno i wyraźnie: – Aniu, ty nie spuszczaaj oka z tego biednego dziecka, nie zostawiaj jej dzisiaj samej. – I dodała konspiracyjnym szeptem: – Depresja może zabić.

– Ależ skąd! – wtrąciła się Matylda. – Ja jestem silną kobietą, proszę pani, psychologiem...

Nie było jej dane skończyć.

– Właśnie ludzie, którzy nie widzą własnych problemów, są najbardziej podatni na uderzenia depresji. A potem... odkręcają gaz. Tak, ludzie popełniają samobójstwa z dużo bliższych powodów – powiedziała Beata wyjątkowo sugestywnie i ku świętemu oburzeniu Anki łypnęła okiem na Matyldę.

Ta wyraźnie zbladła.

– Że też o tym nie pomyślałam. Ja, psycholog – wyjąkała słabo i usiadła na podłodze. – Naprawdę czuję się gorzej. Ja się zabiję!!! – rozhisteryzowała się nagle.

– O, widzisz, moje dziecko. Nie wolno ci być samej dzisiaj, jeszcze podziękujesz starej kobiecie za życzliwość – oświadczyła Beata z widocznym zadowoleniem. Jakby to, że depresja może zabić, sprzyjało jej planom.

– Wody – jęczała Matylda.

– Panie Wiktorze, wody – zawołała Beata w stronę kuchni niemalże beztrąsko i ze zdziwieniem odkryła, że Anka macha do niej za plecami przyjaciółki. Ale było już za późno. Matylda zamarła w pół spazmu. Potem odwróciła się powoli.

A zza kuchennych drzwi wyłonił się Wiktor, trzymając w ręku szklankę wody. Uśmiechał się uprzejmie.

Matylda przełknęła ślinę, podniosła się i machinalnie wzięła szklankę, a kiedy mężczyzna zniknął z powrotem w kuchni, odstawiła ją nietkniętą na stojące pod ścianą nierozpakowane pudło.

– Już mi lepiej – powiedziała słabym głosem. Chociaż wyglądała, jakby było jej gorzej.

– Naprawdę? – zdumiała się Beata.

– Tak – potwierdziła. Spojrzała na stropioną Ankę i zdecydowanie oświadczyła: – Idziemy do klubu potańczyć!

– Ale... jak to? – Anka wpatrywała się w przyjaciółkę. – Jeszcze nie ma ósmej! Rano!

– Dobra – zreflektowała się Matylda. – To najpierw pojedziemy do mnie na śniadanie, a potem do klubu potańczyć. Nie sprzeciwiaj mi się. Mam atak... atak klaustrofobii! – wypaliła. – I depresję! A depresja może zabić. – Pokiwała poważnie głową. Po chwili spojrzała na zadowoloną nie wiedzieć czemu matkę przyjaciółki i zapytała błagalnym tonem: – Ma pani samochód?

– Tak! – Beata wyglądała, jakby wielki ciężar spadł jej z serca. – Ja was zabiorę!

Natychmiast!

Anka patrzyła to na jedną, to na drugą, nic nie rozumiejąc, a potem wzruszyła ramionami. Bez słowa sprzeciwu włożyła płaszcz. Wychodząc, odwróciła się jeszcze i napotkała wyjątkowo niepokojące spojrzenie czekoladowych oczu.

ROZDZIAŁ 56

W samochodzie Matylda nie przestawała mówić. O szkole, o feralnym weselu i o Jaśku, który okazał się totalnym maminsynkiem. „Ja wiem, że wszyscy mi mówili, ale miłość jest ślepa i...”

Anka wyłączyła się. Patrzyła na puste w szary niedzielny poranek ulice, czując piasek pod powiekami. Zastanawiała się, czy kiedy wróci do domu, Wiktor nadal tam będzie. Czy zniknie jak dziwny sen, pozostawiając po sobie pustkę i... wyremontowane mieszkanie?

– Słyszysz, Anka? – Z zamyślenia wyrwał ją piskliwy głos Matyldy.

Spojrzała na przyjaciółkę i przyszło jej do głowy, że ta nie tylko w ogóle nie spała, ale do tego musiała wypić przynajmniej cztery razy tyle co ona w wannie. I to po góralsku. Matylda, niezrażona, a wręcz zachęcona milczeniem, trajkotała dalej: – I wtedy to się dopiero dowiedziałam! Jasiek powiedział, że jego ojciec uważa, choć tak naprawdę, to jest opinia jego matki, ale ona nigdy nic w oczy nie powie, taka hipokrytka, nie mówiąc o jego babce, ta to jest taka...

– Ale co uważa? – weszła jej Anka w słowo.

– Oni zgodnie twierdzą, że za bardzo rzucam się w oczy jak na żonę dla górala z dobrej rodziny! – wypaliła przyjaciółka.

– Co? Tak ci Jasiek powiedział!?

– No – pokiwała głową Matylda i nagle jej złość ustąpiła zadumie. – Ludzie to są powierzchowni, nie? Tyle się nagadali, że wartości chrześcijańskie, że moralność, że poszanowanie tradycji, że sumienność, że pracowitość, a teraz mi wypominają, że nie jestem w odpowiednim kolorze.

Czy to ma sens? – zapytała, patrząc na przyjaciółkę wielkimi czarnymi oczyma.

– Oczywiście, że nie ma – zaprzeczyła, czy raczej potwierdziła, Anka. – Ale na twoim miejscu porozmawiałabym jeszcze z Jaśkiem.

– Nie! – Matylda potrząsnęła stanowczo głową. – Dla mnie ten temat jest definitywnie skończony. Niektórzy mężczyźni najwyraźniej nigdy nie będą gotowi puścić maminej spódnicy.

Anka spojrzała na matkę. Beata nie brała udziału w rozmowie. Prowadziła samochód jakby nieobecna, pochłonięta własnymi myślami. Kiedy podjechała pod wskazany adres, wpatrywała się długo w lusterko wsteczne, a gdy Anka pomogła już wygramolić się Matyldzie z samochodu i nachyliła się, by się pożegnać, przykazała córce bardzo poważnym tonem nie odstępować przyjaciółki ani na krok.

– To sprawa życia i śmierci – powiedziała zaskakująco. I ku zdumieniu Anki nie uśmiechnęła się.

Dziewczyna patrzyła na odjeżdżający samochód z głębokim niepokojem.

– Wiesz, martwię się o nią – powiedziała nagle do Matyldy, nie zwracając uwagi na to, że przyjaciółka gwałtownie poszarzała na twarzy. – Jakaś dziwna jest ostatnio. Ty wiesz, że ona na jakąś terapię się zapisała?

Matylda usiadła na krawężniku i zaczęła medytować.

– Co się dziwisz – wymruczała. – Pewnie też ma swoje problemy. Pomyśl: musiała znosić twoje fanaberie wieku dojrzewania, to może ty powinnaś być bardziej wyrozumiała dla niej teraz. Menopauza nie należy do najłatwiejszych etapów w życiu.

– Od kiedy to jesteś taka tolerancyjna w stosunku do mojej matki? – zdumiała się Anka.

– Matka to matka – westchnęła ciężko przyjaciółka, próbując się podnieść. – Kochająca, przewidywalna, zawsze pomocna, na wyciągnięcie ręki.

Jak masz zły dzień, gotuje twoje ulubione dania, sprząta... Doceń, co masz, bo jak ci jej zabraknie... – Wzruszyła się po pijacku i z jej oczu puściły się łzy. – Ja nawet nie pamiętam, jak to jest mieć matkę... Ale dość łez! – powiedziała, opanowując drżenie głosu. I nawet udało się jej wstać. – Nie uznaję emocjonalnych bzdur. Teraz wytłumacz mi, dlaczego zatrudniłeś tego malarza. Nie, czekaj! – Chwyciła Ankę za rękę i wytrzeszczyła oczy. – Najpierw... muszę się położyć. Natychmiast. Inaczej będzie źle... – To powiedziawszy, zatoczyła się nagle i zwymiotowała za krzaczek.

ROZDZIAŁ 57

Beata zatrzymała się tuż za zakrętem i poczekała, aż dziewczyny znikną w budynku. Potem szybko wyciągnęła telefon.

– Danuta, ktoś mnie śledzi – wyrzuciła z siebie gorączkowo, zacinającym się co chwilę ze zdenerwowania głosem. – Chociaż właściwie nie mnie, tylko Anię. Odwiozłam ją do Matyldy. Jakiś samochód jechał za nami spod jej kamienicy.

– Wiktor?

– Nie. Wiktor został w domu. Ten ktoś obserwuje teraz blok Matyldy z samochodu. Tak jak my to zawsze robimy. W dodatku... – zagryzła wargi – jeśli Wiktor znał adres Edzia, to już wie, że ja też go znam...

Przez chwilę panowała cisza.

– To ostatni moment na zrobienie z Marka bohatera. Jeśli mamy działać według planu, musimy być pewne, że Ania jest bezpieczna. Trzeba sprawdzić ten podejrzany samochód.

– Niby jak? Zapytać kierowcę, dlaczego tam stoi?

Znowu cisza. Beata była pewna, że Danka wypuszcza właśnie kłęby dymu do słuchawki. Na szczęście trujące opary do niej nie docierały.

– A masz ubezpieczenie? – usłyszała w odpowiedzi.

Beata zmarszczyła czoło.

– No pewnie, że mam – powiedziała powoli, zastanawiając się, dokąd ta rozmowa ją zaprowadzi. – Bez ubezpieczenia nie wsiadłabym do samochodu.

– To może pora, żeby choć raz z niego skorzystać... – Danuta zawiesiła głos, a potem dodała przekonująco: – Nie żal ci? Całe życie płacisz...

Beata wyłączyła telefon i zamknęła oczy. Czowała przyływ paniki. Brak kontroli. Zupełnie jak kiedyś przed egzaminami. Albo kiedy skomplikował się poród i Ania urodziła się sina i bez oddechu. Albo kiedy kilka lat temu, dzięki szowinistycznemu ginekologowi, dotarło do niej, że życie wymyka się jej z rąk jak mokry talerz, a ona nic nie może na to poradzić. Histerektomia... śmiechu warte. Czym jest kobieta bez macicy, ktoś ma jakiś pomysł? Ale dała sobie wyciąć. Dla dzieci. Pod powiekami zaczęły przesuwają się jej zdjęcia, które niedawno oglądała, obrazy z przeszłości, dzieci, pierwsze słowa, pierwsze kroki, pierwsze majtki...

Kiedy otworzyła oczy, nie było już łez. Nie było żalu za przeszłością, strachu, że ziarenka piasku w klepsydrze życia przesypują się zbyt szybko. Było tu i teraz. I samochód, który stał zaparkowany pod blokiem. A w samochodzie mężczyzna być może zagrażający jej dziecku. I ona, niewidzialna kobieta menopauzalna, zaraz ujawni się w wielkim stylu. To będzie jej *comeback*, wielki powrót do życia. Póki jest do czego wracać.

Mocno ścisnęła kierownicę, pochyliła się, a potem zapaliła silnik. Włączyła się ostrożnie do ruchu tylko i wyłącznie po to, żeby w pięknym stylu wbić się w bok czerwonego mercedesa.

Kiedy uszkodzone samochody zostały już wciągnięte na lawety, a Beata wytłumaczyła

starszemu policjantowi patrzącemu na nią z rozdziawionymi ustami, że zaatakowała ją nagła migrena i musiała momentalnie opuścić głowę, że to taki atak menopauzalny i on przecież musi ją zrozumieć, zobaczyła samochód Danuty, który zatrzymał się po drugiej stronie ulicy.

Rozejrzała się dokoła, ale i tak nie miała już nic więcej do roboty. Podeszła zatem do auta przyjaciółki i po chwili bębnienia palcami w dach, wsiadła.

– Trzydzieści lat stłuczki nie miałam – wycedziła na powitanie, patrząc bardzo wymownie na Danutę, która w swoich wielkich czarnych okularach przeciwsłonecznych i z papierosem w ustach wydała jej się podobna do ogromnego czarnego żuka z papierosem w otworze gębowym. Od razu poczuła się lepiej. – To wszystko przez ciebie!

Danuta wyciągnęła z ust ledwie nadpalonego papierosa i wyrzuciła go przez okno. W końcu dzielnie walczyła z nałogiem. Zapaliła silnik.

– No wiesz? A niby dlaczego? Kto ci kazał od razu wjeżdżać w mercedesa? Trzeba było najpierw sprawdzić, kto w nim siedzi, prawda? Ja ci podałam ostateczną opcję, moja droga – powiedziała i włączyła się do ruchu. – Zaraziłaś się od Jadwigi manią prześladowczą. Może zapiszesz się do Krystyny na terapię? Tanio bierze.

– Krystyna jest na urlopie – przypomniała Jadwiga. Leżała na tylnym siedzeniu jak na kanapie, nie dając się zniewolić pasom bezpieczeństwa, w których zresztą nigdy nie czuła się bezpiecznie. Kwestia zaufania. Jak go nie masz, to nie masz. Lepiej pozostać wolnym.

Beata odpuściła.

– Co za porażka – westchnęła. – Ale z drugiej strony, co za kretyn z tego Jaśka, żeby jeździć za Matyldą, zamiast z nią porozmawiać jak mężczyzna z... kobietą. Dobrze, że go zostawiła. Choćby dlatego, że Ania ma co robić do wieczora. Los nam sprzyja, prawda? – powiedziała zadowolona, ale potem mina jej zrzedła. – Wiecie co, boję się, że Ania mogła się w coś wpakować! – jęknęła.

Danuta zatrzymała się na czerwonym świetle i machinalnie zapaliła kolejnego papierosa.

– Dlaczego?

– Odniosłam wrażenie, że nie tylko Wiktor na kogoś czeka. Wyglądało na to, że oboje na coś oczekują, że jest pomiędzy nimi jakieś ciche porozumienie... Kiedy pierwszy raz u niej byłam, miałam podobne skojarzenie, tylko że wtedy nie zwróciłam na to uwagi.

– Niedobrze – mruknięła Danuta, strzepując popiół za okno. – Niejedna głupiej dla faceta. A ten Wiktor... jakieś ciekawe obserwacje?

– No właśnie! Wydaje mi się, że doskonale wie, jak zmanipulować kobietę. Mam wrażenie, że wszystko może ci wmówić – opowiadała Beata, usprawiedliwiając w razie czego udział córki w czymkolwiek, co mogłoby choć z daleka uchodzić za nielegalne. – Zauważyłam, że Ania ma do niego słabość. Starłam się czegoś dowiedzieć, kiedy na nią czekałam...

– I czego się dowiedziałas?

– Niesamowitej rzeczy... Wiecie, ja potrafię być hipokrytką!

– Nie mów! Naprawdę? – parsknęła ironicznie Jadwiga z tylnego siedzenia.

Beata nie dostrzegła ironii.

– Też mnie to zdumiało. Kiedy rano otworzył mi ten Wiktor, od razu chciałam go zabić, zanurzyć kuchenny nóż w jego kłacie, ale... uśmiechnęłam się. Wyobrażacie sobie? A potem z pełną świadomością, że chcę, żeby zniknął z powierzchni ziemi, i życzę mu rychłej śmierci, a przynajmniej jakiejś strasznej choroby... najlepiej trądu, żeby mu wszystkie członki po kolei odpadły, począwszy od najważniejszego, uprzejmie z nim konwersowałam, czekając, aż Ania się obudzi. I ani raz się na niego nie rzuciłam! I jeszcze mu stare zdjęcia pokazywałam, żeby zabić czas. Pomyślałam, że trzeba najpierw zabić czas, żeby czas nie zabił ciebie... Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że potrafię być taką zimną dwulicową suką. Tak jakbym to nie była ja,

tylko moje gorsze *alter ego*.

– Nie gorsze, tylko lepsze, bardziej wysublimowane *alter ego*, moja droga – poprawiła ją Jadwiga. – Do wszystkiego trzeba dojrzeć. Niektóre maski zdobywa się z wiekiem, jak harcerskie sprawności.

– Tak, bo każda kobieta ma wiele twarzy – uśmiechnęła się wyjątkowo zadowolona Danuta, a Beata, przypatrując się jej intensywnie, gorliwie przytaknęła.

ROZDZIAŁ 58

Przed kamienicą Anki znalazły się tuż przed południem. Beata, dotychczas przepelniona i wręcz napuchnięta żądzą krwi, nagle zmalęła, skurczyła się, a jej obcisły płaszcz zrobił się za obszerny.

Spojrzała nerwowo na Danutę, a potem na Jadwigę.

– A co, jeśli natkniemy się na Wiktora? – zapytała, skubiąc guzik.

– Co ma być? Z jednym facetem sobie nie poradzimy? – rzuciła z mocą Jadwiga, najwyraźniej ożywiona perspektywą kolejnych tortur. W końcu nic tak nie poprawia nastroju jak odrobina ulubionego sportu.

– Ale on jest na pewno bardzo silny. Jest szczupły, ale umięśniony, rano miałam okazję mu się dokładnie przyjrzeć – upierała się Beata.

– No, ciało to faktycznie ma niezłe... – zamruczała Jadwiga jak kot na wspomnienie miseczki mleczka.

Danuta rzuciła jej potępiające spojrzenie.

– Oj, Jadwiga, w twoim wieku takie rozrywki mogą cię zabić.

– Nie miałabym nic przeciwko, żeby takie ciało mnie zabiło – wymruczała bezwstydnie Jadwiga, ale potem przywołała się do porządku. – Im bardziej napompowany, tym cienie kwili, znam ja takich. Zresztą przypomnij sobie Edzia...

Na myśl o Edziu Beata wcale nie poczuła się lepiej. Wręcz przeciwnie.

Gdyby kilka dni temu ktoś jej powiedział, że będzie uczestniczyć w depilowaniu faceta w celach wywiadowczych, sama oddałaby się w ręce odpowiednich służb i kazałaby sobie kaftan założyć. Dla własnego bezpieczeństwa.

– On mnie już zna... A jeśli zauważy, że pukam do drzwi obok, szukając policjanta?

Jadwiga z Danutą spojrzały po sobie, dostrzegając w obawach Beaty odrobinę racji.

– Może i fakt. Nie ma co go prowokować. – Danuta zagryzła wargi i odruchowo zerknęła w okno mieszkania Anki.

– W sumie... po co ma nas sprzątnąć na korytarzu – dodała swoje Jadwiga. – Wie, że mogliśmy rozmawiać z Edziem. Wie, że coś wiemy, ale nie wie co... kręci się w kółko... zastanawia się, co zrobić... – Cmoknęła z zadowoleniem. Nie ma to jak dobra zabawa w podchody z podejrzanym. – Dobra – zdecydowała nagle. – Robimy tak: ja wejść pierwsza i zapukam do drzwi Ani. Jeśli Wiktor jest w mieszkaniu, zajmę go czymś na chwilę, żebyście mogły szybko porozumieć się z Markiem. Jeśli go nie ma, to po kłopotcie.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem, że będzie miała okazję przyjrzeć się z bliska atutom Wiktora, pomachała do pana Mariana zajętego porannopopołudniową toaletą, polegającą na płukaniu zębów płynem i wypluwaniem go z powrotem do butelki, a potem założyła na głowę swoją apaszkę (w celu zmylenia przeciwnika) i żwawym krokiem weszła do budynku. Za nią niczym podwójny cień podążyły jej koleżanki.

Przed drzwiami mieszkania Anki Jadwiga wychyliła się jeszcze zza barierki, żeby

upewnić się, czy Danuta z Beatą stoją przygotowane na stanowiskach. Stały.

Zapukała.

Przez chwilę nikt nie otwierał, ale potem usłyszała cichy szmer. Tak cichy, że gdyby nie jej wyczulone ucho, mogłaby nie zwrócić na niego uwagi.

Ktoś spojrział na nią przez wizjer. Zrobiła zbolaną minę.

– Pani Aniu! – Zastukała jeszcze raz. – Jest pani tam?

Dopiero wtedy drzwi uchyliły się. Napotkała czujny wzrok Wiktora. Kiedy przypatrywał się jej uważnie, jakby próbując skojarzyć, skąd zna jej twarz, zamarła. Nagle uświadomiła sobie, że może ją pamiętać z baru. Machinalnie zaczęła sapać. I wydymać policzki.

Zobojętniał. Najwyraźniej sobie nie przypominał.

– Słucham panią?

– Jest pani Ania? – zapytała, ledwie mogąc mówić. Przez problemy z oddychaniem.

– Nie ma – odpowiedział. – Jestem tylko malarzem...

– Naprawdę? – wydyszała i uśmiechnęła się, pokazując przednie zęby niczym królik. –

Czy mógłby pan poczęstować mnie szklanką wody? Jestem pewna, że pani Ania nie miałaby nic przeciwko. Pomogła mi ostatnio, bo ja mieszkam na ostatnim piętrze i mam problem z dojściem na górę.

Czasami brakuje mi sił. Artretyzm, wie pan? Starość się panu Bogu nie udała...

– Proszę wejść – powiedział Wiktor i jeszcze raz rozglądając się uważnie po klatce schodowej, zniknął w środku.

Weszła za nim i zamknęła dokładnie drzwi.

– Zaraz przyniosę wodę – powiedział. Zawahał się i dodał: – A może chce pani na chwilę usiąść?

Spojrzała na niego z wdzięcznością i jeszcze mocniej związała chustkę.

– Ależ pan miły. Bardzo chętnie.

– To proszę za mną, do kuchni. – Wskazał kierunek i ruszył przodem.

Utykając nieco, poszła za nim. Przy okazji rozejrzała się uważnie dokoła, ale niczego podejrzanego nie zauważyła. Wszystko wyglądało bardzo niewinnie.

– Od dawna jest pan malarzem? – zapytała i syknęła, jakby dostała skurczu w prawej nodze. Z wdzięcznością dała się posadzić na krześle. A potem odsłoniła w uśmiechu zęby.

– Parę lat – mruknął i podał jej szklankę wody. Upiła łyk.

– Wie pan – postanowiła wytłumaczyć swoją ciekawość – ja też myślę o remoncie.

Szukam dobrego fachowca, a pani Ania na pewno da panu najlepsze referencje...

– Niestety, terminy mam zajęte na pół roku do przodu – uśmiechnął się z ubolewaniem Wiktor i odwrócił się do niej plecami.

Pokazała mu język, a potem przyglądając się jego umięśnionym ramionom, powiedziała z prawdziwym żalem:

– Jaka szkoda... Aha, ale mam pytanie... – zawiesiła głos. – Do krzyżówki. Wie pan, bo ja kocham krzyżówki. To takie zajęcie, dzięki któremu zapominam o chorobach...

Znieruchomiał.

A ona jednym haustem wypiła wodę i zapytała z wyjątkowo sadystycznym uśmiechem:

– Może pan wie, jak nazywa się taki duży przyrząd do wiercenia w ścianie dziur?

ROZDZIAŁ 59

Drzwi do mieszkania pani Gieni uchyliły się nieco i pojawił się w nich Marek. Spojrzał

nieprzytomnie na dwie nerwowe kobiety, a potem uśmiechnął się, kryjąc ziewnięcie.

– Dzień dobry, paniom. Bardzo przepraszam, ale miałem nocną zmianę i jeszcze spałem...
– usprawiedliwiał się. – A panie do... babci?

– Właściwie to do pana – wyszeptała Beata. – Tylko nie chcieliśmy obudzić.

– Nic się nie stało – przetarł oczy. – To znaczy, czy coś się stało?

Beata nie odpowiedziała, tylko pozwoliła, by jej ciałem wstrząsnął potężny dreszcz, a w oczach zaszklily się łzy. Zerknęła na drzwi obok.

– Czy mógłbym w czymś pomóc? – zapytał mocno już zdziwiony Marek.

– Nie. Pan jest taki zajęty, przecież ma pan chorą babcię i zmiany, i w ogóle...

– Ależ mógłby pan – weszła jej w słowo Danuta. Beata teatralnym gestem zakryła sobie oczy. – Widzi pan, moja koleżanka bardzo martwi się o Anię.

– Dla Ani wszystko – powiedział z mocą Marek i wpatrzył się z niepokojem w Beatę.

Ta najpierw zaszlochała przekonująco, potem złapała się za serce, a na końcu na wszelki wypadek spojrzała jeszcze uważnie na drzwi mieszkania Anki.

– To ten malarz... – przerwała i nie była w stanie już nic więcej powiedzieć. Ze zmartwienia.

– Wiktor?

– Właśnie – wspomogła załamaną przyjaciółkę Danuta. – On nam się nie podoba. Chyba nie jest malarzem – wyszeptała uroczyście.

Marek patrzył to na jedną, to na drugą kobietę.

– A kim jest?

Beata znowu zaczęła szlochać, a Danuta westchnęła ciężko.

– Tego nie wiemy. Wczoraj, sam pan widział, wynajął ludzi, żeby remontowali mieszkanie za niego. Ania o tym nie wie... I tak myślimy sobie, proszę pana, po co prawdziwy malarz miałby płacić komuś za remont mieszkania, do którego sam został wynajęty? I jeszcze... Ja nie powinnam tego mówić, ale mój znajomy pracuje w... komunikacji i sprawdził nam numery furgonetki malarza, bo... Beata chciała jego adres, żeby... referencje sprawdzić, ale nie ma takich numerów. Chodzi o to, że Ania jest bardzo łatwowierna... – opowiadała cicho, klepiąc przyjaciółkę po ramieniu. – My nie jesteśmy w stanie jej chronić, wie pan, jesteśmy tylko starszymi paniami...

Pobłażliwy uśmiech Marka zniknął. Teraz na jego twarzy można było zobaczyć niedowierzanie.

– Naprawdę? Facet ma fałszywe numery rejestracyjne? – Zmarszczka na jego czole robiła się coraz głębsza. Spoważniał. – Bardzo dziękuję, że panie z tym do mnie przyszły. Ja to wszystko sprawdzę. Proszę się niczym nie przejmować.

– My w pana wierzymy. Tylko proszę nie mówić Ani, że to ja... Widzi pan... relacja matkacórka jest niezwykle skomplikowana. – Beata zacisnęła usta i spojrzała na Marka wyczekująco.

Policjant uśmiechnął się do niej, jakby byli współnikami.

– Zaraz się wszystkim zajmę i proszę się niczym nie przejmować. Potrafię milczeć jak grób. – To powiedziawszy, zniknął za drzwiami mieszkania.

Kobiety wymieniły zadowolone uśmiechy, ale nie miały czasu na nic więcej, bo z mieszkania Anki dobiegły je nagle podniesione głosy. Szybko zbiegły po schodach, a potem zaniepokojone zerknęły do góry.

Drzwi właśnie się otwierały i na korytarzu pojawiła się Jadwiga, uśmiechając się boleściwie i myślałby kto, utykając na dwie nogi! Na raz!

– Jeszcze raz dziękuję! – krzyczała do otwartych drzwi. – Uratował mi pan życie!

– Nie ma za co – mruknął ponury głos.
– Co pan mówi!? Nie słyszę, bo właśnie bateria w aparacie mi się wyładowała! – huknęła Jadwiga i chwyciła się za ucho.
– Do widzenia – usłyszały jeszcze, po czym drzwi zamknęły się z cichym zgrzytem.
Dopiero wtedy Jadwiga starła z twarzy babciny uśmiech, jej kulawość cudownie zniknęła, a ona po dwa stopnie zbiegła po schodach na dół.
– Wszystko w porządku? – zapytała Danuta, wyciągając papierosa.
– Też pytanie! Trzeba było widzieć jego minę, jak mu podałam definicję wiertarki i poprosiłam o odpowiedź – zachichotała, ściągając z głowy chustkę. – A u was?
– Doskonale! – westchnęła z zachwytem Beata. – Marek ma naturalne predyspozycje, żeby zostać naszym bohaterem, to znaczy bohaterem Ani.
Jadwiga klepnęła ją mocno w ramię.
– No to mamy wolne popołudnie. Beatko, możesz wreszcie zająć się niedzielnym obiadem.

ROZDZIAŁ 60

Ankę obudziło przeraźliwe zimno. Powoli zwlokła się z kanapy, na której położyła się rano tylko na chwilę, żeby poczekać, aż Matylda dojdzie do siebie, i odpocząć, a ocknęła się zupełnie rozbita i to w dodatku późnym popołudniem. Połamana i zła, że straciła poczucie czasu, poszła do łazienki. Kiedy wyszła, przestraszył ją krzyk poruszonej emocjonalnie Matyldy.

Przyjaciółka stała w przedpokoju wyraźnie wzburzona i przyglądała się Ance ze zgrozą.
– Czyś ty zwariowała!? Jak mogłaś!
Anka zagryzła wargi.
„Ja jestem rozbita, a ona rozpita”, pomyślała, śmiejąc się w duchu, a potem odpowiedziała z całkowitą powagą:

– Przepraszam, nie wiedziałam, że korzystanie z twojej toalety jest zabronione... Ale przecież splukałam...

– Przestań! Dlaczego zatrudniłaś tego Wiktora!? Zwróciłaś uwagę na jego oczy!? Takie zimne!? To ktoś, kto nie ma żadnych skrupułów! Pamiętaj, że jestem psychologiem, znam się na ludziach! Przecież on wygląda na seryjnego! – wyrzuciła z siebie Matylda.

Anka spojrzała na nią ze zdumieniem i otrząsnęła się.
– Najwyżej podrywacza – mruknęła coraz mniej zadowolona z przebiegu całej konwersacji.

– Też! – gorączkowała się Matylda. – Dlaczego go zatrudniłaś!?
– Zaproponował mi naprawdę dobry układ – starała się wytłumaczyć.
Matylda nie dała jej żadnych szans.

– Jaki? – prychnęła, oszołomiona najwyraźniej naiwnością przyjaciółki.
– Oświadczył ci się?

– Przestań! Nigdy bym się z nim nie umówiła... – jęknęła Anka, nie wierząc do końca w swoje słowa.

– Taaak – odpowiedziała nieprzekonana Matylda. – To dlaczego go zatrudniłaś? Tylko mi nie mów, że ci za darmo mieszkanie remontuje!

Anka nie odezwała się. Na twarzy miała wypisaną odpowiedź. Matylda spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Rany boskie! – zagrzmiała, a niedowierzanie w jej oczach zamieniło się w prawdziwe

przeżalenie. – Ty powinnaś natychmiast wprowadzić się z powrotem do matki. Ty roku nie przetrwasz z tą swoją naiwnością. Nie jesteś gotowa na samodzielność. Świat jest brutalny, wiesz? – zapytała wstrętne. A potem zadzwonił jej telefon, który jak się okazało, trzymała w ręce. Nie patrząc nawet na identyfikator rozmówcy, odrzuciła połączenie i z rezygnacją powiedziała: – Chodź, zaparzę kawę, a ty mi wszystko opowiesz...

Matylda po wysłuchaniu całej historii, przerywanej co chwilę przez dzwoniący telefon, którego nie odbierała, oświadczyła bezlitośnie:

– Głupia jesteś. Słyszałaś kiedyś, żeby policja, nawet ta najbardziej tajna, rozjeżdżała niewinnych ludzi i napadała na nich w ciemnych uliczkach? I... i wciągała do męskich toalet? Żaden policjant nie narazi na bezpośrednie zagrożenie przeciętnego obywatela... – Posłodziła kawę i podniosła filiżankę do ust.

Anka zeszywniała. W jej głowie zaczęły przesuwac się obrazy. Pierwsze spojrzenie czekoladowych oczu, pogoń wyludnionymi uliczkami Krakowa, wróżka... Wróżka...!

– Wróżka... ona mi powiedziała, żebym strzegła się mężczyzny, który udaje kogoś innego – przypomniała sobie nagle. Akurat teraz. Nie mogło się jej przypomnieć wcześniej?

Matylda pokiwała powątpiewająco głową, a jej telefon znowu zaczął dzwonić. Odrzuciła połączenie i jakby nigdy nic mówiła dalej:

– Wróżka i tak już więcej nie powie, bo nie ma prądu. Ale zajmijmy się faktami. Widziałas jego odznakę? Rozmawiałaś z kimś, kto mógłby potwierdzić jego tożsamość?

– No nie, żaden mundurowy się tam nie pojawił, ale... naprawdę odniosłam wrażenie, że...

– Wrażenie!? – przyjaciółka krzyknęła głośniej, niż zamierzała. – Wpuściłaś do mieszkania nieznanego mężczyznę, który najpierw chciał cię rozjechać, potem porwać, a w końcu zdołał cię przekonać, że jest policjantem i ma tajną misję do wykonania. W sumie... – zamyśliła się, gryząc wargi – może on faktycznie na kogoś czeka? Bo, masz rację, tak to wygląda... hmmm... O! – wykrzyknęła w prawdziwie kreatywnej ekstazie. – A jak się zjawi ten ktoś, to ciebie... ciebie do piachu! Żeby pozbyć się świadków – zachichotała nerwowo.

– Ale co ty mówisz... – Anka przełknęła ślinę. – Przecież... Czy te czekoladowe oczy mogły kłamać? Czy ten uśmiech mógł ją zwieść na manowce?

– To niemożliwe! – oświadczyła niemal histerycznie.

Matylda w spokoju dołała sobie kawy. I znowu odrzuciła połączenie.

– Zastanów się tylko – powiedziała półgłosem i rozejrzała się dokoła, czy czasem ktoś nie podsłuchuje. – Nie masz żadnej podstawy, żeby wierzyć, że ten mężczyzna jest policjantem. Nic dziwnego, że żądał od ciebie aż tak daleko posuniętej dyskrecji. Jedyne co dziwi, to tylko i wyłącznie twój totalny brak rozumu.

– Ale ja widziałam broń! – próbowała bronić się jeszcze Anka.

Matylda tego nie skomentowała, tylko spojrzała na nią znacząco. Tak jak zwykle patrzyła na cekinowe majtki.

Anka zadrzała. Ze zgrozy, że Wiola w białych kozaczkach nie tylko biust ma większy, ale także IQ.

– Ale podsłuch... – zaczęła. Wbiła sobie tym tylko kolejny gwóźdź do trumny.

– Kobieto! Kto zakłada podsłuchy w mieszkaniach? Gangsterzy!? – Matylda nie dawała się przekonać, na wszystko znajdowała kontrargument. I to logiczny. – Przecież to raczej domena policji. Jakaś ty naiwna. Myślę, że największym problemem był dla niego fakt, że tuż obok mieszka babcia policjanta. Postanowił cię zbałamucić i kupić sobie w ten sposób trochę czasu od ciebie.

– Mnie nikt nie kupił – zaprotestowała Anka, ale Matylda w ogóle jej nie słuchała.

– I to jak tanio – zachichotała. – Złapał cię na darmowy remont!

– Wiktor nie mógłby zrobić mi krzywdy – jęknęła żałośnie Anka.
Przyjaciółka spojrzała na nią podejrzliwie, a na jej twarzy rozkwitł triumfujący uśmiešek.

– Aha, uwiódł cię...

– Skąd! To nie o to chodzi! Tylko... on by nie mógł...

Ponuro wpatrzyła się w zachodzące słońce.

„A jeśli Matylda ma rację? Jeśli rzeczywiście Wiktor jest wyrachowanym zimnym draniem, który miał cel w tym, by udawać kogoś innego?” Zagryzła wargi. „Ale... przecież...” Stanowczo nie chciało jej się wierzyć, że facet, który pociągał ją w tak niesamowity sposób, mógłby okazać się kimś zupełnie innym. „Miss mokrego podkoszulka... – przypomniało się jej. – Pewnie by mnie przeleciał, gdyby musiał. I to z przyjemnością. Żałosne”.

Westchnęła ciężko.

Znowu dźwięk telefonu. Matylda zacisnęła zęby i po raz setny odrzuciła połączenie.

Anka nie wytrzymała.

– Kto dzwoni? – zapytała.

– Jasiek – westchnęła przyjaciółka. – Głupi Jasiek, myśli, że jeszcze może mnie przebłagać. Wczoraj mógł. Nic nie ma na zawsze. Jego czas się skończył. – A potem, najwyraźniej chcąc ukryć łzy, które zupełnie nie pasowały do jej wizerunku zawsze emocjonalnie stabilnej, przynajmniej aż po łożę porodowe, kobiety, wstała. – Idę zrobić coś z moimi kudłami – mruknęła, dotykając wyjątkowo sterczącego afro. Chciała szybko wyjść do łazienki, ale nie zdążyła. W głowie Anki doszło bowiem do zderzenia różnych obrazów i skojarzeń i jedyne, na czym była w stanie się skupić, to członek muzycznego Gangu Wioli powtarzający w zwolnionym tempie nad pisuarem: „Kudłaty Edzio, Bodzio, Kudłaty Edzio, Bodzio...”

– Kudłaty Edzio zna kumpla Wiktora, Bodzia! Jedziemy do klubu! Natychmiast!

ROZDZIAŁ 61

Pierwsze, co zauważyły po wejściu na salę, to niedający się nie zauważyć brak Wiolali.

– Pewnie jej majtki na szwie puściły i znowu trafiła do chirurga plastycznego – mruknęła złośliwie Matylda, a potem wskazała na przeciskającego się przez tłum Fryderyka. – Czy mi się wydaje, czy on jest ubrany w cekinowe gacie?

Był.

Pomimo miazdzącej krytyki w spojrzeniach koleżanek uśmiechnął się.

Miał rumieńce na zwykle bladej twarzy i podbite oko, którego nijak nie mógł ukryć.

– Co ci się stało!? – wykrzyknęła zszokowana Anka.

– Co to za gacie? – wykrzyknęła równocześnie Matylda, machinalnie odrzucając połączenie Jaśka.

Fryderyk machnął ręką, choć ewidentnie widać było ból na jego delikatnej twarzy.

– To nie żadne gacie, tylko getry – oświadczył z wyższością kogoś, kto wie lepiej. Nawet jeśli mu się tylko wydaje.

– A oko!?

– Uderzyłem się drzwiami – wytłumaczył i wzruszył obojętnie ramionami, jakby średnio raz w tygodniu wpadał na drzwi. Nie zdradzając więcej żadnych szczegółów, dodał: – Zresztą to nieistotne. Mam ważniejsze wieści... ja... – Spojrzał na nie z uroczystą powagą i obwieścił wszem i wobec, choć nieco ściszym głosem: – Jestem gejem.

– Naprawdę? – zdumiały się jednocześnie.

Anka, widząc jego minę i nie do końca wiedząc, jak się zachować, zaczęła klepać go po ramieniu.

– To świetnie, dobra robota!

– To ja! Ja cię wyleczyłam z homofobii! – Matylda przypisała sobie bezwstydnie całą zasługę. – Najpierw pomogłam nauczycielce biologii pozbyć się wstrętu do dzieci, potem woźnego wyciągnęłam z nerwicy, a teraz dzięki mnie Fryderyk stał się świadomym swego gejoństwa gejem. Chyba sama sobie gratulacje za dobrą pracę złożę!

– Nieważne! Ja... ja mam teraz inne priorytety. Wiecie, bo... zwolnili ją!

Zwolnili Wiolalę! – wykrzyczał niemalże w ekstazie Fryderyk. – Puściła się z takim jednym i zrobiła nam miejsce!

Anka wymieniła podejrzliwe spojrzenia z Matyldą, która nawet nie patrząc na telefon, odrzuciła kolejne połączenie.

– To znaczy... Komu nam? – zapytała Anka.

Fryderyk spuścił na moment wzrok, ale po chwili uświadomił sobie, że już niczego w życiu się nie boi. Nawet siebie.

– No... pamiętasz tego fotografa, do którego mnie wysłałaś, żebym odwołał ci sesję, bo bałaś się do matki zadzwonić, czemu się w sumie nie dziwię... – Zamilkł na moment pod wpływem jakiegoś wspomnienia.

– Wcale się nie bałam do matki zadzwonić, nie o to chodzi... – zaczęła tłumaczyć się Anka, nie patrząc na Matyldę, ale Fryderyk znowu się ożywił i wszedł jej w słowo.

– Ma na imię Tomek! Tam siedzi – wskazał na mężczyznę rozmawiającego z dwoma facetami, z których jeden okazał się wuefistą pracującym w jej szkole, a drugiego nie знаła. Wszyscy mieli na sobie cekinowe kalesony.

– Aha – zaczęła ostrożnie Anka, zastanawiając się jednak nad tymi kalesonami. – Zaprzyjaźniliście się?

Fryderyk splonął się nagle jak dziewica w piłkarskiej szatni.

– Tak! I to intymnie!!! To była wola boska, przeznaczenie, los! Gdyby nie to, że właśnie wtedy zepsuły się drzwi, pewnie na zakochaniu by się skończyło, a tak mieliśmy całą noc, żeby się poznać. I zostać parą.

– Naprawdę!? I nie przeszkadza ci, że Tomek jest gejem? – upewniła się Matylda.

Fryderyk spojrział na nią spod oka i westchnął radośnie.

– Przestań! I jeszcze okazało się, że mamy wspólną pasję. Muzykę! On śpiewa jak Elton John! Ja gram jak Chopin, tylko z jajem. Postanowiłem więc być spontaniczny i w jedną noc stworzyliśmy kwartet!

– A czy do kwartetu nie trzeba czworga? – zapytała Matylda. Najwyraźniej coś jej nie pasowało.

Fryderyk uśmiechnął się tajemniczo.

– Ale nas jest czterech, droga przyjaciółko. Ja, Tomek, nasz wuefista i jego partner. Będziemy pierwszym gejońskim kwartetem artystycznym! – wykrzyknął, nie będąc w stanie myśleć o niczym innym.

Nagle z głośnika odezwał się głos proszący panów z zespołu o stawienie się na scenie. Fryderyk zapiszczał podekscytowany i popędził w kierunku fortepianu.

Występ Kwartetu Artystycznego okazał się czymś tak szczególnym i niepowtarzalnym, że międzynarodową karierę można mu było wywróżyć nawet bez magicznej kuli. Stanowił antidotum na szarość i monotonię dnia powszedniego. Alternatywę dla girlsbandów i boysbandów. Oferował to, co showbiznes oferować powinien. Czystą, doskonałą rozrywkę w nowym, świeżym wydaniu.

Ale dziewczyny nie miały czasu na przyjemności.

– Idziemy do Edzia – zdecydowała w końcu Anka, odciągając od sceny szalejącą Matyldę.

Ta z niechęcią dała się odciągnąć. Tylko i wyłącznie dlatego, że była dobrą przyjaciółką. A nie dlatego, że chciała Ance udowodnić, że znowu ma rację. Chociaż miała.

Przecisnęły się przez rozbawiony tłum i zniknęły na zapleczu. Wkrótce dźwięki muzyki zostały stłumione przez grube kuchenne drzwi, a przyjaciółki stanęły przed ponurym mężczyzną w białym fartuchu.

– Dobry wieczór. Szukamy... kucharza. Edzia – powiedziała niepewnie Anka.

Mężczyzna spojrział na nie przenikliwie, a potem nagle zaczął ostrzyć noże.

– Panie też siostry? – zapytał niespodziewanie i najzupełniej bez sensu, a na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiešek.

Anka oniemiała, ale Matylda nie była z tych, co to nie znają odpowiedzi na proste pytania.

– Tak, siostry – powiedziała przytomnie. A widząc, że go nie przekonała, dodała z wdziękiem: – Tylko przyrodnie.

– Edek już tu nie pracuje. Zwolnili go – burknął.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Puszczal się z dziewczyną młodego szefa – nie omieszkał z satysfakcją podać im powodu zwolnienia.

Na twarzy Matyldy pojawiła się ekstaza. Popatrzyła na Ankę spojrzeniem znaczącym „Era Wiolali dobiegła końca” i chcąc jak najszybciej podziękować bohaterowi, wykrzyknęła radośnie:

– A gdzie możemy go znaleźć!?

Mężczyzna zawahał się na moment.

– A niech go, frajera – mruknął w końcu. – Droga ku zbawieniu rzeczywiście jest wyboista.

Niespodziewanie przyciągnął do siebie Ankę i nie przejmując się żadnymi protestami, nabazgrał jej na ręce adres Edzia. Fioletowym długopisem.

Anka z wrażenia nie była w stanie wydusić słowa, a kiedy wyszły z kuchni, chwyciła Matyldę za ramię.

– Dziś rano moja matka miała na ręce napisany ten sam adres. Tym samym długopisem – wyszeptła z przejęciem.

– Żartujesz... – Matylda rozdziawiła buzię. Potem obie w milczeniu wpatrywały się przez chwilę w fioletowe gryzmoły.

– Czego ona mogła chcieć od Edzia? Przepisu na sałatkę!?

– Nie pozostaje nam nic innego, tylko zapytać. Edzia. A potem twoją matkę... – oświadczyła przytomnie Matylda i machając jeszcze do szalejącego przy fortepianie Fryderyka, pociągnęła za sobą zupełnie skołowaną Ankę.

Obdarta z tynku kamienica chowała się niepokojąco w mroku, strzegąc swojego wnętrza wielką bramą i jak zauważyły przyjaciółki z narastającym strachem, policyjną taśmą.

– Nie podoba mi się to – wyszeptła Anka, mijając niepewnie nielicznych gapiów. Zatrzymały się z Matyldą tuż przy taśmie. Zebrane towarzystwo dyskutowało o możliwych scenariuszach obecności policji.

– Pewnie bomba. To teraz modne – oświadczyła jakaś paniusia w płaszczu z kołnierzem ze srebrnych lisów.

– Ja słyszałem, że kogoś zabiło, podobno tego kucharza – opowiadał starszy pan. – Ale

nie wiem jak.

– Pewnie spadające sputniki. – Plastikowa blondyna postanowiła popisać się elokwencją.

– Co? – Jakaś babcia złapała ją za rękę i nadstawiła ucha. – Latające nocniki?

Jakkolwiek wszystkie spekulacje mogły okazać się prawdziwe, Ance nie chciało się wierzyć, że Kudłaty Edzio został zabity latającym nocnikiem.

Kiedy zastanawiała się, jak dowiedzieć się prawdy, Matylda postanowiła wykorzystać swój egzotyczny potencjał do celów wywiadowczych.

– Poczekaj – wyszeptala i podeszła do stojącego w pobliżu policjanta.

Funkcjonariusz spojrzął na nią znudzony, ale znudzenie na jego twarzy bardzo szybko zamieniło się w niedowierzanie. Zamknął oczy. Służba nie družba. Fantazjowanie podczas pełnienia obowiązków jest niedozwolone.

Otworzył oczy. Seksowna mulatka dalej tam stała, a w dodatku uśmiechała się radośnie.

– Nie mówię po angielsku – powiedział na wstępie policjant, wpatrując się w śniadą twarz Matyldy.

– Wiem, dlatego ja znam polski. Żeby panu było łatwiej ze mną rozmawiać – zaszczębiotała.

– Niby o czym? – Policjant nadal nie mógł wyjść ze zdumienia.

– O tym, co się stało.

– Ale ja nic nie mogę powiedzieć. To tajemnica. Dla dobra śledztwa, rozumie pani?

Matylda rozejrzała się uważnie, a potem podeszła bliżej.

– Ja pracuję w gazecie – powiedziała, nachylając się ku niemu. I naciągając dekolt.

– Jakiej? – zapytał, również szeptem.

– „Etnonewsy”. Nie chciałby pan być moim anonimowym źródłem? To wielki zaszczyt, wie pan?

Policjant poprawił czapkę i spojrzął z żalem w jej dekolt.

– Ale ja nie mogę...

– Rozumiem – powiedziała Matylda, obracając się bardzo powoli. – W takim razie porozmawiam z którymś z pana kolegów. Jest wielu chętnych, by być anonimowym źródłem. Wybrałam pana, ale cóż...

Mężczyzna spojrzął odruchowo na stojącego parę metrów dalej kolegę.

– W sumie... – zawahał się.

To wystarczyło. Matylda znowu była przy nim.

– Tak? – zapytała szeptem.

– Zabili takiego jednego spod siódemki – mruknął, wpatrując się bez zażenowania w jej dekolt. W końcu sobie zasłużył.

– Żartuje pan!? Kudłatego Edzia? – zapytała nieco głośniej, niż powinna.

Policjant rozejrzał się dookoła, a potem zmarszczył czoło.

– Skąd pani wie?

– Mam jeszcze kilka anonimowych źródeł, tylko gdzie indziej – oświadczyła tajemniczo.

– A kto go zabił?

– Wygląda na to, że mafia. Był kucharzem bossów mafijnych. – Pochylił się nad Matyldą, jakby zdradzał wielki sekret. – Torturowali go.

– Naprawdę? – Dziewczynie zrzęda mina. – A myśli pan, że powiedział, co chcieli wiedzieć?

Policjant przełknął ślinę i spojrzął na nią ze źle ukrywanym przerażeniem.

– Gdyby pani wiedziała, czym go torturowali, nie miałaby pani żadnych wątpliwości...

Matylda pożegnała się grzecznie, obiecując pomocnemu policjantowi wysłać do

komisariatu najnowszy numer „Etnonewsów”, i pociągnęła za sobą zeszytniała Ankę. W milczeniu oddalały się od zgiełku i policyjnych świateł.

– Co teraz? – Matylda zmarszczyła brwi. – Edzio już nam nic nie powie – dodała uroczyście.

Anka zapatrzyła się w szarość wieczoru przecinaną światłami przejeżdżających samochodów.

– Myślisz, że moja matka mogła mieć coś wspólnego z zabójstwem Kudłatego Edzia? – zapytała. Zabrzmiało to tak irracjonalnie, że aż zaśmiała się nerwowo. Echo zwielokrotniło jej śmiech, przekształcając go w diabelski chichot. Dziewczyna zadrżała i przestała się śmiać.

– Na pewno jest na to jakieś wytłumaczenie. – Matylda wzruszyła ramionami. – W końcu ty też masz na ręce adres Edzia, a go nie zabiłaś.

Nawet go nie widziałaś żywego.

– No tak. Tylko że ja miałam powód, żeby go odwiedzić. A moja matka?

Normalna starsza już kobieta, gospodyni domowa. Czasami wydaje ci się, że kogoś znasz...

– Pewnie chodziło o przepis na sałatkę... – zażartowała Matylda, ale Anka pograżona była we własnych myślach.

– Może ktoś ją poprosił o zdobycie tego adresu?

Matylda zatrzymała się gwałtownie.

– Może Wiktor? – powiedziała podekscytowana. – Może ona wcale nie przyszła do ciebie rano? Tylko do niego, żeby mu podać ten adres... Może Wiktor ją szantażuje, że jeśli czegoś nie zrobi, to on cię zabije!

– Jadę do domu – zdecydowała nagle Anka, drżąca i blada z niepokoju.

– Muszę porozmawiać z mamą.

– Najpierw zadzwoń na policję!

– Zwariowałaś? A jak się w coś wplątała? Najpierw muszę porozmawiać z nią. I to osobiście. Przez telefon nie zapytam przecież, czy ma coś wspólnego z zabójstwem Edzia! Dzwonię po taksówkę!

ROZDZIAŁ 62

Beata obiecała taksówkarzowi podwójną stawkę, byle tylko dojechał do Galerii Krakowskiej jak najszybciej.

– Wie pan, noc zakupów – wytłumaczyła się, unikając jego podejrzliwego spojrzenia.

Podwójna stawka zadziałała, jak należy, a nawet i lepiej, ale co z tego, skoro kiedy przyszło do płacenia, okazało się, że zapomniała zabrać z domu torebki. Taksówkarz utkwiał w niej groźne spojrzenie, ale Beata po raz pierwszy od dłuższego czasu nie dała się przestraszyć. Może i jest przeźroczytą kobietą menopauzalną, ale swoją godność ma.

– A może bransoletkę pan weźmie? Dla żony – uśmiechnęła się błagalnie. Ściągnęła z przegubu grubą złotą obręcz i wcisnęła mu ją do ręki.

Wziął. Żeby czasem nie chciała dorzucić bielizny.

Beata szybkim krokiem i nie oglądając się ani razu – tak na wszelki wypadek, gdyby taksówkarz zmienił zdanie – podeszła do wejścia do Galerii i zniknęła w środku. Kiedy znalazła się pod drzwiami z elegancką tabliczką „KMS” trzęsącą się ręką wklepała kod dostępu, po czym wpadła do biura jak burza, z premedytacją budząc Jadwigę odsypiającą na kanapie nocne schadzki i podrywając z krzesła zdumioną Danutę. Obie wpatrzyły się w nią wyczekująco.

Beata zatrzymała się na środku pomieszczenia, czerwona z wysiłku.

Pomilczała chwilę dla dodania scenie dramatyzmu, a potem głosem drżącym z emocji obwieściła wszem i wobec:

– Zabili Edzia!

Jej słowa miały niezwykłą moc, bo Jadwiga zerwała się na równe nogi, prawie zupełnie trzeźwa.

– Co ty mówisz!?! Stałaś za blisko piekarnika?

– Słyszałam w radiu – wydyszała. – Zresztą na pewno będzie w internecie.

Bez zbędnych tłumaczeń podeszła do komputera Danuty i nie pytając właścicielki o zdanie, weszła na stronę z informacjami lokalnymi. A potem zaczęła czytać na głos.

– „Dzisiaj w mieszkaniu przy ulicy Długiej zostały znalezione zwłoki mężczyzny, które zidentyfikowano jako Edwarda P. pseudonim Kudłaty.

Nieoficjalnie mówi się o porachunkach gangsterskich, mężczyzna przed śmiercią był torturowany...”

– Torturowany? – mruknęła wytrącona z równowagi Jadwiga. Wstała i nalala sobie wody do plastikowego kubka. – Od kiedy to depilator zalicza się do narzędzi tortur?

Beata rozpięła płaszcz i opadła na kanapę, próbując siłą woli zwalczyć uderzenia gorąca. Bez skutku.

– Nie widzę ani jednego śmiesznego aspektu tej sprawy – powiedziała za to wyraźnie zdenerwowana Danuta i wyciągnęła papierosa. – Wyobraź sobie, że nasze odciski palców mogą być wszędzie... Jeśli wszystko wyjdzie na jaw, będziemy skończone! Dzwonię po Krystynę – zdecydowała. Chwyliła za telefon i papierosem wstukała numer.

Jadwiga przestała się śmiać i wypila wodę.

– Na pewno nie mamy się czym przejmować – próbowała je pocieszyć, ale bezskutecznie. Nie brzmiała przekonująco.

Zapadła głucha cisza, którą przerwał dopiero dźwięk przychodzącego na telefon maila. Jadwiga wyjęła komórkę z kieszeni wymiętego płaszcza i sprawdziła wiadomość. A potem zaklęła pod nosem.

– Co jest? – zapytała Danuta z telefonem przy uchu i papierosem w ustach.

– Nie uwierzycie! – mruknęła Jadwiga. Ewidentnie miała ochotę tupnąć nogą ze złości. – Conan odnalazł nam Wiktorka. Rychło w czas.

– A zdążył się już zgubić? – zapytała zdezorientowana Beata. W końcu całe popołudnie spędziła w kuchni. Upiekła nawet ulubiony placek Anki.

– Jego prawdziwą tożsamość! – ryknęła wściekła Jadwiga, jakby to była wina Beaty, że Conan nie zrobił tego wcześniej. – Dziś na jakimś *party* u swojego szefa spotkał kolejną lafiryndę z policji, z biura komendanta głównego... Dał się jej zaprosić na kawę. Dzięki niej wszedł... głębiej... w system – mruzczała wściekła. – Taak. Jeszcze muszę mu być wdzięczna... : Beata, starając się skupić tylko na oddechu, przygotowała się na najgorsze.

– Mów! – Danuta nie wytrzymała i odłożyła słuchawkę. Telefon Krystyny milczał jak zaklęty.

Jadwiga zadławiła się i przełykając zapewne różne ciekawe spostrzeżenia na temat agentów i facetów ogólnie i w szczególności, wycedziła:

– Wygląda na to, że o ile nasz Bodzio figuruje w kartotece, to Wiktor Małaszyński pracuje w CBS.

Przez chwilę kobiety w milczeniu oswajały się z zaskakującą nowiną, a potem Beata spojrzała uważnie na Jadwigę i gwoli potwierdzenia zapytała:

– Czyli jest policjantem?

– Właśnie. – Jadwiga pokiwała głową, jakby ta wiadomość była gorsza od informacji, że Wiktor jest seryjnym mordercą. – Do tego specjalnym...

Beata podniosła się z kanapy i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem.

– To bez sensu – myślała na głos. – Co policjant specjalny może robić u Ani, udając malarza? Jednocześnie spotykając się z członkiem grupy mafijnej?

Nagle znieruchomiała i wpatrzyła się z przerażeniem w twarze koleżanek. Nie zdążyła się odezwać, Jadwiga zrobiła to pierwsza.

– Boże! – wykrzyknęła podekscytowana. – Pewnie to tajna akcja!

– I jeśli wplata się do tego nasz zwyczajny posterunkowy Marek, to może być niezła wpadka! – dokończyła Danuta i zerwała się na równe nogi.

Beata spojrzała na nią nieprzytomnie.

– Trzeba coś zrobić. Teraz! – spanikowała. – Tylko co?

– Dzwon do Ani! – powiedziała trzęsącym się głosem Danuta, ale zamiast telefonu podała jej papierosa. Beata była tak zszokowana, że zanim zorientowała się, co robi, wsadziła go w usta. Nie zdążyła się jednak zaciągnąć, bo Danuta, zapewne z troski o zdrowie przyjaciółki, zareagowała błyskawicznie i wyrwała jej go, mówiąc uroczystym tonem:

– Nie wiesz, że palenie szkodzi? A teraz dzwoni! – Wcisnęła jej w dłoń telefon.

Beata drżącą ręką wstukowała numer komórki Anki. Nic. Spróbowała dodzwonić się na domowy.

– Nie odbiera – wyszeptała po dłuższej chwili i spojrzała bezradnie na koleżanki. – Co robimy? Numeru do Matyldy nie mam.

– Myślisz, że nadal jest u niej? – zapytała Danuta, chwytając płaszcz.

– Wczoraj miały chyba iść potańczyć... Matylda coś wspomniała.

Jadwiga zdecydowała:

– W takim razie najlepiej będzie, jeśli najpierw pojedziemy do klubu.

To najbliższe. Jeśli dziewczyn tam nie będzie, to coś mi mówi, że zastaniemy Fryderyka. On na pewno ma numer Matyldy...

ROZDZIAŁ 63

Anka wyszła z domu, wsiadła z powrotem do taksówki i podała kierowcy swój adres – wszystko to jak w transie. Spojrzała spięta na czekającą Matyldę. Nie zdążyła jednak otworzyć ust, bo komórka przyjaciółki zaczęła dzwonić.

– Znowu Jasiek. To już trzydziesty raz w ciągu ostatnich dwóch godzin. Chce mnie złamać, ale ja się nie dam! Jestem twarda! – mruknęła z zadowoleniem Matylda, odrzucając połączenie. Widząc zaniepokojoną minę Anki, zapytała: – Rozmawiałas z mamą?

– Nie ma jej – odpowiedziała Anka, kręcąc w zadumie głową. – Babcia powiedziała, że wyszła gdzieś w strasznym pośpiechu, nawet torebki i telefonu zapomniała. Zapytałam babcie, czy według niej mama jakoś dziwnie się ostatnio zachowuje, ale ona uważa, że to tylko postępująca skleroza.

Tata dalej w delegacji, Michał u Igi. Nikt nic nie wie. Zadzwoiłam więc do Marka...

Przez chwilę panowała cisza przerywana jedynie dźwiękiem silnika i hukiem przejeżdżających za oknem tramwajów.

– I co powiedział? – zapytała wyraźnie przejęta Matylda.

– Powiedział, że... – zaczęła chaotycznie Anka, nie bardzo wiedząc, co mówi – żebym przyjechała. Będzie na mnie czekał.

– Coś jeszcze?

– Tak. – Dziewczyna spojrzała na taksówkarza i ściszyła głos. – Ktoś mu doniósł, że samochód Wiktora ma fałszywe numery i Marek obiecał, że to sprawdzi. Z troski o mnie. – Przełknęła łzy i zapatrzyła się w okno. – Mamy jechać na komisariat. Wiktor to chyba... kryminalista.

– Aha! A nie mówiłam! Jezu, że też ja się nigdy nie mylę – wyszeptała przejęta Matylda.

– I co jeszcze?

– Wtedy właśnie padła mi bateria w telefonie – zazgrzytała zębami Anka. – Zauważyłaś, że telefony zawsze wyładowują się w nieodpowiednim momencie? – Włożyła bezużyteczną komórkę do torebki. – Na szczęście zdążyłam się z nim umówić i...

Znowu przerwał jej dźwięk telefonu Matyldy.

– Najwyraźniej ta reguła nie dotyczy wszystkich telefonów – usłyszały ironiczny komentarz taksówkarza.

Matylda nie zdążyła zmieszać go z błotem, bo Anka wzięła jego stronę.

– Odbierz w końcu! – nie wytrzymała. – Nie mogę tego znieść!

– Bogu dzięki! – usłyszały westchnienie kierowcy. – Musiałem już tabletki od bólu głowy wziąć.

Matylda spojrzała z wyrzutem na przyjaciółkę, potem na taksówkarza i szybko, żeby nie powiedzieć gorliwie, odebrała.

– Czego jeszcze ode mnie chcesz, ty... – ryknęła strasznym głosem. Zupełnie nieprzygotowany na takie atrakcje kierowca podskoczył przestraszony i uderzył głową o dach.

– Już lepiej było nie odbierać – mruknął, ale nikt się nim nie przejął, bo Matylda wpadła w histerię.

– Miałeś wypadek!? – piszczała dłuższą chwilę w najwyższym przerażeniu charakteryzującym się szczególnie wysoką liczbą dźwięków na minutę.

– Ale... Ależ oczywiście, że przyjadę! Który szpital? Zaraz będę!

W końcu wyłączyła się i bliska omdlenia chwyciła Ankę za rękę.

– Mój Jasiek! – jęknęła. Anka nie miała nawet czasu zapytać, od kiedy zaimek „mój” znowu jest aktualny, bo Matylda zabrała ostentacyjnie rękę, a głos jej stwardniał. – Twoja matka chciała go rozjechać! – oświadczyła z największym oburzeniem, patrząc na przyjaciółkę jak na córkę zbrodniarki.

Anka oniemiała. Utkwiła wzrok w pobladłej twarzy Matyldy, która postanowiwszy wybaczyć przyjaciółce złe geny, w końcu nie jej wina, zaczęła chaotycznie opowiadać:

– Twoja matka, gdy nas rano odwoziła, miała podobno menopauzalny atak migrenowy, a Jasiek stał pod moim blokiem, jak zwykle, i ona wjechała w jego samochód, i teraz... Jasiek jest w szpitalu – zadrzała. A potem dodała konkretnie: – Ale nic więcej nie wiem.

Anka postanowiła nie drażnić tematu.

– Ale wszyscy żyją? – upewniła się tylko. – Matylda pokiwała głową.

– Tylko Jasiek ucierpiał, biedaczek. Ma zwichniętą nogę i rozległe stłuczenia małego palca prawej ręki – wyrzuciła z siebie potworną wiadomość i wybuchnęła płaczem.

Anka westchnęła ciężko i połykając niewinne pytanie: „Jak rozległe?” poklepała przyjaciółkę pocieszająco po ramieniu.

– Na pewno wszystko dobrze się skończy.

– Obiecujesz? – wyszłochała Matylda. Nie była w stanie racjonalnie myśleć. Zapewne z powodu szoku pourazowego Jaśka.

– Obiecuję – odpowiedziała nieobecny głosem Anka i kazała taksówkarzowi jechać do szpitala.

ROZDZIAŁ 64

Wejście do klubu zatarasował mężczyzna. Kobiety poznały go tylko i wyłącznie po nieruchomym spojrzeniu i wyjątkowo wypukłych mięśniach, bo twarz zakrywała mu maseczka chirurgiczna.

– To impreza zamknięta – powiedział bezbarwnym głosem, stłumionym przez materiał na ustach.

Kobiety przyglądały mu się przez chwilę w osłupieniu, a potem Jadwiga oprzytomniała:

– My tylko do kuchni. Otwarta?

– Zamknięta – odpowiedział. I rozglądając się uważnie, czy nikt nie słucha, dodał cicho: – Jedna z moich znajomych zmarła ostatnio na ptasią gripę, wie pani? Nie możemy ryzykować, tym bardziej że nasz kucharz zszedł w niewyjaśnionych okolicznościach i... kto wie, może na to samo? – Potem odchrząknął i powiedział, już głośno, swoim nienormalnie brzmiącym normalnym głosem: – To impreza zamknięta.

Beata dostała ataku kaszlu, co spowodowało u ochroniarza nagły niepokój. Odsunął się od niej aż pod drzwi i momentalnie spryskał się jakimś sprayem. Widząc zdumione spojrzenia, wyjaśnił:

– To przeciw zarazkom.

– To się doskonale składa – odezwała się Jadwiga i obdarowała go promiennym uśmiechem – bo my jesteśmy z sanepidu.

Ochroniarz od razu zrobił im przejście.

– Panie z sanepidu. Moje bohaterki... – westchnął z wdzięcznością. – Proszę tam wejść i wybić te latające zarazki... – wydusił i na samą myśl spryskał się jeszcze raz.

Weszły do środka. I od razu skierowały się pod scenę. Kwartet Artystyczny najwyraźniej miał przerwę w występach, bo Fryderyk siedział zrelaksowany przy fortepianie i od czasu do czasu machając do nowych fanów, rozmawiał ze swoim partnerem. Najpierw przyjrzały się jego oku, które – jak zauważyła Beata z pewną satysfakcją – zdążyło od wczoraj nabrać intensywniejszych barw. Podeszły bliżej. Nie zauważył ich. Wcisnął jakiś klawisz, demonstrując coś koledze z branży. Zachichotał. A potem je zobaczył. Fortepian jęknął pod bezwładną dłońią.

– Witaj, Fryderyczku – powiedziała słodko Beata. – Jak mama?

Fryderyk przełknął ślinę. Zerwał się z taboretu i niczym przerażona myszka otoczona przez trzy psychopatyczne kocice wbił wzrok w stojące przed nim kobiety. A potem, nie czekając, aż wyciągną pazury, odwrócił się i zaczął uciekać. Najwyraźniej szukając mysiej dziury.

Z piersi Beaty wyrwało się głębokie westchnienie.

– Znowu to samo – mruknęła, kręcąc głową z wyraźną dezaprobatą. – Ten chłopak naprawdę ma nierówno pod sufitem. W ogóle nie da się z nim porozmawiać...

– Pewnie cierpi na manię prześladowczą. Niektórzy tak mają... Żeby dojść do sedna problemu, trzeba jednak dużo czasu i refleksji... – Danuta wyszczerzyła zęby i spojrzała wymownie w stronę Jadwigi, której słowo „refleksja” kojarzyło się tylko i wyłącznie z wyrazem „refleks”. A że, przynajmniej według jej pierwszego męża, refleks był jedną z nielicznych posiadanych przez nią zalet, podwinęła poły płaszcza i ruszyła za Fryderykiem, obiecując sobie, że tym razem mu nie odpuści.

Cóż było robić? Koleżanki popędziły za nią. Nikt nie lubi zostawać w tyle.

Klienci, podejrzewając zapewne jakąś nową atrakcję klubu, z rozbawieniem

przypatrywali się przerażonemu Fryderykowi uciekającemu w cekinowych gaciach przed trójką kobiet w średnim wieku, z których pierwsza miała zaciętą minę, druga papierosa w ustach, a trzecia niewielką nadwagę. Ktoś krzyknął: „Szybciej, Frydzio!”, a dwie panie przy stoliku pod ścianą zaczęły się śmiać i klaskać. Nikt nie widział prawdziwego zagrożenia w tej zabawie w kotka i myszkę z nowo odkrytym talentem muzycznym i nikt się nie zdziwił, kiedy Fryderyk, rozlewając czyjś drinka, ostatkiem sił zniknął za drzwiami prowadzącymi do kuchni. Wszyscy z uśmiechem wrócili do picia.

Jadwiga dopadła drzwi. W kuchni zobaczyła znajomego mężczyznę ostrzającego noże.

– Taki jeden w cekinowych kalesonach, nie widział go pan gdzieś? – zażądała odpowiedzi stanowczym tonem.

Mężczyzna znieruchomiał, a potem wskazał wyjście prowadzące na ulicę.

Jadwiga ruszyła do przodu. Kiedy zniknęła za kolejnymi drzwiami, w kuchni pojawiła się dysząca Danuta, a tuż za nią krztusząca się własnymi płucami Beata, która cały czas gorączkowo się zastanawiała, czy zwrócenie płuc przez gardło jest możliwe. I czy rzeczy niemożliwe mogą stać się faktem.

Na widok mężczyzny zatrzymały się. Beata, nie przestając charczeć, zgięła się wpół.

– Nie widział pan takiego jednego... i biegnącej za... nim kobiety? – wyrzuciła z siebie zdyszana Danuta i spojrzała na Beatę, która nie była w stanie wyrzucić z siebie nic. Może z wyjątkiem płuc.

Mężczyzna wskazał ręką drzwi. Najwyraźniej wołał nie ryzykować.

– Dziękuję – wydyszała Danuta, a widząc, że zdumienie nie pozwala mężczyźnie nawet mrugnąć, dodała ostatkiem sił: – Proszę zrozumieć.

Werbujemy na misję.

Potem, nie przejmując się już niczym, wypadły wraz z Beatą na boczną uliczkę oświetloną jedynie bladym światłem latarni. Na widok Jadwigi stojącej spokojnie obok kontenera na śmieci zatrzymały się. Patrzyły na nią z widoczną zazdrością, łapiąc oddechy.

– Musicie popracować nad kondycją – zauważyła spokojnie Jadwiga, kiedy już się do niej dowlokły. Wskazała nieznacznie na przytrzaśniętą pokrywę kontenera skrawek błyszczącego materiału.

– Staram się, jak mogę – wykrztusiła Danuta, wsadzając sobie w usta kolejnego papierosa. Poprzedniego najwyraźniej połknęła.

– Ja też – wysapała Beata. – Dwa razy w tygodniu trenuję brydża sportowego. W klubie.

Spojrzały po sobie i wybuchnęły gromkim śmiechem. Stały tak przez chwilę, ciesząc się jak konie na widok marchewki, a potem Jadwiga odchrząknęła i z uroczystą miną zapukała w kontener.

– Przepraszam – powiedziała uprzejmie.

– Zajęte – usłyszały nerwowy szept.

Beata postanowiła spróbować nowego podejścia.

– Fryderyku, ale co się stało? – zaczęła łagodnym głosem siostry miłosierdzia. – Nie masz już dokąd uciekać. Lepiej wytłumacz nam, o co ci chodzi. Gdybyś tak zrobił wczoraj, nie zderzyłbyś się z drzwiami i nie miałbyś teraz śliwy pod okiem. Dlaczego nie chcesz z nami rozmawiać?

Pokrywa kontenera drgnęła i głowa Fryderyka wynurzyła się z cuchnącej otchłani. Najpierw łączywie odetchnął świeżym powietrzem, a potem przez chwilę przenosił zrezygnowane spojrzenie z jednej kobiety na drugą.

W końcu utkwiał wzrok w Beacie i oświadczył zmęczonym głosem:

– To wszystko przez panią! – I wypluwając z ust coś, co wyglądało na ząb, dodał: – Przez

moją matkę też. – Rozejrzał się, czy jego matka nie czai się czasem gdzieś za rogiem. Powinna być w Warszawie. Ale nigdy nic nie wiadomo.

Jadwiga parsknęła śmiechem. Beata znieruchomiała.

– To znaczy? – zapytała cicho.

Fryderyk, nie dostrzegając żadnych atrybutów przemocy w dłoniach kobiet, zadowolony z dotychczasowego przebiegu rozmowy, mówił coraz głośniejszym i coraz bardziej chaotycznym głosem:

– A tak! Ania była w depresji, bo każdy oczekiwał od niej narzeczonego.

I jeszcze to wesele Michała...

Beata wpatrywała się we Fryderyka z szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

– I to dlatego... udawaliśmy parę, żebyście i pani, i moja matka dały nam spokój – wytłumaczył w końcu, a potem zaczął płakać. – Ja rozumiem, że pani jest o to zła, ale to nie moja wina, proszę mnie nie zabijać...

Beata spojrzała w osłupieniu na koleżanki. Taktownie milczały, wpatrując się w niewidoczne gwiazdy. Zamknęła oczy. „Czy doprowadziłam Anię do takiej desperacji, że dla świętego spokoju udawała związek z homoseksualistą?”

Otrząsnęła się i z powagą popatrzyła na Fryderyka, po czym wyciągnęła rękę w stronę Danuty. Ta sięgnęła do torebki. Mężczyzna z narastającym przerażeniem śledził każdy ruch swoich ciemnych włosów.

– Proszę mnie nie zabijać! – jęknął i zamknął oczy w oczekiwaniu na najgorsze.

– Potrzebuję numer Matyldy Gąsienicy, masz może?

Fryderyk otworzył oczy i wpatrzył się w nią zdumiony, a widząc, że Beata czeka z telefonem w ręku, przełknął ślinę, poprawił szalik i starając się zachować resztki dumy, podyktował jej numer. A potem wygramolił się z kontenera i powłókł bez pożegnania w stronę drzwi do klubu. Nawet nie próbował wyglądać godnie.

Kobiety ruszyły do samochodu. Dopiero za drugim razem w słuchawce odezwał się nieprzytomny głos.

– Matylda! – wykrzyknęła Beata, patrząc z ulgą na koleżanki. – Gdzie jesteście!? Co!? W szpitalu? – przeraziła się. – Co się stało!?

Mijały właśnie ochroniarza. Słyszając słowo „szpital”, spojrzał na nie, jakby właśnie spełniały się jego najstraszniejsze sny. Jadwiga nie omieszkała dolać oliwy do ognia.

– Proszę uważać – szepnęła, przykładając palec do ust. – Mamy już prawdziwą epidemię. Tylko ani mru mru, to tajne. Chcemy uniknąć paniki.

Mężczyzna odwrócił się na pięcie i uciekł.

Wsiadły do samochodu. Słyszając dramatyczne jęki Beaty, Danuta bez pytania przełączyła rozmowę na zestaw głośnomówiący i uruchomiła silnik.

– Jak to, co się stało!? – mówiła zdenerwowana Matylda. – Pani powinna najlepiej wiedzieć. To wszystko pani wina!

– To już słyszałam. – Beata nie wytrzymała napięcia i dostała ataku hysterii. Tylko i wyłącznie dlatego, że nikt nie docenił prawdziwego poświęcenia matki. – Wszystko moja wina! Tylko dlatego, że starałam się być dobrą matką!

Matylda nie odzywała się dobrą chwilę, zdziwiona tym nagłym wybuchem, a potem wrócił jej głos.

– Ale proszę już nie płakać, pani Beato – powiedziała łagodnie, przypominając sobie zapewne, że jest psychologiem i nie wypada jej znęcać się

psychicznie nad ludźmi. Dodała zatem wspaniałomyślnie: – Wybaczyłam już pani.

– Naprawdę? – zdumiała się Beata, a łzy zatrzymały się nagle na jej policzkach. – A... co

mi, dziecko, wybaczyłaś?

– Przecież ja o mały włos wdową nie zostałam jeszcze przed ślubem!

Beata zupełnie skołowana spojrzała na koleżanki. Matylda wciąż mówiła.

– Dobrze, że pani tylko tak trochę na Jaśka wjechała...

Pod wpływem słów Matyldy na pobladłą twarz Beaty wrócił kolor. Przez chwilę wyglądała całkiem normalnie. Kolor jednak nie przestawał nabierać głębi. Danuta z Jadwigą przyglądały się z ciekawością, jak policzki koleżanki robią się coraz bardziej purpurowe, a naczynka krwionośne pękają, zapewne w paroksyzmie bólu. Parę z nich już nigdy nie wróciło do siebie.

– Ale Ania! Gdzie jest Ania!?! – wrzasnęła Beata strasznym głosem.

– Aha! Ania. Pojechała do siebie spotkać się z Markiem, tym policjantem – odpowiedziała Matylda. Musiała też robić coś niezwykłego, bo jej głos zmienił się nagle. Zaczęła dyszeć.

– Z Markiem!?! – zdziwiła się Beata, zapominając przez chwilę o strachu.

– Tak! Bo ten jej malarz, proszę sobie wyobrazić, to kryminalista! – zachichotała Matylda i słychać było, że pacnęła kogoś w rękę, choć mogła równie dobrze i gdzie indziej.

– Kryminalista? – Beata nie zwróciła na pacnięcie żadnej uwagi.

– Tak. A pani o tym nie wie? – zdumiała się, a potem szepnęła: „Nie teraz” do kogoś, kto musiał ją właśnie połaskotać, bo znowu zachichotała.

– A dlaczego miałabym wiedzieć?

Chwila ciszy. I chichot.

– Bo jest z nim pani przecież w zmowie, prawda? – wymknęło się Matyldzie. Ale już po chwili, najwyraźniej zła na siebie i tego, kto znajdował się obok, dodała: – Ja myślę, że pani powinna z Anią porozmawiać na jego temat. Ja nic nie wiem, a teraz muszę już pędzić, bo Jasiek ma prześwietlenie i musimy zwolnić łóżko. – I nie czekając na nic, rozłączyła się.

Beata, nie mogąc otrząsnąć się po usłyszeniu tej niespodziewanej i zadziwiającej informacji, zapytała:

– Dlaczego Ania myśli, że jestem w zmowie z Wiktorem?

Jadwiga wzruszyła ramionami.

– Według mnie to najmniej istotny problem – powiedziała. – Najgorsze jest to, że Marek dalej myśli, że Wiktor to kryminalista... – zawiesiła groźnie głos. – Jeśli *ego* Marka jest takie jak u typowego faceta, może wpaść mu do głowy jakiś głupi pomysł. Może chce sam rozprawić się z Wiktorem... – Spojrzała w zadumie na Danutę. – Myślicie, że już ktoś nie żyje?

Beata nie wytrzymała:

– Jedziemy do mieszkania Ani! Teraz!

ROZDZIAŁ 65

Anka wysiadła tuż przed swoją kamienicą. Nie zamknęła drzwi taksówki, jakby zostawiając sobie w odwodzie drogę ucieczki. Zaniepokojona rozejrzała się uważnie dookoła. Nic podejrzanego jednak nie zauważyła. Pod kioskiem chrapał w najlepsze wygolony bezdomny, a jedynym kryminalistą w promieniu kilometra wydawał się wielki labrador załatwiający swoje potrzeby fizjologiczne na trawniku. Współwinny przestępstwa był jego właściciel, który ani myślał posprzątać. Pewnie dlatego, że obserwował uważnie gwiazdy.

Tuż obok wejścia do kamienicy Anka zauważyła Marka. Siedział na kamiennym murku i najwyraźniej na nią czekał.

Kiedy jej pomachał, poczuła się dużo raźniej. Zapłaciła taksówkarzowi i z ciężkim sercem podeszła do policjanta. Wstał, przytulił ją troskliwie, a potem zupełnie niespodziewanie chwycił jej twarz w swoje dłonie i patrzył na nią długo i badawczo, jakby sprawdzał, czy wszystko z nią w porządku.

Jego błękitne oczy zdawały się przenikać ją na wskroś. Poczuła straszliwy żal i wściekłość na samą siebie za to, że nawet teraz jakaś część jej duszy, ta obłąkana zapewne, wołałaby, żeby jego oczy były czekoladowe.

– Jak się czujesz? – zapytał Marek z kojącym spokojem.

– Boję się – wyszeptowała. – Nie spodziewałam się takiego obrotu rzeczy.

Wiktor to jedna sprawa. Zupełnie nie rozumiem też, o co chodzi z moją matką. Nie mogę się z nią skontaktować, to mnie przeraża.

– Jestem przekonany, że wszystko się wyjaśni – pocieszył ją. Rozejrzał się uważnie dokoła i zaproponował: – Wejdźmy do mieszkania.

– A... Wiktor? – zawahała się Anka.

– Sprawdziłem, wyszedł gdzieś przed chwilą. Napijemy się czegoś, a potem pojedziemy prosto na komisariat. Dobrze? – Uśmiechnął się łagodnie.

– Na pewno wszystko się wyjaśni...

Jego uśmiech podzielał na Ankę kojąco. Dała się zaprowadzić na górę.

ROZDZIAŁ 66

Kiedy Danuta z piskiem opon zaparkowała samochód przed kamienicą Anki, Beata wyskoczyła z niego i zachłystując się wilgotnym powietrzem, popędziła do drzwi, za nic mając własne słabości i dodatkowe kilogramy.

Miała wrażenie, że snująca się tuż nad ziemią mgła dodaje jej lekkości.

Danuta była tuż za nią. Tylko Jadwiga szła nieco wolniej, zaciskając w pięściach niepokój. Dławiło ją dziwne i natrętne wrażenie, że coś nie jest tak. Instykt włączył czerwoną lampkę. Zatrzymała się na chwilę, jakby zbierając siły na to, co ma się za chwilę wydarzyć, po czym odprowadzana uważnym spojrzeniem pana Mariana, który zsalutował jej jak zwykle, dogoniła koleżanki. Stały na półpiętrze, wpatrując się intensywnie w drzwi.

– Nie ma jej – powiedziała Beata mało przytomnym głosem.

Jadwiga ominęła ją i szarpnęła za klamkę. Drzwi otworzyły się z cichym zgrzytem. Spojrzały na siebie z niepokojem. Weszły do środka.

Pusto.

Zapach farby, resztki kafelków, pudła.

– Aniu – zaszlochała nagle Beata i przyłożyła pulchne dłonie do serca.

– Żyjesz?

Martwa cisza. I przywiędłe goździki widoczne przez otwarte drzwi salonu.

Jadwiga sprawdziła sypialnię, a Danuta kuchnię i salon. Potem obie zatrzymały się przed zamkniętymi drzwiami łazienki. Danuta wciągnęła powietrze do płuc i chwyciła za klamkę. Sparaliżowała ją niepewność. Jadwiga odsunęła koleżankę gwałtownym ruchem i otworzyła drzwi.

Jedno spojrzenie. I głęboka ulga.

– Nie ma jej. Jak dobrze, że... – zaczęła Beata, ale urwała, bojąc się dokończyć. Zezłościła się sama na siebie. Przecież nie ma powodu, żeby histeryzować. Pewnie zapomniała zamknąć drzwi. Albo Wiktor zszedł tylko do piwnicy... – Gdzie ona może być!?

Przez moment kobiety stały bez ruchu, starając się opanować nerwy.
– Może czas poznać babcię Marka – zasugerowała w końcu Jadwiga.
Wyszły na korytarz. Jadwiga zastukała do sąsiednich drzwi. Nic. Zagryzła wargi i zastukała jeszcze mocniej. Znowu frustrująca cisza.
– Danka, skocz piętro wyżej i zapytaj, czy nie mają numeru do Marka.
Czasami jak starsza schorowana osoba mieszka sama, to rodzina zostawia numer na wszelki wypadek. Albo może wiedzą chociaż, w którym komisariacie Marek pracuje.
Danuta skinęła głową i weszła na górę. Po chwili usłyszały szcęk otwieranych drzwi. Jadwiga mrugnęła do śpiącej Beaty, starając się dodać jej otuchy, chociaż to dziwne poczucie błędu w systemie nadal jej nie opuszczało. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszały szybkie kroki dochodzące z dołu. Na schodach pojawił się Wiktor. Z czerwoną różą. Na widok kobiet zwolnił. W końcu zatrzymał się kilka stopni niżej.
Przez chwilę patrzył na pobladłą twarz Beaty. Potem przeniósł spojrzenie na zaciśnięte wargi Jadwigi. Zmrużył oczy.
– Gdzie Ania? – zapytał krótko.
Beata nie była w stanie mówić. Rozłożyła ręce.
– Umówiła się z Markiem i nie mamy z nią żadnego kontaktu – odezwała się Jadwiga. Wpatrzyła się w nieprzeniknione oczy Wiktora nieco skruszona. – Mogłyśmy trochę namieszać – przyznała się. – Bo... wspomnialiśmy Markowi, że nie jest pan malarzem tylko kryminalistą – wyjaśniła. Rozejrzała się i dodała szeptem: – Ale teraz wiemy, że jest pan z CBS. Tylko nie jesteśmy pewne, czy Marek o tym wie...
Wiktor nie odezwał się, ale mogłaby przysiąc, że wzrokiem chwycił ją za gardło. Tak go poniosło. Pewnie chciał coś powiedzieć, ale przeszkodził mu głośny stukot obcasów Danuty. Spojrzeli w górę.
– Sąsiadka z góry nie wie dokładnie, w którym komisariacie pracuje Marek Kochanowski, ale chyba w najbliższym, bo kiedyś złożyła na policję skargę na Lewandowską i interweniował właśnie on – gorączkowo rzuciła Danuta. A potem, wpatrując się w Wiktora, wydusiła: – Jest tylko jeden problem. Ona twierdzi, że pani Gienia nie ma żadnych wnuków. Jest starą panną...
Na ułamek sekundy świat zatrzymał się ze zdziwienia. Pierwszy zareagował Wiktor. Upuścił różę i jednym zdecydowanym ruchem ręki kazał kobietom się cofnąć. Wyciągnął zza paska pistolet i rzucił się na drzwi. Nie puściły. Antywłamaniowe drzwi pani Gieni długo jeszcze pozostały niewzruszone. Zupełnie jak ich właścicielka, która ułożona elegancko w swojej nowej zamrażarce (zakupionej pośmiertnie, ale za to po okazyjnej cenie) wyglądała bardziej żywo niż za życia. Tylko mała dziurka w jej głowie wskazywała, że jest martwa.

ROZDZIAŁ 67

Jadwiga siedziała na schodach i ponuro wpatrywała się w młodego policjanta broniącego dostępu do mieszkania pani Gieni. Policjant najwyraźniej czuł się zagrożony jej bombardującymi spojrzeniami, bo unikał ich jak ognia. Odwracał się do niej tyłem, kiedy tylko było to możliwe. Choć zaraz potem zmieniał pozycję, bo ten palący wzrok czuł jak gaszoną na swoim tyłku zapalkę. A Jadwiga naprawdę była wściekła. I bezsilna. Tuż obok niej siedziała Danuta, smętnie przekładając papierosa z ręki do ręki. Nie miała nawet ochoty wsadzić go sobie do ust. Pod ścianą blada i milcząca jak skazaniec czekający na egzekucję stała Beata. Wydawała się nie do końca rozumieć, co się właściwie dzieje.

Jadwiga westchnęła. Poczucie winy zaciążyło na jej duszy jak wielki kawał słoniny na żołądku.

Wyciągnęła z kieszeni komórkę i zaczęła pisać wiadomość.

– Nie możesz zrobić tego później? – przerwał jej potępiający syk Danuty.

– Nie – mruknęła, zerkając ukradkiem na stojącą pod ścianą Beatę. – Nie mamy czasu do stracenia. Policja do jutra nic nie robi, nie czarujmy się. A największe szanse na odnalezienie Ani mamy w ciągu najbliższych godzin... – zawiesiła głos i przełknęła ślinę.

Danuta nie odzywała się przez chwilę.

– To brzmi zupełnie absurdalnie. Naprawdę myślisz, że Marek zabił tę staruszkę i porwał Anię? – zapytała w końcu.

Jadwiga spojrzała na nią spod oka.

– Absurdalnie czy nie... – zawahała się. – Pomyśl: Marek zainstalował się najbliżej mieszkania Ani, jak to tylko było możliwe. Po co? Najwyraźniej to on był ściśle tajnym planem awaryjnym Bułgara. Inteligentny, ujmujący i w dodatku policjant... Taki ktoś wiele może. Wszystkie dałyśmy mu się zwieść – westchnęła. – Marek pewnie miał dostać dużą kasę za odnalezienie Wiertary, dlatego zrobił wszystko, żeby go nie przeoczyć... Po trupach do celu. Nie przewidział, że Wiertara się nie pojawi. Zdenerwował się. My też zrobiłyśmy swoje. A potem pewnie dowiedział się, że Wiktor jest z CBS. Albo kto wie? – Spojrzała na Danutę nieprzytomnym wzrokiem. – Może oni od początku wiedzieli, że Wiktor to tajniak!? To ma sens! Próbowali ostrzec Wiertarę, nie chodziło tylko o dokumenty!

Przez moment milczały, wsłuchując się w podniesione głosy dochodzące z mieszkania Anki, gdzie Wiktor rozmawiał z policjantem przydzielonym do sprawy zabójstwa pani Gieni.

– Pisziesz do Morfeusza? – zapytała szeptem Danuta.

– Nie. Na tym etapie nic, co zdołałyby ustalić, nie byłoby wystarczające.

Nie ma dostępu do tajnych informacji, do których Conan może dotrzeć bardzo szybko. Spróbuję go namówić, żeby dowiedział się czegoś na temat Bułgara, zleceniodawcy Marka, i tego ostatniego gangstera Rzeczypospolitej.

– Po co? – zdziwiła się Danuta, a czując na sobie wzrok policjanta, ściszyła głos. – Myślisz, że Marek zabrał Anię do jakiejś mafijnej dziupli?

Jadwiga zgasła wzrokiem mundurowego, a potem szepnęła do Danuty:

– Moim zdaniem Marek będzie próbował wykorzystać wszystko, co wie.

Może dowiedział się czegoś, na czym może zarobić? Nie udało mu się nawiązać kontaktu z Wiertarą, ale jeśli wiedział, że Wiktor jest z CBS, mógł co nieco podsłuchać... Teraz, kiedy Wiertara się nie zjawił, Marek potrzebuje pieniędzy i mety, przynajmniej dopóki sprawa nie ucichnie. Jestem przekonana, że będzie próbował spotkać się z Bułgarem. Anię zabrał pewnie jako zabezpieczenie przed policją, w końcu zawsze coś może pójść nie tak. Żywy zakładnik to karta przetargowa.

Danuta nie odzywała się przez chwilę.

– Czego chcesz się dowiedzieć od Conana? – zapytała w końcu.

– Czegokolwiek – mruknęła Jadwiga. Wysłała wiadomość i schowała telefon do kieszeni płaszcza. – Wprawdzie nie ma go teraz w Warszawie, ale jeśli akurat będzie miał przerwę między podrywaniem pańienek a zdobywaniem informacji dla kraju, może łaskawie zaloguje się do systemu i znajdzie coś, co mogłoby nam pomóc. Albo niech przynajmniej poderwie pańienkę, która na coś się przyda... – westchnęła.

Wskazała ruchem głowy łysiejącego faceta w nylonowej marynarce, widocznego zza uchylonych drzwi mieszkania Anki.

– Widzisz tego gościa? To podkomisarz Kogut, znajomy mojego eksia...

– urwała, bo Wiktor nagle krzyknął straszliwie, zapewne w przypiływie frustracji. Niespodziewanie walnął pięścią w ścianę, po czym wzburzony wyszedł pospiesznie z mieszkania i zbiegł po schodach. Już po chwili słychać było tylko pisk opon ruszającego gwałtownie samochodu.

Jadwiga spojrzała znacząco na Danutę.

– Doskonale go rozumiem – mruknęła. – Kogut to dupek jakiego świat nie widział... – Zamilkła, bo ów dupek ukazał się im w pełnej krasie. Nawet obrócił się dokoła, żeby mogły go pooglądać z każdej strony. Potem zatrzymał się tuż przed Jadwigą. Zaczęły przyglądać się sobie w milczeniu, a intensywność ich spojrzeń była wymowniejsza od słów. Tę bitwę na spojrzenia przerwała Beata.

– Czy wiadomo coś na temat Ani? – zapytała zapłakanym głosem. – I kto zabił tę biedną staruszkę?

Kogut odwrócił się do niej i obojętnym głosem, przeciwczonym już setki razy, powiedział:

– Na razie nic nie wiemy. W mieszkaniu denatki pracuje ekipa śledcza, zabezpiecza ślady, a to potrwa. Na filmie z kamery rejestrującej, udostępnionej z samochodu monitorującego budynek – zakrztusił się – widać bardzo wyraźnie, że pani Romantowska wsiada do samochodu posterunkowego Kochanowskiego z własnej woli i w dodatku dobrze się bawi. Śmieje się i żartuje. – Wydął wargi, a widząc, że Beata nie do końca rozumie, dodał tonem wyjaśnienia: – Nie wygląda to na porwanie.

– Ale trzeba coś zrobić, zanim będzie za późno – nie wytrzymała Danuta.

Podkomisarz westchnął ciężko, jakby miał do czynienia z przypadkiem ewidentnego zidiocenia.

– Panie prostych rzeczy nie rozumieją. Jeśli chodzi o rozpoczęcie jakichkolwiek działań, musimy poczekać na wyniki różnych analiz – tłumaczył pozbawionym emocji głosem. – Musimy zdjąć odciski palców, zrobić analizę balistyczną... Mógłbym wyliczać w nieskończoność. W dodatku dzisiaj jest niedziela, wieczór. Nie jesteśmy w stanie zrobić nic...

– Ale Ania... – szepnęła Beata.

Kogut zatrzymał się i spojrzał na kobietę, jakby patrzył przez szybę.

– Droga pani, przed chwilą tłumaczyłem. Pani córka jest osobą dorosłą. Zabrała ze sobą dokumenty i odjechała dobrowolnie. Na razie w jej zniknięciu nie dopatrzyliśmy się niczego podejrzanego. Jeśli okaże się, że Kochanowskiemu zostanie postawiony zarzut zabójstwa, to co innego...

– Wszyscy wiemy, że jutro może być za późno – powiedziała stanowczo Jadwiga. – Żądam rozmowy z twoim przełożonym.

Tego było już dla podkomisarza Koguta za dużo.

– To złóż prośbę na piśmie, do tygodnia dostaniesz odpowiedź. Radek mówił, że jesteś wrzodem na dupie, ale że tak wielkim, to nie przypuszczałem – syknął, starając się, żeby nikt postronny nie usłyszał, choć i tak wszyscy słyszeli. Potem, zwracając się głównie do Beaty, dodał głośno i wyjątkowo nieprzyjemnie:

– Proszę jechać do domu i czekać na wiadomości. Mam nadzieję, że już się panie nauczyły, że z każdą informacją trzeba się udać na komisariat.

Inaczej prawdziwe tragedie mogą się zdarzyć... – Zawiesił groźnie głos i spojrzał z wściekłością na Jadwigę. – A z tobą to ja sobie jeszcze porozmawiam jutro na komisariacie. I lepiej, żebyś umiała się wytłumaczyć. Była żona policjanta i pracownica agencji wywiadowczej powinna wiedzieć, kiedy trzeba zwrócić się do odpowiednich służb... Ale nie! – prychnął i spojrzał na nią ironicznie. – Wam, sekretarkom, to się za dużo wydaje!

Jadwiga poczuła na sobie wzrok koleżanek.

Sekretarka.

Obezwładniła ją wściekłość, taka sama, jaką czuła wtedy, gdy utknęła podczas testu egzaminacyjnego. „Pani będzie świetną sekretarką, pani Jadwigo. Cieszymy się, że pani...”

Wstała bez słowa. Nie oglądając się na nic i na nikogo, zeszła po schodach i otworzyła drzwi wejściowe.

Wiatr bawił się okrutnie drzewami, wykręcał im gałęzie i wyrywał liście.

Jadwiga słyszała jego świszczący oddech w swojej głowie: „To wszystko twoja wina. Przez ciebie może zginąć niewinna dziewczyna”. Otrząsnęła się. Minęła stojących przed drzwiami policjantów i odprowadzana ciekawskimi spojrzeniami gapiów podeszła do samochodu. Spojrzała jeszcze w stronę miejsca, gdzie zazwyczaj leżał Marian.

Już go nie było.

Jadwiga wsiadła do samochodu. Schowała twarz w dłoniach, starając się uspokoić wirujące w głowie obrazy. Po chwili usłyszała, jak do auta wsiadają Danuta i Beata. Trzask drzwi. I cisza.

A nic tak bardzo nie przerażało Jadwigi jak cisza. Kojarzyła się jej z końcem wszystkiego.

Na szczęście milczenie nie trwało długo.

– O co chodziło z tą sekretarką? – zapytała stanowczo Danuta, zapalając papierosa. Była to jedyna czynność, na jakiej mogła się skupić.

Jadwiga odwróciła się do okna. Przez chwilę w milczeniu przypatrywała się błyskającym w ciemnościach światłom policyjnych samochodów.

– Nigdy nie byłam agentką wywiadu – przyznała się wreszcie. – Nigdy nie przesłam pozytywnie testów. Zaproponowano mi pracę sekretarki.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, dudniła jej w uszach jak cmentarne dzwony.

A potem Danuta parsknęła śmiechem.

– Wyrazy uznania, moja droga, za całokształt. Fantazja agentki wywiadu uwięziona w ciele sekretarki... To robi wrażenie.

– Tak! – odezwała się z tyłu Beata. Jej smutny głos zacinął się lekko. – Nie przejmuj się. Gdyby ci pozwolili, byłabyś świetną agentką. Nawet nie wiedzą, ile stracili – westchnęła rozdzierająco.

– Jesteś naszą bohaterką – oświadczyła uroczyście Danuta, a potem dodała: – Tylko wytłumacz mi, jak to możliwe, że tak pomyliłyśmy się co do tego Marka?

– To oczywiste. Oślepił nas fakt, że był kawalerem... – powiedziała Jadwiga, próbując wrócić do swojego ironicznocynicznego ja. – Nie wyglądał na takiego, który jest zdolny do zabójstwa. No ale nawet morderca wygląda jak człowiek, prawda? Pewnie zabił też Kudłatego Edzia.

– Dlaczego miałby go zabić? – zdziwiła się przez łzy Beata. – Zresztą...

może to przypadek? – pociągnęła nosem i wpatrzyła się błagalnie w koleżanki. – Ja ufam policji. Może prawda jest taka, że Marek zabrał gdzieś Anię, na przykład do kina, a w międzyczasie zjawiał się ten kryminalista, na którego czekał Wiktor, i zabił panią Gienię, i...

– To dlaczego udawał jej wnuka? – Jadwiga próbowała naprowadzić rozumowanie Beaty na właściwe tory.

– Może była jego przyszywaną babcią? Albo babcią cioteczną? – Beata histerycznie kiwała głową, szukając potwierdzenia w oczach koleżanek.

– Tak – uśmiechnęła się ironicznie Jadwiga. – Jakaś hipoteza to też jest. Może rzeczywiście pani Gienia, manifestując swoją nienawiść dla świata, wpakowała sobie kulkę w

łeb, a potem posprzątała po sobie i weszła do zamrażarki, żeby dłużej zachować świeżość. – Westchnęła teatralnie. – Kobieto, ty córce przypadek pod nos podkładasz i sama w niego wierzysz? Opamiętaj się! – Opadła ciężko na siedzenie.

Danuta zapaliła, tym razem silnik, i włączyła się do ruchu. W zupełnej ciszy wszystkie wpatrywały się w mijane za oknem ulice, światła, ludzi.

Każda czuła się winna. Najbardziej.

Kiedy były już blisko biura, telefon Jadwigi odezwał się cichym brzęczeniem. Z ciężkim westchnieniem wyjęła go z kieszeni. A potem oczy jej rozblęły.

– Conan coś jednak przysłał, bardzo szybko. Czyżby akurat był w...

systemie – mówiła, pozytywnie zaskoczona, zastanawiając się, czy jej wiadomość przerwała mu jakąś miłą chwilę. Niecierpliwie otworzyła plik. – Oj, informatorka Conana jest wysoko postawiona – mruknęła, patrząc na tajne raporty operacyjne policji. – Kompletnie akta... Ciekawe, czy zdobywał je kompletnie ubrany...

– Znowu zaczynasz. Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że jesteś zazdrosna – mruknęła Danuta. – Coś ciekawego?

– Zaraz, daj mi chwilę, muszę przeczytać – mruzczała podekscytowana Jadwiga, ignorując komentarz koleżanki i nie odrywając wzroku od wyświetlacza. – Jan Niewiadomski *vel* Bułgar, praktykował w bułgarskiej mafii, przejął kontrolę nad organizacją... Proszę, Edzio mówił prawdę – parsknęła. – To, że na scenie pojawił się jakiś nowy *capo di tutti capi*...

też wiemy. Tożsamość nieznana, dostawał kasę za wsparcie Bułgara... – Spojrzała na koleżanki. – Drogie panie, jesteśmy prawie tak samo skuteczne jak CBS. – Pokiwała głową i czytała dalej: – Ostatnio mieli czarną serię, pięciu najstarszych stażem gangsterów zginęło od strzału w głowę.

Wygląda na to, że to jakieś egzekucje albo porachunki mafijne. Nic dziwnego, że się boją o Wiertarę. Proszę bardzo... Karol Świdorski, pseudonim Wiertara. Legenda polskiej sceny kryminalnej, nieuchwytny od 2008 roku, stara gwardia... – powiedziała, otwierając kolejny plik. – Zobaczmy zdjęcia.

Po kolei wyskakiwały fotografie. Najpierw Bułgara, w charakterystycznych baczkach i długawych włosach *a la* Elvis. A potem pojawiła się twarz Wiertary na kilku zdjęciach zrobionych z ukrycia. Na każdym wyglądał inaczej i miał zapewne inną tożsamość. Na jednym rzucały się w oczy wąsy i ciemna skóra. Na innym był niemal albinosem. A na kolejnym całkiem ładną kobietą. Ale nie na te ucharakteryzowane postacie zwróciła uwagę Jadwiga. Jak porażona wpatrywała się w stare czarnobiałe zdjęcie, najwyraźniej zbliżenie z jakiejś grupowej fotografii. Od razu rozpoznała tę twarz. Przez chwilę nie była w stanie nic powiedzieć. Potem spojrzała na koleżanki i rzuciła gniewnie:

– Sukinsyn! Ale mnie nabrał...

Kazała Danucie zatrzymać samochód, wysiadła i nie tłumacząc się, kazała zdumionym kobietom czekać na siebie w biurze.

ROZDZIAŁ 68

Na spiętej twarzy Jadwigi pojawił się wreszcie blady uśmiech. Od pół godziny wędrowała wzdłuż Podwala, szukając znajomej sylwetki. Wreszcie go zauważyła. Mężczyzna stał tyłem do niej, starając się ułożyć równo swój karton.

– Czołem, panie Karolu! – zawołała półgłosem.

Mężczyzna znieruchomiał. Minęło wiele lat, od kiedy ktoś zwrócił się do niego po

imieniu. Tym prawdziwym. Zaskoczenie trwało zaledwie ułamek sekundy.

– A może woli pan, żebym nazywała pana Irkiem albo Walerią? Nie...

lepiej od razu Wiertara. To brzmi tak... świdrująco. Dramatycznie...

– Pani Jadwiga – powiedział, nie odwracając się. – Jak mnie tu pani znalazła?

– Mówił mi pan, że na Podwalu też się dobrze czuje.

– Czulem – mruknął pod nosem Marian i rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy gdzieś za rogiem nie czai się tłum policjantów. Nie znosił policjantów. Na widok munduru dostawał wysypki. Potem rozłożył się na kartonie, a Jadwiga, nie pytając o pozwolenie, usiadła obok niego i z ciężkim westchnieniem wyciągnęła piersiówkę.

– Na zdrowie – powiedział, nie patrząc na nią.

– Na trawienie – odpowiedziała i napiła się. – Dlaczego pan zniknął tak bez pożegnania?

Zrobiło mi się smutno – dodała prowokująco.

Spojrzał na nią spod oka.

– Przeniosłem się.

– To przez policję?

– Zbieg okoliczności... – Próbował jeszcze mydlić jej oczy, ale przerwała mu.

– Właśnie: zbieg... Policja ujmuje to dokładnie tak samo. Tylko zamiast okoliczności dodaje przymiotniki, muszę przyznać bardzo niepokojące: bezwzględny, niebezpieczny...

– Proszę zostawić mnie w spokoju – rzucił cicho, a Jadwiga zauważyła, że drżą mu ręce.

– To na pana czekał Małaszyński, prawda? A wcześniej Sowa? Dlaczego nie przyszedł pan po swoje nowe życie?

Marian westchnął i podrapał się po wygolonej głowie.

– Wiesz co? Może przejdziemy na ty, bo te tytuły tylko mnie drażnią...

Jadwiga w milczeniu uniosła piersiówkę i upiła kolejny łyk.

– Pytasz, dlaczego nie zjawiłem się u Sowy? – mężczyzna splunął na chodnik, a na jego twarzy pojawiło się zniechęcenie. – Zmęczyłem się – oświadczył po dłuższej chwili. – Przyszedłem pod jej dom, byłem nawet pod jej drzwiami i... nie mogłem wejść. Nie mogłem! Jakby ktoś zapakował mi kilo cementu do każdego buta. Miałem dość nowych ról. Nie chciałem już nigdy więcej niczego sobie przyklejać. Po raz pierwszy od lat byłem sobą. Jestem sobą, człowiekiem, jakim mnie pan Bóg stworzył. Nie mam doczepionych wąsów, brody, nosa ani rzęs. Nie mam farbowanych włosów ani pomalowanych ust. Jestem sobą. Spójrz na mnie – powiedział władczo. Spojrzała. Zobaczyła zmęczonego życiem starszego człowieka. – Poczulem się oczyszczony, wiesz? Jakby to była moja pokuta. Ten kawałek kartonu... W dodatku w nim czulem się lepiej niż gdziekolwiek. Dało mi to do myślenia, Jadwiga. Nie mogłem wejść i nie mogłem odejść. Byłem zawieszony między tu a tam... A potem... – zachmurzył się – rozpoznałem Małaszyńskiego. On nawet nie wie, że go znam. – Pokiwał głową. – Zasięgnąłem języka. Dowiedziałem się, że Sowa sprzedała mieszkanie i związała, tak jak ją uczyłem. W razie niebezpieczeństwa miała spalić za sobą wszystkie mosty... A później byłem ciekawy, co z tego wszystkiego wyniknie, bo Małaszyński wciąż czekał, mimo że Sowa zwinęła manatki. Ten jego upór, żeby mnie złapać, jest wprost niesamowity, więc zostałem, by sobie popatrzeć, bo już mi się nigdzie nie spieszyło. Zresztą... to nieprawdopodobne... ale na bezdomnego nikt nie patrzy jak na człowieka, wiesz? To lepsze niż zmiana płci – zaśmiał się, ale widząc poważną twarz Jadwigi, wzruszył tylko ramionami i ułożył się wygodniej na swoim kartonie. – W każdym razie z jakiegoś powodu zostałem oszczędzony przez los. Instynkt mnie uratował. I to on mi mówi, żebym zadowolili się błękitem nieba...

– Mój instynkt mi podpowiada, że masz depresję, Marian. Też przez to przechodziłam – westchnęła Jadwiga.

– Depresja? A co za różnica? Wiem tylko, że nie chcę do tego wszystkiego wracać. Tu jestem wolny. – Wskazał na toczące się wokół normalne życie. – Wolny. Jak ten jesienny wiatr... Wpatrzył się w jakiś punkt na horyzoncie.

– A Marek Kochanowski?

– Nie znam żadnego Marka.

Jadwiga spojrzała na niego zdesperowana.

– To ten policjant, który zabił sąsiadkę Ani – próbowała mu wytłumaczyć. – Kiedy Sowa zniknęła, Bułgar wysłał Marka, żeby cię znalazł i ostrzegł przed akcją policji.

– Naprawdę? Zapomnieli najwyraźniej, że potrafię radzić sobie sam... – mruknął Marian.

– Może pracuje dla organizacji... ale ja go nie znam. Bułgar zatrudnił ostatnio wielu nowych, pewnie dlatego, że zginęło kilku naszych najlepszych ludzi – westchnął. – Taki nasz los. Śmierć czeka każdego... – Zamyślił się.

– Ale tu chodzi o życie młodej niewinnej dziewczyny – powiedziała ponuro Jadwiga.

Parsknął śmiechem.

– Niewinność. Co ty wiesz o niewinności, Jadwiga. Za niewinność wsadzają nawet na dwadzieścia pięć lat, słyszałem od kumpli takie historie, że... – Po chwili milczenia zerknął na nią spod oka. – Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Zagryzła wargi.

– Pomóż nam – powiedziała nagle. – Chodzi tylko o informacje. Jeśli Marek był opłacany przez Bułgara, ktoś z organizacji może wiedzieć coś o losie Ani. A policja na pewno weźmie pod uwagę twoją pomoc. Możesz zostać objęty programem ochrony świadków, odpocząć.

Sprawiedliwość...

– Sprawiedliwość!?! – przerwał jej z wściekłością i splunął. – Sprawiedliwość to stara kurwa i ma ksywę Temida. I wierz mi, nigdy nie wybacza.

Przez moment milczał, studiując uważnie jej zmęczone przekrwione oczy.

– Masz papierosy? – zapytał. Kiedy podała mu paczkę, westchnął ciężko i powiedział: – Zobaczą, co da się zrobić.

ROZDZIAŁ 69

Jadwiga weszła do biura i od razu wiedziała, że coś się stało. W pomieszczeniu panowała złowroga cisza. Ogarnięta nagłym niepokojem minęła puste biurko Jolki, a potem przeszła obok aneksu kuchennego i dotarła do kanapy, na której sztywno siedziała Beata. Na twarzy koleżanki nie było już łez, tylko zmarszczki stały się głębsze i wyraźniejsze, jakby w ciągu tych paru godzin przybyło jej dziesięć lat. Po prawej stronie, tuż przy oknie, stała Danuta i wpatrywała się nieobecny wzrokiem w bezdenną ciemność nocy. Słyszac kroki, odwróciła się i przez chwilę przyglądała Jadwidze bez słowa.

– Aresztowali Krystynę – oświadczyła w końcu, wydmuchując dym.

Drżący w jej dłoni papieros wskazywał na wyjątkowo niestabilny stan emocjonalny palącej.

Jadwiga osłupiała.

– Ale... dlaczego? – wyjąkała, choć podejrzewała, jaka będzie odpowiedź. Opadła na krzesło przed swoim biurkiem i z napięciem utkwiała wzrok w drżącym papierosie.

– Nie odbierała telefonu, więc zadzwoniłam do jej syna – zaczęła opowiadać Danuta, siadając, bo nogi odmawiały jej posłuszeństwa. – Był na komisariacie. Okazało się, że policja zabezpieczyła u Edzia odciski palców – spojrzała na Jadwigę znacząco – pewnie nawet kilka

kompletów. I wyobraź sobie, odkryli, że jeden z nich należy do *Madame* Widzącej. Taaak...

Cholera, faktycznie dużo widziała. I jak się okazało, już niejednokrotnie była karana. Podobno napaplała policji, co trzeba, łącznie z tym, że jak wychodziła, Edzio jeszcze żył.

– Ale... to absurd... – Jadwiga otarła czoło rękawem.

– Pewnie też tak stwierdzili, ale pojechali sprawdzić. I co? Nie uwierzysz. – Uśmiechnęła się sztucznie. – U Krystyny znaleźli depilator, który został użyty do torturowania biednego mężczyzny!

Jadwiga przez chwilę kręciła głową z niedowierzaniem.

– Nigdy nie znasz dnia ani godziny – wymruczała. – W końcu zawsze po ciebie przyjdą. Jak nie kostucha, to policja. Wszystko jest tylko kwestią czasu. – Zagryzła wargi i nerwowo postukała palcem w stół. – Że też akurat teraz... – westchnęła i patrząc spod oka na wyjątkowo opanowaną Beatę, zaczęła opowiadać o Marianie i jego nieentuzjastycznej wprawdzie, ale zawsze, chęci pomocy.

Kiedy skończyła, Danuta obrzuciła ją potępiającym spojrzeniem.

– Zwariowałaś!? Jak możesz zaufać temu całemu... Wiertarze!? Przecież to kryminalista!

– Kryminalista czy nie, żałuje za swoje grzechy. Chce się zmienić, tylko do końca jeszcze sam tego nie rozumie. Niech udowodni, że jest wart przebaczenia. Każdy powinien mieć drugą szansę – powiedziała Jadwiga z miną księdza odpuszczającego grzechy. – Kwestia pokuty...

– Jak ty możesz być taka naiwna, kobieto! Nie poznaję cię!

Na twarzy Jadwigi pojawił się ledwie zauważalny uśmiech.

– Obnażam przed wami moją mentalność sekretarki. Jesteście świadkami uaktywnienia się mojej wrażliwej natury.

– Wrażliwą to ty masz co najwyżej wątrobę – mruknęła Danuta i zajęła się papierosem.

– Jeśli jest choćby cień nadziei, że znajdziemy Anię, to ja mam zamiar mu zaufać – odezwała się nagle Beata. W jej oczach błyszczało zdecydowanie. – Jak się z nim umówiłaś?

– Mamy się spotkać za pół godziny koło mostu Piłsudskiego – odpowiedziała Jadwiga, kiwając aprobowująco głową, a potem obie wpatrzyły się wyczekująco w Danutę. Wzruszyła tylko ramionami.

Wtedy, zupełnie niespodziewanie, ciszę niedzielnego wieczoru przerwał dźwięk policyjnej syreny. Z każdą chwilą narastał, stawał się coraz bardziej przeraźliwy i coraz bardziej złowieszczy.

Danuta znieruchomiała. Dym z papierosa zastygł razem z nią.

– Myślicie, że jadą po nas? – zapytała Jadwiga. Zerwała się z krzesła i podeszła do szafy.

Kiedy wróciła, w ręku trzymała pistolet.

Błysk metalu przeraził Beatę. Wstała gwałtownie, dysząc tak bardzo, że zaparowały jej okulary.

Dźwięk syreny wyraźnie się zbliżał. Głośniejszy niż racjonalne myśli.

Danuta jednym ruchem uwolniła dym, a potem wstała i wyjrzała przez okno. W ciemnościach widać było zbliżające się migające światła.

– Musimy podjąć decyzję. Teraz – powiedziała spokojnie. Tylko jej ręka drżała nieco bardziej, kiedy podniosła papierosa, by zaciągnąć się po raz ostatni.

ROZDZIAŁ 70

Wydostały się z budynku wyjściem awaryjnym. Z ulgą powitały chłód wieczoru, który nieco złagodził uderzenia gorąca i palący strach.

Były już blisko parkingu, gdy Beata zapytała:

– Zakładając, że nas szukają, to czy mogą namierzyć samochód po tablicach rejestracyjnych? Kto wie, może jak podejźmiemy do twojego auta, Danka, to zaczną do nas strzelać?

Kobiety zatrzymały się w pół kroku i wpatrzyły podejrzliwie w stojący nieopodal pojazd.

– Zawsze możemy ukraść samochód Krystynie – zamruczała Danuta, rozglądając się niepewnie dookoła. – I tak siedzi w areszcie, więc jej samochodu nie będą raczej szukać.

– Mam lepszy pomysł – uśmiechnęła się Jadwiga. I wyciągnęła z kieszeni kluczyki. – Samochód Conana.

– Co!? – Danuta poczerwieniała. – Skąd masz jego samochód?

– Mówiłam wam, że został nagle wezwany do centrali. Przyleciał po niego helikopter... – Jadwiga zawiesiła głos, a potem ruchem ręki nakazała koleżankom iść za sobą.

Szły bardzo szybko, w milczeniu, każda zajęta własnymi myślami. Jadwiga maszerowała żołnierskim krokiem, a poły jej płaszcz fantazyjnie rozwiewał wiatr. Za nią Danuta, z papierosem w ustach, dzięki któremu mogła się skoncentrować i nadążyć za Jadwigą. Zauważyła, że kiedy tylko wyciągała go z ust, momentalnie jej oddech się spłycał, a płuca domagały wyjścia na zewnątrz. Najgorzej w tym wyścigu radziła sobie Beata. Dyszała strasznie, a zaparowane okulary co chwila denerwująco zsuwały się jej z nosa. Trzymała się jednak dzielnie. Parła naprzód, podpierając się myślą o tym, że istnieje ktoś, kto może jej pomóc w odnalezieniu Ani. I dziękowała Bogu za dodatkowe kilogramy, które w tej kryzysowej sytuacji ssal jej żołądek.

Samochód stał na górnej platformie strzeżonego parkingu Galerii, gdzie Conan przesiadł się zapewne do helikoptera.

– Żartujesz! – jęknęła Danuta. Z wrażenia wypadł jej z ust papieros.

Nawet tego nie zauważyła – Aston martin!? Prawdziwy!? Zawsze chciałam się takim przejechać!

– To zaraz się przejeździsz – oświadczyła nonszalancko Jadwiga, dając koleżankom do zrozumienia, że dla niej to żadna nowość.

Beata z niedowierzaniem obeszła samochód, a potem rozejrzała się uważnie dokoła. Podejrzewała, że gdzieś w mroku mogą czaić się kamery, przygotowane na rozpoczęcie zdjęć do nowego filmu szpiegowskiego. Zaraz ktoś pewnie krzyknie: „akcja”, a z ukrycia wyskoczy Daniel Craig albo jeszcze nowszy model 007 i mijając je jak najwyklesze statystki, wskoczy do samochodu, kto wie, może ostrzela, a już na pewno się za nimi nie obejrzy.

– Conan mi opowiadał, że kiedy nasi zobaczyli kolejny film z Jamesem Bondem – wyjaśniała Jadwiga, nie mając żadnych wątpliwości co do realności sytuacji – wiecie, ten gdzie aston martin jest wyposażony nawet w defibrylatory, a wiecie, że samochody Bonda są wzorowane na autach, jakich używają prawdziwi brytyjscy szpiegowie, no... ewentualnie prototypach, w każdym razie, nasi się wkurzyli i zastrajkowali. A co, oni gorsi? – zapytała. Nie usłyszawszy odpowiedzi, powiedziała szybko: – Nie! A życie narażają tak samo. Dlaczego oni defibrylatorów nie mają? No i agencja postanowiła udobruchać agentów, w końcu nadstawiają karki za demokrację.

Beata poprawiła okulary.

– I co? Kupili im defibrylatory?

– Przecież nie chodzi o defibrylatory! – zdenerwowała się nagle Jadwiga. – Chodzi o zasady! Bo niby dlaczego brytyjskim agentom ma być lepiej? Nasz Conan w niczym im nie ustępuje.

Danuta nachyliła się.

– A dlaczego ten samochód jest na niemieckich blachach? – zapytała.

Jadwiga wzruszyła ramionami.

– Bo to wygląda wiarygodnie, nieprawdaż? Kogo w Polsce stać na taki samochód?

– Agencję wywiadowczą najwyraźniej stać...

– Jeden taki mają. Wszyscy nim jeżdżą na ważne spotkania – zdradziła niechętnie

Jadwiga.

– Z takimi jak ty?

Jadwiga przycisnęła kluczyk i odblokowała drzwi.

– Z takimi jak ja – mruknęła, pokazując przyjaciółce język. – Masz z tym jakiś problem?

Jeśli nie, to wsiadamy, nie mamy czasu.

Kobiety zamilkły, wracając do smutnej rzeczywistości.

Wsiadły.

I stało się.

Dostały swoistego przeżycia transcendentalnego. I to, o dziwo, na trzeźwo. Wystarczył zapach skóry, hawańskich cygar, dobrej whiskey i zapewne prawdziwego faceta, obecny w mikroklimacie samochodu, który obudził wyobraźnię i wyostrzył zmysły. Wkroczyły w lepszy świat. Każda poczuła się wyjątkowo, zupełnie jak dziewczyna szpiega. Gdyby tylko nie te cholerne uderzenia gorąca... Przez chwilę słychać było tylko przyspieszone oddechy i nierówne bicie serc. Beata wciągnęła brzuch, Danuta nie odważyła się wyciągnąć papierosa, a Jadwiga... Jadwiga zanurzyła się we wspomnieniach. Tak, przyjemność z samego siedzenia w astonie była wręcz erotyczna. Co to będzie za jazda!

– Ale miękka skóra! – jęknęły w tym samym momencie Beata i Danuta.

Obie usiadły z tyłu, bo nie mogły się zgodzić, która ma jechać z przodu.

– Wiem – uśmiechnęła się z wyższością Jadwiga, wyjątkowo zapinając pas. – Miałam przyjemność na niej leżeć...

Beata zamknęła oczy.

– Jestem w fotelowym rajku – wymruczała z zadowoleniem, na jakie pozwalała sytuacja. – Obudźcie mnie, jak dojedziemy na miejsce.

Danuta również zamruczała. I również zamknęła oczy. Jadwiga zapaliła silnik. Przez chwilę wsłuchiwała się w jego brzmienie. Wydawało się czystą poezją wśród prozy innych silników. Spojrzała w lusterko wstecznym na błogie miny koleżanek. Widząc, że są już w lepszej rzeczywistości, przeżegnała się. I także zamknęła oczy.

A potem nacisnęła na gaz.

Beata i Danuta nie zasnęły. Ochota na spanie opuściła je bezpowrotnie, gdy Jadwiga, wcisnąwszy leciutko pedał gazu, o mało nie roztrzaskała samochodu o zaparkowanego w dużej, wydawało się, odległości terenowego jepea. Do tyłu wcale nie poszło wolniej. Na szczęście tam była barierka.

Na pełnym bezdechu, powolutku zjechały w dół, gdzie Jadwiga uiściła jeszcze opłatę za zgubiony bilet, a potem wyjechały na ulicę.

Oddech odzyskały dopiero przy moście, gdzie Jadwiga lekko nacisnęła pedał hamulca. Samochód stanął, choć jego koła jeszcze dobrą chwilę buksowały jak kopyta rumaka wyrwywającego się do wyścigu. Przez chwilę żadna z kobiet nie była w stanie się odezwać, bo w gardłach utknęły im serca i żołądki.

Pierwsza poruszyła się Danuta. Drżącą ręką wyciągnęła z paczki papierosa, ale po chwili odłożyła go z powrotem i oszołomiona zerknęła na Jadwigę, trzymającą się kurczowo kierownicy.

– Rany boskie – wyjąkała w końcu. – Ale to szybko jeździ!

Jadwiga przełknęła ślinę.

– To aston martin. Jak ma jeździć? – odezwała się nieswoim głosem.

Spojrzała nieprzytomnie na Danutę, której źrenice wydawały się większe niż zazwyczaj. Przez chwilę patrzyły na siebie, a potem obie wybuchnęły histerycznym śmiechem, do którego dołączył nerwowy chichot Beaty.

Kiedy już nieco ochłonęły, Jadwiga podzieliła się swoim spostrzeżeniem:

– A zdążyłyście zauważyć, że cały czas miałam zielone światło? Dziwne... Może on ma jakiś system, który przytrzymuje światła, jak dla konwojów wiozących VIP-y?

– Jasne i co jeszcze? – zaśmiała się ironicznie Danuta, ale obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem deskę rozdzielczą. Dwa imponujące zegary wskazywały jakieś dziwaczne rzeczy.

Jadwiga opuściła szyby. Powoli do środka zaczęło napływać zimne powietrze przesycone zapachem spalin i mokrego asfaltu. Noc była mglista, a mgła unosząca się nad wodą przybierała niepokojące kształty. Kobiety wyglądały przez okno w milczeniu, każda zatopiona w ponurych myślach.

Poczucie winy, strach przed jutrem i konsekwencjami decyzji, którą podjęły, a przede wszystkim obezwładniający niepokój o Anię... Beata po raz pierwszy od lat zapomniała zaplanować jutrzejszy obiad.

Nie czekały długo. Wkrótce na moście pojawił się starszy mężczyzna.

Szedł w ich kierunku od strony Podgórze, powoli, nie rozglądając się, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Z wyjątkiem trzech kobiet siedzących w samochodzie. Na jego widok każdą z nich uderzyła podwójna fala gorąca. I niepokój.

Mężczyzna zobaczył samochód. Zawahał się. Dopiero kiedy Jadwiga zawołała go po imieniu, podszedł i skinął głową na powitanie. A potem na jego twarzy zagościły błogość i ten charakterystyczny uśmiech, jaki u każdego dużego chłopca wyzwala widok szybkiego samochodu tudzież atrakcyjnej kobiety zwanej „ale laska”. Zaczął podziwiać niesamowitą maszynę, czując zapewne nieodpartą żądzę zajrzenia pod maskę, nie bacząc na miejsce i porę. Chłopcy tak mają.

Beata nie wytrzymała nerwowo.

– Gdzie jest Ania? – pisnęła błagalnie.

Przez chwilę wydawał się nie rozumieć, ale szybko oprzytomniał.

– Nie wiem – odpowiedział, odbierając jej nadzieję. – Dowiedziałem się, że Bułgar wynajmował tego policjanta do ochrony dziupli Sowy, o czym zresztą mało ludzi wiedziało, przynajmniej do dzisiaj. Wygląda na to, że sprzątnął tę staruszkę. Dla niego nie ma już więc powrotu... Nie wiem, czy jest to dobra wiadomość dla waszej Ani... – zawiesił głos. – Ale szczęście wam sprzyja, bo dowiedziałem się, że ten Marek zdobył jakieś istotne informacje i chce je sprzedać Bułgarowi. Dziś w nocy. Zawsze możecie go więc, drogie panie, same zapytać o dziewczynę... – Uśmiechnął się ironicznie.

Beata wydała z siebie dziwny szloch. Same zapytać! Jak bardzo żałowała, że pozwoliła sobie na mały relaks, łudząc się, że ten kryminalista przyprowdzi jej córkę. Sparaliżowana strachem wyszeptowała:

– Szybko, musimy zawiadomić policję.

Na dźwięk słowa „policja” Marian spiął się straszliwie i zaczął nerwowo drapać się po karku. Potem z niechęcią odsunął się od samochodu i jakby uwolniony od czaru astona, wrócił na most. Spokojnie zaczął iść w stronę, z której przyszedł.

– On... odchodzi – spanikowała Beata i poderwała się na siedzeniu. – Jadwiga, zrób coś!

Ta przekręciła kluczyk w stacyjce.

– Teraz to: „zrób coś”. Trzeba było nie wspominać o policji. To chyba oczywiste, że dla niego to bardzo drażliwy temat – mruknęła i wjechała na most, starając się jechać równo z

idącym Marianem, choć silnik astona stanowczo nie lubił tego tempa.

Mężczyzna szedł miarowym krokiem wzdłuż barierki, a jego zacięta twarz nie wróżyła nic dobrego.

– Marian, nie rób nam tego! – zawołała przez okno Jadwiga, przekrzykując wycie samochodu i spazmy Beaty.

– Nie tak się umawialiśmy – odpowiedział, nie patrząc w jej stronę.

– Powiedz tylko, gdzie możemy znaleźć Marka! Przecież nawet go nie znasz! Co ci zależy?

Marian zatrzymał się nagle, a Jadwiga automatycznie nacisnęła na hamulec.

– Tam będą także moi ludzie. Niektórzy z nich to lojalni przyjaciele – odezwał się z zadumą. – Tylko dzięki ich poświęceniu i pomocy nie gniję w więzieniu... Niewielu ze starych kumpli już zostało... – dodał.

– Słuchaj, Marian, my też aktualnie jesteśmy poszukiwane przez policję – rzuciła Jadwiga, jakby zdradzała mu wielką tajemnicę. Jeśli jednak myślała, że mężczyzna podskoczy z radości i zapyta w zachwycie dlaczego, to się grubo myliła.

Na jego twarzy pojawił się ironiczny grymas. Pokiwał głową, a potem rozglądając się, podszedł do samochodu. Oparł dłonie na drzwiach i uśmiechnął się drwiąco, jak gdyby fakt, że trzy panie są poszukiwane przez policję miał dla niego takie samo znaczenie jak to, że wczoraj padał deszcz. Nawet jeśli padał tylko nad Zakopianką.

– Wiesz, Jadwiga, możecie być poszukiwane nawet przez papieża, ja na informowanie policji się nie zgadzam – oświadczył.

Ale tym razem nie zdążył odejść, bo zza zakrętu wyjechał jakiś samochód i zatrzymał się tuż za nimi, oświetlając astona i stojącego przy nim mężczyznę. Jadwiga zerknęła w lusterko.

– No nie! – warknęła wściekła. – Policja.

– Co teraz? – jęknęła Danuta i obrzuciła koleżankę desperackim spojrzeniem.

– Tylko spokojnie – mruknęła Jadwiga, choć czuła się, jakby tym spojrzeniem dostała nagle w brzuch. – Żadnych podejrzanych ruchów, żadnych płaczów i jęków. Uśmiechać się. A ty, Marian, wsiadaj – rzuciła półgłosem, a widząc wahanie w jego oczach, dodała ostro: – Natychmiast.

Mężczyzna otworzył drzwi i wsiadł. Fakt, że może popatrzeć na świat z prawdziwego astona martina przesądził sprawę. Ale jeśli myślał, że Jadwiga naciśnie na pedał gazu i zaraz znajdą się na autostradzie do Warszawy, to się pomylił. Kobieta czekała spokojnie z miną całkiem niezłego pokerzysty, a kiedy do samochodu wolnym krokiem podszedł policjant, do końca opuściła szybę.

– Dobry wieczór – burknął mundurowy i skierował latarkę w oczy Jadwigi. – Tutaj nie wolno parkować. Dokumenty do kontroli... – mówił, świecąc do środka i przypatrując się znieruchomiałym w dziwnych uśmiechach twarzom. Miały wyrażać niewinność, ale jak to zwykle bywa, krzyczały strachem. I winą.

Widząc, że policjant zrobił się podejrzliwy, Jadwiga uśmiechnęła się.

Bardzo wytwornie. A potem, poprawiając elegancko włosy, powiedziała:

– *Guten Abend. Entschuldigung.* – Jej akcent był wyjątkowo przekonujący. Nawet jeśli nie był niemiecki.

Policjant znieruchomiał i przestał oślepiac pasażerów. Spojrzał wyraźnie zaskoczony na kierowcę. Tak jak i wszystkie osoby obecne w samochodzie.

– Słucham? – upewnił się, czy dobrze słyszał.

Jadwiga zagryzła lekko wargi, a potem, ku zdumieniu wszystkich, pewną ręką sięgnęła do skrytki i po chwili wyciągnęła z niej dokumenty.

– *Ich geniesse diplomatische Immunitat.*

Mężczyzna w osłupieniu spojrzął na podany mu paszport dyplomatyczny. Bardzo dyskretnie wystawał z niego plik banknotów w obcej walucie.

Ledwie zauważalny, choć pokaźny.

Jadwiga nie traciła kontaktu wzrokowego z policjantem. Zobaczyła wahanie w jego oczach. Kiedy z radiowozu wysiadł drugi mundurowy, temperatura w aucie musiała podnieść się o kilka stopni, bo uderzenia gorąca nękające kobiety wydawały się nie do zniesienia. Nawet Marian rozpiął guziki kurtki.

– Jakiś problem? – zapytał drugi policjant. Nie podszedł, ale Jadwiga zauważyła w lusterku, że jego ręka nerwowo powędrowała w stronę broni.

Przez moment panowała cisza. Nagle policjant stojący przy niej uśmiechnął się i oddał paszport, nie zaglądając nawet do środka. Banknoty zniknęły.

– Miłego wieczoru – usłyszała tylko i po chwili po radiowozie pozostał tylko smród taniego diesla.

Jadwiga opadła na siedzenie. Miała lodowate dłonie.

– Mówiłem ci, Jadwiga, ta twoja sprawiedliwa Temida to tak naprawdę przekupna dziwka – pierwszy odezwał się Marian. Zachował spokój, ale w jego głosie można było usłyszeć lekkie drżenie. Zapewne dawno nie był tak blisko umundurowanego policjanta.

Beata zakasłała nerwowo.

– Czy mogłabyś nam wytłumaczyć, co się właśnie wydarzyło? – zapytała cicho.

– Nieraz jeździłam z Conanem na spotkania, w końcu byłam jego sekretarką... – mruknęła Jadwiga, nie oglądając się do tyłu. – Najczęściej za granicę. I nigdy nie zabierałam ze sobą paszportu. Conan zawsze miał przygotowane odpowiednie środki w schowku. Nieważne, gdzie jechaliśmy, ani jaki miał samochód. Zawsze tam były. W schowku.

– Chcesz powiedzieć, że tak do końca to nie byłaś pewna, że tam coś jest!?

Jadwiga wzruszyła ramionami, a na jej twarzy pojawił się blady uśmiech.

– Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Danuta trzęsącą się ręką wyciągnęła papierosa, ale przejął go Marian.

Zazgrzytała zębami i wyciągnęła jeszcze jednego.

– Muszę przyznać, Jadwiga, że to zrobiło na mnie wrażenie – odezwał się w końcu mężczyzna. Patrzył na przejeżdżające samochody, zaciągając się raz po raz dymem. – I muszę się paniom przyznać, że... – uśmiechnął się niespodziewanie – już dawno tak dobrze się nie bawiłem.

Jadwiga spojrzała na niego z ukosa.

– Pomożesz nam? – zapytała.

– Tak. Ale warunek jest ten sam. Żadnych psów.

– To jak mamy to zrobić?

Marian wydmuchał dym.

– Pójdę na to spotkanie. Pogadam z Bułgarem...

Przerwało mu złośliwe parsknięcie z tylnego siedzenia.

– Jezu kochany, a ja myślałam, że to Jadwiga jest naiwna – odezwała się Danuta. – Jej przestałam się dziwić, wiele nie można oczekiwać po sekretarce, ale pan, panie Wiertara czy... jak tam panu jest? Pan jest zatwardziałym kryminalistą! Jasne, pójdę i powiem, żeby ją oddali... – ironizowała. – Co za szopka!

Marian wbił w nią mordercze spojrzenie. Przeżyła.

– Danuta ma rację – mruknęła Jadwiga po dłuższej chwili. – Nawet nie znasz Ani. Mogą pomyśleć, że poszedłeś na jakiś układ z policją. A jeśli cię zastrzelą albo coś stanie się Markowi, możemy nigdy nie znaleźć... – Nie przeszło jej to przez gardło. Rzuciła tylko ukradkowe

spojrzenie na Beatę, której twarz ukryta była w dłoniach.

– A co powiecie o Wiktorze? – powiedziała po chwili zastanowienia Danuta i wydmuchała wielkie koło dymu.

Marian spojrzał na nią złowrogo i wypuścił jeszcze większe. Zdawali się brać udział w jakimś konkursie dla nałogowych palaczy.

– I pani mówi o świetnych pomysłach? Czymże to Małaszyński różni się od całej reszty? Oprócz niezwyklej konsekwencji w deptaniu mi po piętach?

Jadwiga chwyciła Mariana za rękę z papierosem.

– To genialne! – powiedziała ozywiona. – Wiktor chce odnaleźć Anię nie mniej niż my, a przy okazji mógłby złapać Marka. Możemy udawać, że Małaszyński cię złapał. W to akurat wszyscy uwierzą, przecież jesteś poszukiwany... Spróbujemy wymienić cię na Anię. A ty trafisz do swoich i odejdziesz, kiedy będziesz chciał. Same korzyści!

– Korzyści to Wiktor odniesie, jak mnie złapie. Naprawdę myślicie, że wymieni mnie na tę dziewczynę? – wahał się Marian. – On nigdy się na to nie zgodzi.

– Zgodzi się – odpowiedziała z całym przekonaniem Jadwiga.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo pamiętam wyraz jego twarzy, kiedy zniknęła Ania. – Jadwiga łagodnie spojrzała na Beatę. – Zrobi wszystko, żeby ją znaleźć. I dopaść tego gnojka.

Marian wybuchnął śmiechem.

– No ja nie mogę – powiedział w końcu, bardziej do siebie niż do siedzących obok kobiet. – Poszukiwany od lat przez policję jadę sobie w towarzystwie trzech pięknych kobiet do tropiącego mnie psa, pięknym astone...
– Należącym do agenta wywiadu – doinformowała go z tylnego siedzenia Beata, pokrzepiona nieco słowami Jadwigi.

Ta informacja dopełniła miary.

– To jest życie! Żyjmy chwilami jak ta, bo to wszystko, co nam pozostało – załkał Marian, a Jadwiga nacisnęła jakiś przycisk i nagle tuż przed mężczyzną wysunęła się mała buteleczka whiskey.

Kolejny spazm. Marian chwycił butelkę i pociągnął łyk. Świat dopiero nabierał kolorów.

– Gdzie znajdziemy Marka? – zapytała Jadwiga.

– Na cmentarzu Rakowickim. – Marian spojrzał na zegarek i znowu się napił. – Za dwie godziny.

– Hm – mruknęła Jadwiga, zagryzając wargi. – Cmentarz... Niedobrze.

Jak się pojawimy na cmentarzu o tej godzinie bez żadnego konkretnego powodu, to na pewno zwrócimy na siebie uwagę. Nie zdążymy nawet podejść do bramy, a już mogą nas zastrzelić...

– To zostaw mnie – odezwała się Beata, skoncentrowana na działaniu, a nie na histeryzowaniu. – Cmentarz to żywioł mojej matki. Stworzyła z koleżankami kółko pogrzebowe. Dorabiają do emerytur organizowaniem pogrzebów. Wiecie, pomagają w doborze kwiatów, muzyki... płaczą na zamówienie, i to bardzo przekonująco. Nawet trumnę do osobowości zmarłego potrafią dobrać. Czasami robią pokazówki. A karawan też się znajdzie...

– Przerwała, widząc osłupiałe spojrzenia. – No co? Każdy ma jakiegoś świra. – Nikt i tak nic nie rozumiał, więc przestała się tłumaczyć i powiedziała krótko: – Danka, telefon.

Danuta sięgnęła do torebki.

– Jezu – wyszeptała nagle. – Ktoś mi ukradł komórkę.

Jak na komendę wszystkie spojrzenia skierowały się na Mariana.

Aż poczerwieniał z oburzenia.

– No wiecie co, kobiety? Możecie mnie nazwać ojcem chrzestnym mafii, kryminalistą dużego kalibru, ostatnim gangsterem Rzeczypospolitej, ale na pewno nie jakimś podrzędnym kieszonkowcem... – powiedział obrażonym głosem. W końcu nie dostrzegały jego zasług dla przestępczego podziemia.

Jadwiga i silnik ryknęli w tym samym momencie. Jadwiga śmiechem, a silnik... cóż... dokładnie tym, czym silnik ryczeć powinien.

– To ja – przyznała się w końcu, zostawiając ryczenie astonowi. – Schowałam wszystkie telefony w biurze. Inaczej zaraz by nas namierzyli.

Jakaś budka jeszcze się chyba ostała, nie? – powiedziała, a potem spojrzała na Danutę. – Wiem, gdzie szukać budki, ale... gdzie szukać Wiktora?

Marian wiedział.

– Łepkowskiego – mruknął. Kobiety wpatrywały się w niego intensywnie, ale wzruszył tylko ramionami i z pewnością nonszalancją dodał: – No co?

To pierwsze przykazanie w dekalogu zbiega: każdy szanujący się ścigany powinien wiedzieć, gdzie mieszka ten, kto go ściga... To ci daje przewagę.

Żadnej z kobiet nie przeszło nawet przez myśl, by zapytać o pozostałe dziewięć przykazań.

ROZDZIAŁ 71

Pierwszym sygnałem, który dotarł do jej budzącego się powoli do życia ciała, było uczucie przeraźliwego zimna. Anka zadrżała. Spróbowała się poruszyć, ale jej ręce i nogi nie były w stanie wykonać żadnego ruchu. W dodatku ten dławiący ból w ustach.

Otworzyła oczy.

W bladym świetle leżącej na podłodze latarki zobaczyła twarz Marka.

Jej przytomne spojrzenie wyraźnie go zaskoczyło.

– Już się obudziłaś? – mruknął niezadowolony, ocierając pot z czoła. – Musiałem dać ci za słabą dawkę.

Nie odpowiedziała. Nawet jeśli chciała, nie była w stanie. Ze zgrozą uświadomiła sobie, że jest zakneblowana. I związana. Przekręciła głowę i instynktownie spojrzała w bok.

Leżała na posadzce czegoś, co pomimo natłoku histerycznych myśli rozpychających się jej w głowie zidentyfikowała jako kaplicę cmentarną. W ciemnościach jasnymi plamami odcinały się dwa witrażowe okna znajdujące się po przeciwległych stronach grobowca. Słabe światło księżycy wpadające do wnętrza oświetlało stojącego pośrodku wielkiego kamiennego anioła, który strzegł trumien znajdujących się za marmurowymi płytami.

Jego wydłużony cień pełzał po ścianach. Wydawało się jej, że z mroków wyciągają się po nią niecierpliwie ręce umarłych.

Przez moment desperacko próbowała sobie przypomnieć, co tu robi i co się w ogóle wydarzyło. Nic nie pamiętała. Nie rozumiała. Marek, widząc w jej rozszerzonych oczach przerażenie, westchnął z miną kogoś, komu właśnie wpadła pod samochód staruszka i musi pomóc jej się podnieść. Bo wypada.

– Przykro mi, że do tego doszło – powiedział, patrząc na zegarek. – Ale nie martw się, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, już niedługo wrócisz do mieszkania, które tak pięknie wyremontował ci Wiktor. – Sprawdził jeszcze raz, czy krępujący ją sznur jest związany jak należy. W końcu nikt nie chciałby niespodzianki w postaci jęczącej zjawy wychodzącej o północy z cmentarnej kaplicy. A potem wyznał: – Wiesz, przyznam ci się, że od początku

wiedziałem, że Wiktor pracuje dla CBS... Dlatego musiałem pierwszy znaleźć Wiertarę, rozumiesz? Wiertara za dużo wie, żeby wpaść w ręce policji. A podobno tak ufał tej swojej Sowie, że nigdy nie sprawdzał, czy jest bezpiecznie...

Zacząła jęczeć, chcąc, by ściągnął jej z twarzy knebel, ale on westchnął tylko.

– Strasznie bym chciał, Aniu, ale nie mogę. Zacznieś krzyczeć i będę musiał ci zrobić krzywdę, a naprawdę tego nie chcę. Brzydę się przemocą i stosuję ją tylko w ostateczności – powiedział bardzo przekonująco, a potem usiadł obok niej i oparł się o mur. Patrzył na Ankę przez chwilę. – Nie mogę zostać długo, bo mam spotkanie z jednym gangsterem. Paskudny człowiek – na twarzy Marka pojawiło się teatralne obrzydzenie – ale przynajmniej płaci uczciwe pieniądze... Choć jakby się nad tym zastanowić, to czy mafijne pieniądze mogą być uczciwe? – zachichotał, ale widząc, że Anki to nie bawi, dodał gwoli usprawiedliwienia: – Aniu, sama wiesz, że w budżetówce nie da się normalnie zarobić. Kiedyś próbowałem być wzorowym stróżem prawa, ale ludzie to naprawdę potrafią każdego zepsuć – zwalił winę na społeczeństwo. – Za wszystko wtykają ci forszę. Nie dają szansy uczciwym policjantom. W końcu zaczynasz brać, bo... nie widzisz alternatywy – westchnął ciężko. – Gówniane pieniądze i gówniana praca.

W sumie na coś mi się przydała, ale szkoda, że Wiertara się nie zjawił. Za jego likwidację Bułgar był gotów zapłacić taką kasę, że mógłbym następne dwadzieścia lat wygrzewać się na Karaibach...

Ciałem Anki wstrząsnął nagły dreszcz.

Zauważył.

– Gdyby nie chodziło o tak niewyobrażalną sumę, nie załatwiłbym przecież tej staruszki. Nie jestem psychopatą – wrzucił ramionami. – Zresztą... Wiertara dla wszystkich stanowi zagrożenie. Nawet dla siebie – dodał gwoli wyjaśnienia i poklepał ją po policzku. – Nie wrywaj się, bo będziesz miała siniaki. A te nawet na nieboszczyku nie wyglądają dobrze.

– To powiedziawszy, wstał i wyszedł, zabierając ze sobą światło.

ROZDZIAŁ 72

Wiktor otworzył drzwi z pistoletem w dłoni. Widząc stojące przed nim trzy kobiety, opuścił broń, ale jego mina wskazywała wyraźnie, że wolałby stanąć twarzą w twarz z seryjnym zabójcą, i to niejednym, niż z tymi stukniętymi emerytkami. Przynajmniej miałyby okazję się wyładować. Na wypadek gdyby panie miały jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do temperatury powitania, obrzucił je, delikatnie mówiąc, lodowatym spojrzeniem.

– Jak mnie panie znalazły? – zapytał, zawieszając wzrok na Jadwidze.

Zapewne najbardziej mu podpadła. Wyraźnie unikał za to wzroku Beaty.

– Potrzebujemy pana pomocy – powiedziała poważnie Jadwiga. Nie zamierzała odpowiadać na jego pytanie. Żeby czasem nie wpaść w manię prześladowczą jak ona. Bo jeśli wszyscy zbiegowie, których szuka, znają jego kwatery, to mogłby nigdy więcej nie zmrużyć oka.

Wiktor prychnął i podrapał się lufą pistoletu po zarosniętej twarzy.

– Świetnie – oświadczył z udanym entuzjazmem. – Mam paniom pomóc w dezorganizacji jakiejś kolejnej akcji policyjnej? Jeszcze chcą panie czymś się wykazać? Co za porażka...

– Sam sobie jest pan winien, panie Wiktorze – odpowiedziała Jadwiga.

– Trzeba było nie wciągać w policyjną akcję Ani. Ale może pan jej jeszcze pomóc... –

Coś w głosie kobiety wyraźnie go zaintrygowało, bo westchnął i odważywszy się w końcu rzucić Beacie krótkie spojrzenie, przesunął się i zrobił im miejsce w drzwiach.

Weszły. Kawalerka była ciasna i nieprzyjemna. Tuż obok łóżka stała spakowana torba.

– Muszę wracać do Warszawy – mruknął w odpowiedzi na ich pytające spojrzenia. – Zostałem zawieszony, a poza tym odcięto mnie od wszelkich informacji dotyczących sprawy... Kochanowskiego. A wszystko dzięki paniom – uśmiechnął się cierpko.

– Dziękować będzie pan później – powiedziała niedbale Jadwiga, siadając na krześle. Przez chwilę milczała, stopniując napięcie, a potem wyrzuciła to z siebie jednym tchem: – Panie Wiktorze, przyszliśmy do pana, bo mamy informatora. I wiemy, gdzie Marek ma spotkać się z Bułgarem dzisiaj w nocy.

– Zaraz – powiedział spokojnie, choć w jego oczach widać było ekscytację. – Dlaczego przyszły z tym panie do mnie?

– Nasz informator nie zgadza się na zawiadomienie policji. Dałyśmy mu słowo. Bo chodzi o Anię...

– A ja? Też jestem z policji.

Przez chwilę panowała cisza.

– Pan bardzo chce znaleźć moją córkę... – wyszlochała w końcu Beata.

– Prawda?

Nie odpowiedział.

– Mamy pewien plan, ale bez pana nie uda się nam go zrealizować – wyjaśniła Jadwiga.

Wiktor bez słowa usiadł na parapecie okna. Położył pistolet obok siebie i spojrzał na nie wyczekująco.

Jadwiga zwlekała kilka sekund. Wpatrywała się w jego gniewne brązowe oczy, zastanawiając, czy ten mężczyzna ma w sobie tyle desperacji i czy aż tak zależy mu na Ani, żeby pomóc wbrew ogólnie przyjętym zasadom.

Najwyraźniej zdał egzamin, bo wstała i zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi. Otworzyła je jednym szarpnięciem.

Do mieszkania wolnym krokiem wszedł Marian *vel* Wiertara. Rozejrzał się z niesmakiem dookoła, a potem wypluł na dywan trzymany w ustach papieros. Najwyraźniej przypomniały mu się czasy dawnej świetności, bo nie wyglądał już na skruszonego bezdomnego, którego tu przywiozły. Raczej na dumnego mafijnego bossa. Przyjaciółki wymieniły nerwowe spojrzenia, a potem utkwily wzrok w Wiktorze.

Ten oniemiał. W ułamku sekundy na jego kamiennej dotąd twarzy skumulowały się wszystkie emocje. Gniew, niepokój, poczucie winy. I wściekłość. A potem zerwał się z parapetu tak gwałtownie, że upadł mu pistolet. Podniósł go szybko i wymierzył.

Tak. Marian *vel* Wiertara potrafił zrobić wrażenie. I zdawał się nie widzieć niebezpieczeństwa. Uśmiechnął się z zadowoleniem, a potem podszedł do Wiktora, zmierzył go od stóp do głów tym swoim świdrującym spojrzeniem i wydmuchał mu w twarz dym.

– Ale nora, Wiktor – powiedział tylko. – Myślałem, że bardziej o was dbają podczas niebezpiecznych akcji.

Policjant bez wahania odbezpieczył broń. Jego oczy zrobiły się nagle zimne i niebezpieczne.

– Skąd on się tutaj wziął!? – wyrzucił z siebie urywanym głosem. – Dwa lata spędziłem, żeby go dorwać! Dwa najbardziej gówniane lata w moim życiu, a on wchodzi do mojego mieszkania jak do knajpy!

– Najlepiej się zastrzel z tego żalu, dobrze ci radzę – powiedział Marian, a jego pobłażliwa mina mogłaby wyprowadzić z równowagi kamienny posąg. Nic dziwnego, że Wiktor dokładnie tak się poczuł. Wyprowadzony z równowagi.

– Zamknij się, bo nie ręczę za siebie – warknął. Jego palec, jakby wodzony na pokuszenie, gładził spust.

– Proszę, zastrzel mnie! Wyświadczysz mi tylko przysługę. Tylko że ta twoja panienka, Wiktor... nie ma wtedy żadnych szans.

– Dość! – rozległ się nagle histeryczny krzyk Beaty. Mężczyźni znieruchomieli, a ona zerwała się z krzesła. – Tu chodzi o życie Ani!

Wiktor momentalnie opanował się i opuścił broń. Przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w Mariana, jakby zastanawiał się nad sytuacją, a potem spojrzął na Jadwigę, domagając się wyjaśnień. Ta wstała i podeszła do Beaty.

– Pomyślałyśmy, że można... – zaczęła i zakaszła. – To znaczy, gdyby pan, panie Wiktorze, zdecydował się nam pomóc, mógłby pan iść na spotkanie i... – zawahała się – wymienić Mariana na Anię – dokończyła cicho.

Na twarzy Wiktora pojawiło się osłupienie, potem niedowierzanie, a na końcu wybuchnął straszonym śmiechem, bynajmniej nie zaraźliwym. Co najwyżej dobijającym.

Beata zamknęła oczy.

– Mówiłem ci, Jadwiga, że on nigdy nie pójdzie na taki układ – odezwał się ponuro Marian.

Wiktor momentalnie zamilkł, jakby jego śmiech był jedynie nagraniem z playbacku, które można wyłączyć jednym naciśnięciem palca.

– A kto powiedział, że nie? – zapytał śmiertelnie poważnym głosem. – Tylko zacząłem się zastanawiać, co cię motywuje, Wiertara? Bo nie spodziewam się, żeby taki drań jak ty mógł mieć sumienie.

Jadwiga obrzuciła Mariana wystraszonym spojrzeniem. Zaczęła panicznie się bać, że zmieni zdanie. Ale on siedział spokojnie, wyciszony. Najwyraźniej wiedział, że decyzja o wejściu do tego mieszkania była nieodwracalna. Jak pociągnięcie za spust. Nawet jeśli zwolnisz cyngiel, pocisk nigdy nie wróci do lufy.

– Chcę nową tożsamość i nowe życie – powiedział, jakby nie słyszał komentarza Wiktora. – Jestem pewien, że masz dokumenty, które Sowa dla mnie przygotowała... Moja motywacja jest równie mocna jak twoja. A może nawet większa. Ja chcę znowu normalnie żyć, Wiktor. Chcę być sobą. Mam nadzieję, że cała ta sprawa pozwoli mi w jakimś stopniu... – zawahał się – odkupić winy. Bo trafić za kratki nie zamierzam.

– Słyszałem, że ostatnio kilku twoich ludzi miało prawdziwego pecha...

– droczył się z nim okrutnie Wiktor. – To przykre, Wiertara. Najpierw Leon, potem Siara... Stara gwardia odchodzi... A ty z własnej woli robisz coś wbrew interesom grupy. Nie boisz się, że zostaniesz sam?

– Panie Wiktorze, decyzja należy do pana – przerwała mu Danuta i podeszła do Beaty. Położyła jej rękę na ramieniu. – Pan jest profesjonalistą, pan Marian, jakby na to nie spojrzeć, również. – Zawiesiła wzrok na wymiętej twarzy ostatniego gangstera Rzeczypospolitej i dodała wymownie: – Czas ucieka.

– Ile zostało tego czasu? – zapytał Wiktor konkretnie. Jadwiga spojrzała na zegarek.

– Godzina bez pięciu minut – rzuciła półgłosem. – Marek ma spotkać się z Bułgarem na cmentarzu Rakowickim o jedenastej.

– Cmentarz jest zamknięty o tej porze... – mruknął Wiktor.

– Czyżbyś bał się duchów? – dociął mu Wiertara, a potem sposepniał nagle, jakby wyrecytował właśnie ostatnią kwestię dumnego mafiosa, i opadł na krzesło, zamieniając się z powrotem w Mariana, skruszonego grzesznika.

– Każdy ma jakieś duchy, które go prześladowają... – Wiktor wpatrzył się w niego zimno. – A ty, Wiertara? Co ciebie prześladowuje?

Gangster uśmiechnął się słabo.

– Przeszłość – powiedział. – Chce mnie dorwać i zniewolić.
Cisza.
– Czy doszliśmy do porozumienia? – zapytała w końcu zdeorientowana Jadwiga.
Wiktor, jakby od początku było oczywiste, że zgodzi się na układ, powiedział:
– Spróbujmy. Jeśli mamy sobie ufać, to teraz jest odpowiedni moment, żeby zacząć.
Zabieram Wiertarę moim samochodem. Mamy do obgadania pewne bardzo ważne sprawy.
Spotkamy się na miejscu. – Kąciki ust wygięły mu się w niepokojącym grymasie.
Marian znieruchomiał, na jego twarzy pojawił się cień niepewności.
– Daleś słowo, Wiktor, żadnej policji.
– Nie bój się, wszystko będzie, jak trzeba. – Grymas na twarzy Wiktora zaczął udawać uśmiech. Widząc, że Marian nie jest do końca przekonany, policjant powiedział: – W końcu sam do mnie przyszedłeś, prawda? Miej wiarę, kolego. Podobno wiara góry przenosi... – A potem dodał ironicznie: – To jak, partnerze, jedziemy?

ROZDZIAŁ 73

Ze stanu hibernacji wybudziły Ankę stłumione głosy.
– Ile za czaszkę? – pytał ktoś.
Zmartwiała.
„Jezu, nie! Ja jeszcze żyję!” chciała krzyknąć, ale zaczęła się dusić. Zapomniała, że w ustach ma szmatę, przez którą słowa nie były w stanie się przedrzeć.
– Ale pan sobie liczy! – irytował się głos. – Proszę dać jakąś zniżkę. Jesteśmy tylko biednymi studentami...
– Wiedza kosztuje. Jak pan student taki biedny, to po co przyłazi zawracać mi głowę? Ja za mniej niż cztery stowy nie mam nawet zamiaru fatygować się po łopatę.
Anka zaczęła jęczeć. Głosy umilkły.
– Co to było? – zapytał po chwili pierwszy. Z butnego stał się nagle bardzo pokorny.
– Umarłaki się w grobach przewracają, że pan student nie chce zapłacić porządnie za wiedzę...
– Pomocy – jęczała Anka coraz głośniejsze, ale z powodu szmaty z jej gardła wychodziło tylko marne zawodzenie.
Usłyszała tupot kroków i po chwili wszystko ucichło.

ROZDZIAŁ 74

Powoli podjeżdżały pod cmentarz, rozglądając się uważnie dokoła. Księżyc wychylał się co jakiś czas zza przesuwających się po nocnym niebie chmur, jakby rzucał ciekawskie spojrzenia na stojący tuż obok bramy karawan i na kondukt żalobny składający się z kilku ubranych na czarno postaci.
Samochodu Wiktora nie było widać.
– O! Michałek załatwił auto. A mama płaczki – powiedziała Beata, wzruszona na widok jednoczącej się w potrzebie rodziny.
Jadwiga zaparkowała w bocznej uliczce. Wszystkie wysiadły z astona i rozglądając się uważnie dokoła, skierowały ku bramie głównej. Beatę z każdym krokiem ogarniała większa panika. Jakby wszystko, co się dotychczas wydarzyło, było zaledwie koszmarem sennym, który

teraz zaczynał nabierać realnych kształtów. Kształtów cmentarnych krzyży. Na szczęście w tej godzinie próby towarzyszyli jej wierna matka i troskliwy syn.

„Nie jestem sama”, pocieszała się. Ostatkiem sił opanowała przemożne pragnienie wydania strasznego krzyku i podeszła do kobiety stojącej za karawanem.

– Cześć, mamó – powiedziała z rozczuleniem i uśmiechnęła się smutno. – Dziękuję, że...

– Jesteś, Beatko. O mało się nie spóźniłaś – powitała ją cierpko babcia, a potem obrzuciła krytycznym wzrokiem stojące za Beatą kobiety. Westchnęła. – Wszystko gotowe! – W jej głosie rozbrzmiewała wyraźna duma. – Nawet trumnę udało mi się pożyczyć na czas.

– Jestem pod wrażeniem twoich zdolności organizacyjnych, mamó, ale...

– To dobrze – przerwała babcia. – Niestety ja nie jestem pod wrażeniem twojego przygotowania – powiedziała niespodziewanie. – Jak ty się ubrałaś na pogrzeb?

Beata poczuła piekącą wściekłość. Miała dobrze ponad pół wieku, a jej matka nadal potrafiła wyprowadzić ją z równowagi. W gardle zdusiła ostre słowa.

– Nie sędzę, żeby to był dobry moment na rozmowy o stroju – syknęła tylko.

– Zgadzam się – Babcia spojrzała raz jeszcze na stojące za Beatą kobiety, które dławily się ze śmiechu. – Jak zwykle muszę myśleć za ciebie.

Z ciężkim westchnieniem kogoś, kto jest niezastąpiony, otworzyła drzwi karawanu i z przygotowanego małego stosu czarnych kapeluszy z woalkami wyciągnęła trzy.

– Na pogrzeby, drogie panie – powiedziała, wręczając każdej kobiecie po kapeluszu i wskazując ręką na nienagannie ubrane koleżanki z kółka pogrzebowego stojące pod pobliską latarnią – nadal chadza się w czerni. A kapelusze z woalkami, proszę mi wierzyć, dodają dramatyzmu...

Beata zamknęła oczy. Bała się, że ze złości popękają jej źrenice. Ale babcia dopiero się rozkręcała.

– Która z pań zamówiła demonstrację?

Danuta posłusznie włożyła kapelusz, a potem podniosła do góry rękę. Z papierosem.

– Ja mogę być... – zawahała się – tą, która zamówiła...

Przerwała, bo babcia wpatrzyła się w nią jak w cmentarną hienę.

– Och! Jak pani może palić na cmentarzu! – oburzyła się starsza pani.

– Tak bezczęścić święte miejsce!

– Mamó, nie teraz. – Beata starała się interweniować, ale bez rezultatu.

Jadwiga bez słowa schowała twarz pod woalkę. Dusząc się ze śmiechu.

– Przepraszam – odpowiedziała Danuta z grobową powagą i jak zwykle przekornie – nie mogę sobie poradzić z nałogiem. – I demonstracyjnie zaciągnęła się dymem.

– Wymówki... – Babcia pokiwała głową z dezaprobatą, a na jej twarzy pojawił się złośliwy uśmiezek. – Mój mąż też miał z tym problem. Ale znalazłam skuteczny środek. Nie pali od trzydziestu lat. – Nagle przestała się uśmiechać. – Kazek, chodź tu! – krzyknęła.

Beata znieruchomiała. „Dziadek!? A co z Michałem!?”

– Czego? – z karawanu dał się słyszeć chrapliwy głos dziadka.

– Jest tu jedna pani, która ma problemy z paleniem – wycedziła babcia ze śmiertelną powagą, a potem popatrzyła na Danutę z jakąś psychopatyczną przyjemnością.

Beata czuła, że nie kontroluje sytuacji, a jedyne, na czym może się jeszcze skupić, to liczenie wirujących jej przed oczyma czerwonych plamek.

Jadwiga siedziała na krawężniku, nawet nie próbując ukrywać śmiechu, a Danuta ze spokojem, a nawet z pewnym znużeniem, czekała na mające nadejść objawienie. I doczekała się.

Z karawanu wysiadł dziadek, schylił się i spod siedzenia wyciągnął wielką dubeltówkę.

Potem ku osłupieniu wszystkich podszedł do Danuty i bez wahania *wymierzył jej broń między oczy.*

– Palenie zabija – oświadczył strasznym głosem.

Papieros wypadł z rozdziawionych ust kobiety. Na szczęście, bo mógłby zostać odstrzelony.

Beata doszła do siebie i ku ogólnej dezaprobachie zachwyconych dziadkiem staruszek, rzuciła się na niego i wyrwała mu z ręki dubeltówkę.

Choć nie wiedziała, co z nią zrobić.

– Skąd masz broń!?

Dziadek wzruszył ramionami.

– Została mi z partyzantki – wytłumaczył, uśmiechając się bezżębnym uśmiechem.

Najwyraźniej babcia tak go poganiała, że zapomniał zabrać sztuczną szczękę.

– Kazek, ty w partyzantce byłeś? – Jedna ze staruszek złożyła z uwielbieniem ręce, ale nie zdążyła nic dodać, bo Beata syknęła wściekła:

– Dlaczego nie zdałeś po wojnie!?

Dziadek wzruszył ramionami.

– Najpierw myślałem, że będziemy wrogi system zwalczać, a potem twoja matka mi nie pozwoliła. Twierdzi, że nigdy nie wiadomo, kiedy się może przydać i w sumie... – łypnął na zadowoloną żonę – to się z nią teraz zgadzam.

– Dość! – rozhisteryzowała się Beata. „Ania porwana, a oni taki cyrk odprawiają!”

Wcisnęła dziadkowi dubeltówkę i kazała mu wracać do karawanu.

Podeszła do Danuty. Ta patrzyła nieprzytomnie. A może bała się spojrzeć prawdzie w oczy? Bo palenie zabija?

Jadwiga po cichej naradzie z Beatą zaprowadziła Danutę do karawanu.

Żeby jednak mogła spojrzeć tej prawdzie w oczy. Z pomocą dziadka.

– Gdzie Michał? – zapytała Beata babcie półgłosem i bez żadnych gwałtownych ruchów, które mogłyby zaalarmować stojące nieopodal staruszki.

– Przecież mówiłam mu, że to bardzo ważne, żeby przyjechał osobiście mi pomóc...

Nie dokończyła.

– Beatko, czy ty uważasz, że ja jestem głupia? Nie urodziłam się wczoraj, zresztą ty też nie – powiedziała babcia wyjątkowo logicznie. A nie jak zwykle. – Policja pytała o ciebie – mruknęła, upewniając się, że żadna z koleżanek nie słyszy. W końcu córka poszukiwana przez policję to nie powód do dumy. – Myślisz, że jestem taka naiwna, żeby uwierzyć w nocną pokazówkę na zamkniętym cmentarzu?

Beata nie mogła się otrząsnąć z szoku.

– Ale, mam, myślałam, że masz sklerozę...

– A ja, że ty więcej rozumu. Co się stało?

– Ania! – jęknęła Beata. Nie musiała mówić nic więcej. Babcia przypatrywała się jej uważnie przez chwilę, a potem pokiwała głową.

– Czas na wyjaśnienia przyjdzie później. Teraz jest czas na pogrzeb – powiedziała, po czym mrugnawszy okiem, wróciła do swojego zwyczajnego rozkojarzonego tonu. – Aha, zanim zapomnę, Michałka wysłałam do kina – dodała i patrząc na karawan, uśmiechnęła się. – Mam nadzieję, że Kazkowi spodoba się ten model, bo właśnie taki mam zamiar mu zamówić...

Nagle podeszła do niej koleżanka.

– Hela, czyj to właściwie pogrzeb? – zapytała trzęsącym się głosem, a jej pojawienie się Beata powitała z uczuciem prawdziwej ulgi. – Bo my tam chcieliśmy jakieś modlitwy zmówić, a nawet nie wiemy, czy to męzczyzna, czy kobieta...

Babcia westchnęła ciężko.
– Oj, Ada, co za różnica? I tak masz sklerozę. Zmawiajcie uniseks.
– A dlaczego nikt nie płacze?
– Może zacznijmy? – zaproponowała babcia, kiedy nagle, zupełnie niespodziewanie, z mroku wyłonił się jakiś mężczyzna.
– Czego tu? – zapytał nieufnie na widok konduktu.
Babcia rzuciła mu wyniosłe spojrzenie i chwyciła Adę pod ramię.
– Pogrzeb, a co ma być? – powiedziała. – Pan pierwszy raz na cmentarzu?
– Pogrzeb? O tej porze?
– Każda pora jest dobra, żeby w proch się obrócić – oświadczyła dobitnie babcia, a jej koleżanka profesjonalnie zawyla. – A nasz biedak był alergikiem. Na słońce nie mógł wyjść, bo oczy mu się wylewały. To przecież nie możemy mu po śmierci na złość zrobić. To niemoralne!
– Ale ja o niczym nie wiem. Jestem tu stróżem... Pierwszy raz ktoś mi taki numer wykręca – poskarżył się mężczyzna, nie wiedząc, jak zareagować.
– Taki numer to życie wszystkim wykręca i proszę mi wierzyć, nigdy nie wiadomo kiedy.
– Babcia zawiesiła złowróźnie głos.
Mężczyzna popatrzył na nią podejrzliwie.
– Taaak. A jak się nazywał nieboszczyk?
To już zirytowało starszą panią, bo ileż można.
– Pan uszanuje moją sklerozę. I proszę nas już zostawić. Jesteśmy w żałobie – oświadczyła z mocą.
Mężczyzna milczał przez chwilę, a potem powiedział stanowczo:
– Proszę tu poczekać, ja to muszę sprawdzić.
I zniknął w swojej budce.
– Pewnie zadzwoni po policję. Gdzie oni są!? – Beata zagryzła wargi i rozejrzała się dokoła. Ogarnął ją paniczny lęk. Co jej strzeliło do głowy, żeby pozwolić wsiąść do jednego samochodu uciekinierowi i szukającemu go tak długo i gorliwie policjantowi?
– Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze – próbowała uspokoić ją Jadwiga. – Tak *a propos*, Beata, uwielbiam twoją matkę! – mówiła wesoło, ale rozglądała się ukradkiem, szukając niespokojnym wzrokiem samochodu Wiktora. – Mogłaby zostać agentką. Jest lepsza niż niejeden z moich znajomych...
– Tych z sekretariatu? – dogryzła jej Beata, ale zamilkła, bo zauważyła, że przy ulicy zatrzymała się biała furgonetka, z której szybko wysiedli obaj mężczyźni. Żywi i bez widocznych obrażeń na ciele.
– Są! – Beata poczuła, jak kamień spada jej z serca, tylko po to, by odbić się od dna żołądka jak od trampoliny i utknąć w gardle na myśl o tym, co się może za chwilę wydarzyć.
Podeszły do mężczyzn. Wiktor był blady, a wielkie cienie pod jego oczami potęgowały wrażenie posępnosci. Marian włókł się za nim, zrezygnowany i dziwnie bezwolny. Beata patrzyła to na jednego, to na drugiego, zastanawiając się, co wydarzyło się w samochodzie. Po chwili doszła do wniosku, że nie chce wiedzieć.
– Dojechalśmy – mruknął policjant. Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo Jadwiga szybko włożyła mu do kieszeni kurtki długopis i uśmiechnęła się niewinnie.
– To dyktafon – wyjaśniła. – Przydałoby się, żeby Marek przyznał się do zabójstwa, zwłaszcza... Kudłatego Edzia... – Widząc podejrzliwy wzrok mężczyzny, przygryzła wargi. – Potem wszystko panu wytłumaczę, słowo sekretarki. Aha, gdyby coś zaczęło się dziać, wjedziemy karawanem na teren cmentarza i zrobimy zadymę – obiecała.
– W to akurat nie wątpię – mruknął znowu Wiktor. Potem rzucił okiem na zegarek i

spojrzał na Mariana.

Ten skinął głową.

– Panie Wiktorze... proszę na siebie uważać – powiedziała łamiącym się głosem Beata i chwyciła mężczyznę za ramię. – Ania... – nie dokończyła.

Wiktor spojrzał na nią uważnie.

– Proszę się nie martwić, pani Beato. Wszystko będzie dobrze, prawda, Wiertara? – rzucił ze spokojem, za który była mu straszliwie wdzięczna, po czym uwolniwszy się z jej uścisku, ruszył w stronę bocznej bramy. Marian stał jeszcze przez chwilę.

– To pani karawan? – zapytał obojętnie, patrząc na Beatę.

– Pożyczony...

Wiktor usłyszał tę wymianę zdań. Zatrzymał się w pół kroku i odwrócił głowę.

– Widzisz, Wiertara – rzucił przez zęby. – Gdyby coś poszło nie tak, przynajmniej pogrzeb mamy zapewniony. Karawan już czeka. I nawet kobiety płaczą. Kto by pomyślał. Darmowy pogrzeb. Normalnie jak wygrana w totka.

– Tak. – Marian z zadumą pokiwał głową. – Tylko nie wiemy jeszcze, kto wypełnił szczęśliwy kupon.

ROZDZIAŁ 75

Znowu obudziły ją głosy. Na początku wydawały się jej odległe i niewyraźne, ale po chwili zaczęła rozumieć poszczególne słowa. I ich sens. Rozpoznała stłumiony nieco głos Marka.

– Mamy problem.

– Problem? A co to, kurwa, ma znaczyć? – zabrzmiało w oddali, ale za to zdecydowanie wyraźniej.

Zapanowała cisza.

Anka postanowiła podczołgać się do witrażowego okienka, w którym brakowało kilku szybek. Tymczasem Marek, jękając się, tłumaczył:

– No... problem to taka, wiesz Bułgar, taka... komplikacja...

– Komplikacja? – zdenerwował się głos. – Ja ci nie płacę za definiowanie problemów, tylko za ich rozwiązywanie! Co się stało?

Próbując nie zadławić się szmatą, Anka rozpoczęła żmudny proces przesuwania się po kamiennej posadzce w kierunku okna.

– Wiertara się nie zjawił...

Kilka ruchów, a czuła się, jakby właśnie ukończyła maraton. Krew w oszalałym tempie dudniła jej w głowie. Ostatkiem sił dotarła do witrażowego okna. Zdołała unieść się nieco i podeprzeć głowę na szerokiej kamiennej wnęcie. Potem przysunęła oko do dziury w witrażu, obcierając sobie przy tym skroń o chropowatą ceglana ścianę, i znieruchomiała. Poczowała nagle uderzenie zimnego powietrza. Zupełnie jak przy badaniu okulistycznym. Zamknęła odruchowo oczy.

– Mamy w organizacji wtyczkę. – Głos Marka zmienił ton na dużo pewniejszy.

Dłuższą chwilę zajęło Ance oswojenie się z perspektywą. Kiedy wreszcie była w stanie coś zobaczyć, poczuła się jak widz w teatrze plenerowym.

Plecy stojącego przed nią mężczyzny zidentyfikowała jako plecy Marka.

Nieco dalej w świetle latarni zauważyła między grobami kilku osiłków.

Zdawali się chronić postawnego faceta z charakterystycznymi bokobrodami, który przypominał Elvisa. Anka instynktownie odgadła, że jest to zapewne szef. I nie pomyliła się.

Bułgar patrzył przez chwilę na Marka, a potem, założywszy ręce, oparł się o latarnię.

– Kto? – zapytał spokojnie. Jego opanowanie było porażające.

Wśród towarzyszących mu mężczyzn zapanowała za to wyraźna konsternacja. Zaczęli się sobie przyglądać, jakby starając się odgadnąć, który z nich jest wtyką.

Anka zamrużyła oczami, by wyostrzyć wzrok. Dziwny huk rozsadzał jej skronie, ale starała się zobaczyć jak najwięcej, w końcu to mogło być jej ostatnie przedstawienie. Oświetlenie i dźwięk: pierwsza klasa. Co do aktorów, to się jeszcze okaże.

Marek milczał, chcąc zapewne dodać scenie dramatyzmu, ale nie zdążył wyrecytować swojej kwestii. Zanim zdołał otworzyć usta, zza wielkiego grobowca z prawej strony dał się słyszeć głos, który zwiastował niespodziewany zwrot akcji.

– Witam.

Z ciemności powoli wyłonił się mężczyzna.

Oświetlona blaskiem księżyca postać rzuciła nienaturalnej wielkości cień na pobliskie nagrobki.

„Wiktor! Na pewno przyszedł tu, żeby mnie uratować!” Oko Anki zrobiło się wielkie i błyszczące. Co z tego, kiedy to i tak nie wystarczyło, żeby zwrócić jego uwagę.

Wszystkie pistolety (a każdy z aktorów miał co najmniej jeden) jak namagnesowane skierowały się w jego stronę.

– Jak on to zrobił? – jęknął któryś z gangsterów. – Przecież wszystko sprawdziłem! Teren był czysty.

Bułgar ani drgnął. Ruchem ręki nakazał powtórne sprawdzenie bezpieczeństwa. Gangster westchnął ciężko i chciał zaprotestować, ale kumpel wyperswadował mu to kuksańcem i po chwili obaj, przemykając wśród grobów, zniknęli w ciemnościach.

Wiktor patrzył spokojnie na przygotowanych do strzału mężczyzn, ignorując Marka, a potem zwrócił się bezpośrednio do Bułgara.

– Tylko bez żadnych niepotrzebnych ruchów – powiedział spokojnie, a jego obco brzmiący głos wydał się Ance bardziej lodowaty niż podmuch arktycznego powietrza. Zadrżała z zimna. – Chcę tylko porozmawiać.

Po dłuższej chwili namysłu Bułgar skinieniem ręki nakazał opuszczenie broni. Wiktor pokiwał głową z zadowoleniem.

– Przepraszam, że wpadłem bez zapowiedzi, ale mam coś dla pana i nie mogłem dłużej czekać – powiedział niespodziewanie. – To towar, który szybko traci świeżość.

Bułgar uparcie milczał. Wpatrywał się uważnie w Wiktora. Ten schylił się powoli, dając do zrozumienia, że nie robi nic podejrzanego, ale i tak swoim ruchem wywołał małą panikę wśród ochroniarzy mafiosa.

Oczy Anki zaczęły łzawić. Gorączkowo zastanawiała się, jak dać Wiktorowi znać, że jest tutaj, w tym grobowcu za plecami Marka, takim dużym z gotyckimi witrażowymi oknami... „Spójrz w tę stronę. Zobacz mnie”, zaklinała w myślach.

Nie spojrział. Był zajęty. Przez moment męczył się z czymś dużym, ukrytym za marmurowym grobem, a potem z mroku wyciągnął starszego mężczyznę z rękami związanymi na plecach.

Wśród gangsterów nastąpiło wyraźne poruszenie. Anka znieruchomiała.

Przez huk i natłok myśli w jej głowie przebił się twardy głos Wiktora:

– Przeprowadziłem panu Wiertarę. Musiałem użyć siły, bo sam nie chciałem przyjść... – Chwila ciszy. Wiktor odwrócił głowę w stronę Marka i dodał wymownie: – Ktoś za drobną opłatą wspominał mi o grożącym niebezpieczeństwie i pozwolił odejść...

– To... kłamstwo! – wrzasnął Marek.

Wiktor westchnął.

– Nie każdy ma odwagę cywilną, żeby się przyznać... – powiedział.

– Ale... to bzdura! – Marek wyraźnie się zdenerwował. Anka widziała, jak jego ramiona trzęsą się w paroksyzmie złości. W końcu to miało być jego pięć minut. Miał dostać uczciwe pieniądze za informacje, a tu pojawia się ktoś, kto śmie podważać jego lojalność. I uczciwość. I w dodatku przyprowadza Wiertarę.

– Sugerujesz, że Wiertara kłamie?

Wszyscy spojrzeli na związanego mężczyznę, który ponuro wpatrywał się w swoich lojalnych przyjaciół.

Lojalność... Trzeba wiedzieć, gdzie są granice lojalności. Dawni przyjaciele odwrócili spojrzenia.

– Dostawałeś za mało kasy? – zapytał jeszcze Wiktor. – Za zabicie ludzi lojalnych Wiertarze musiałeś niezłe zarobić.

– Moja pani potrzebuje na godne życie – syknął Marek, chcąc najwyraźniej go zdenerwować.

Wiktor nie okazał żadnych emocji.

– To dlaczego nie zgarnąłeś głównej wygranej? Dlaczego pozwoliłeś odejść Wiertarze?

– Nie pozwoliłem mu odejść, tylko się nie zjawił! – wściekł się Marek.

Zrobił krok w kierunku Bułgara, ale widząc, że ochrona mafiosa ma wyraźną ochotę kogoś zastrzelić, zatrzymał się w pół kroku i powtórzył: – Wiertara nie pojawił się w umówionym miejscu. Dlatego jeszcze żyje. A przyszedłem tutaj, żeby ci przekazać...

– Sprzedać – poprawił go Bułgar zimnym głosem.

Marek pokiwał głową.

– Sprzedać informacje o wtyczce.

Twarz Bułgara nie zmieniła się.

– Kto? – zapytał bez zbędnych ozdobników.

Marek westchnął. Wiedział, że w obecnej sytuacji wiele nie zarobi.

– Bodzio – oświadczył z uśmiechem, jakby właśnie przyznawał tytuł miss świata.

Wszystkie spojrzenia powędrowały ku stojącemu nieco z boku zarośniętemu mężczyźnie z grubym karkiem. Zapewne Bodzia. Mężczyzna nie poruszył się.

Wiktor pokiwał teatralnie głową.

– I dla tej informacji zabiłeś Kudłatego Edzia? – zdumiał się i rozejrzał dookoła z miną człowieka, który właśnie dowiaduje się, że tytuł miss dostał wielki niezgrabny facet z grubym karkiem.

Marek znieruchomiał.

– Nie zabiłem Kudłatego Edzia, nawet go nie znam. A co do faktu, że Bodzio jest wtyką, to chyba dosyć istotna informacja, prawda? I tym ciekawsza, że to właśnie ty, tajniak z CBS, jesteś za niego odpowiedzialny.

Wiem, bo sprawdziłem... Spotykacie się dosyć regularnie.

Wszystkie spojrzenia skupiły się na szefie. Mężczyzna wciąż stał nieruchomo pod latarnią jak klient, któremu odmówiła ladacznica. Tak się zdziwił.

– Skąd to wiesz? – zapytał w końcu głosem pozbawionym jakichkolwiek przyjemnych tonów.

– Założyłem podsłuch w mieszkaniu Sowy – odpowiedział z uśmiechem Marek, po czym zwrócił się do Wiktora. – Pamiętasz lampę, którą przyniosłem naszej znajomej? – Wydał z siebie zadowolony pomruk, a potem spojrział w stronę Bodzia. – To jak, Bodzio? Skoro już wiemy, to może być coś w końcu powiedział?

Wszyscy znowu spojrzeli na zarośniętego gangstera, który zrobił zdziwioną minę, jakby w ogóle nie rozumiał, o co to całe zamieszanie. Wiktor wzruszył ramionami.

– Co do Bodzia, to znamy się od podstawówki... zawsze kochaliśmy się w tych samych pannach – rzucił przez zęby. Wszyscy wpatrzyli się w niego, zupełnie nie rozumiejąc dygresji, a on mówił dalej: – Ostatnio założyliśmy się o taką jedną: który z nas ją zdobędzie pierwszy, ten ma prawo do przysługi. I Bodzio wygrał. Jestem człowiekiem honoru, w przeciwieństwie do niektórych... – Spojrzał twardo na Marka. – Bodzio prosił o informacje, spełniłem jego prośbę.

Marek milczał, a Bodzio podszedł powoli do Bułgara i wskazując na Wiktora, powiedział:

– Szefie, skoro już zeszło na te tematy: to jest nasz nowy człowiek z CBS.

Bułgar pokiwał głową i przez chwilę wpatrywał się uważnie w Wiktora.

Ten mówił dalej:

– Okazało się, na przykład, że pseudonim operacyjny „glina” to posterunkowy Kochanowski. Nawet nie wiesz, jak bardzo się zdziwiłem, Marek.

Ty to masz jaja... Szacunek ci się należy.

– To absurd! – Marek zaczął pękać. Jego głos stał się piskliwy, przypominał dźwięk ściskanej gumowej kaczki. – Nie przekazuję żadnych informacji, zresztą gdybym pracował dla policji, nie zabiłbym przecież tej staruchy! Ani tamtych!

Wiktor wzruszył ramionami.

– Ja nie mówię, że masz moralność, ja mówię, że pracujesz dla policji.

A poza tym... – zawiesił głos i podrapał się po głowie – kto wie, czy tamci nie okażą się jakimiś świadkami koronnymi w szykującej się sprawie? A babcia umarła na serce i wykorzystalesz sprzyjającą sytuację, żeby zbudować swoją reputację?

Zapadła grobowa cisza, jaka może zapaść jedynie na cmentarzu.

Bułgar nie zwracał na gorączkującego się Marka żadnej uwagi. Patrzył na Wiktora.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

Wiktor wzruszył ramionami.

– To proste – odpowiedział spokojnie. – Myślicie, że tak długo deptałem Wiertarze po piętach, żeby dostać policyjny bonus? – Prychnął. – Nie interesują mnie drobne. Chcę czegoś więcej. Wiedziałem, że na wejście do organizacji przez Bodzia nie ma szans. Od razu miałbyście mnie za wtykę, w końcu pracuję w CBS. Wymyśliłem sobie, że jeśli złapię Wiertarę, to za jego wolność wynegocjuję dobrze płatne stanowisko w organizacji. Ale kiedy w zeszłym miesiącu poszliśmy z Bodziem na piwo, wytłumaczył mi, że Wiertara w niczym mi już nie pomoże. Ale właściwie... skoro już go złapałem, a wszyscy wiemy, jak cenne mogą okazać się dla policji informacje, które posiada, postanowiłem dobrowolnie przekazać go organizacji. A że organizacja to teraz pan – spojrzął na Bułgara – to proszę... oto mój prezent dla pana.

Anka była przekonana, że sztuka w teatrze plenerowym właśnie dobiega końca. Z przerażeniem obserwowała, jak jej bohater zamienia się w złego ducha. Nie wiedziała tylko jeszcze jak złego.

– Udowodnij, że nie blefujesz – powiedział Bułgar. A jego okrutny uśmiech, z jakim patrzył na Wiertarę, wskazywał dokładnie na sposób udowodnienia.

Przez chwilę nikt się nie ruszał. A potem wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy. Jednym zdecydowanym ruchem Wiktor wyciągnął dłoń z pistoletem w kierunku związanego mężczyzny.

A potem nacisnął na spust.

Anka oniemiała. Nie była w stanie zrobić nic. Wpatrywała się w Wiktora. Chciała nie słyszeć, nie widzieć, nie pamiętać. Ale było za późno.

Bezwładne ciało Wiertary bardzo powoli zważyło się na cmentarną alejkę. Jakby czas zwolnił bieg. Albo kamera spowolniła ujęcie. Jak w jakimś koszmarnym przedstawieniu. Ale to nie była sztuka. Każdą cząstką zeszywniałego ciała, każdym naczynkiem wypełnionym krwią Anka czuła ból istnienia. I paradoksalnie strach przed jego ustąpieniem.

ROZDZIAŁ 76

– Słyszałam strzał – powiedziała Jadwiga. Spojrzała na Beatę, ciesząc się, że emocje na twarzy filtruje czarny szyfon. Potem przełknęła ślinę i z zawołanym szaleństwem w oczach zajrzała jeszcze do karawanu, przykazując siedzącej za kierownicą Danucie wsadzić do ucha słuchawkę.

Kiedy wszystko było gotowe, dała znak do rozpoczęcia pogrzebu.

To nieco zdenerwowało babcię, która czuła się szefem całego przedsięwzięcia i nie miała zamiaru oddać pałeczki.

– Drogie panie – powiedziała do Ady i spółki, machając przy tym rękami jak dyrygent do orkiestry – zakładamy woalki, szybko, raz dwa. – A potem patrząc z wyższością na Jadwigę, zawołała: – Kaaazek! Już!

Dziadek wyskoczył z karawanu i szybko przeciął nożycami do metalu łańcuch spinający cmentarne ogrodzenie. Potem otworzył bramę, wsiadł z powrotem i kondukt powoli wkroczył na alejkę. Płaczki zaczęły zawodzić.

Nikt zupełnie nie przejmował się nagłą histerią stróża, który pobiegł za nimi jak oszalały i nawet ustawił się przed karawanem, próbując zatrzymać orszak żałobny. Zrezygnował, kiedy Danuta o mało go nie przejechała.

– Szybciej – jęknęła Beata, rozglądając się uważnie.

– Wolniej – wydyszała jedna ze staruszek. – Gdzie się tak spieszyć?

Nagle zza wielkiego grobowca wyłoniło się dwóch mężczyzn. Zaczęli przypatrywać się w osłupieniu karawanowi, jeden nawet usta rozdziawił.

– Co to ma być? – zapytał. Zapewne żeby coś z tymi ustami zrobić.

Źle trafił.

– Majówka! – zirytowała się babcia. – Co z wami, ludzie, pogrzebu nie widzieliście?

Drugi mężczyzna roześmiał się głupio. Pod wpływem spojrzenia towarzysza szybko jednak przestał i burknął do babci, jakby to ona była w pełni odpowiedzialna za jego brak równowagi emocjonalnej:

– Tylko żeby mi szybko było.

A potem, bez słów nakazując koledze zostać na czatach, zniknął za wielkim grobowcem. Jadwiga zauważyła, że wyłonił się gdzieś w oddali i za ogromnym krzyżem skręcił w prawo. Ten, który został, schował się za figurą anioła patrzącego w dół. Najwyraźniej w piekielne czeluście.

Jadwiga odchrząknęła, po czym powiedziała cicho do mikrofonu ukrytego w kołnierzu:

– Skręcaj w prawo.

Karawan skręcił w prawo.

ROZDZIAŁ 77

Wiktor pierwszy przerwał milczenie.

– Umarł król, niech żyje król – rzucił obojętnie.

Anka dalej tkwiła nieruchomo z okiem przy oknie. Tylko dlatego, że nie była w stanie się ruszyć. Patrzyła na scenę, za którą ktoś powinien dostać Oscara. Ale nie zamierzała klaskać.

Bułgar dłuższą chwilę wpatrywał się w Wiktora, jakby chciał przeświecić wszystkie jego myśli, wyczytać ukryte w twardym spojrzeniu powody działania.

– Witaj w rodzinie – powiedział w końcu, kiwając aprobująco głową.

Potem popatrzył niechętnie na Marka i dał znak stojącemu obok gangsterowi. – Nie lubię komplikacji. Nochal...

Gangster wyciągnął broń.

– Proszę pozwolić mnie – odezwał się niespodziewanie Wiktor. – Mamy niewyrównane rachunki... – zawiesił groźnie głos.

A do Anki dotarła nagle brutalna prawda. To ona jest niewyrównanym rachunkiem.

– Jest twój – powiedział Bułgar.

Kiedy Nochal opuszczał broń, na scenie pojawił się gangster zwiadowca.

Dyszac straszliwie, przekazał szefowi jakąś wiadomość. W tym samym momencie odezwała się policyjna syrena. Gdzieś w oddali. A potem bliżej.

Bliżej. „Ale ciągle jeszcze nie tutaj i nie teraz”, przemknęło Ance przez myśl.

I wtedy Marek, wykorzystując chwilę ogólnej dekoncentracji, niespodziewanie ruszył w bok. Anka niewiele więcej zdołała zobaczyć. Powoli zamazywały się jej obrazy. Postaci zamieniały się w ledwie widoczne cienie.

– Będziemy w kontakcie. Zostawić ci kogoś do pomocy? – usłyszała jeszcze głos Bułgara.

A potem gdzieś z daleka głos Wiktora, jak policzek od igrającego z ludzkimi uczuciami losu.

– Nie potrzebuję mamuśki. Dawno już przestałem bawić się w piaskownicy.

Opadła na posadzkę. Ostatnim, co zapamiętała, była nadzieja, że na zawsze pozostanie niewyrównanym rachunkiem Wiktora. –

ROZDZIAŁ 78

Grupka mężczyzn szybkim krokiem minęła kondukt żałobny. Jadwiga obrzuciła ich uważnym spojrzeniem spod woalki. Z niepokojem zauważyła, że wśród mężczyzn nie było Wiktora. Ani Marka. Ani Wiertary. Ale rozpoznała jedną twarz. Znaną jej ze zdjęć operacyjnych przysyłanych przez Conana.

– Bułgar... – wyszeptała podekscytowana i poczuła zew krwi. Oblizwała wargi i jeszcze raz obejrzała się dyskretnie za nimi. Do groźnego orszaku dołączył pozostawiony na czatach przy kamiennym aniele gangster. Asfaltową alejką zmierzali w stronę bocznej bramy.

– Tam jest Marek! Wiktor też – usłyszała nagle podekscytowany głos Beaty.

Odwróciła głowę i zobaczyła przeskakujących przez groby mężczyzn.

Marek uciekał desperacko, za nim biegł Wiktor. Wiertary nie było.

– Co teraz? – usłyszała w uchu głos Danuty. Poprawiła słuchawkę.

– Skręć w lewo i zawróć – rzuciła niespodziewanie.

Karawan podjechał do skrzyżowania alejek, a potem bardzo łagodnie zawrócił. Biegący mężczyźni byli już bardzo blisko.

Przynajmniej Marek. Staruszki grzecznie podążały za karawanem, oglądając się z ciekawością na goniących się osobników.

– Świetny pogrzeb – wydyszała nagle do babci Ada. – Gratuluję. Jak żyję, a wiele w

życiu widziałam, takich atrakcji na pogrzebie jeszcze nie przeżyłam. A teraz co?

– Teraz będziemy gonić trupa – oświadczyła wcale niegłupio babcia, obserwując spod oka biegnących mężczyzn.

– Ale zabawa! – zachwyciła się Ada. – Lepsza niż przejazd wąskotorówką na Helu, a tak rzucano...

Babcia Hela na pewno miała ochotę powiedzieć coś odpowiedniego, ale nagle rozległ się strzał. Większość staruszek, tych, które nie miały problemów ze słuchem, spojrzała z przerażeniem w stronę, z której dobiegł huk.

Uciekający biegł dalej. Ten drugi przewrócił się.

– Czy to nasz trup? – zapytała ożywiona Ada.

Babcia ucichła nagle.

– Jeszcze nie wiem – mruknęła.

Beata w przerażeniu ścisnęła Jadwigę za rękę.

– Chyba zabił Wiktora – jęknęła.

Jadwiga znieruchomiała, wpatrując się intensywnie w leżącą na alejce postać. Po chwili odetchnęła z ulgą.

– Wstaje – szepnęła. Czowała, że brakuje jej tchu. – Chyba nic mu nie jest.

Szły zatem sztywno za karawanem, który w tę księżycową noc zdawał się zupełnie nie pasować do cmentarnej scenografii. Jakby mieszkańcy nekropolii urządzali sobie karnawał.

Po krótkiej chwili Beata usłyszała świszczący oddech Marka. Wdzięczna matce za kapelusz z woalką przypatrywała się ukradkiem mężczyźnie.

Odwracał się co chwila, wypatrując Wiktora, a nie mogąc go dostrzec, zwolnił. Potem ku przerażeniu Beaty zrównał się z nią. Zesztywniała. Nie wiedziała, jak zareagować (garnka pod ręką nie miała). Spojrzała na Jadwigę idącą nieco z przodu. Na szczęście ta była lepiej przygotowana. Beata zauważyła, że powoli wkłada rękę do kieszeni płaszcza.

– Czyj to pogrzeb? – wydyszał do niej w końcu Marek, zaintrygowany zapewne niespotykanym o tej porze orszakiem żałobników. Nie usłyszawszy odpowiedzi, spojrzał na nią.

Beata przez chwilę wpatrywała się w jego zimne oczy.

– Twój – odpowiedziała z nienawiścią w głosie i podniosła woalkę.

Rozpoznał ją. Potem w ręku drugiej zawołowanej kobiety zobaczył broń. Chciał uciec, ale nie zdołał. Jadwiga bez wahania przystawiła mu pistolet do głowy. Beata odebrała mu jego broń.

– Zatrzymaj karawan – powiedziała Jadwiga do rękawa. Karawan zatrzymał się. Marek przetań oczy. Kiedy znowu popatrzył, Beata zapraszającym gestem wskazywała w głąb pojazdu. Tam czekała już otwarta trumna i dziadek z dubeltówką.

– Zapraszamy. Bez ciebie, Marku, cała zabawa nie miałaby sensu – wycodziła Beata.

Wtedy dopiero pojawił się Wiktor. Dyszał ciężko i trzymał się za ramię.

Krwawił. Bez słowa podszedł do Marka. Blisko. Spojrzeniem zmusił go do wejścia do karawanu, a potem do otwartej trumny.

– Wypuście mnie! – krzyczał zdesperowany Marek, szarpiąc z przerażeniem szkarłatne obicie. Przecież na własne oczy widział, jak Wiktor zabija związanego człowieka. Nie wątpił, że cała reszta to groźna szajka niewykrytej dotychczas zbrodniczej organizacji. Zwłaszcza te staruszki. Pewnie szkolone jeszcze w partyzantce. – Powiem gdzie ona jest, tylko nie zakopujcie mnie żywcem. Ratunku! Ja chcę na policję! Do więzienia! Pomocy.

Ja wszystko powiem! Nic jej nie jest!

Beata odetchnęła i z niewymowną ulgą spojrzała w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała Jadwiga. Koleżanki nie było. Został tylko kapelusz.

Jadwiga biegła na przełaj, pomiędzy grobami, starając się nadążyć za znikającymi w bocznej bramie gangsterami. Kiedy w końcu znalazła się na ulicy, zdołała zauważyć, że z bocznej uliczki wypadło czarne bmw i z przeraźliwym piskiem przejechało skrzyżowanie. Moment zawahania. Wsłuchiwała się w bliską już syrenę policyjną, zastanawiając się, czy zdążą złapać Bułgara. Nie mieli szans.

W mgnieniu oka znalazła się przy samochodzie. Może w biegach przełajowych nie była już najlepsza, ale wiedziała, że aston martin nie ma sobie równych. Światła samochodu przecięły mrok, a dźwięk silnika zabrzmiał jak ryk rozdrażnionej pantery. Jadwiga jednym ruchem zapięła pas i zaciskając zęby, wcisnęła pedał gazu. Do oporu. Samochód zerwał się jak narowisty koń i ruszył naprzód, zostawiając na asfalcie ślady kół. Przy skrzyżowaniu była w ułamku sekundy.

Na szczęście ta chwila nie wystarczyła, by aston rozwinął pełną prędkość. Bo dokładnie w tym samym momencie pojawił się tam także jadący na sygnale radiowóz.

Z ust Jadwigi wyrwało się krótkie, acz wyjątkowo mocne przekleństwo.

Instynktownie skręciła w prawo.

Nagle uderzenie. Trzask. Piekący ból.

I sygnał przychodzącej wiadomości.

Przez chwilę nie ruszała się. Na wszelki wypadek, gdyby nie żyła. Ale ból uświadomił jej, że jednak żyje. Poruszała nogami. Wszystko działało. Kark ruchomy. Z jedną ręką coś było nie w porządku. Za to druga wydawała się sprawna. Postanowiła ją przećwiczyć. Sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła komórkę i utkwiała wzrok w wyświetlaczu.

– „Sprawdziłem głębiej w systemie. Bodzio to policjant z CBS. Infiltruje gang Bułgara. Informacja *top secret*. Skasuj natychmiast. Wpadnę wkrótce po samochód. Masz ochotę na romantyczną przejażdżkę? C.” – przeczytała na głos.

Potem zamknęła oczy. Zrobiło jej się słabo.

ROZDZIAŁ 79

Anka poczuła na twarzy ciepło. Otworzyła oczy, ale zamknęła je od razu pod wpływem migoczącego płomienia cementarnego lampionu. Kiedy znowu je otworzyła, zobaczyła przed sobą twarz Wiktora. Bładą i umazaną krwią. Patrzyła na niego przerażona. Położył znicz na posadzce i drżącą ręką dotknął jej twarzy. Ściągnął knebel z ust. Zaczęła się krztusić. Wiktor szarpał się ze sznurkiem, którym ją związano.

– Aniu – wyszeptał. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Nie odzywała się. Z jej oczu płynęły łzy. Pomógł jej wstać i przytulił ją.

Pozwoliła mu na to, ale pozostała sztywna, jakby nieobecna. Obojętna.

A potem obojętność przerodziła się we wściekłość.

Oto z więzów uwalnia ją mężczyzna, który przed chwilą z zimną krwią zamordował człowieka. Dla pieniędzy. I wydaje mu się, że nikt się o tym nie dowie. A teraz tuli ją i czeka na zachwyty w jej oczach. Pieprzony bohater. Powinien był zostać w piaskownicy.

Nagły impuls. Przepełnił przez jej ciało tak samo jak wtedy, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Miłość. Nienawiść. Zdrada. Życie. Wszystko bierze się z tego właśnie impulsu.

Jeden szybki ruch.

W rękę Anki znalazł się pistolet, który zdołała wyciągnąć Wiktorowi z kabury.

Przyłożyła mu go do boku. Znieruchomiał.

– Odsuń się ode mnie – powiedziała cicho. W jej głosie było coś tak niepokojącego, że bez słowa wstał i cofnął się kilka kroków. Podniósł rękę.

– Jak mogłeś zabić tego człowieka? – wyszeptła zbielełymi wargami. Z trudem trzymała broń w zdrętwiałych dłoniach.

– Aniu, posłuchaj... – zaczął, ale nie dała mu skończyć.

– Jesteś... – Chciała mu powiedzieć tyle strasznych słów, ale nagle zobaczyła tuż przed sobą wielkiego pająka, który nie przejmując się obecnością ludzi ani intensywnością ich emocji, spokojnie kołysał się na swojej pajęczynie, ledwie krok od niej.

Poczuła obezwładniający strach.

Zaczęło mienić się jej przed oczami. Pająk wyglądał jak mała tarantula.

– Aniu – usłyszała znowu głos Wiktora. Spojrzała na niego histerycznie. Zbliżył się do niej na niebezpieczną odległość.

– Stój! – krzyknęła, nie wiedząc, czy to nie przywidzenia spowodowane „za małą dawką” tego, co podał jej Marek. Z jej oczu kapąły łzy. – Bo cię zabiję!

– Aniu, uspokój się. Twoja mama zaraz tu będzie – zaczął tłumaczyć jej łagodnie Wiktor, próbując znowu zbliżyć się chociaż o krok.

„Świetnie. Mama też tu jest. I co teraz?” Nie miała czasu zastanawiać się nad tym, bo nagle tarantulowaty stwór spojrzał na nią. A potem syknął.

Gwałtownie zadrżała i instynktownie wycelowała w pająka. Wiktor mówił coś do niej, ale nie słyszała. Celowała to w pająka, to w mężczyznę.

Wszystko zaczęło wirować. Zatrzymało się tylko na moment. Kiedy pająk wyciągnął w jej stronę swoje odnóża. Nie wytrzymała.

Nacisnęła spust.

Strzał prawie rozsadził jej głowę. Opadła na kolana, po czym momentalnie oprzytomniała. Wiktor patrzył na nią przez chwilę wielkimi czekoladowymi oczami, a później powoli osunął się na posadzkę.

Pistolet wypadł jej z dłoni.

Pierwsze, co zauważyła u siebie, to zupełny brak koordynacji ruchów kończyn. Ręce trzęsły się jej straszliwie. Zaczęła czołgać się do Wiktora.

Kiedy w końcu do niego dotarła, leżał nieruchomo. Ostatkiem sił, dusząc się własnym przerażeniem, przyłożyła mu ucho do piersi. Usłyszała tylko bicie własnego serca, które waliło z siłą pneumatycznego młota. Nagle zauważyła, że cała jego kurtka nasiąknięta jest krwią. Spojrzała na swoje ręce. Krew. A potem czerwone plamki przed oczami. Traciła oddech.

I wtedy poczuła na swojej ręce zimną dłoń. Zadrżała. W największym przerażeniu spojrzała na bladą twarz Wiktora.

A on otworzył oczy. I mrugnął do niej figlarnie.

Ogarnęła ją histeria. W panice zaczęła krzyczeć tak straszliwie, że leżący za kamiennym aniołem nieboszczycy na pewno przewracali się w trumnach. Chciała się wyrwać, ale nie miała siły. W dodatku usłyszała za sobą hałas.

– Wiktor? Żyjesz? – zapytał jakiś głos.

Odwróciła się. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, była zaniepokojona twarz Wiertary. Straciła przytomność.

ROZDZIAŁ 80

Mała szpitalna sala tętniła życiem. Anka spała mocno i nic nie wskazywało na to, żeby męczyły ją koszmary. Przy jej łóżku czuwała szczęśliwa Beata, która od kilku minut przypatrywała się jednak nie córce, a Danucie stojącej na krześle i trzymającej za oknem głowę i

rękę z papierosem.

– Danuta! – powiedziała z wyraźnym potępieniem Jadwiga. Siedziała na krześle z nogami wyciągniętymi na łóżku Anki. Z ręką w gipsie i otarciami na twarzy wyglądała jeszcze groźniej niż zwykle. – Upadłaś na samo dno. Niżej można już tylko do piachu. Nie przeraża cię to?

Danuta wsadziła głowę do środka tylko i wyłącznie po to, żeby wyrzucić z siebie razem z dymem wściekłe słowa:

– Co ty, Jolka się nazywasz!?! – A potem jej głowa znowu zniknęła za oknem.

Jadwiga z Beatą spojrzały po sobie, po czym obie wybuchnęły radosnym śmiechem.

– Widzę, że humorki dopisują? – do salki weszła Krystyna, uśmiechając się promiennie.

– Krystyna! Wyglądasz jakbyś wróciła z wakacji! – zauważyła złośliwie Jadwiga, nie ruszając się z miejsca.

– A ty wyglądasz, jakbyś wróciła z więzienia – docięła jej koleżanka i pokazała język. – Słyszałam, że wszyscy szpiedzy będą cię teraz chcieli zabić za astona.

– Uważaj, bo mam specjalny gips na recydywistów... I nie zawaham się go użyć – mruknęła Jadwiga, demonstrując lewą rękę.

– Rozmawiałaś już z Conanem o samochodzie? – wtrąciła Beata.

Jadwiga wzruszyła ramionami.

– Nie. Muszę najpierw wydobrzcć – mrugnęła.

Krystyna zbliżyła się do łóżka, pogłaskała po głowie śpiącą Ankę i poklepała Beatę po pulchnej ręce. Potem podeszła do niczego niepodejrzewającej Danuty i wciągnęła ją do środka. Danuta uderzyła się przy tym w głowę, a papieros wypadł jej z ust wprost w przestrzeń zaokienną.

– Mój papieros! – jęknęła, przylepiając nos do szyby. – Mój ostatni papieros.

Krystyna, niczym się nie przejmując, cmoknęła ją w policzek na powitanie i usiadła na krześle obok Jadwigi.

– Może opowiedziałabyś nam w końcu o Conanie? – Rozciągnęła w uśmiechu wargi. – Co to za człowiek, który swojej byłej... sekretarce zdradza tajne informacje?

Jadwiga przycisnęła palec do ust.

– Conan to tajemnica – wyszeptwała konspiracyjnie.

– Żadnych szczegółów?

– Żadnych szczegółów.

– To powiedz chociaż, dlaczego ci pomaga.

Koleżanki wpatrzyły się w Jadwigę z zaciekawieniem. Nawet Danuta zapomniała o ostatnim papierosie.

– Powiedzmy, że kiedyś, w lepszych czasach, wyświadczyłam mu przysługę, za którą będzie mi wdzięczny do końca życia... – uśmiechnęła się Jadwiga i zapatrzyła w okno.

– I więcej nic nie powiesz? – spytała po chwili ciszy wyraźnie zawiedziona Krystyna.

– Nie mogę. To rzeczy ściśle tajne. Lepiej ty opowiedz, jak było w więzieniu?

Krystyna parsknęła śmiechem.

– Fantastycznie – oświadczyła z udanym entuzjazmem. – Odpoczęłam jak nigdy. W końcu dałyście mi spokój. Przeczytałam książkę, wyspałam się i zaprzyjaźniłam z taką jedną psychopatką. Niesamowita osobowość.

Trochę mi ciebie nawet przypominała, Jadwiga. Też lubi torturować mężczyzn, ale z tego, co wiem, nie wybiera depilatorów. Woli elektryczną piłę...

– Elektryczna piła? Podoba mi się! Może spróbujemy następnym razem – roześmiała się koleżanka. – Tak *a propos* debilnej akcji, to jestem zdumiona faktem, że Kudłaty Edzio utopił się w rumiankowej kąpeli. A nie wierzyłam w przypadki... ślepy los ewidentnie zagrał nam na

nosie. Prawdopodobieństwo wygrania w totka. Nigdy bym tego nie przewidziała...

– A przewidziałabyś, że nasza wróżka zniknie? – powiedziała, pochmurniejac nagle, Krystyna. – Martwię się, bo ona jeszcze nie jest całkiem stabilna emocjonalnie. Jak wróciłam dzisiaj do domu, czekała na mnie paczka, a w paczce, nie uwierzycie...

– Magiczna kula? – wtrąciła Jadwiga.

– Skąd wiedziałas? – zdumiała się Krystyna, przypatrując się podejrzliwie dławiącej się ze śmiechu przyjaciółce.

– Widzę, a kuli nie mam...

W ogólnej radości nie uczestniczyła jedynie Danuta. Do szczęścia potrzebowała nikotyny. Nie za chwilę. Natychmiast.

Wstała zatem i pozwoliła nałogowi przemówić przez siebie tonem nieznośnym sprzeciwu:

– Idę kupić papierosy.

– Dziadek ci nie pomógł? – zapytała zaczepnie Jadwiga, mrugając do Beaty.

– Dziadek? – parsknęła Danuta. – Dziadek mi ukrał ostatnią paczkę i wszystkie papierosy naraz wykurzył! – Pokiwała z dezaprobatą głową. – Dziadek jest nieuleczalnym przypadkiem. Ja przynajmniej staram się wyjść z nałogu, nawet plasterki mam... No nic, idę. Zadzwoń jeszcze do Jolki. Pewnie się zastanawia, dlaczego nas nie ma w biurze, a telefony leżą na szafce. A może była tam w nocy policja i nie mamy do czego wracać? – I wyszła. Wtedy dopiero Anka otworzyła oczy.

– Aniu! – powitał ją okrzyk matki. – Jak się czujesz!?

Do świadomości Anki zaczęły docierać najpierw głosy, jakieś trzaski, śmiechy, które zupełnie nie pasowały do obrazów pozostających w jej pamięci po wydarzeniach ostatniej nocy. Sny i wspomnienia zlały się w jej głowie w jeden nierzeczywisty film, a huk wystrzału zastąpił wszystkie dźwięki.

– W porządku – odpowiedziała słabo i uśmiechnęła się. Potem zauważyła dwie nieznajome kobiety. – Co się stało? – zapytała, na wypadek gdyby stało się coś innego, niż zapamiętała.

Zadowolenie na twarzach kobiet nie wskazywało na żadną tragedię.

Jedna z nich, z ręką w gipsie i otarciami na twarzy, uśmiechnęła się do niej sympatycznie. Jej twarz wydawała się Ance znajoma, ale otarcia i opuchnięte oko nie pozwoliły na identyfikację.

– Jestem Jadwiga – przedstawiła się kobieta i wskazała ręką na tę drugą. – A to Krystyna, właśnie wypuścili ją z więzienia. – Parsknęła śmiechem.

Anka spojrzała na atrakcyjną niegdyś twarz poważnej pani w beżowym płaszczu, która ku jej zdumieniu pokazała swojej koleżance język.

– Jestem lekarzem psychiatrą, moja droga – zwróciła się do leżącej dziewczyny. – Gdybyś chciała z kimś porozmawiać...

Anka zeszywniała. „Psychiatra. Jest źle. Do ofiar wysyłają psychologów, do mnie przyszedł psychiatra! Gorzej być nie może”.

– Co się stało? – wyjąkała, spodziewając się, że za drzwiami stoją policjanci chcący aresztować ją za zabójstwo.

Ku jej osłupieniu kobieta z ręką w gipsie zarechotała.

– Ale była jazda! – wykrzyknęła zachwycona, a Beata zaczęła opowiadać chaotycznie o tym, co zdarzyło się na cmentarzu. Oddech Anki powoli wracał do normy.

– ... Wiktor cię wyciągnął z tego grobowca. Sam był ranny!

– Postrzeliłam go? – wyszeptała, obawiając się najgorszego.

– Skąd, dziecko! To Marek go postrzelił, jak się gonili na cmentarzu, zupełnie jak w filmie – gorączkowała się Beata. – Ale dostarczyliśmy Marka w ręce policji, i to w trumnie. Podkomisarz Kogut miał się z pyszna.

Anka spojrzała na nią spod oka.

– Naprawdę? A Wiktor jest poważnie ranny?

– Nie sędzę. – Matka machnęła ręką. – Ale nie ma go tu... Musiał zniknąć na jakiś czas.

– Dlaczego? – zapytała Anka, przetykając ślinę.

Beata spoważniała i popatrzyła na siedzące obok kobiety.

– To skomplikowane – zaczęła i przysunęła się bliżej. – Widzisz, jeśli chodzi o wczorajsze wydarzenia, to właściwie niewiele wiemy. Wiktor kazał ci przekazać, że kiedy wróci, wszystko wyjaśni. To od niego. – Wskazała na stojący na szpitalnej szafce wazon z samotną czerwoną różą. Anka nie mogła oderwać oczu od jej intensywnej czerwieni. Przed oczami znowu pojawiła się krew. I huk. Matka podała jej malutką kopertę, z której Anka wyciągnęła karteczkę. „Goździki są od mięczaków”.

„Typowe”, pomyślała, zagryzając wargi.

Ale nie było czasu na refleksje, bo drzwi się otworzyły i do salki wpadła wyjątkowo blada Matylda, wciągając za sobą opierającego się nieco Jaśka.

– Aniu! – jęknęła, rzucając się na łóżko i jednocześnie ruchem ręki nakazując mężczyźnie zostać przy drzwiach. Został. – Jak się czujesz!?! – wpatrzyła się w nią wyczekująco, a w oczach miała łzy.

Nie ma to jak wierna przyjaciółka.

– Dobrze – zaczęła Anka, ale nie zdążyła nic dodać, bo Matylda, z ulgą na twarzy, gwałtownie przywołała do siebie Jaśka (i to jednym skinieniem!), a potem uroczyście ogłosiła: – Za godzinę w kaplicy szpitalnej bierzemy ślub! Bez gości, bez rodziny, bez białej sukni. Ale za to z miłości!

– Naprawdę? – zdumiała się Anka i usiadła na łóżku.

– Tak. Klóć się starzy górale o to, komu z kim wypada, a z kim nie, to obejdą się bez wesela. Już się martwiłam, że nie będziesz się dobrze prezentować, ale na szczęście wyglądasz w porządku. Będziesz moją druhną.

Wszyscy są zaproszeni, zwłaszcza pani – powiedziała Matylda, patrząc na Beatę. – Bo to wszystko dzięki pani. – Pociągnęła nosem. Spojrzała na Jaśka. – Idziemy do księdza. – I już ich nie było.

Anka opadła na poduszkę.

– Muszę odpocząć – powiedziała do matki i zamknęła oczy.

Zapanowała cisza.

Po chwili jednak kobiety zaczęły szeptać między sobą, a Anka, chcąc nie chcąc, wsłuchiwała się w te szepty, tracąc powoli chęć do spania.

– Myślicie, że ten Jasiek cierpi na szok pourazowy? – wyszeptała Beata, patrząc uważnie na Ankę. Wydawało się, że śpi. – Czuję się winna.

– Czemu? Dobry uczynek spełniłaś. Połączysz dwa zakochane serca...

– oświadczyła teatralnie Jadwiga.

– Czy ty masz łzy w oczach? – parsknęła Krystyna.

– Co się dziwisz, w końcu mam mentalność sekretarki – mruknęła Jadwiga. – To mogłaby być równie dobrze nasza zamierzona akcja. Jak widać akcja „na ofiarę” jest równie skuteczna jak akcja na...

Przerwała jej Danuta, która wpadła do salki jak burza, z rozwianym włosiem i z papierosem w ustach.

– Ciii – syknęła na nią Beata. – Ania właśnie znowu zasnęła.

Danuta zamilkła. Kobiety wpatrzyły się w nieruchomą twarz Anki. Kiedy uspokojone doszły do wniosku, że śpi, Danuta obwieściła triumfującym szeptem:

– Właśnie rozmawiałam z Jolką. Drogie panie... – zawiesiła dramatycznie głos – mamy pierwsze zagraniczne zgłoszenie! – spojrzała na twarze oniemiałych koleżanek. – To dopiero początek! Moje drogie, *We went global!*

Już czuła się, jakby była szefem międzynarodowej korporacji. Krystyna założyła ręce i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Jadwiga też, ale z mniejszym.

– Jeśli chodzi o papiery, to na mnie nie liczcie – oświadczyła stanowczo. – Nigdy nie mogłam się wyrobić, a z tą ręką to potrwa. Możemy się rozwijać, ale pod warunkiem, że znajdziemy kogoś, kto jest na tyle zdyscyplinowany i zorganizowany, że będzie w stanie to wszystko ogarnąć i...

nauczy mnie robić rosół – dokończyła.

Wszystkie trzy przeniosły wzrok na siedzącą cicho przy łóżku Beatę.

– To jak, Beata? Zostajesz z nami? – oficjalnie zapytała Danuta.

Przyjaciółka spojrzała na nie podejrzenie wilgotnymi oczyma.

– Proponujecie mi pracę? – wyjąkała.

– Jadwiga musi wydobrzeć, a poza tym w biurze mamy miejsce na jeszcze jedno biurko – powiedziała Danuta.

– Ale tak naprawdę to szukamy czwartego do brydza... – wtrąciła Jadwiga.

Beata uśmiechnęła się. Szczęśliwa. Chciała powiedzieć coś wyjątkowego, chciała podziękować, ale nagle do rozmowy wtrącił się drżący głos. Beata zamarła. Spojrzała w stronę głosu.

Anka siedziała na łóżku i wpatrywała się oniemiała w całe towarzystwo:

– Mamo, czy możesz mi to wszystko wytłumaczyć? Natychmiast!?

ROZDZIAŁ 81

Jadwiga dotarła do swojego mieszkania dopiero po południu. Zmęczona, w podartym płaszczu poplamionym krwią i z ręką na temblaku nie wyglądała dobrze, a czuła się znacznie gorzej, niż wyglądała. Przez całą drogę do domu zastanawiała się, jak zdoła wytłumaczyć Conanowi nie najlepszy stan najlepszego samochodu agencji.

Westchnęła ciężko. Już słyszała te wszystkie pretensje o niezrealizowane terminy, niedokończone sprawy, niezaliczone panny... Był jednak i pozytywny aspekt całej historii, który cieszył ją niezmiernie i sprawiał, że nie żałowała tego, co się stało. Marcinek, dowiedziawszy się, że miała wypadek, od razu zjawił się w szpitalu. Zapomniał o hikikomori i innych problemach. Nawet dostała od niego kwiaty. Nic nie powiedział, ale ulga na jego twarzy była dla niej jak zastrzyk energii. A Patrycja dzwoniła już z dziesięć razy. Jadwiga uśmiechnęła się lekko.

Zupełnie jak w reklamie.

Fryzjer: 90 złotych; nowy płaszcz: 900 złotych; aston martin: 900 000

złotych; ulga na twarzy syna: bezcenne. Są w życiu rzeczy, których kupić się nie da. Za wszystko inne zapłacisz kartą...

Zamarła. I zapomniała, o czym myślała. Na wycieracze leżał spinacz.

Jadwiga przełknęła ślinę i ostrożnie rozejrzała się dokoła. Niczego podejrzanego jednak nie zauważyła. Wyciągnęła klucz. Otworzyła ostrożnie drzwi i weszła do środka. W mieszkaniu panował idealny porządek. Właściwie nikt z zewnątrz nie nazwałby tego porządkiem, co

najwyżej artystycznym nieładem, ale Jadwiga wiedziała, co gdzie jest, a to było najważniejsze. I wszystko znajdowało się dokładnie tam, gdzie to zostawiła. Przeszła po mieszkaniu. Niczego nie brakowało. Uspokoiła się. Złośliwość rzeczy martwych. Czasem się gubią i nie możemy ich odnaleźć, a czasami spadają, kiedy nie powinny.

Wykąpała się, z trudem radząc sobie ze złamaną ręką. A kiedy w końcu, odświeżona i szalenie zmęczona, postanowiła zjeść wczorajszą kolację i dzisiejsze śniadanie, była już pora na podwieczorek. Włączyła radio. Delektując się kawą i grzanką, słuchała wiadomości, patrząc przez okno na jesienny świat. Nagle jej dobry nastrój prysnął jak mydlana bańka.

„W nocy z niedzieli na poniedziałek nieznani sprawcy włamali się do gabinetu dyrektora szkoły podstawowej... Wynieśli jedynie stary komputer i kilim z orzełkiem. Proszę państwa, czy to oznaka kryzysu czy patriotyzmu? Żyjemy w ciężkich czasach...”

Ogarnięta złym przecuciem odstawiła filiżankę i sięgnęła po laptop.

Znalazła w internecie numer do szkoły i chwyciła telefon.

– Dzień dobry, chciałam umówić się z dyrektorem Kowalskim w sprawie... Jak to? Nie ma? A gdzie jest? Złożył nagłe wymówienie!?! – Jadwiga słuchała przez chwilę opowieści jego sekretarki, a potem nagle odłożyła słuchawkę.

Właśnie wtedy uświadomiła sobie, że jednak coś z jej mieszkania zniknęło.

Czarny parasol.

TRZY TYGODNIE PÓŹNIEJ

Anka odstawiła kieliszek i popatrzyła ponuro na orkiestrę.

Choć mogło się to wydawać tak nieprawdopodobne jak to, że z dnia na dzień dyrektor Kowalski odejdzie ze stanowiska, a ona bez żadnych konsekwencji będzie mogła wrócić do pracy, albo jak to, że akurat w chwili, kiedy miała dowiedzieć się niezwykle intrygujących rzeczy, matka dostanie nagłego ataku depresyjnomenopauzalnomigrenowego i przynajmniej do końca dwumiesięcznej terapii nie będzie wolno się jej denerwować, jednak nieprawdopodobne stało się faktem: Wiolala znowu zdołała zatruć jej życie. Śpiewała na przyjęciu weselnym Michała, wypinając dumnie tyłek opięty dyżurnymi cekinowymi majtkami. Najwyraźniej po stracie pracy w klubie musiała objazdowo demonstrować swój talent, a Michał był jednym z tych, którym imponowały jej... interpretacje muzyczne.

Przeniosła spojrzenie na parkiet. Uśmiechnęła się do brata. Potem do Igi, szczęśliwej panny młodej w sukni jak marzenie. I wypięła zdrowie młodej pary.

Od pamiętnych wydarzeń na cmentarzu minęły trzy tygodnie. Czerwona róża powoli traciła swoją barwę, by w końcu stać się tylko zaszuszonego wspomnieniem. Rana Wiktora pewnie się zasklepiła, przynajmniej na tyle, by mógł wykręcić jej numer. Mogłaby mu go nawet zaprogramować pod jakąś jedną cyferką, żeby nie nadwyreżał mięśni, ale musiałby ją o to poprosić. A nie poprosił. Zresztą... kiedy? Nie dał znaku życia. Ale skłamałaby, twierdząc, że go nie widziała. Widziała. W jakimś programie informacyjnym. W ostatnich dniach głośno było o sukcesie policjantów z CBS, którzy z narażeniem własnego, i nie tylko, jak zauważyła z przekąsem, życia przeniknęli do organizacji mafijnej i rozpracowali grupę bezwzględniego mafiosa Jana Niewiadomskiego, pseudonim Bułgar. Dzięki tej spektakularnej akcji wielu kryminalistów, w tym policjant zabójca, jak ochrzciły Marka media, znalazło się za kratkami, a poszukiwany od dawna Karol Świdorski, pseudonim Wiertara, został śmiertelnie ranny. Jedynym, który umknął sprawiedliwości, był *capo di tutti capi*, gangster na międzynarodową skalę, gruba ryba światka przestępczego, którego tożsamości jak na razie nie udało się ustalić.

Wszyscy policjanci na zdjęciach operacyjnych pokazywanych w programie mieli zakryte twarze, ale ona od razu rozpoznała te czekoladowe oczy...

Westchnęła ciężko i wychyliła kolejny kieliszek. Bo właśnie z powodu tych czekoladowych oczu, o których nie mogła przestać myśleć, nie zaprosiła nikogo na wesele Michała. A ostatnio poznała przecież bardzo miłego chłopaka z agencji ubezpieczeniowej, który pomógł jej z samochodem.

Gdyby nie Wiktor, już dawno poszłaby z nim na kawę. A kto wie, może byłby tu teraz razem z nią?

Na scenie nastąpiły przetasowania. Wiolala zrobiła sobie przerwę, a kontrolę nad muzyką przejął didżej. I cóż... zaczęło się. Smętne przytulania, żalosne zawodzenia. Kawałki dla zakochanych.

Stanowczo wołała już piski pozbawionej talentu wokalistki. Czyli upadek był blisko.

W dodatku zaraz Iga będzie rzucać welonem. Wprost nie mogła się doczekać. Zamknęła oczy.

Nagle muzyka ucichła i usłyszała głos didżeja:

– Czas na dedykacje, drodzy państwo. Pierwsza dedykacja dla pewnej wyjątkowej dziewczyny w zielonej sukience... – Anka westchnęła, nie otwierając oczu. „Dlaczego mi nikt nie zadedykuje piosenki. Też mam zieloną sukienkę...”, pomyślała. – Proszę państwa, Bonnie Tyler zaraz zaśpiewa *Holding out for a Hero* dla dziewczyny, która czeka na swojego bohatera.

Pod wpływem nagłego impulsu Anka otworzyła oczy.

Przed nią stał Wiktor. Patrzył na nią tym swoim beczelnym i gorącym spojrzeniem, które bez wątpienia nie ucierpiało w wyniku postrzału. Był blady i nieco szczuplejszy niż wtedy, kiedy go ostatnio widziała, ale patrzył na nią tak samo. Wzrokiem wilka mającego ochotę na Czerwonego Kapturka. Bez czerwonego kapturka.

– Policja. Proszę za mną – powiedział śmiertelnie poważnym głosem. – Jest pani aresztowana za zabójstwo pająka.

Rozejrzała się dokoła. Bardziej żeby dojść do siebie niż z ciekawości, co się dzieje.

– Czy grozi mi dożywocie? – zapytała, przetykając ślinę.

– Tak. – Pokiwał z ubolewaniem głową. – Ale wyrok może zostać złagodzony, jeśli przyzna się pani do winy i dobrowolnie podda karze.

– A jaka to kara? – zaciekawiła się.

Nie odpowiedział, tylko ujął ją delikatnie za rękę i pociągnął na parkiet.

Dała się pociągnąć.

– Masz wielkie szczęście, że naboje były ślepe – szepnął jej do ucha, kiedy już, obojętni na cały świat, a zwłaszcza na łzy szczęścia obserwującej ich Beaty, tańczyli przytuleni. Nie mogli się od siebie oderwać. Zupełnie jakby połączył ich magiczny klej, na którego poszukiwanie swego czasu wyruszył tak desperacko Wiktor.

– Nie. To ty masz szczęście – odszepnęła Anka.

Roześmiał się.

– Niewątpliwie – potwierdził, wpatrując się w nią jak w źródło tego szczęścia. – A teraz wreszcie to przyznaj...

– Niby co?

– Przyznaj, że znalazłaś wreszcie swojego bohatera...

– Taaak. Ciebie? – Przysunęła swoje usta do jego ucha. Znieruchomiał.

– Jesteś zarozumiałym dupkiem – szepnęła bez skrępowania.

Westchnął ciężko i pokiwał głową z dezaprobatą.

– Tego się właśnie obawiałem. Twój stosunek do mnie jest zasadniczo nieodpowiedni i

dlatego... Posłuchaj. Ta druga piosenka jest dla mnie.

Od... ciebie.

Muzyka umilkła. Anka spojrzała niepewnie na Wiktora, a potem wpatrzyła się z przerażeniem w didżeja, który podniósł mikrofon do ust i zaczął czytać kolejną dedykację.

– A teraz, szanowni państwo, utwór od pani Ani dla pana Wiktora.

Piękna dedykacja, proszę posłuchać: Jesteś moim bohaterem. Wdzięczna za uratowanie... eee... tyłka... Ania. Panu Wiktorowi będzie zatem śpiewać Carla Simon. *Nobody does it better...* Jakie to słodkie...

Rozległy się śmiechy i oklaski, które powoli ucichły, zagłuszone dźwiękami piosenki.

Anka odsunęła się, ale tylko o mały krok, i spojrzała z niedowierzaniem na bezczelny uśmiech stojącego przed nią faceta.

A Carla Simon zaczęła śpiewać:

Nobody does it better

Makes me feel bad for the Rest

Nobody does it half as good as you

Baby you're the best...

– Ty zarozumiała... – nie znajdowała właściwego słowa.

– No co? – uśmiechnął się i osłonił głowę ręką, jakby się bał, że zaraz przyłoży mu butem. – Nie musisz już dłużej szukać idealnego mężczyzny, bo właśnie sam się znalazł i stoi przed tobą.

To powiedziawszy, nie czekając już na nic, przyciągnął ją do siebie niecierpliwym gestem i zamknął jej usta gorącym pocałunkiem.

A ona już wiedziała, że wszystko, co dobre, miało dopiero nadejść.

Wybrzeże atlantyckie, okolice Buenos Aires Słońce wyglądało jak wielka pomarańcza zawieszona nad oceanem.

Szczupła blondynka ubrana jedynie w czarny dół od bikini i przezroczysty sarong wyniosła na taras dwa drinki i podeszła do starszego mężczyzny w kwiecistych slipkach, który wyciągał się na leżaku, wystawiając czerwoną twarz ku niebu.

– Karolu, masz nieprzyzwyczajoną skórę. Słońce ci zaszkodzi – powiedziała z łagodnym wyrzutem, wręczając mu kieliszek.

Mężczyzna obrzucił ją zadowolonym spojrzeniem.

– Sowa – wymruczał i uśmiechnął się błogo – życie szkodzi. – A potem podniósł do góry kieliszek i dodał: – Ale wypijmy za to życie. Bo póki płynie, wszystko można zacząć od początku.

Londyn Na ekranie telewizora widać było twarz kobiety zatrzymaną w niekorzystnym ujęciu, z rozdziawionymi ustami.

– Wygląda zupełnie nieszkodliwie – mruknął Kowalski, przyglądając się jej uważnie.

Jego drobny, łysiejący towarzysz westchnął.

– Posłuchaj, szefie, może i wygląda przeciętnie, ale nie daj się zwieść pozorom. Na nasze szczęście była tak nieostrożna, że dała się nagrać własnej kamerze. Nie wiem jeszcze, w związku z którą sprawą chciała cię inwigilować, ale jedno jest pewne: ta niepozorna pani w średnim wieku ma powiązania z agencją wywiadowczą.

– Naprawdę? – zdumiał się Kowalski i odruchowo sięgnął po stojący pod ścianą czarny parasol. Pobawił się nim przez chwilę, a potem sprawdził, czy zatruty szpikulec wysuwa się wystarczająco łatwo. Ostatnio się zacinał. Później spojrzał jeszcze na wyraźnie zaniepokojonego towarzysza.

– To ona nawet z policji nie jest? Słuchaj, Szekspir... myślisz, że wrócili do sprawy tego

agenta KGB?

– Szefie, nie rozumiesz!?! – wybuchnął mężczyzna. – Możemy mieć problemy. Nieważne, czy chodzi o agenta KGB, czy innego. Zainteresowała się nami agencja wywiadowcza. Grozi nam realne niebezpieczeństwo. Całe szczęście, że byłem w pobliżu, gdy wyskakiwała przez okno. – Zaczął wachlować się ręką, wyraźnie poruszony.

Kowalski pogładził parasol i oparł go ścianę, a potem jeszcze raz przyjrzał się twarzy kobiety na ekranie.

– I znowu musiałem takie piękne życie zostawić – westchnął z żalem. – Dyrektorem szkoły byłem, Szekspir... jak jakiś cwany magister, a w dodatku miałem żonkę z takim potencjałem...

– Nie przejmuj się, szefie, znajdziesz sobie fajniejszą... Ja i tak nie wytrzymałem już, pracując jako woźny. Miałem taką nerwicę, że musiałem do psychologa iść. Te bachory, najchętniej bym je wszystkie... – Zrobił ruch ręką, jakby gruchotał kości, ale Kowalski nie zwrócił na to żadnej uwagi.

– A jak jej jest? – zapytał tylko, wskazując na ekran.

– Jadwiga. Jadwiga Kwiecień.

Na twarzy Kowalskiego pojawił się sadystyczny uśmieszek.

– To my się jeszcze policzymy z tą Jadwigą Kwiecień. Bardzo szybko...

